

CÓRKA
MEDIUM

ALYXANDRA HAREY

PROLOG

C 3 B O

1 8 6 5

Miałaam dziewięć lat, kiedy moja matka stwierdziła, że nadzedł czas, żebym zaczęła pomagać w prowadzeniu rodzinnego interesu. Jesteś już wystarczająco ładna - oznajmiła - żeby móc się do czegoś przydać. Moje uszy i długa szyja przestały wyglądać nienaturalnie, a ja stałam się dość sprytna, żeby nad sobą panować. Poza tym - dodała - nie mamy innego wyboru.

Tak oto, w grudniu pełnym świątecznej radości i grzane-
go wina, matka zmieniła zdanie. Dopiero później zdałam so-
bie sprawę, że popchnęła ją do tego rozpacz, a nie świątecz-
na radość.

Mimo to obiecała mi wizytę w prawdziwej księgarni, gdzie
będę mogła nawet kupić własną książkę, jeśli dobrze mi pój-
dzie. Do tej pory czytałam tylko postrzępione gazety i książki
wyrzucane ze sklepów i eleganckich domów z powodu szpet-
nych plam wilgoci albo śladów po przypaleniu.

Nie byłam pewna, co się dzieje. Wiedziałam tylko, że to
sprawa życia i śmierci. Nawet Colin, który był ledwie dwa lata
starszy ode mnie, ale uważał się za bardziej dojrzałego, miał
poważny wyraz twarzy. Przybył tu z Irlandii ze swoją mat-
ką, został przez nią osierocony, a sam przeżył jako chłopak
na posyłki, zamiatając ulice dla szlachty, zanim znalazła go
moja matka. Miesiąc temu przyprowadziła go, żeby z nami

zamieszkał - choć to również zależało od tego, jak nam się dzisiaj powiedzie. Chłopcy na posyłki, dość wysocy i silni, żeby poradzić sobie z wytwornymi mieszkańcami Myfair, nie dostawali wysokich napiwków. Nie mówiąc już o tym, że Colin był zdolnym złodziejem kieszonkowym i musiał co dzień zmieniać postępek, żeby nie zostać złapanym.

Śnieg osiadał powoli na błotnistych ulicach, kiedy opuściliśmy dzielnicę Cheapside. Szare kamienie i brudne rynsztoki zmieniał w pejzaż z piernika w kremowej polewie. Zrobiłam się głodna od samego patrzenia. Głośno zaburczało mi w brzuchu. Matka posłała mi karcące spojrzenie.

- Violet, dama nie zdradza potrzeb cielesnych.

Pokiwałam głową, wpatrując się w ziemię.

- Dama dostaje coś do jedzenia, nie? - wymamrotał Colin, ale na tyle cicho, że go nie usłyszała. Wyjął z kieszeni kawałek ziemniaka zawinięty w szmatkę i wsunął mi go w rękę. Zazwyczaj z upodobaniem wyciągał z kieszeni robaki, żeby zobaczyć, jak się krzywią. W tym roku świąteczna radość musiała być zaraźliwa. Zapragnęłam, żeby trwała przez cały rok.

- A co ty będziesz jadł? - odszepnęłam.

- Nie jestem głodny.

Kłamał. Oboje zjedliśmy na śniadanie po jednym muffinie i od tamtej pory nie mieliśmy nic w ustach. Ugryzłam kawałek ziemniaka i podałam mu resztę.

- Podzielimy się - powiedziałam, po czym pobiegłam do przodu, żeby nie mógł mi go oddać.

W brudnych oknach paliły się lampy, sprawiając, że wyglądały, jakby były z kryształu. Wokół nas tańczyły płatki śniegu niczym śniegowe króliki. Sople zwisały z latarni i błyszczały na kołach powozów. Z jakiegoś pubu dochodził śpiew, a z pobliskiej bramy pochłipywanie. Kiedy słońce skończyło chować się do Tamizy, zimny wiatr zburzył przytulną atmosferę.

Miałam na sobie swoją najlepszą sukienkę, tylko z paroma rozdarciami i śladami po przypaleniu przy rąbku, i kilka warstw flanelowej halki dla ochrony przed zimnem. Najlepsza ze wszystkiego była czerwona narzutka, którą Colin wręczył mi dziś rano. Nie powiedział wiele, tylko rzucił mi ją, marmocząc coś o świętach. Nigdy wcześniej nie miałam własnej narzutki i uważałam się teraz za bardzo dorosłą i dystygowaną. Nie miało najmniejszego znaczenia, że była porwana z jednej strony i przesiąknięta zapachem wilgoci albo że czubek mojego przemarzniętego nosa był w tej chwili w tym samym odcieniu czerwieni.

- Kupię sobie moją własną *Jane Eyre* - oznajmiłam, zmieniając zdanie po raz trzeci od wyjścia z domu. Przeczytałam raz pierwszy rozdział po kryjomu, w ciemnym kącie księgarni, zanim jeden z pomocników mnie nie przepędził.

- Wolałbym przeczytać coś o piratach - stwierdził Colin pogardliwie.

- O piratach? Ale oni się nigdy nie kąpią!

- Za to mają garłacze i przeżywają przygody. I spotykają krakeny. - Przypłynął z Irlandii, kiedy miał osiem lat, i chociaż nie opowiadał o szczegółach tej podróży, uważał się za eksperta od piratów. - W *Jane Eyre* nie ma piratów, jak sędzę...

Nie mogłam się z tym spierać.

- Mogłabym kupić *Targgoblinów* Christiny Rossetti - zaproponowałam. - Tam muszą być gobliny.

- Pewnie tak - zgodził się niechętnie.

Byłam potajemnie urzeczona wizją kobiety pisarki. Ogromnie pragnęłam sama nią zostać. Albo królową piratów walczącą z goblinami. Czasem trudno się zdecydować.

- Mogłabym nauczyć cię czytać - zaproponowałam. - Na pewno byś to polubił.

- Potrafię czytać - burknął, ale wiedziałam, że kłamie.

- Dostyc tego - rzuciła matka, nawet nie odwracając głowy, żeby na nas spojrzeć. Natychmiast zamknęliśmy usta, jakby rzuciła na nas urok. - Od miesiąca przygotowuję się do tego wieczoru. Bądźcie cicho i róbcie dobre wrażenie.

Przez prawie godzinę maszerowaliśmy w milczeniu. Nie pomyślałam wówczas, że kto inny wzięłby dorożkę przed drzwi wejściowych, zamiast zatrzymać ją o przecznicy przed miejscem, do którego zmierza. Matka pragnęła pojawić się w odpowiedni sposób i nie chciała, żeby wdowa domyśliła się, że jesteśmy biedni. Nie byłam pewna, co posiadane przez nas pieniądze mają do rozmawiania z umarłymi, ale, jak lubiła powtarzać matka, muszę się jeszcze sporo nauczyć. Więc nie zadawałam pytań.

Matka nie lubiła pytań.

Nie zapytałam też o kwiaty przyszyte do rąbka jej sukni ani o flakonik z jakimś płynem, który wsunęła mi do kieszeni.

Domostwo, do którego nas przywieziono, było ogromne, nawet z oknami zaciągniętymi czarną krepa i wytłumioną kołatką. A więc wdową była od niedawna. Weszliśmy po schodach do frontowych drzwi, nie kierując się na tyły do wejścia dla służby, gdzie bez wątplenia było nasze miejsce. Tyle wiedziałam na pewno. Poczułam śmieszny ucisk w brzuchu i złapałam Colina za rękę. Nie skrzywił się, jak to czasem robił, tylko odwzajemnił ucisk.

Drzwi otworzyły się i zaokrąglony lokaj z zakręconymi wąsami powitał nas przyciszonym głosem, kiedy matka przedstawiła mu się. Nie nakrzyczał na nas ani nie odprowadził do właściwego wejścia. Tylko odsunął się, żeby nas wpuścić.

- Pani Gordon pani oczekuje. Proszę pójść za mną.

Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś mówił tak poprawnie, jak on. W jego nienagannie wyprasowanym uniformie nie było ani śladu po cerowaniu, nawet przy szwach i kieszeniach. Hol był cały w czerni, z dekoracyjnie zakrytymi obrazami

i lustrami. Lampy gazowe były przygaszone. Nawet bawialnią, tych samych rozmiarów co nasze całe mieszkanie, była ciemna mimo połączanych mebli i lamp z abażurami z muszli. Starsza kobieta w sukni z krepy - nudnego czarnego materiału, który nosiły wszystkie wdowy - siedziała spokojnie na sofie większej niż moje łóżko. Naprzeciw niej siedziała druga kobieta i drzemała.

- Witam panią, pani Willoughby.

- Pani Gordon - matka pochyliła głowę na powitanie.

- Proszę przyjąć moje szczere kondojencje. Pani pozwoli, że przedstawię: moja córka, Violet.

- Co z ciebie za ślicznotka. - Uśmiechnęła się, wargi jej zdrząły. - Moja córka miała takie same włosy, kiedy była mała. - Starania matki, żeby poprzedniego wieczoru uformować moje włosy w doskonałe loki, nagle nabrały sensu. Ta fryzura nie była teraz modna. - Podejdź bliżej, nie bój się, nie gryzę. - Może i nie, ale pachniała talkiem, zbyt mocnymi perfumami i dropsami cytrynowymi. Ale ponieważ zaproponowała mi jednego z tych dropsów, byłam skłonna ją polubić.

- Powiedz mi, dziecko, czy widzisz duchy jak twoja matka?

Przełknęłam ślinę i zerknęłam na matkę. Zwęziła oczy ostrzegawczo. Nigdy nie robiła tego publicznie, bała się, że będzie wyglądać, jakby miała zmarszczki.

- Nie, psze pani - odparłam cicho.

- Otrzymałam ten dar dopiero po tym, jak straciłam mego ukochanego męża - dodała matka zrećcznie, z błyskiem w pięknych oczach. - Rozumiem więc pani ból bardzo dobrze, pani Gordon.

Druga starsza kobieta chrapnęła tak głośno, że sama się obudziła. Starałam się nie roześmiać.

- Hę? Co się dzieje?

Pani Gordon trąciła ją laską.

- Zbudź się, Agato. Medium spirytystyczne przybyło.

- Horace nie żyje, ty głupia krowo - odparła ostro Agata.
- Tylko tracisz pieniądze.

Pani Gordon prychnęła.

- Są moje i mogę je przepuszczać, więc bądź cicho, stara wariatko. - Wyciągnęła dłoń i poklepała mnie po ręce. Nie miała rękawiczek, a jej skóra była sucha i szorstka, poznaczona brązowymi plamami. - Nie zwracaj na nią uwagi - powiedziała. - To moja siostra, panna Hartington. To stara wiedźma.

Natychmiast zapłonęłam ciekawością.

- Czytałam o wiedźmach - wyznałam. - Naprawdę pani nią jest?

- Violet! Co ty mówisz! - skarciła mnie matka.

Ale panna Hartington się roześmiała.

- Tak, dziewczynko. I to bardzo złą. - Spojrzała na mnie z ukosa. - Naprawdę wyglądasz jak moja siostrzenica. To straszne, że zmarła tak młodo. - Odchrząknęła nagle i zmarszczyła brwi, patrząc na moją matkę. - A więc przyszła pani okraść moją siostrę?

- Z całą pewnością nie - odparła matka z krzywym uśmiechem.

- Ta moda na rozmowy ze zmarłymi to bzdura, jeśli chcecie znać moje zdanie. Umarły to umarli.

- Zapewniam panią, że istnieją poważne dowody, że jest wręcz przeciwnie.

- Agato, jesteś bardzo nieuprzejma - powiedziała pani Gordon. - Możemy zaczynać, pani Willoughby, zanim okropne maniery mojej siostry stąd panią wypłoszą?

- Jestem do usług, proszę pani.

Przeszliśmy do okrągłego stołu nakrytego koronkowym obrusem. Miałam straszną ochotę go pogłaskać. Wyglądał jak zszyte razem czarodziejskie skrzydła.

- Chodź i usiądź obok mnie - zwróciła się do mnie pani Gordon. Matka ukryła uśmiech triumfu. Zemdliło mnie na

ten widok. Colin wciąż stał przy drzwiach. Usiadłam obok pani Gordon.

- Czy moglibyśmy dostać gorącej czekolady? - spytałam, jak kazała mi matka, chociaż było to bardzo nieuprzejme.

- Violet, co za manieri - zareagowała natychmiast.

Poczułam się zakłopotana. Uśmiech zszedł mi z twarzy. Pani Gordon znów poklepała mnie po ręce. Matka sugerowała, że powinnam się rozpłakać, żeby dostać gorącą czekoladę, ale nie mogłam się na to zdobyć.

- Zadzwońię po czajnik - uspokoiła mnie pani Gordon.

- Jeśli nie będzie to przeszkadzać pani w pracy, pani Willoughby?

- Ależ skąd - zapewniła ją z wdziękiem moja matka.

- Przepraszam za manieri mojej córki. Jest może zbyt młoda, żeby pojawiać się w towarzystwie, ale tak lubi oglądać świąteczne kokardy na domach. Nie zniósłabym, gdybym miała ją zostawić. Matka, jak dobrze pani wie, zrobi wszystko dla swojego dziecka.

Pani Gordon skinęła głową, podczas gdy jej siostra dzwoniła po tacę z herbata.

- Moja Amelia też kochała święta.

Dawno zmarła Amelia była przyczyną, dla której matka postanowiła zabrać mnie ze sobą. Miałam odwrócić uwagę pani Gordon, wytrącić ją z równowagi. To było okrutne tak postępować z tą smutną, starszą kobietą.

Spojrzałam na matkę buntowniczo. Uszczypnęła mnie pod stołem tak mocno, że zostawiła ślad, a do oczu napłynęły mi łzy.

Gorąca czekolada wreszcie się pojawiła i wszyscy poza Colinem otrzymali delikatną porcelanową filiżankę napoju. Słodki aromat czekolady i śmietanki był tak upajający, że dzięki niemu wieczór nie poszedł na marne. Nigdy wcześniej nie piłam czekolady i miałam szczerą nadzieję, że będę mogła to

powtarzać, i to często. Piłam chciwie, aż moja matka odezwała się znowu.

- Zaczniemy od modlitwy.

To była wskazówka dla mnie. Kiedy wszyscy zamknęli oczy i pochylili głowy, wyjęłam małą buteleczkę płynu z kieszeni i wlałam odrobinę do filiżanek obu dam. Mama powiedziała, że to lekarstwo sporządzone z kwiatów opium i że nic zrobionego z kwiatów nie może być szkodliwe. Gorąca czekolada miała zamaskować gorzki smak, ponieważ panie nie mogły się zorientować, że piją laudanum. Matka mocno to podkreślała. Nadal nie rozumiałam, czemu ma to być tajemnica, skoro to nieszkodliwy nektar z kwiatów. Zawahałam się na ułamek sekundy, aż matka otwarła jedno oko.

- Teraz zaśpiewamy tradycyjne hymny - oznajmiła. Zaśpiewaliśmy trzy najdłuższe pieśni z jej repertuaru, aż zaschło nam w gardłach. W tym czasie Colin zdusił ogień, tylko na tyle, żeby ogarnął nas chłód. Starsze panie sięgnęły po filiżanki i wypiły parę głębokich, poczekających łyków.

Matka kazała nam wziąć się za ręce.

- Horace Gordon, wzywamy cię, ukochany zmarły, przemów do nas.

Palce pani Gordon zadrżały. Rozejrzała się z nadzieją po pokoju.

- Horace Gordon! - zawołała ponownie matka, tym razem głośniej. Utkwiłyśmy w niej wzrok. Colin skorzystał z tej chwili, żeby wrzucić chustkę z solą gorzką i stołową w dogasający ogień. Płomień wystrzelił wysoko i zapłonął na zielono i żółto, a potem na biało, kiedy zajęła się sól gorzka w środku zawiniątka.

Pani Gordon gwałtownie wciągnęła powietrze. Nawet panna Hartington wyglądała na zdumioną. Wtedy zaczęło działać laudanum. Ich źrenice rozszerzyły się tak, że naprawdę zaczęły przypominać stare, ponure wiedźmy. Wzdrygnęłam się.

- On tu jest! - wykrzyknęła pani Gordon. - Och, Horace!

Matka przekrzywiła głowę, jakby słuchała głosu ducha.

Wpatrywałam się w mrok, wyglądając przezroczyście stóp albo ektoplazmicznego płaszcza. Z rozczarowaniem skonstatowałam, że widzę tylko Colina i małą puchatą kulkę kurzu pod jedną z nóg sofy.

- Pan Gordon chciałby, abym pani przekazała, że ma się dobrze - odezwała się matka. - Jest szczęśliwy po drugiej stronie i jest z waszą Amelią.

- Czuję jego okropne cygara - przyznała panna Hartington, oszołomiona. Zamrugała parokrotnie, po czym ziewnęła.

- Widzę go! - zaszlochała pani Gordon. - Widzę, stoi tuż obok! Wygląda jak zawsze, taki przystojny!

Patrzyła gdzieś za moimi plecami. Poczułam zimny dreszcz na szyi.

- A Amelia, moja kochana Amelia. - Otarła oczy.

- Czy mogę z nią porozmawiać?

- Mogę spróbować - odparła matka. Wydawała się wyczerpana. - Zostało mi niewiele sił. Amelio? Amelio, kochanie?

Pani Gordon prawie wstała z krzesła, wpatrując się w przestrzeń nad stołem, gdzie skupiony był wzrok mojej matki.

- Jest tutaj. - Matka uniosła powoli rękę w białej, bladej jak księżyc rękawiczce. Rozprostowała łokieć z takim skupieniem i energią, z takim poczuciem celu, że wszystkie zamarłyśmy. Nie mogłyśmy odwrócić wzroku.

Wskazała prosto na mnie.

Spojrzałam na nią przerażona, a ciemne loki opadły mi na skronie.

Pani Gordon pochyliła się nade mną; laudanum, żal i desperacja odebrały jej jasność widzenia.

- Och, Amelio. Moja Amelio.

Wyciągnęła do mnie rękę, ale ja skuliłam się na krześle. Panna Hartington uśmiechała się, jakby wypięła za dużo

dżinu. Ich palce były zgrubiałe i powykrzywiane, chwytały mnie za włosy i zacerowany mankiet fartuszka.

- Nie podoba mi się to - jęknęłam.

Colin wrzucił kolejną garść soli w ogień, który zapłonął tak wysoko i buchnął takim ciepłem, że dziwny zielony blask wypalił kolor z nas wszystkich, aż byliśmy biali jak zwiędły seler. Obie damy prawie nie zwróciły na to uwagi. Nie przedstawiały mnie dotykać, wyglądając przy tym na szczęśliwe i pełne nadziei, nawet kiedy łkały.

Nagle matka przycisnęła wierzch dłoni do czoła i wydała rozdzierające westchnienie.

- Niestety, Amelia nas opuściła - oznajmiła mocnym głosem, który wyraźnie kontrastował z jej przygarbioną postawą.

Pani Gordon zamrugała oczami, patrząc na mnie, potem na nią. Ramiona opadły jej bezwładnie. Diamentowy pierścień na jej palcu uderzył głucho w stół. Wyglądała na starszą niż przedtem.

- Amelio?

- Przykro mi - stwierdziła matka. - Jestem po prostu zbyt zmęczona, by kontynuować. - Zamilkła taktownie. - Może w przyszłym tygodniu?

ROZDZIAŁ 1

OS K

1 8 7 2

Dama nie tańczy więcej niż dwa tańce z tym samym dżentelmenem.

Córka hrabiego ma pierwszeństwo przed żoną najmłodszego syna markiza, ale nie przed żoną najmłodszego syna księcia.

A ja byłam córką medium spirytystycznego z Cheapside.

I rządziła mną prosta zasada: nie daj się złapać.

Wróciłam do zapamiętywania licznych zawiłych i skomplikowanych reguł rządzących brytyjską arystokracją, bo choć były niezwykle zawiłe i nudne, nadal było to lepsze niż rozmawianie z moją matką.

Dama je to, co zostanie jej podane na kolację, bez słowa komentarza.

Zazwyczaj byłam na tyle głodna, żeby zjadać to, co mi podano, bez komentarza, ale jeśli hrabia podałyby gotowany język albo galaretkę z kopyt cielęcych, zamierzałam zawinąć to w serwetkę i schować w najbliższym stojaku na parasolki.

Dobrze wychowana dama zawsze zdejmuje rękawiczki do obiadu, ale nigdy podczas balu. Powinna także podróżować z dwiema parami jedwabnych rękawiczek i jedną giewonką.

Nieistotne, że miałam tylko dwie pary rękawiczek w ogóle; poza tym nie byłam dobrze wychowaną panną. Mogłam na taką wyglądać w moich używanych sukniach z marszczeniami



z jedwabiu i delikatnym haftem - wszystkie te ozdoby wykonałam sama, szyłam, aż palce zaczęły mi krwawić, żeby przygotować się do tej podróży.

Wszystko to były pozory.

Mogły działać całkiem dobrze w naszej londyńskiej ba-wialni przez godzinę lub dwie, ale ta wyprawa to było coś zupełnie innego. Nigdy nie siadałam do stołu z hrabiami, wdowami po księżętach ani nawet z bogatymi handlowcami. Szczerze mówiąc, wolałabym samotny spacer przedmieściami Whitechapel¹. Tam przynajmniej wiedziałabym, czego się spodziewać; wiedziałam, jakie grożą mi niebezpieczeństwa i jak ich unikać.

Zamiast do wiejskiej posiadłości hrabiego mogłam równie dobrze jechać w głąb Indii.

Kiedy pociąg zatrzymał się na następnej stacji, wymknęłam się na peron pod osłonę gwarne go tłumu i hałasu silnika parowego, zanim moja matka zaczęła kolejny wykład na temat królewskiej postawy.

Wiedziałam, że nie powinnam zapuszczać się w tłum bez osoby towarzyszącej, ale potrzebowałam kilku chwil z dala od matki oraz sztywnych i w każdym calu poprawnych arystokratów, z którymi dzieliłyśmy przedział. Oni wiedzieli, że do nich nie należymy. *Ja* wiedziałam także. Tylko moja matka wydawała się zdeterminowana, by to ignorować i prychała pogardliwie oraz narzekała na silne kołysanie pociągu, które tak źle wpływa na jej delikatną kompleksję.

Moja matka była delikatna jak niedźwiedź.

Jako że najprawdopodobniej była to ostatnia chwila dla siebie, jaką będę dysponować aż do późnego wieczoru, kiedy do-trzymemy do posiadłości lorda Jaspera w Hampshire, pospiesznie

¹ **Whitechapel - uboga dzielnica Londynu, zaliczana do jednej z najbardziej niebezpiecznych.**

wysłałam na zewnątrz, wpadając przez przypadek na hrabinę w wielowarstwowej tiurniurze zajmującej tyle miejsca, co trzy osoby. Nie zatrzymałam się nawet, żeby ją przeprosić.

Gdybym została w tym pudle chociaż minutę dłużej, oszalałabym na pewno.

Matka powiedziałaaby, że to strasznie niewdzięczne z mojej strony, ale tak właśnie się czułam. Od wielu godzin była pozbawiona leczniczej szklaneczki sherry i samo to wystarczało, żeby popsuć jej humor, co dopiero mierzące nas wyniosłym wzrokiem wytworne damy.

Nasze miejsca znajdowały się w wagonie pierwszej klasy - było to najbardziej luksusowe miejsce, jakie do tej pory widziałam. Urządzone znacznie lepiej niż nasza bawialnia. Stały tam mahoniowe stoły, na siedzeniach leżały poduszki z niebieskiego jedwabiu, z malowanego sufitu zwisały żyrandole. Ruch pociągu powodował, że dzwoniłam zębami, ale nie dbałam o to. Współczułam jednak Colinowi i Marjorie, którzy podróżowali stłoczeni w ostatnim wagonie, pozbawionym ścian chroniących przed żywiołami i kurzem oraz bez jakichkolwiek miejsc do siedzenia. Przynajmniej nie padało.

Nigdy wcześniej nie jechałam pociągiem w huku kół, kłębach pary przypominających oddech smoka, z migającymi przed oczyma czynszowymi kamienicami Londynu, owcami na polach i zagajnikami dębowymi. Spodobało mi się to - czułam się, jakbym zostawiała swoje dawne życie za sobą.

Gdybyż to jeszcze była prawda.

Przyłączyłam się do wyglądającej na zmęczoną kobiety z pięcioma córkami, ubranymi w brązy, jak pulchne, radosne wróbelki. Powłokłam się za nimi, jakbym była członkiem ich rodziny, szóstą córką w sukni w czarno-białe paski. Nie była to suknia podróżna, bo nigdy nie miałam okazji podróżować, ale była oszalałamiąca i dość dobrze maskowała kurz. Moja przybrana rodzina dała mi schronienia na tyle, że dotarłam

do damskiej toalety, a potem do poczekalni dla kobiet, gdzie serwowano herbatę i supę. Nie miałam pieniędzy na herbatę, ale nie przejmowałam się tym. Nawet nie wiedziałam, na jakiej jesteśmy stacji. Wiedziałam tylko, że nie jestem w naszym wąskim domu niedaleko Wimpole Street, i to mi wystarczało.

Nasz dom o niebo przewyższał standardem nasze poprzednie miejsca zamieszkania, ale ja czułam, że jest skażony. Mogliśmy sobie na niego pozwolić dopiero po tym, jak w zeszłym roku zmarła panna Hartington. Przeżyła panią Gordon, czym zaskoczyła nas wszystkich. Składaliśmy im wizyty raz w miesiącu od lat, umożliwiając rozmowy z jej zmarłym mężem i córką. Wreszcie do nich dołączyła, ale panna Hartington, choć starsza i bardziej zgorzkniała, uparcie żyła dalej. Co jeszcze bardziej zdumiewające, kiedy w końcu zmarła na zapalenie płuc, jej notariusz skontaktował się z nami z ładną i zaskakującą sumką trzystu pięćdziesięciu funtów, które zapisała mnie, nie posiadając dzieci ani żadnych bliskich żyjących krewnych. Matka wykorzystała kwotę co do grosza i wynajęła dla nas dom w odległości spaceru piechotą od bardzo eleganckiego sąsiedztwa.

Teraz, z pomocą niebios, otaczały nas pozory szacowności, a przed matką otworzyły się drzwi w całym Londynie. Kiedy nie była pod wpływem sherry, upajała się sławą.

Tym razem czekał nas najtrudniejszy jak dotąd występ. Lord Jasper nie był zwyczajnym hrabią, był sprytny, uprzejmy i dobrze zorientowany w zagadnieniach spirytystycznych. Ponadto my jechaliśmy do niego, zamiast pracować w komfortowych warunkach naszej specjalnie w tym celu urządzonej bawialni. Czekało nas tyle pułapek, że głowa bolała od samego myślenia.

Tłum na peronie przerzedził się; większość pasażerów wciąż siedziała w poczekalniach nad kolacją. Powietrze było gęste od pary i palącego się węgla, a drewniane znaki skrzypiały

pod wpływem wiatru na żelaznych zawiasach. Minęłam ster-
tę skrzyń, wyższą niż ja i niebezpiecznie chwiejną, wpadając
prosto na trzech chłopców mniej więcej w moim wieku.

Sądząc ze stanu ich surdutów i eleganckich płaszczy, mu-
sieli podróżować drugą klasą. Uśmiechali się w taki sposób,
że w głowie odezwał mi się alarmujący dzwonek, a włosy na
karku stanęły dęba.

Wolałabym zostać przygnieciona przez bagaże.

- Cóż my tu mamy, koledzy?

Odwrociłam wzrok, starając się nie patrzeć im w oczy.
Colin powiedział mi raz, że jeśli spotkam wściekłego psa, nie
powinam patrzeć mu w oczy, bo odbierze to jako wyzwanie.
Mocniej ścisnęłam parasolkę. Była prosta, bez marszczeń
i jedwabnych różyczek, ale wystarczająco szpiczasta.

- Czyżbyś podróżowała sama? - spytał jeden z nich, pa-
trząc na mnie pożądliwie niczym bohater jednej z tanich po-
wieści kryminalnych.

A niech to.

- Odsuńcie się - zażądałam. Gdzie się wszyscy podziali?

- Za to jest opłata, kochanie - nalegał. - Nie wiedziałaś?

Byliśmy dobrze ukryci za bagażami i kłębami pary gęsty-
mijak londyńska mgła. Trzeci chłopak wyglądał na zakłopo-
tanego, jakby chciał powstrzymać swoich towarzyszy, ale nie
wiedział jak. Nie przyniesie mi to dużo pożytku.

- Daj nam buziaka.

Kiedy ich prowodyr wyciągnął rękę w moim kierunku,
dźgnęłam go parasolką. Byłam nawet dumna ze swojego celu.
Powinam była go uderzyć między żebra. Gdybym nie miała
na sobie gorsetu i mogła się porządnie zamachnąć. Nie przy-
wykłam do noszenia gorsetów i do tego, że ograniczają mi
ruchy i utrudniają swobodne oddychanie.

Młody człowiek po prostu złapał koniec mojej parasolki
i przytrzymał go z pogardliwym prychnięciem. Pociągnęłam

za rączkę. On pociągnął mocniej, a ja straciłam równowagę. Zbliżałam się do granicy peronu. Fiszbiny gorsetu kłuły mnie w żebra. Pozostała dwójka roześmiała się.

- To nie było miłe, nie sądzisz? - spytał. Zrezygnowałam z walki i postanowiłam poddać się jego ostatniemu szarpnięciu za parasol. Pod wpływem mojego ciężaru prawie się przewrócił, zaskoczony. Jeden z nich złapał mnie za łokieć.

Otworzyłam usta, chcąc krzyknąć.

Ręka w rękawiczce złapała mnie za brodę i ktoś wepchnął mi palce w usta.

- Nic z tego.

I nagle znów byłam wolna, odrzuciłam do tyłu bez ostrzeżenia.

- Zostaw ją!

Uderzyłam w skrzynie, siniacząc sobie ramiona. Pudło z kapeluszami upadło na ziemię. Odgarnęłam włosy z twarzy i zobaczyłam Colina, który cofał się, żeby zamachnąć się na mojego napastnika.

- Nie! - skoczyłam do przodu, chwytając go za rękę. Pod wpływem jego zamachu poleciałam do przodu, ale przynajmniej zatrzymałam jego pięść, zanim zadała cios. Popatrzyli na siebie złowrogo. Wokół nas pasażerowie zaczęli wracać do swoich wagonów. Colin spojrział na mnie, marszcząc brwi.

- Violet - burknął, podnosząc mnie. - Zwariowałeś?

- A ty? - odcięłam się, kiedy tłum popchnął nas z dala od nich.

- Dałbym radę pokonać tego kapcana - stwierdził, wyraźnie urażony.

- Wiem, ale oni byli bogaci, w każdym razie dość bogaci. Myślisz, że wzruszyliby ramionami, gdyby jednemu z nich złamał nos jakiś sługa z trzeciej klasy? - Nie wątpiłam, że właśnie tak by się to skończyło. Był wyższy i miał szersze bary, a poza tym miał dopiero osiemnaście lat i za sobą życie

na ulicach Londynu, podczas gdy tamci z pewnością nigdy nie zapuścili się dalej na wschód niż do Covent Garden.

- Coś ci zrobili? - Głos miał łagodny, ale oczy czujne.

- Nie. - Pokręciłam głową. - Nic mi nie jest. Dzięki tobie.

- Co u diabła robiłaś sama na peronie? - warknął. - Do tego ubrana jak sakramencka dama. Musisz być ostrożna, księżniczko.

I znów był Colinem, którego znałam.

- To się nie godzi - ciągnął, prowadząc mnie wzdłuż peronu jak nieposłuszne dziecko. Jego irlandzki akcent zawsze robił się mocniejszy, kiedy był czymś zmartwiony. Wyrwałam się z jego uścisku.

- Nie godzi? - powtórzyłam, wskazując głową na moją matkę, która flirtowała z przynajmniej dwoma hrabiami z naszego przedziału i trzema dżentelmenami z wagonu za nami. Jakby wszelkie niegodne zachowania, najakie mnie stać, mogły konkurować z mistrzostwem mojej matki w tej dziedzinie.

Wciąż nie wiedziała, że odkryłam jej prawdziwe nazwisko. Mary Morgan. Mary Morgan była po prostu kolejną biedną dziewczyną, która walczyła o przeżycie i starała się napełnić sobie żołądek, marząc jednocześnie o pięknych sukniach i przejażdżkach powozami. Celeste Willoughby była utalentowaną wdową, zbolełą po tragicznej śmierci męża, który zostawił ją młodą, piękną i z dzieckiem.

Nieważne, że moja matka nigdy nie była mężatką.

Albo że czasami twierdziła, iż mój ojciec był wielkim panem, który uwiódł ją, kiedy była pokojówką w Wiltshire. Nie byłam nawet pewna, czy kiedykolwiek wysunęła nos z Londynu. Z reguły jednak burczała po prostu, że powinnam być wdzięczna, iż w ogóle mnie zatrzymała. Udało mi się to z niej kiedyś wy dostać tylko dlatego, że wypijała zbyt dużo szklaneczek sherry.

Matka myślała, że picie sherry doda jej powagi i wytworności. Jakby to, że eleganckie towarzystwo piło po jednej

szklaneczce, powodowało, że trzy szlanki będą trzy razy bardziej wyszukane.

Pewnie miała rację. Oczywiście nie chodzi o sherry, ale że powinnam być jej wdzięczna. Mogła mnie była zostawić w jakimś strasznym sierocińcu albo wysłać do przytułku; przypominała mi o tym każdego tygodnia. Byłam dość ładna, żeby jej się teraz przydać; mimo wszystko ładne dziewczęta mogą dobrze wyjść za mąż niezależnie od stanu. Co ważniejsze, nie byłam tak piękna, żeby odciągnąć uwagę od niej. Moje miejsce było w jej cieniu.

Jeśli było coś, czego pragnęła nawet bardziej niż drogich trunków, to być na ustach towarzystwa z wyższych sfer, być zapraszaną na wystawne przyjęcia i weekendy na wsi. A Mary, ze swoim akcentem zdradzającym niskie pochodzenie i z wątpliwą przeszłością, nigdy nie mogłaby tego osiągnąć, niezależnie od swoich fizycznych atrybutów.

Pani Celeste Willoughby jednakże mogła.

Colin westchnął.

- Lepiej już idź. Ja powinienem sprawdzić, jak sobie radzi Marjorie.

Matce spodobał się pomysł przybycia z naszą własną pokojówką, chociaż Marjorie służyła właściwie jako pomoc do wszystkiego i była prostą służącą. Matka wydostała Marjorie z burdelu zaraz po tym, kiedy przeprowadziliśmy się do naszego nowego domu.

W chwilach, kiedy byłam mniej wyrozumiała, zastanawiałam się, czy nie ocaliła Marjorie i Colina po to, żeby służyli jej z bezwzględną lojalnością i nigdy nie prosili o zapłatę.

Colin w razie potrzeby odgrywał lokaja, służącego, kiedy trzeba było nosić ciężary, ochroniarza mojej matki, kiedy mogłoby jej to dodać tajemniczości. Matka lubiła opowiadać ludziom, że duchy opiekuńcze ostrzegły ją, żeby zadbała o swoją ochronę, tak wielką odpowiedzialność stanowiły jej dary.

Nie wierzyłam w duchy opiekuńcze. W żadne duchy.

Colin i ja przewróciliśmy z rozpaczą oczami, po czym ja wróciłam na swoje miejsce u boku matki. Jej ciemne włosy były zwinięte pod czarnym kapelusikiem z koronkową wólką, ostrożnie przypiętą do tyłu, żeby nie zasłaniała twarzy. Trzeba jej przyznać, że była niezwykle piękna; problem w tym, że o tym wiedziała.

- Ma... - urwałam. Nie znosiła, kiedy nazywałam ją matką w obecności przystojnych mężczyzn. Była potem długo porzytywana i skwaszona. Przełknęłam ślinę, starając się nie dostrzegać, że stoi stanowczo zbyt blisko mężczyzny z imponującymi bokobrodami i zgrabnym wąsikiem.

- Violet, podejdź tu - rozkazała niezadowolona. - Gdzieś ty się podziewała? - Udzielała mi reprimendy tylko ze względu na obecność innych. Dobrze wiedziałam, że jeszcze nie do końca zdała sobie sprawę, że mnie nie było. - Do środka, już, i ani słowa więcej. - Co oznaczało, iż bała się, że ją zdradzę.

Nie wydałam jej przez ostatnie siedem lat, od tamtej pierwszej wizyty u pani Gordon ani na żadnym z następnych seansów, które odprawialiśmy. Nie wiedziałam, czemu myśli, że mogłabym to zrobić w jakimś pociągu bez żadnego spirytysty w promieniu wielu kilometrów. Usiadłam na swoim miejscu, kiedy dosięgnął mnie jej dźwięczny śmiech, jak uderzające o siebie kieliszki do szampana. Nawet jedna z surowych matron w naszym przedziale uniosła głowę, przez chwilę zuroczona. Szybko jednak przybrała minę niczym chmura burzowa, kiedy dostrzegła moją piękną matkę o talii osy wchodzącą zrzęcznie po schodach.

Matka opadła z gracją na siedzenie.

- Powinnam była wziąć własną poduszkę - powiedziała, odrobinę za głośno. - Wolę nie wiedzieć, kto używał tej przede mną.

Tak naprawdę niebieski jedwab bardzo jej się spodobał i chętnie schowałaaby poduszkę pod krynoliną, żeby zatrzymać ją, kiedy tylko nadarzy się okazja. Gwizdek ostrzegawczy przeszył powietrze pełne pary i pociąg z szarpnięciem ruszył do przodu, powodując, że pochyliłyśmy się na siedzeniach. Zostawiliśmy za sobą stację i czerwone dachy miasteczka, po raz kolejny zanurzając się w wiejską zieleń. Zachodzące słońce odbiło się w zakręcającym strumyku. W ruchu pociągu było coś usypiającego, kiedy się do niego przyzwyczaić.

Oparłam skroń o okno, rada, że mogę odnajdować kształty w chmurach koloru lila i wpatrywać się w gwiazdy, kiedy zrobiło się tak ciemno, że nie było widać nic poza nimi. Rzadko widywaliśmy gwiazdy w Londynie z powodu smogu. Ledwie dostrzegliśmy samo niebo.

W miarę jak zbliżaliśmy się do miasta, szyba stała się *dziwnie* zamglona, a potem nagle pokryta szronem.

Był prawie koniec lata - zbyt ciepło na jakikolwiek szron.

Rozejrzałam się dokoła, ale nikt nie wydawał się zauważyć niczego niezwykłego. Matka odpoczywała z zamkniętymi oczami, żeby nie mieć ze zmęczenia zmarszczek na twarzy. Większość mężczyzn czytała gazety, jeden głośno chrapał. Dwie damy pochylały się nad obręczami do haftowania. Pozostali zdawali się drzemać.

Szron rozprzestrzeniał się powoli, grubą warstwą. Światło lamp sprawiało, że wyglądał jak koronka, ale palił przy dotyku. Odsunęłam palce, prostując się gwałtownie, a serce zabiło mi mocniej pod usztywnionym gorsetem. Za cienką warstwą lodu, tam gdzie szyba jeszcze była szybą, wznosiły się wzgórza i wioski, które powinny być ciemne, łagodnie świeciły. I nie było to światło pochodni ani świec w oknach chat. Jeszcze nie byliśmy w pobliżu miasta, wszędzie wokół były pola i dębowe zagajniki. W innym wypadku mogłabym uznać je za setki świec, chociaż migotały słabym niebieskim światłem, zimnym i upiornym.

Pociąg wpadł w całą ich chmarę; wyglądały jak ogromne świetliki, ale żaden z pasażerów tego nie zauważył. Ja jako jedyna wpatrywałam się w okno. Czytałam wcześniej o ognikach, ale uważałam je za głupi przesąd. Stare ludowe wierzenie. Nie za przerażające, nieziemskie światła, które padały mi na twarz i sprawiały, że czułam się zmęczona, chora i rozedrgana, jakbym była po szyję w zaspie śnieżnej. Teraz zrozumiałam ostrzeżenie, żeby nie iść za ognikami i wbijać wzrok w ziemię podczas nocnego marszu.

Zdawało mi się, że widzę błyski białych twarzy, białych dłoni, białych zębów.

I nagle, tuż obok, po drugiej stronie okna, pojawiła się inna twarz.

Długie, przejrzyste włosy pływały, jakby dziewczyna była pod wodą. W nieruchomym powietrzu unosił się słodki zapach, jakby więdnących w zielonej wodzie lilii. Dryfowała, jakby padało, unosiła się w powietrzu, jakby była pyłkiem dmuchawca. Miała na sobie białą suknię z falbanami.

Napotkałam jej wzrok; oczy miała zimne jak światło gwiazd. Odskokczyłam z okrzykiem.

Matka otworzyła jedno oko.

- Violet, doprawdy.

Dziewczyna zbladła, rozplynęła się jak mgła pod wpływem słonecznego światła.

Ogniki zamigotały i zgasły.

ROZDZIAŁ 2

Było już po kolacji, zanim wsiadłyśmy do powozu lorda Jaspera, który przysłał po nas w swojej uprzejmości; w przeciwnym wypadku musielibyśmy wcisnąć się do publicznej dorożki obok spoconego mężczyzny pachnącego szynką. Powóz lorda Jaspera miał siedzenia powleczone pluszowymi aksamitnymi poduszkami i był z błyszczącego lakierowanego drewna. Nawet okna miały małe zasłonki. Siedzieliśmy w milczeniu, kiedy powóz potoczył się wzdłuż wąskich uliczek na otwarte łąki. Otoczyły nas wzgórza, wzdłuż drogi rosły kwiaty polne i splecione krzaki jeżyn. Zastanawiałam się, czy w tych stronach wciąż grasują rozbójnicy i czy jeden z nich, z twarzą zakrytą czarną maską, nas zatrzyma. Zażąda od nas kosztowności, ale jedno spojrzenie na moją matkę wystarczy, by się w niej zakochał i uwiózł ją na swoim koniu.

Albo i nie.

Koła powozu zaterkotały na pokrytej wybojami drodze. Po tyłu godzinach jazdy moje pośladki zaczynały drętwieć, a ja marzyłam o świeżym powietrzu i słońcu. Zazdrościłam Colinowi, który siedział na górze obok woźnicy i czuł na twarzy ciepły letni wiatr. Miałam ochotę poczytać jedną z moich powieści, ale czytanie w jadącym pojeździe zawsze wywoływało u mnie mdłości.

Oczywiście nigdy wcześniej nie byłam w wiejskiej posiadłości lorda, podobnie jak nigdy przedtem nie podróżowałam pociągiem. Wyobrażałam sobie rozległe ogrody,

ogromne róże i gęste, ciemne lasy. Wreszcie droga zakreśliła lekko i ukazał nam się pierwszy widok na Rosefield, wiejską posiadłość lorda Jaspera. Otoczona była palisadą z czerwonych i białych róż rozsiewających płatki na trawniki, oświetlona pochodniami w ogrodach, wzdłuż drogi i alejek. Samo domostwo było koloru bladoszarego z wieżami, wieżyczkami i mniejszą, nieco odsuniętą częścią, wyraźnie pochodzącą z czasów królowej Elżbiety.

Matka obserwowała otoczenie i wyglądała na wyraźnie zadowoloną. Już wyobrażała sobie siebie jako panią posiadłości. Lord Jasper był co prawda *wdowcem*, ale nie wykazywał żadnej szczególnej sympatii ani zamiarów matrymonialnych wobec niej, co stanowiło dla niej źródło zdumienia i frustracji. Zdawał się za to naprawdę podziwiać jej talent. Było mi smutno, kiedy o tym myślałam.

Zwróciłam uwagę na wysokiego, przystojnego lokaja, który czekał cierpliwie, aż podam mu dłoń i opuszczę pluszowe wnętrze powozu. Colin spojrzał na mnie ostro. Dobrze wiedziałam, że wspomina zeszłe lato, kiedy wysiadłam niezgrabnie z wynajętej dorożki i dość spektakularnie upadłam w kałużę błota. Podjazd w Rosefield był suchy i nieskalanie czysty. Żaden deszcz nie ośmieliłby się spaść pierwszego dnia tej letniej fety.

Ochmistrzyni Rosefield, pani Harris, była posępną kobietą, wysoką i chudą jak słup od latarni. Siwe włosy co do jednego bezlitośnie odgarnęła z twarzy. Nawet najbardziej uroczy uśmiech mojej matki spowodował tylko zmarszczenie oczu.

- Pani Willoughby - przedstawiła się moja matka, głosem jak ze stali, - Moja córka, panna Violet Willoughby.

Ochmistrzyni przyjęła prezentację równie niewzruszenie.

- Witam panią. Jestem ochmistrzynią, pani Harris. Tędy proszę.

Poprowadziła nas obok błyszczących stołów zastawionych kryształowymi wazonami pełnymi róż i w górę po wyłożonych dywanem schodach. Pokojówki biegały w tę i z powrotem korytarzem, wzdłuż którego położone były sale wypełnione rozmawiającymi gośćmi. Pani Harris przekroczyła jedno z otwartych drzwi i zatrzymała się, czekając, aż dołączymy.

- Lord Jasper wybrał ten apartament specjalnie dla pani, pani Willoughby, i dla pani córki.

Salon był cały w bladuróżowych jedwabiach i aksamitach, z pluszowymi krzesłami i adamszkowymi zasłonami. Drzwi po lewej prowadziły do sypialni, także w różu i w kolorze kremowym, z kwiatami na każdej możliwej powierzchni. Druga sypialnia była trochę mniejsza, ze ścianami wytapetowanymi zielonym jedwabiem. Moje walizki już stały przy szafie. Sypialnia była trzy razy większa od mojego pokoju w domu, z obrazami na ścianach, puszystym dywanem i moim własnym mahoniowym biurkiem.

- Jest piękna - wyszeptałam, podekscytowana. Nie byłam pewna, ale zdawało mi się, że pani Harris próbuje się uśmiechnąć.

- Uroczo - zgodziła się moja matka z bawialni. - Chyba wystarczy.

Prawie się roześmiałam. Piętro naszego domu, gdzie mieściły się pokoje członków rodziny i nie wchodzili goście, było zdecydowanie ciasne. Zachowaliśmy najlepsze pokoje na bawialnię i jadalnię, które ostatecznie prezentowały się całkiem nieźle.

- W ogrodzie zostanie podany podwieczorek - poinformowała pani Harris. - Po schodach w dół i na lewo, obok oranżerii. - I odeszła, stukając trzewikami przez cały korytarz.

Matka przytuliła mnie krótko. Pachniała lawendą i sherry.

- Jeśli dobrze to rozegramy, moja droga, ten tydzień odmieni nasze życie.

Wiedziałam, co kryje się za jej postawą, zadowoloną jak u kota ulicznego, który dostał miskę śmietany Uśmiechnęłam się słabo i poszłam do pokoju, żeby przebrać się w mniej wygniecioną suknię.

Ogrody były nieskazitelnie utrzymane, kamienne płyty dokładnie zamiecione, a kwiaty w donicach równo poprzycinane. Kobiety miały jedwabne suknie i perłowe broszki, asystowali im mężczyźni w ciemnych garniturach. Herbatę podano w chińskiej porcelanie. Na stołach paliły się oliwne lampki, a przy trawnikach było jeszcze więcej pochodni. Wyglądało to jak czarodziejski ogród, a ja jak dziecko podzuczone przez wróżki. Starłam się nie wyglądać na tak zde nerwowaną, jak się czułam.

Matka uszczypnęła mnie mocno.

Wyrwana z zamyślenia dygnęłam przed gośćmi, których nam właśnie przedstawiono. Nie uważałam i nie miałam pojęcia, kim są. Matka skromnie popijała herbatę, odmówiwszy wcześniej wina i szampana. Ja pożerałam wzrokiem ciastka z kremową polewą i małe kanapki przełożone szynką lub ogórkami, leżące obok misek z rzeżuchą.

- Raz wepchnęłam sobie do ust pięć tych małych jajeczek na raz - oznajmił ktoś z dumą po mojej prawej stronie.

Roześmiałam się i odwróciłam, by uściskać Elizabeth, nie zważając na pełne nagany spojrzenia naszych matek. Powinnyśmy były podać sobie dłonie albo dygnąć, być ciche i uprzejme, ale ja czułam się osamotniona i zagubiona w morzu głupich ludzi bez Elizabeth. Spotkałyśmy się ledwie parę razy na różnych seansach i spotkaniach spirytystycznych, ale wymieniliśmy również dziesiątki listów. Była chrześniaczką lorda Jaspera i najzabawniejszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałam, a ponadto moją jedyną prawdziwą przyjaciółką, jako że nie miałam zbyt wielu okazji do spotykania dziewcząt

w moim wieku. Nigdy nie zostałam wysłana do szkoły, gdzie dziewczęta szybko nawiązywały przyjaźnie i uczyły się, jak podawać herbatę. Nie chciałam nawet myśleć o tym, jak samotna byłabym bez Elizabeth. Nawet jeśli również jej nie mogłam zdradzić naszych sekretów.

Elizabeth wciąż szczerzyła się do mnie znad kanapek z jajkami. Jej pulchne ciało było ściśnięte przez pokojówkę jej matki w gorset z żelaznymi usztywnieniami. Była ładna, wyglądała zdrowo i radośnie.

- Zjedz trochę rzeżuchy - powiedziała. - Jest przepyszna.

Wiedziałam, jak w Londynie hoduje się rzeżuchę, w odnodze ścieków w Camden Place.

- Nie, dziękuję.

- Jak wolisz. Nie wytrzymam ani chwili dłużej. - Schwyciła mnie gwałtownie za rękę i pociągnęła w kierunku domu.

- Nie wiem, co bym zrobiła, gdybyś postanowiła odpocząć. Już robię się sina.

- Dokąd idziemy? - spytałam, kiedy ciągnęła mnie przez liczne salony i wzdłuż długiego korytarza. Spędziła tu dość wakacji, żeby dokładnie wiedzieć, dokąd zmierza, ale zatrzymała się tak nagle, że wpadłam na nią. Stęknęła i wpadłyśmy do małego pokoju z ogromnym biurkiem pośrodku i książkami wzdłuż ścian. To był jedyny pokój, który nie pachniał różami. Czuć tu było atrament i brandy.

- Och, Lizzie! - wykrzyknęłam, upajając się widokiem książek.

- Tak, tak, książki - odparła, raczej znudzona. - Powinnaś zobaczyć bibliotekę. Ale kogo to obchodzi? Pomóż mi! - Obróciła się, wskazując dramatycznie na tył swojego gorsetu. - Czuję się jak cholerna kiełbaska śniadaniowa - narzekała. - Rozwiąż mnie, dobrze?

Wiedziałam, co robić. To nie był pierwszy raz, kiedy znalazłyśmy się w tej sytuacji - właściwie to kiedy pierwszy raz

CÓRKA MEDIUM

poznałam Elizabeth na podwieczorku i tańcach, osaczyła mnie pod cienistą, dekoracyjną palmą i zaczęła błagać, bym uwolniła ją od „krępujących ją łańcuchów”. *Cytuję* jej słowa. Zabrało mi chwilę, zanim zrozumiałam, o co dokładnie mnie prosiła.

- Vi, przestań bujać w obłokach! Nie mogę oddychać. Wstępuję do Stowarzyszenia Rozsądnych Sukien zaraz po powrocie do Londynu i mam zamiar zostawiać ich ulotki pod poduszką mojej matki i upchnięte w jej gorsecie.

- Deklarowała dokładnie to samo w każdym ze swoich listów, mimo albo może z powodu żywiołowych protestów *swojej* matki. Lady Ashford była drobna, ledwo sięgała mi do ramienia i wciąż miała dziewczęcą figurę. Nie potrafiła zrozumieć, jak jej córka może być pulchna niczym cynamonowa bułeczka.

- Vi!

- Przepraszam. - Rzuciłam się poluzowywać jej gorset, co wymagało dość nieeleganckiej pozycji: Elizabeth opierała się o krzesło, zadarłszy spódnice na głowę, a ja przedzierałam się przez warstwy koronki i halek, szukając drogi do gorsetu. Zrzuciłabym swój własny gorset, gdybym miała na to odwagę.

- Przestań się wiercić - wymamrotałam, wypluwając jedwabną wstążkę z ust.

- No to się pospiesz - odparła stłumionym głosem.
- Znalazłaś?

- Prawie - odgarnęłam na bok więcej materiału. - Twoja halka waży chyba z tonę!

- Wiem! - Znów poruszyła biodrami.

- Ekhm.

Zamarłyśmy, słysząc rozbawiony kaszel.

- **Violet?** - syknęła Elizabeth z pupą wciąż wypiętą do góry jak słonecznik do słońca. - Vi, czy to ty?

Przełknęłam ślinę, próbując zdusić narastający w gardle chichot.

- Co wy dwie wyprawiacie? - spytał, przeciągając, Fryderyk.

Elizabeth podskoczyła, jakby właśnie kopnął ją prąd. Nastąpiła szamotanina, w trakcie której moje włosy zaplątały się w jeden z pierścieni gorsetu. Nagle moja twarz została przyciśnięta do jej pośladków. Elizabeth pisnęła, pociągnęła, prawie wyrывая mi włosy z głowy. Pociągnęła mocniej. Ja zapiszczałam i obie wylądowałyśmy na podłodze w płątanie koronek i wstążek.

- Cholera! - wrzasnęła Elizabeth.

- Co za wyrażenia u debiutantki - wyszeptał Fryderyk.

Twarcz Elizabeth była czerwona, kiedy wreszcie udało mi się wyswobodzić i podniosłyśmy się z podłogi, na której leżałyśmy rozpostarte na dywanie.

- Jeszcze nie jestem debiutantką - odburknęła.

- Już wiem dlaczego.

Przygryzła wargę. Miała słabość do Fryderyka już od ponad dwóch lat; wyobrażała sobie, jak całuje ją w rękę i wyznaje miłość, podczas gdy w rzeczywistości on wciąż uważał ją za dziecko. Jego ojciec chodził do szkoły z lordem Jasperem; Fryderyk został posłany do tej samej szkoły, wobec czego

patrzył na nas z wyższością. Teraz przyjechał tu na tydzień na cokwartalną przepustkę. Nie podobała mi się myśl, że przez niego Elizabeth miałaby cierpieć choćby przez chwilę.

- Jeśli musisz wiedzieć, naprawiałyśmy rozdarcie w jej sukni. - Nauczyłam się, że ostry ton i ani śladu akcentu zdradzającego pochodzenie sprawiały, że większość ludzi mnie słucha. Ćwiczyłam dykcję i wymowę codziennie godzinami, jednocześnie z tym, jak wyciągać portfele z kieszeni i płucać herbatę, żeby można było ją zaparzyć drugi raz. - Poza tym dżentelmen nie śmieje się z damy. A ty mógłbyś pomóc jej wstać.

Skłonił się.

- Proszę o wybaczenie. - Podał Elizabeth rękę, żeby pomóc jej się podnieść. Zamrugała rzęsami, ale on odezwał się i zepsuł tę chwilę. - Do góry, Beth, staruszko - powiedział przyjaźnie, podnosząc ją. - Uff.

Zarumieniła się i spojrzała na swoje pulchne ciało. Omal nie zauważyła, jak mrugnął do niej, zanim odwrócił się i odszedł, śmiejąc się pod nosem. Stanęłam na nogi, nie czekając na pomoc. Odliczałam w myślach, czekając na reakcję: raz... dwa... trzy...

- Och, Violet - westchnęła jak na zawołanie Elizabeth rozmarzonym głosem.

- Och, Lizzie - przedrzeźniłam ją, uśmiechając się, by wiedziała, że tylko się drażnię.

- Czyż on nie jest boski? Piękny?

- Mam wrażenie, że on nie zgodziłby się z tym ostatnim. - I z tym pierwszym też niezupełnie.

- Dobrze, dobrze. - Machnęła ręką. - A więc przystojny. Myślisz, że mnie zauważył?

- Leżałyśmy u jego stóp, machając nogami w koronkach. Musiałby być nieprzytomny, żeby nas nie zauważyć.

Zmarszczyła nos.

- Chodziło mi o to, czy zauważył, że już wkrótce będę gotowa do zamążpójścia.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Nie chciałam jej zranić, ale nie byłam pewna, czy Fryderyk dostrzeże cokolwiek poza kartami i portem. Miał w końcu dwadzieścia lat i był dość bogaty. Zachowywał się dokładnie tak, jak tego od niego oczekiwano.

Elizabeth była czerwona na twarzy.

- Powinnyśmy wracać, zanim matka zacznie się zastanawiać, gdzie zniknęłyśmy. Boże broń, żebyśmy zaszyły się gdzieś i świetnie się bawiły!

Udałam, że nie widzę, jak podnosi chusteczkę, która wypadła z kurtki Fryderyka, i chowa ją do jednej z kieszeni sukni.

W środku nocy obudziło mnie pukanie do drzwi.

Wstałam chwiejnie i prawie potknęłam się o rąbek mojej nocnej koszuli. Kiedy otworzyłam drzwi, za progiem stał Colin. Uniósł brew z niecierpliwością.

- Jeszcze nie jesteś gotowa?

Wymamrotałam coś niewyraźnie, ziewając szeroko, i odwróciłam się, żeby sięgnąć po suknię. Nawet nie patrząc na niego, wiedziałam, że uśmiecha się złośliwie. Zawsze tak na mnie patrzył, od kiedy zmieniliśmy adres na lepszy, a ja dostałam suknie *odpowiednie* dla młodej damy.

Wsunęłam pantofle na nogi, a Colin podał mi przykryty serwetką koszyk z niezbędnymi rzeczami. Przekradliśmy się korytarzem tak cicho, jak to możliwe. Stojący zegar cykał głośno jak ogromny owad w lesie w środku lata. Było tak późno, że nawet księżyc widoczny z okna wyglądał na blade i zmęczony. Wszyscy spali, a zwłaszcza moja matka, która stwierdziła, że musi dobrze wyglądać na jutrzejszy wieczór. Nie miało dla niej znaczenia, czy ja nie będę się słać z wyczerpania, nie obchodziło to także Colina.

- Trzymaj się brzegu - doradził mi Colin, kiedy schodziliśmy po schodach. - Wtedy stopnie nie będą skrzypieć.

Nie spytałam go, skąd to wie. Pragnęłam tylko jak najszybciej się uwinąć i wrócić do ciepłego łóżka. Gdybyśmy zostali złapani, nie da się już uratować sytuacji. Z tego powodu byłam tak zdenerwowana, że zrobiło mi się niedobrze. Nie wspominając o tym, iż Rosefield było tak ogromne, że mogliśmy błąkać się po nim przez resztę nocy i nigdy nie znaleźć właściwego salonu.

- Wiesz, że w końcu przyjechał twój książę?

- On nie jest moim księciem - odcięłam się. Nie wiedziałam dlaczego, ale Colinowi zawsze udawało się doprowadzić mnie do wybuchu. Przynajmniej nie podrzucał mi kretów do łóżka, jak kiedy byliśmy młodszy. Przestał to robić, gdy pewnego ranka obudził się z pszczołą ułożoną perfekcyjnie na środku twarzy. Gdyby tylko było to tak proste powstrzymać go od czynienia złośliwych uwag na temat Xaviera Tretheweya. Colin nie znosił go chyba tylko z tego powodu, że lubił robić wszystkim na przekór.

Zresztą w Xawierze nie było nic obraźliwego. Był miły, dobrze wychowany i przystojny. A jego ojciec był kupcem, co miało znaczenie dla arystokracji, ale ani trochę dla mojej matki, ponieważ był także bogaty. Byliśmy ostatnimi ludźmi na ziemi, którzy patrzyliby na kogoś z góry z powodu jego pozycji. Xavier skomplementował mnie kilka razy i szukał mojego towarzystwa wystarczająco często, by matka zaczęła przybierać zadowolony wyraz twarzy, kiedy o nim wspomiano.

Co nigdy nie zwiastowało nic dobrego.

Marszczyłam brwi tak mocno, że prawie wpadłam na protkę w doniczce.

- Uważaj, księżniczko.

Uszczypnęłam Colina, ale był zdecydowanie poza zasięgiem. Jego oczy błysnęły porozumiewawczo. Otworzył usta,

żeby po raz kolejny zażartować, ale prędko zamknął je z powrotem. Spojrzałam na niego zdumiona. Złapał mnie za łokieć i bezceremonialnie wepchnął w miniaturową dzunglę fikusów i paproci obok schodów. Przywarł do mnie swoim ciałem. Pił miętową herbatę, czułam to w jego oddechu.

- Co ty... - Ręką zakrył mi usta. Spojrzałam na niego zło-wrogo i zastanawiałam się, czy nie ugryźć go w kciuk.

- Ciiii - wyszeptał bardzo cicho, tak blisko, że jego usta musnęły moje ucho. Powstrzymałam dreszcz.

I nagle usłyszałam kroki. Zamarłam. Colin pokiwał po-nuro głową. Nie mogliśmy zostać złapani. Reputacja mojej matki albo moja zostałyby zrujnowana. A oboje wiedzieli-śmy, że poświęci moją bez zastanowienia, jeśli oznaczałoby to, że nadal będzie mogła przyjmować zaproszenia do let-nich rezydencji. Wstrzymałam oddech. Czułam obecność Colina, ciepło jego skóry przez cienką koszulę i moją suk-nię. W naszym małym kąciку nagle zrobiło się bardzo gorą-co, jakbyśmy naprawdę znaleźli się w dzungli pełnej orchidei i tygrysów. Musiałam wypuścić powietrze i z jakiegoś po-wodu zadrżałam.

Korytarzem nadszedł mężczyzna, którego nie rozpo-znałam. Był bardzo wysoki i chudy, z cieniami pod oczy-ma. Wyglądał na zrozpaczonego i mamrotał coś pod nosem. W jego lewej ręce dyndała butelka brandy, krople kapały na dywan, jakby zapomniał, że ją trzyma.

- Proszę - odezwał się na głos błagalnie. Nigdy wcześniej nie widziałam tak bezbrzeżnej rozpaczy. Uważałam, że to sprawa prywatna, mimo tego, czym sami się zajmowaliśmy. Po pewnym czasie łatwo było już odróżnić ludzi, którzy dra-matyzowali i szukali uwagi, od tych złamanych wewnątrznie.

Ten młody mężczyzna, niewiele starszy od Colina, był bez-wątpienia załamany. Minał nas bez jednego spojrzenia i po-tykając się, ruszył po schodach.

Odczekaliśmy chwilę, zanim pospieszyliśmy w kierunku salonu i wpadliśmy do środka.

- Wiesz, kto to był? - wyszeptałam, wyjmując papierowy pakunek z koszyka. Nie było wielu przygotowań do jutrzejszego wieczoru, ale potrzebowaliśmy dokładnie obejrzeć pokój przed głównym seansem pod koniec tego tygodnia.

- Nie - odparł Colin. - Pewnie któryś z gości. Służący nie brałby sobie butelki brandy.

- Ciekawe, co mu się stało.

Colin tylko wzruszył ramionami.

- Powinniśmy się pospieszyć, gdyby miał znów zejść na dół.

Miał rację. Wyjęłam spinki z włosów, po czym złożyłam papier i wsunęłam go pod jedną z nóg dużego okrągłego stołu stojącego w rogu. Dzięki koronkowemu obrusowi przykrywającemu mahoniowe drewno nogi były prawie niewidoczne dla oka. Prawdopodobnie nikt tego nie zauważy, a my usunemy go po zakończeniu seansu.

- Tu jest dywan - powiedziałam, wyczołgując się spod stołu. - To też ułatwi nam zadanie.

- Dobrze. - Okrążył salon, zaglądając za kwiaty, kredensy i obrazy. Uniósł poduszkę z krzesła. - To - powiedział - może być dobre, jeśli będziemy musieli coś schować. Ale nie jutro.

Obróciłam się na pięcie.

- Nie ma gdzie schować miecha.

Zmarszczył brwi i też się obrócił.

- To będzie problem.

Zmarszczyłam nos.

- Ona coś wymyśli.

- Zawsze ma jakiś pomysł - zgodził się.

Rozejrzeliśmy się jeszcze przez chwilę, zapamiętując rozkład, wnęki i szczeliny stworzone przez meble. Moda na długie obrusy i chwosty przy każdym krześle i stole była nam

na rękę. Pomyślałam o miłej twarzy lorda Jaspera siedzącego przy mojej matce, kiedy drżała i wypowiadała dramatyczne komunikaty.

Colin zerknął na mnie.

- W porządku?

- Chyba tak. W każdym razie dziś nie możemy chyba zrobić nic więcej.

- Głowa do góry, Violet - prychnął. - Może twój książę zabierze cię z dala od tego wszystkiego.

- Panno Willoughby - Marjorie otworzyła drzwi. Jej blond włosy związane były w nienaganny kok pod białym czepkiem. Uśmiechała się porozumiewawczo. - Pan Trethewey czeka na panią w salonie.

Było dość wcześnie na wizytę, zwłaszcza dla kogoś takiego jak Xavier. Tacy jak on spali raczej do południa, bo byli na nogach aż do świtu, tańcząc w udekorowanych kwiatami salach balowych. Ja spałam do południa, bo do późnych godzin czytałam powieści przy świecy. Był to zwyczaj, którego nikt nie był w stanie mnie oduczyć, nawet moja matka.

Pozwoliłam Marjorie ubrać mnie w gorset, zostawiając go luźniej, niż lubiła matka. Ona wiązała swój tak ciasno, że zastanawiałam się, jak może jeść, a co dopiero oddychać.

- Pewnie matka powiedziała mu już, że zaraz zejdę na dół? - Wcisnęłam zwisający kawałek koronki pod koszulę. Będę musiała to zaszyć.

- Tak, panienko. I kazała przynieść herbatę i dzbanek czekolady. Chce, żeby się panienka pospieszyła. - Marjorie pomogła mi zapiąć guziki. Nie była to moja najelegantsza suknia, ale każdy, kto domagał się spotkania ze mną o nieludzkiej dziewiątej rano, będzie musiał się z tym pogodzić.

- Dziękuję, Marjorie. - Uśmiechnęłam się do niej. - Dalej już sobie poradzę.

Złożyła szybki ukłon i pobiegła do reszty obowiązków.

Nie miałam czasu uczesać włosów, więc związałam je tylko w ogon i upięłam z tyłu głowy przy pomocy garści spinek. Tłumiąc ziewanie, zbiegałam w dół po schodach, kiedy omal nie wpadłam na służącą z naręczem czystej bielizny.

- Przepraszam! - wymamrotałam ze spinką w ustach, usiłując w biegu wpiąć ją we włosy.

Zignorowała mnie. Zeszłam jej z drogi i patrzyłam, jak idzie dalej aż na podest. Nawet nie zerknęła w moją stronę.

Dopiero wtedy dostrzegłam, że rąbek jej sukni jest przezroczysty, a jej fartuszek i blada skóra świecą białą poświatą. Zadrżałam pod wpływem gwałtownego podmuchu zimna.

Naprawdę nie powinnam tak wcześnie wstawać. To najwyraźniej mi szkodzi.

Wciąż stałam z otwartymi ustami, kiedy przez balustradę, z głównego holu wyłożonego czarno-białym marmurem, zawołał do mnie Colin.

- Co ty robisz?

- Co? - Zamrugałam, zmuszając się do zamknięcia ust.

- Czy twój książę nie wie jeszcze, że nie jesteś rannym ptaszkiem?

- Oj, bądź cicho.

- I w tym mu się pokażesz?

Zagapiłam się na niego.

- Nie zaczynaj - wymamrotałam, wracając do siebie. Złośliwe uwagi Colina to najlepszy sposób, żeby wrócić do rzeczywistości. - Ta suknia nie jest taka stara.

- Nie zapomniałaś o czymś?

- O czym?

- O butach.

Spojrzałam w dół na swoje nagie stopy. Zapomniałam nawet o pończochach. Gdybym była córką księcia, byłoby to szokujące. Ponieważ byłam to tylko ja, a w dodatku było

wcześniej rano, zbyt mi to nie zaskoczyło. Nie żebym choć przez moment myślała, że Xavier spojrzy na to w ten sposób. Wydałam z siebie jęk frustracji, okręciłam się na pięcie i popędziłam z powrotem do sypialni, przez całą drogę słysząc za plecami śmiech Colina.

Zanim dotarłam do drzwi do bawialni, w butach na stopach, byłam na tyle obudzona, żeby zauważyć, iż moje włosy znów wysuwają się ze spinek. Upięłam je ponownie, przeczesując palcami głowę, aż każdy lok był dobrze zabezpieczony.

Xavier wstał, kiedy weszłam.

- Panno Willoughby, proszę wybaczyć tak wczesne najście.

- Ależ skąd - odparła matka, zanim zdążyłam coś powiedzieć. Ona również wstała, a jej oczy błyszczały surowo. Zerknęłam do jej filiżanki, zastanawiając się, czy jest w niej ciepła herbata, czy sherry. - Proszę mi wybaczyć - dodała.

Wyszła z pokoju, zostawiając otwarte drzwi. Teoretycznie powinniśmy mieć przyzwoitkę, nawet podczas porannej wizyty przy herbacie, ale matka miała nadzieję, że Xavier mi się oświadczy. Posunęłaby się nawet do niezbyt subtelnego pokierowania nami zgodnie ze swoim życzeniem. Poza tym wydawało mi się, że nie było to kompletnie nieprzyzwoite przy otwartych drzwiach i z kręcącymi się tam i z powrotem służącymi. Widziałam, jak dużo wyżej stojące matrony robiły znacznie gorsze rzeczy, żeby zdobyć męża dla swoich córek. Pewna siwowłosa babka podstawiła raz nogę odpowiedniemu kandydatowi, kiedy zmierzał do stołu do gry, tak by upadł prosto pod odziane w satynowe buciki nogi jej wnuczki.

- Panno Willoughby?

Zwróciłam uwagę z powrotem na Xaviera. Jego brązowe oczy były gorące i całkowicie skupione na mojej twarzy.

- Przepraszam. Tak?

- Czy dobrze się pani czuje?

- Oczywiście. - Powstrzymałam rumieniec. Czyżbym patrzyła nieprzytomnie na okropną tapetę w stulistne róże?

- Nie powinienem być nachalny, ale pragnąłem panią zobaczyć.

- To bardzo miłe z pana strony. - Nie wiedziałam, co jeszcze powiedzieć. - Jeszcze herbaty, panie Trethewey? - Naprawdę jego filiżankę i podałam mu cukiernicę. Uśmiechnął się, zamieszał i postukał czubkiem łyżeczki w brzeg filiżanki dokładnie trzy razy.

- Mam nadzieję, że zarezerwuje pani dla mnie taniec na balu w tym tygodniu?

- Oczywiście.

- I chciałbym, by poznała pani moich rodziców - ciągnął. - Przybędą tu dziś po południu.

Nerwowo przełknęłam ślinę.

- Dziękuję. Z przyjemnością ich poznam. - W rzeczywistości była to ostatnia rzecz, na jaką miałam ochotę. Od razu poznają, że nie jestem dla niego wystarczająco dobra.

Wstał, podszedł do mojego krzesła i wziął mnie za rękę. Znowu zapomniałam o rękawiczkach. Skóra na jego rękawicze była miękka i ciepła. Zawsze ubierał się nienaganie i schludnie, niezależnie od pory dnia. Ja również wstałam i znaleźliśmy się bardzo blisko siebie.

- Panie Trethewey?

- Violeti - zawołał, chociaż jeszcze nie pozwoliliśmy sobie wzajemnie na używanie swoich imion. Uniósł moją rękę do ust. Nigdy wcześniej żaden mężczyzna nie był tak blisko mnie i z całą pewnością żaden nie wziął mojej gołej ręki w swoją. Poza Colinem, ale on zrobił to po to, żeby wsadzić mi palce w słoik dżemu.

Xavier ucałował teraz te palce. Poczułam mrowienie w całej ręce.

Violet, musi pani wiedzieć... - Pokręcił głową.
- Proszę mi wybaczyć. Proszę wybaczyć - powtórzył, najwyraźniej zakłopotany własnym zachowaniem. Stało się to tak szybko, że nie wiedziałam, co o tym myśleć. Nie zdążyłam nawet mu odpowiedzieć, zanim skłonił się i wybiegł z bawialni.

- Violet - warknęła moja matka. - Przestań się kręcić.

Zadałam sobie pytanie, co właściwie miałabym zrobić z halką zadartą nad głowę i moją matką oraz Marjorie przykucniętymi u moich stóp jak jakieś gobliny. Usta Marjorie były pełne spinek. Matka zacisnęła sznur wokół mojego uda.

- Au - poskarżyłam się.

- Musi być dobrze przywiązane - nalegała.

Złapałam się oparcia krzesła, żeby się nie przewrócić.

- Ale ja muszę czuć moje nogi, żeby móc chodzić - wymamrotałam. - Będzie jasne, że coś jest nie w porządku, jeśli przykuśtykam do bawialni.

Spojrzała na mnie, marszcząc brwi.

- Bądź tak miła i wykaż wolę współpracy.

- Czy to naprawdę jest konieczne? - Przystąpiłam z nogi na nogę, próbując poluzować uchwyt miechów przywiązany do mojej nogi. Były ciężkie i nieporęczne. W domu Marjorie stała w korytarzu z miechami, pompując powietrze do małego, odpowiednio ułożonego otworu w ścianie. Tutaj nie mogliśmy sobie pozwolić na taki luksus.

- Tak - odparła matka, sprawdzając wiązanie. Wyglądała pięknie w czarnej jedwabnej sukni z jedwabnymi białymi orchideami wzdłuż marszczeń z falbanami. W jej włosach migotały kryształowe koraliki. Ukradłam je z pudła przed sklepem, w którym przeprowadzano odszczurzenie.

Z doświadczenia wiedziałam, że istnieje pewien rodzaj piękna, który sprawia, że ludzie nie widzą nic poza nim. Matka była nim szczerze obdarzona i zapewniała mnie, że

ja także je posiadam, tylko muszę się nauczyć go używać. Nie sądziłam, by ciągnięcie za sobą zdrętwiałej nogi mogło być szczególnie udane na początek.

- Wydawałoby się, że powinnaś wykazać nieco więcej entuzjazmu, Violet. Próbuję zapewnić ci bezpieczną przyszłość. A może wolałabyś szyć kapelusze dla eleganckich dam, aż zaczną krwawić ci palce? Osobiście nie sądzę, żebyś szczególnie tego pragnęła.

Lubiła ganić mnie za to, że jestem zbyt miękka, że rozpuściła mnie jej ciężka praca. Było rzeczą niesłychaną, by ciężarna pokojówka wracała do Londynu i sama zarabiała na życie, ale jak się okazało, matka miała talent do mówienia żałobnikom dokładnie tego, co chcieli usłyszeć. A bycie w stanie wiecznej półżałoby nadawało jej rys szlachetności. Większość spirytystów wolała kolor biały na pogrzeby; w końcu jednym z ich najważniejszych przekonań było, że śmierć, jako po prostu jeszcze jedna podróż, nie była niczym przerażającym.

Tylko że biały nie był korzystny dla cery mojej matki. Najlepiej wyglądała ze swoją bladą skórą delikatnie obramowaną czarnym jedwabiem. Wystudiowana aura żałoby miała ucinać w zarodku zbyt wiele pytań, jako że mój ojciec prawdopodobnie nie był jednak martwy. Chociaż przypuszczam, że mógłby równie dobrze być, skoro nie miałam jak tego sprawdzić, nie wiedząc, kim tak naprawdę był. W każdym razie matka nosiła czarne jedwabie, aksamity i delikatne kamele. A jedynym powodem, dla którego nie zmusiła mnie do noszenia tej fikcyjnej żałoby, był fakt, że w kolorze lawendowym wyglądałam jak połec starej baraniny.

I choć można było o matce powiedzieć różne rzeczy, była sprytna i potrafiła odczytywać ludzkie dziwactwa tak łatwo, jakja pochłaniałam powieści. Nie było nic bardziej użytecznego - lubiła powtarzać - niż wiedzieć dokładnie, co chce

usłyszeć mężczyzna albo bogata stara dama posiadająca więcej złota niż członków rodziny.

Ani najwyraźniej nie bardziej użytecznego niż zdolność do płynięcia z gracją nad posadzką bawialni z parą miechów przywiązaną do nogi. Nie wydawało mi się, żeby tej umiejętności uczono w szkołach dla panien.

Tego rodzaju sztuczki oraz uprzejmość panny Hartington na łożu śmierci były jedynym powodem, dla którego mogliśmy mieszkać bliżej eleganckiej dzielnicy Myfair niż East Endu, gdzie było nasze miejsce. Kiedy wychodziliśmy z nowego domu, mogliśmy obserwować konne przejażdżki arystokratów po Hyde Parku. Również dzięki temu stałyśmy się posiadaczkami pozłacanych luster i dwóch nowych sukien z falbanami, szytych zgodnie z najnowszą modą, i wykończonych czerwonymi różami kapelusików do kompletu. Uwielbiałam te nowe suknie. Do tej pory nie miałam żadnej, która nie byłaby o kilka lat przestarzała i przetarta w szwach.

Ale wciąż nie podobało mi się, że wykorzystujemy ludzi tak głęboko zatopionych w smutku, że tracili wszelki naturalny sceptycyzm. Poszukiwacze sensacji tak mi nie przeszkadzali. Oni pragnęli nowych wrażeń i zaświadczenia, że siedzieli ręką w rękę z urodzonym medium. Wydawali się nie dbać o jakiegokolwiek dowody, kiedy zobaczyli moją matkę z pięknymi czarnymi lokami i oczyma jak gorąca czekolada.

Miałam szczerą nadzieję, że uczestnicy tego seansu należą do tej niegroźnej kategorii.

W krótkim czasie Marjorie skończyła przypinać wewnętrzną warstwę mojej halki tak, żeby nie pomarszczyła się i nie zaplątała w miechy, a następnie przygładziła mi spódnice. Matka odsunęła się o krok i przypatrzyła mi się uważnie.

- Bardzo dobrze - stwierdziła w końcu. - A teraz przejdź się po pokoju.

Przy pierwszym kroku wylądowałam jak długa na dywanie. Uderzyłam się w łokieć i na chwilę zabrakło mi oddechu.

Matka westchnęła z irytacją.

- Violet, proszę, postaraj się trochę.

- Wszystko w porządku, panienko? - spytała Marjorie, pomagając mi się podnieść.

- Nic jej nie jest - odparła matka niedbale. - Spróbuj jeszcze raz.

Przy trzecim okrażeniu salonu chodziłam już bardziej jak debiutantka, a mniej jak zraniony hipopotam. Byłam nawet dość zadowolona z postępów, dopóki nie wszedł Colin.

- Co ci się stało w nogę?

Westchnęłam. Matka zmarszczyła brwi.

- Wysił się bardziej, Violet.

Colin spojrzał mi poważnie w oczy, po czym zwrócił się do mojej matki.

- Lord Jasper panią wzywa - powiedział. - Może Violet zostanie tu chwilę dłużej i poćwicz?

Próbował dać mi trochę czasu dla siebie. Wiedział, jak denerwowałam się przed każdym seansem, a co dopiero takim w Rosefield, z matką zionącą ogniem tuż przy mojej twarzy.

- Dobrze. - Matka przygładziła swoje już perfekcyjnie ułożone włosy. Zatrzymała się, zanim wypłynęła z pokoju niczym lśniący statek.

- Żadnych pomyłek - ostrzegła nas przed wyjściem.

ROZDZIAŁ 4

ca

M i m o że Colin i ja przeszukaliśmy każdą piędź salonu, wciąż byłam stremowana aksamitnymi poduszkami i złotymi świecznikami. Lord Jasper siedział już przy okrągłym stoliku w rogu, z laską o rączce wyrzeźbionej w kształt srebrnego łabędzia, opartą o poręcz fotela. Jego białe włosy związane były niedbale w ogon i tworzyły całość z równie białą, dokładnie przyciętą brodą. Książki o etykietach, które przestudiowałam, twierdziły, że powinnam powitać go najpierw, jako naszego gospodarza. Zamiast tego opadłam na najbliższe krzesło. Było to bardziej dziwaczne, niż mogłam przypuszczać, bo moje lewe kolano nie zginało się całkowicie wzdłuż miechów. Przywołałam na twarz jeden z tych okropnych, nieznośnie uprzejmym uśmiechów. Elizabeth dołączyła do mnie, popijając lemoniadę ze szklanki.

- Gdzie byłaś tak długo? - wyszeptała. - Matka próbowała zmusić mnie do flirtowania z Xavierem, chociaż powiedziałam jej, że on zaleca się do ciebie.

- Och. - Nie miałam doświadczenia w tych sprawach. Lubiłam go, oczywiście. Nie było powodu nie lubić. Był bardzo życzliwy. Elizabeth i ja spojrzaliśmy w jego kierunku. Stał obok Fryderyka, blond włosy miał porządnie zaczesane do tyłu. Wyglądało na to, że czuje się swobodnie i pewnie w tym otoczeniu i nie ma *wątpliwości co do* swojego w nim miejsca. Zazdrościłam mu tego. Przyłapał nas na tym, jak na niego patrzyliśmy, i uśmiechnął się, lekko skłaniając głowę w naszym kierunku. Zarumieniłam się.

Elizabeth ledwo powstrzymała śmiech.

- Poznałaś już jego rodziców?

Pokręciłam głową.

- Nie, czy już przyjechali?

- To jego matka przy terrarium z paprociami.

Zerknęłam w tamtym kierunku i prawie jęknęłam. Ubrana była zgodnie z najnowszą modą w niebieski jedwab z obszytym koronką fartuszkim w jaśniejsze niebieskie pasy. Szafiry błyszcząły na każdym odkrytym kawałku jej skóry oraz w utapirowanych i uperfumowanych włosach. Była eleganczka i wyrafinowana.

- Ona mnie znienawidzi - wyszeptałam. - I to jeszcze zanim coś na nią wyleję.

- A tam. Spodobasz im się. Zresztą to handlowcy. Nie będą patrzeć na ciebie z góry tylko dlatego, że nie jesteś córką księcia - powiedziała, choć jej własna matka patrzyła na mnie w ten sposób. Dobrze wiedziała, że nie jesteśmy ze środowiska, które mogłoby zadawać się z lordem Jasperem i jemu podobnymi. Fakt, że zaprosił rodziny handlowców, był tolerowany ze względu na ich bogactwo, ale zaproszenie medium i jej córki na przyjęcie dla arystokracji uważane było za posunięcie ekscentryczne i warte wielokrotnie powtarzanych plotek. Lord Jasper był pod każdym względem bardzo nowoczesny. A ponieważ zostałyśmy zaproszone z powodu ciekawości naukowej i rozrywki, poczyniono pewne ustępstwa.

Elizabeth uśmiechnęła się chytrze.

- Pani Trethewey dba tylko i wyłącznie o dwie sprawy: sławę i bogactwo. W tej chwili twoja matka może jej dostarczyć sławy w każdej ilości, więc nie masz się czym martwić.

Gdybyż to była prawda.

Ale Elizabeth była zawsze tak radosna, że prawie zapomniałam, czemu właściwie tu jesteśmy, póki lord Jasper nie

wstał i nie odchrząknął. Rozmowy zamarły i wszyscy zwrócili się w jego kierunku.

- Możemy zaczynać? - spytał. - Pani Willoughby?

Matka już siedziała przy czereśniowym stole. Uśmiechnęła się, jakby lord Jasper był królem proponującym jej koronę. Większość bogatych mężczyzn obdarzała tym uśmiechem, ale lorda Jaspera przede wszystkim. On był powodem przeważającej liczby drogich kamelii, które miała na sobie, i srebrnych świeczników w naszym domu. Co ważniejsze, szczerze wierzył w jej dar i uważał się za jej najbardziej oddanego patrona i protektora.

Podczas gdy goście zajmowali miejsca, Colin zajął się gaszeniem lamp gazowych. To, że medium najlepiej pracowało się prawie w całkowitych ciemnościach, nie wymagało wyjaśnień; gdzie bylibyśmy bez odpowiedniej atmosfery? Zapalono jedną świeczkę i postawiono na koszulce żarowej lampki, w której żarzył się słaby ogień. Skorzystałam z ciemności, żeby ukryć mój niewdzięczny chód.

Obok lorda Jaspera siedziała pani Aberworthy i jej córka. Panna Elaine Aberworthy ubrana była w suknie w najbardziej nieszczęśliwym odcieniu jasnej zieleni z różowymi wstążkami. Oczy łzawiły mi od samego patrzenia. Zachichotała w swoją urękawiczoną rękę. Elaine bez przerwy chichotała. Był tam też pan Hughes z żoną o białych policzkach osoby, która niedawno wiele wycierpiała. Widziałam ich w zeszłym tygodniu na jednym z wykładów, na który zaciągnęła mnie matka. Po jej drugiej stronie siedziała dziewczyna mniej więcej w moim wieku o rudawych lokach. W niewielkiej poświacie jej suknia wydawała się niezwykle biała. Za nią węgle strzeliły iskrami, które wyglądały jak świetliki.

- Violet, tu jesteś - powiedziała matka dobitnie. - Usiądź, duchy nie powinny czekać. - Wskazała na krzesło, na którym siedziała dziewczyna. Przy stole nie było innych wolnych miejsc.

Zatrzymałam się, speszona.

- Violet, usiądź już. - Widząc, że się waham, matka przybrała ostrzejszy ton.

- Będę potrzebować krzesła - wyszeptalam, mając nadzieję, że Colin jakieś mi przyniesie. Nigdy nie opędziłabym się od komentarzy, gdybym spróbowała sama je sobie przynieść, chociaż doskonale bym sobie z tym poradziła. - Nie mogę tu przecież usiąść. Nie zmieścimy się we dwie.

Dziewczyna rozszerzyła źrenice, kiedy skinęłam głową w jej kierunku. Dopiero wtedy zauważyłam siniaki na jej szyi i nadgarstkach i zmoczony dywan wokół niej. Woda spływała z jej długich włosów i z przylegającego do jej ciała stroju. Pod oczyma miała niebieskie cienie. Była tak blada jak płatki jaśminu. Czułam błoto, ryby i gęsty zapach lili.

Wśród zebranych zapadła wieloznaczna cisza. Wszyscy wpatrywali się we mnie z ciekawością. Cofnęłam się, zanim zdążyłam się powstrzymać. Coś było nie tak.

- To krzesło jest puste - stwierdziła matka niewzruszonym tonem.

Nagle zrobiło mi się słabo i poczułam się bardzo niezręcznie. Wiedziałam, że oczy muszę mieć wielkie jak spodki.

- Ale... ta dziewczyna... - Z pewnością ociekająca wodą dziewczyna z siniakami na nadgarstkach nie powinna być ignorowana jak kwiatek na tapecie. Dawało się ją zauważyć. I to nie tylko z powodu zapachu.

Chyba po prostu dostałam gorączki. Albo niestrawności. To na pewno to. Nie byłam pewna, co lepsze: halucynacje, choroba czy prawdziwe widzenie. Wybrałam niestrawność.

- Mała dziewczynka? - pani Hughes pisnęła, przerywając gonitwę myśli. Zmięta w rękach wilgotną chusteczkę. - Och, to moja mała Rose. Prawda, panie Hughes? - Odwróciła się błagalnie do męża.

Spojrzałam na nią i zanim zdążyłam się odwrócić, krzesło było znów puste. Na poduszce nie została nawet mokra plama. Nikt nie narzekał na rybi zapach.

Nie wiedziałam, co zrobić. Musiałam oprzeć się pokusie, by zajrzeć pod obrus i sprawdzić, czy się tam nie schowała. Choć wydawało się to dobrym pomysłem, może mogłaby się przesunąć i zrobić mi tam miejsce. Usztywnienie gorsetu zaczynało mnie uwierać. Lord Jasper spojrzał na mnie ostro. Elaine zachichotała piskliwie jak gęś na targu. Pani Trethewey wpatrywała się we mnie.

- Jeśli Rose jest tutaj, musimy zaczynać natychmiast - oznajmiła matka.

Opadłam na krzesło, czując zimny podmuch na szyi.

Colin zgasił ostatnie światło i siedzieliśmy w ciemnościach i kompletnej ciszy, jeśli nie liczyć tykania zegara i mojego bijącego jak oszalałe serca. Zaciśnęłam pięści i wzięłam głęboki oddech. Nie przyniesie to nic dobrego, jeśli teraz wpadnę w histerię. Rozważyłam fałszywe omdlenie i długą rekonwalescencję w zaciszu mojego pokoju, ale matka nigdy nie pozwoliłaby mi popsuć wieczoru pozostałym uczestnikom. I prawdopodobnie powiedziałyby im, że cierpię na tradycyjną chorobę powodowaną przez dar widzenia.

Dziękuję, ale nie.

Już i tak robiło mi się duszno od nadmiaru uwagi. Nie rozumiałam, jak matka może to tak lubić. Zaśpiewała zwyczajowe pieśni, a ja pochyliłam głowę, żeby uniknąć ciekawskich spojrzeń. Czułam, że Colin wbija wzrok w moje łopatki.

Podaliśmy sobie ręce. Uścisk matki był chłodny i zdecydowany, natomiast pani Hughes po mojej drugiej stronie miała spocone, drżące palce. Matka zaczęła się lekko kiwać. Dokładnie znałam przebieg wieczoru. Płomień świecy zamigotał i zgasł, zabierając ze sobą ostatnie wiarygodne źródło światła. Nikt nie pamiętał ani nie widział, jak Colin zastępuje długi

knot wypalonym ogarkiem. Ogień zapadł się w palenisku, powodując deszcz iskier podkreślony boraksem, który, jak kiedyś odkryliśmy, płonął niezwykle dramatycznie, żółto-zieloną barwą. Elaine wydała słaby pisk i po raz kolejny zachichotała.

Matka nadal się kiwała. Rozległ się ostry trzask, a po nim następne, które prawie utonęły wśród rozemocjonowanych szeptów. Nikt nie dostrzegł, jak Colin wykręca szyję w sposób, który zawsze skutkowało wydaniem takiego dźwięku. Traciłam złożony kawałek papieru czubkiem buta. Reszty dokonała grawitacja.

Stół poruszył się raz i drugi.

Rozległy się okrzyki i podniecone szepty.

- Duchy już tu są - stwierdziła matka. - I pragną z nami pomówić.

Powoli złączyłam kolana.

- Zimny podmuch, panie Hughes! - zawołała pani Hughes. - Zimny podmuch przy moich kostkach, czy też go poczułeś?

Odpowiedziały jej potwierdzające szmery. Siostra lorda Jaspera spoglądała podejrzliwie, ale z zaciekawieniem. Starłam się nie podwiać spódnicy pani Trethewey.

- Pozdrowienia od Rose, pani Hughes - wyjaśniła matka. - Czy nie zabierała jej pani nad morze? - Przypadkiem usłyszałyśmy, jak opowiada o tym komuś w zeszłym tygodniu, podczas gdy my popijałyśmy czekoladę. Uczęszczałyśmy do wszystkich popularnych miejsc spotkań, by podsłuchiwać rozmowy.

Pani Hughes gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Tak. Uwielbiała to.

- A wiatr znad morza był chłodny, prawda? - Jakby wiatr znad morza był kiedykolwiek gorący.

Pani Hughes pokiwała głową, zbyt wzruszona, żeby coś powiedzieć. Jeszcze jeden podmuch i wszystkim

zadrzały nogi. Zaczynały mnie boleć mięśnie nogi, czułam się głupio.

- Prosi, żebym wam przekazała, że nie ma się czego bać, jest szczęśliwa tam, gdzie jest, i zajada się słodyczami.

- Najbardziej lubiła lukrecjowe dropsy.

- Oczywiście.

- Miała czarne loki, takie słodkie i lepkie od cukru, kiedy jadła lukrecję...

Delikatnie poruszyłam nozdrzami. Znow poczułam zapach lilii, słodki i gęsty, jakbyśmy siedzieli w słońcu nad sadzawką. Byłam zdumiona, że nikt o tym nie wspomniał. Był dość mocny, prawie czułam go na języku. Na tego rodzaju rzeczy ludzie zazwyczaj reagują natychmiast. Zmarszczyłam brwi.

Nagle Elaine kwiknęła, jak zahipnotyzowana wpatrując się w swoje drżące jakby same z siebie ręce.

- Matko!

Pani Aberworthy wyglądała na zachwyconą.

- To duchy!

To również często się zdarzało. Colin miał teorię, że ludzie byli tak spięci, tak mocno zaciskali ręce, że muskuły zaczynały im drżeć.

Głowa matki opadła do tyłu, jej ciało znieruchomiało i zeszytniało. Wydawała się zapadać w sobie. Nagle wstała z gracją unoszącego się i wirującego dymu. Kiedy znow otworzyła oczy, wydawały się inne. Jej włosy wysunęły się ze spinek, a ona odgarnęła je do tyłu, uśmiechając się uwodzicielsko.

- Pani Willoughby nas opuściła - stwierdził lord Jasper.

- Kto jest z nami?

Matka zatrzepotała rzesami.

- Jestem Tallula, tancerka w świątyni na pustyni egipskiej. Szal zsunął się z jej pleców, całkowicie je odkrywając.

Wszyscy patrzyli, jak okrąża stół, giętka, jak mogła być Kleopatra. Nienawidziłam tej części. Wszystko mogło wydać

się zbyt łatwo i zostałybyśmy zdemaskowane i napiętnowane. Nie mogłam patrzeć na pozostałych, zwłaszcza na Xaviera. I jego rodziców. Kto zgodziłby się na adorowanie panny, której matka przechadzała się dokoła, jakby pochodziła z jakiegoś starożytnego haremu?

Nie znosiłam Talluli.

Ale, jak zawsze, ona całkowicie przykuła ich uwagę. Ofiarowywała im dary przyniesione przez ducha - były to proste podarunki, pojedyncze róże, fiołki i ostróżki. To była jej wielka tajemnica: jak ukryć kwiaty w fałdach szala tak, że nikt nie widział, jak pojawiały się jej w rękach, kiedy zaczynała tańczyć, powoli jak zachodzące słońce. Wśród kwiatów nie było lilii, chociaż wciąż wyraźnie czułam ich zapach.

Nikt inny nie zauważył dziewczyny stojącej w cieniu przy kominku, z wodą zbierającą się pod jej nagimi stopami.

Spojrzała mi w oczy i poczułam się tak, jakby w bawialni zapanowała zima. Otworzyła usta. Dźwięk był stłumiony i piskliwy, niepodobny do niczego, co wcześniej słyszałam. Ruszyła w moją stronę i nagle znalazła się tak blisko mnie, że rąbek mojej sukni zrobił się mokry i zimny. Wcisnęłam się w oparcie krzesła, rozglądając się dokoła w przerażeniu. Wszyscy wpatrywali się w moją matkę, poza Colinem, który zmrużonymi oczyma obserwował każdy mój grymas i każde wzdrygnięcie. Zapragnęłam wstać i wybiec z pokoju. Powstrzymywał mnie przed tym tylko mocny uścisk ręki pani Hughes. Zaczęłam się pocić.

Przez cały ten czas moja matka wciąż tańczyła z gracją, ocierając się o plecy mężczyzn. Zatrzymała się przy ogniu, tam gdzie poświata była dla niej najkorzystniejsza. Wydała z siebie drżące westchnienie. To była wskazówka dla Colina. Dopadł do niej tuż przedtem, zanim się zachwiała i miękko osunęła się na ziemię. Złapał ją i zaniósł na krzesło. Uznaliśmy, że to najlepsze zakończenie, jako że ucinało w zarodku zbyt

wiele pytań. Było powszechnie zrozumiałe, że dla medium oddawanie się we władzę duchów jest wyczerpujące, więc owinęliśmy matkę w szal i prędko zanieśliśmy do jej sypialni.

Wpadłam do swojego pokoju i zamknęłam za sobą drzwi, zanim Colin zacząłby mi stawiać pytania. Opadłam na szezlong, nawet nie zaprzatając sobie głowy poluzowaniem miechów, które odcinały krążenie krwi w mojej nodze. Stopa zaczynała mi drętwieć, ale prawie nie zwracałam na to uwagi.

Nikt inny nie zauważył krzyczącej dziewczyny.

Otarłam pot z czoła. To musi być jakaś gorączka - stwierdziłam po raz kolejny. Istotnie, czułam dreszcze i kręciło mi się w głowie. No właśnie. To bardzo rozsądne wyjaśnienie.

To jednak nie wyjaśniało, czemu dywan *chlupocze* mi pod nogami. Pod moim krzesłem utworzyła się kałuża, a ja usłyszałam kapanie, jakby przeciekała któraś z rynien. Przecięłam mokry dywan i podeszłam do okna.

Nie padało.

Może lord Jasper założył podgrzewane rury wodociągowe, które zaczęły przeciekać. Rzadko spotykało się je tak daleko od miasta, ale on był tak bogaty, że z łatwością mógłby sobie na nie pozwolić. Odwróciłam się z zamiarem wezwania lokaja lub pokojówki, żeby ostrzegli go, zanim straci swoje najlepsze meble w tej powodzi.

Wtedy właśnie woda zaczęła strumieniami spływać ze ścian i powoli podpływać w moim kierunku. Pobiegłam do drzwi. Woda popłynęła za mną. Zmarszczyłam brwi, robiąc krok w bok. Woda wciąż spływała w dół jedwabnej tapety, ale kiedy docierała na ziemię, płynęła za mną, jakbyśmy obie były namagnesowane. Była zimna, wżerała się w podeszwy moich butów. Nie wiedziałam, co zrobić. Może nie wiedziałam zbyt wiele o rurach, ale byłam prawie pewna, że tym nie da się wyjaśnić akurat tego zjawiska. Woda sięgała mi do kostek. Zadrżałam.

- To niemożliwe - wymamrotałam.

Jeśli będę stała tu dłużej, mogę po prostu utonąć.

To mnie zmusiło do ruchu. Moje kroki wzburzyły wodę, krople przyskały w powietrze. Zamarzły w pół ruchu, unosząc się w powietrzu.

To nie mogło dziać się naprawdę.

Mój oddech stał się głośny i ochrypły. Krople wciąż wisiały w powietrzu dokoła mnie, błyszcząc w świetle lampy olejnej. Nie cierpiałam na jakiś rodzaj grypy; ja popadałam w szaleństwo.

Moja twarz odbijała się w jednej z kropli, przerażona i blada, coraz szersza i bardziej wykrzywiona, w miarę jak się zbliżałam. Wyciągnęłam drżący palec. W chwili, kiedy dotknęłam zamrożonej kropli, upadła jak kawałek marmuru. Rozległ się dźwięk przypominający trzaskanie lodu, po czym cała woda z podłogi wezbrała i otoczyły mnie wzburzone fale.

- Do diabła z tym. - Skoczyłam do drzwi.

Mosiężna gałka oparzyła mi rękę; najeżona była kawałkami lodu, jakby zmieniła się w jeżozwierza. Na mojej dłoni pojawiły się boleśnie piekące małe ślady po ukłuciu.

Woda zatrzymała się. Po prostu się zatrzymała. Z następnym oddechem opadła z powrotem na podłogę, po czym odpłynęła z powrotem w stronę ściany i w górę tapety.

Z wahaniem zrobiłam krok w przód. Nic się nie stało. Nic nie było mokre. Ani dywan, ani jedwabna tapeta, ani sufit. Ani nawet moje buty.

Tej nocy spałam na kanapie w pokoju obok.

ROZDZIAŁ 5

OS BO

Nie wierzyłam w duchy.

Mimo to następnego ranka unikałam bawialni na dole i nie zostawałam na dłużej w *swoim* pokoju.

Na wszelki wypadek.

Pozostali goście przybywali stopniowo przez cały ranek, powozy tłoczyły się na podjeździe, a chłopcy stajenni biegali w tę i z powrotem. Pod oknami ciągnęła się nieustająca parada lokajów niosących ciężkie skrzynie oraz pokojówek wyglądających na wyczerpane. Pani Harris była jedyną osobą, która zdawała się torować sobie drogę w tym chaosie, bez jednego kosmyka wystającego spod czepka, dzwoniąc kluczami u fartucha. Wszystko to było bardzo zwyczajne i podnosiło mnie na duchu. Najwyraźniej zeszłego wieczoru byłam po prostu zmęczona. Zdenerwowanie spowodowane naszym pierwszym seansem w tym miejscu nadszarpnęło mi nerwy. To wszystko.

- Szybko! - Elizabeth wyskoczyła na mnie zza paproci stojących w donicach przed jadalnią. - Moja matka mnie szuka.

- Po co?

- Czy to ma znaczenie?

Wybiegłyśmy przez mało używane drzwi obok oranżerii. Matka Elizabeth była dosyć władcza i surowa. Ponadto była zdecydowana znaleźć dla Elizabeth dobrą partię po jej debiucie, co oznaczało mnóstwo wykładów na temat właściwej postawy i tego, jak zwracać się do syna księcia. Wiedziałam,

że kazała Elizabeth zapamiętać imiona i nazwy posiadłości wszystkich godnych uwagi kawalerów dobrego rodu, nie tylko naszych rówieśników, ale i dwa pokolenia starszych.

Znalazłyśmy się na zewnątrz, minęłyśmy dwie wierzby i okrążyłyśmy krzewy róż rosnących wzdłuż boku posiadłości. Była tak ogromna i szara, że czułam się jak wróżka w cieniu czyhającego ogra.

- Elizabeth, tu jesteś. - Zatrzymała nas dziewczyna, na oko w naszym wieku, stojąca nad różowymi kulami uformowanymi z krzewów hortensji. Światło słoneczne błyszczało oślepiająco w znajdującej się w oddali sadzawce. Na jednej z ławek siedziała kobieta o ciemnych blond włosach upiętych w gładki kok i obserwowała nas z dezaprobatą.

- Panna Donovan, jej guwernantka - szepnęła do mnie Elizabeth, ściągając usta.

Dziewczyna prychnęła.

- Ona nie jest moją guwernantką. Jestem zbyt dorosła na to, by mieć guwernantkę - podkreśliła. Wyglądałaby na subtelną, gdyby nie kamienny wyraz jej oczu. Jej długie włosy układały się w perfekcyjne loki w odcieniu bladych żonkili. Wydała mi się skądś znajoma, w niejasny sposób, dokuczliwy jak ból zęba. Ubrana była w nieskazitelnie białą suknię, bez jednej plamy z trawy lub błota.

- Jak tu *okropnie* nudno! Wszyscy są zbyt młodzi albo zbyt starzy.

- Prawda? - przytaknęła Elizabeth. - Tabitha Wentworth, to jest Violet Willoughby. Tabitha mieszka w białym domu tam na wzgórzu ze swoim wujem Wentworthem.

- Sir Wentworthem - poprawiła sztywno guwernantka ze swej kamiennej grzędę. Elizabeth przewróciła oczami. Tabitha przeszła mnie spojrzeniem.

- Twoja matka to Celeste Willoughby? To medium?
Skinęłam głową.

- Nie wierze w duchy i te wszystkie spirytystyczne brednie - stwierdziła drwiąco.

- Tabitho - Elizabeth zmarszczyła brwi.

Ja tylko wzruszyłam ramionami. Nie miałam zamiaru się bronić. Mogłam nie znosić tego, co robiłam, ale strzegłam naszej tajemnicy tak wiernie, jak moja matka. Co innego miałam zrobić? Jak zrujnowanie siebie i mojej rodziny miałoby nam pomóc? Nikt by nas nie zrozumiał. A najmniej Xavier. Nigdy by mi nie wybaczył. Może, jeśli naprawdę mi się oświadczy, o czym była przekonana moja matka, mogłabym zostawić to wszystko, te ładne, patrzące na mnie z góry z pogardą dziewczęta, jak Tabitha. Nigdy już nie musiałabym brać udziału w żadnym seansie.

Musiałam przypominać sobie o tym za każdym razem, kiedy czułam gwałtowną potrzebę wyznania wszystkiego lordowi Jasperowi.

Światło odbiło się w sadzawce za plecami Tabithy. Nie zwróciłabym na to uwagi, ale moje oczy nagle boleśnie skupiły się w jednym punkcie. Horyzont rozszerzył się, po czym równie gwałtownie powiększył. Było to bardzo dziwne uczucie. Przeszedł mnie dreszcz, a wszystkie włosy na rękach podniosły mi się jak młoda trawa wyrastająca z ziemi na wiosnę.

Jeszcze bardziej niepokojący był fakt, że Tabitha wydała się falować, jakby znajdowała się w palących żarem Indiach, a nie w Anglii w doskonały letni dzień. Zafalowała jeszcze raz i stanęły przede mną dwie Tabithy, przy czym ta po lewej była biała jak krem migdałowy.

Nagle zrozumiałam, czemu Tabitha wydawała mi się znajoma.

I absolutnie mi się to nie podobało.

- Violet! - słyszałam zmartwiony głos Elizabeth, ale zdawał się on dochodzić z bardzo, bardzo daleka.

- Czemu ona tak się na mnie gapi? - warknęła Tabitha.
- Ma jakiś napad czy coś w tym rodzaju?

Gdyby tylko to.

Druga Tabitha otworzyła usta i wypłynęła z nich woda, wsiąkając w jej już ociekającą sukienkę i tworząc kałużę pod jej nagimi stopami. We włosach miała lilie i długie żdźbła trawy. Była to ta sama dziewczyna, którą wczoraj wieczorem widziałam w bawialni.

I wyglądała tak samo jak Tabitha.

Z tym że, oczywiście, była przeźroczysta.

Tyle jeśli chodzi o udawanie, że absolutnie nic się ze mną nie dzieje.

Za bliźniaczką Tabithy widziałam zarys dekoracyjnego żywopłotu cisowego i niewyraźnie, w oddali, sadzawkę. Wyciągnęła rękę w kierunku Tabithy, ale jej ręka przeszła przez jej ramię na wylot. Zamrugałam, czekając, aż zaczną się krzyki.

Nie było słyhać nic poza śpiewem szpaków siedzących na dachu. Tabitha tylko lekko się skrzywiła, chociaż zauważyłam gęsią skórkę na jej szyi. Popatrzyłam na Elizabeth. Pochodziła z rodziny spirytystów, na pewno zdawała sobie sprawę z tego, co się działo.

Elizabeth tylko wpatrywała się we mnie, lekko zdziwiona.

- Panno Wentworth - wyskrzeczalam wreszcie - czy ma pani siostrę bliźniaczkę?

Nie wiem, kto był w tej chwili bledszy, Tabitha czy nagle podekscytowany duch u jej boku.

- Słucham? - spytała mroźnym tonem, ale prawie nie zwróciłam na to uwagi. Zaczynało mi się robić słabo. Guwernantka wydała zduszony dźwięk i wstała.

- Utopiła się, prawda? - Zamilkłam, myśląc o wodzie, która w niewyjaśniony sposób wypełniła mój pokój zeszłego wieczoru, by w równie niewyjaśniony sposób zniknąć. Siniaki otaczały jej nadgarstki jak koraliki. - Nie - wyszeptałam,

wreszcie rozumiejąc, co widzę. - Ona się nie utopiła. Ktoś ją zamordował.

Zachwiałam się lekko i musiałam schwycić się ramienia Elizabeth, żeby nie upaść. Tabitha wydała dziwny dźwięk, pomiędzy furją a strachem, jak mokry kot. Dziewczyna obok niej posmutniała i znikła.

Całkowicie.

Została tylko Tabitha, patrząc na mnie wzrokiem pełnym nienawiści.

- Trzymaj się ode mnie z daleka - wysyczała, po czym odwróciła się na pięcie i odeszła. Nie byłam pewna, ale wydawało mi się, że na jej policzkach zobaczyłam łzy. Trzęsącymi się palcami wyciągnęła z kieszeni małe pudełko, nie widziałam jednak, co zawierało.

- Och, Violet - westchnęła Elizabeth, kiedy opadłam na kamienną ławkę. W głowie dziwnie mi się kręciło, a nogi miałam jak z waty.

- Co się stało? - spytałam.

Usiadła obok mnie ze zmartwionym wyrazem twarzy.

- Skąd wiesz o Rowenie?

- Kim jest Rowena?

- Siostrą bliźniaczką Tabithy. - Poczułam ucisk w żołądku, a Elizabeth ciągnęła dalej: - Zmarła w zeszłym roku. Utopiła się. - Powstrzymałam gwałtowny dreszcz skradający mi się po plecach. - Przypadkiem usłyszałam, jak wujek Jasper zastanawia się, czy to naprawdę był wypadek, bo kto chodzi się kapać w środku nocy? Zabronił mi odwiedzać Whitestone Manor i nie chce rozmawiać na ten temat. A Tabitha rzadko kiedy może opuszczać teren posiadłości. Od czasu, kiedy się to stało, nie była w Londynie.

Duchy były złe.

Tajemnicze duchy były jeszcze gorsze.

- A jej rodzice? - spytałam.

- Jej ojciec był w tym czasie w Indiach i nadal nie wrócił. Od zawsze zachowywał się trochę jak utracjusz, grał i jeździł po całym świecie. Już wydał całe wiano bliźniaczek i większość majątku Wentworthów. Dlatego tyle podróżuje, żeby uniknąć dłużników. Niektóre rodziny nie chcą ich już nawet przyjmować, uwierzysz?

- dodała ściszym głosem pełnym oburzenia. - Wszystko, co zostało, to Whitestone Manor. Teoretycznie odziedziczyłaby je Rowena, bo jest trzy minuty starsza, ale teraz przypada ono Tabicie. Mimo wszystko jest dzięki temu okropnie bogata.

- A ich matka?

- Zmarła na suchoty wiele lat temu, kiedy byliśmy małże. Whitestone należało do jej rodziny, dlatego teraz przypada dziewczętom, a ich ojciec nie może go przegrać w kości. Od lat zajmował się nimi ich wujek, ale stał się nieco nadopiekuńczy. Boi się łowców posagów. Tabitha błaga go, żeby pozwolił jej spędzić sezon w mieście, ale bezskutecznie. Będzie musiała się zadowolić wiejskim balemb debutantek, przez co jest jeszcze bardziej drażliwa niż zwykle.

- Aha.

- Nie wiedziałaś? Naprawdę?

Pokręciłam głową.

- Skąd?

- I naprawdę widziałaś Rowenę? - *V^yóawa*a się podekscytowana, zainterwowana i nieco przestraszona. - Może masz ten sam dar, co twoja matka? Violet, to takie podniecające!

- Jestem pewna, że to tylko zbieg okoliczności - upierałam się. - Jednorazowy przypadek. Może wskutek przegrzania. Albo zepsutego dżemu. - Nie mogłam jej powiedzieć prawdy, czyli tego, że naprawdę widziałam zmarłą Rowenę, ale nie tu leżał problem.

Prawdziwy problem polegał na tym, że ja tak naprawdę nie wierzyłam w duchy.

Ale one najwyraźniej wierzyły we mnie.

Odczekałam, aż wszyscy udali się do swoich pokojów na *południową* drzemkę albo znaleźli sobie inne zajęcie w stajniach. Potrzebowałam pomyśleć. Matka odpoczywała z zimnym kompresem z wody różanej na oczach i zakazała sobie przeszkadzać.

Ja miałam dość zmartwień za nas obie.

Przemknęłam się na tyły domu przez ogród zielny do drzwi prowadzących do kuchni. Nie powinnam tam przychodzić i nie powinnam korzystać z drzwi dla służby, jako że udawałam, iż jestem damą. Gdyby matka się o tym dowiedziała, byłaby wściekła.

Ja jednak naprawdę potrzebowałam kojącego chaosu kuchni. W domu to ja gotowałam i piekłam. Brakowało mi zapachu świeżego chleba i trzaskania paleniska, dzwonięcia żelaznych i miedzianych narzędzi kuchennych. Jeśli będę miała szczęście, nie zastanę Marjorie, która wykorzystuje tę krótką chwilę przerwy i nie będzie siedzieć przy stole. Była zbyt nieśmiała i miała zbyt wielki dług wdzięczności wobec mojej matki, żeby utrzymać moją wizytę w tajemnicy.

W drzwiach poczułam buchające od pieców ciepło, niosące zapach pieczonego mięsa i gotującego się puddingu śliwkowego. Cukier i mąka unosiły się w powietrzu jak płatki śniegu. Francuski kucharz lorda Jaspiera był fantastycznie grubym mężczyzną o sumiastych włosach. Natychmiast poczułam do niego sympatię, chociaż właśnie wrzeszczał na całe gardło. W przeciwległym rogu stał długi drewniany stół - wydał mi się uroczym miejscem do siedzenia.

Nawet nie przeszłam przez próg.

- Co ty wyprawiasz? - spytał Colin za moimi plecami. *Wyciągnął mnie z ciepłej kuchni. Oczy miał koloru morza w blasku słońca.*

- Chciałam napić się herbaty - odparłam, patrząc na niego wrogo. - Nie wtrącaj się.

Tylko pokręcił głową.

- Violet, nie możesz przesiadywać w kuchni. Żadna dobrze wychowana dama nawet by tu nie zajrzała. To miejsce dla służby, co nie?

- Wiem - odparłam ponuro. - W domu tego nie znoszę, ale teraz wydaje mi się tu tak przytulnie. Nie potrafię spoczywać z gracją na niewygodnym krześle i uśmiechać się jak głupek przez resztę dnia, Colin. Kogoś pogryzę.

- Dzikuska. - Wydawało się, że bardziej mnie chwali, niż gani.

Wyszczrzyłam się.

- Owszem.

Popchnął mnie dalej od kuchni.

- Idź i schowaj się w ogrodzie zielnym. Po drugiej stronie grządek z rozmarynem jest kamienna ława. Przyniosę ci herbaty.

Uśmiechnęłam się do niego szeroko.

- Wcale nie jesteś dziś denerwujący.

Odpowiedział prychnięciem.

W ogrodzie minęłam grządki tymianku i szczawiu i znalazłam ławkę przy grządkach z rozmarynem. Pod jabłonią, koło mięty, był niewielki fragment trawnika, który wyglądał dużo bardziej zachęcająco. Sadowiłam się właśnie tak, żeby gorset nie kłuł mnie w żebra, kiedy znalazł mnie Colin. Przyniósł brązowy ceramiczny dzbanek i dwie ceramiczne filiżanki. Podał mi jedną z nich, a ja z wdzięcznością ujęłam ją w obie dłonie.

- Nareszcie prawdziwy kubek - pochwaliłam go, wdychając aromat cytryny, której dodał do mojej herbaty. W domu nigdy nie jedliśmy cytryn, były stanowczo za drogie. Filigranowe filiżanki w tej posiadłości miały żółbkowane, połęcane brzegi, a ja wciąż się bałam, że odłamie im uszka.

- Twoja matka dostanie szału, jeśli poplamisz suknie trawą - zauważył, siadając koło mnie. Wzruszyłam ramionami. Colin podał mi łyżeczkę.

- A to po co?

- Do lodów truskawkowych. - Odsunął naczynia, które postawił między nami. - Mleczarka robi do mnie słodkie oczy, więc zostawiła dla mnie resztkę lodów, które przygotowała dla was na dzisiejszą kolację.

- Przymilasz się do mleczarki?

- Tego nie powiedziałem. - Mrugnął. - Mówiłem, że ona przymiła się do mnie.

Och. Wizja Colina całującego mleczarkę wywołała we mnie dziwne uczucie.

Colin oparł się na łokciu, a ja powiedziałam sobie, że to śmieszne boczyć się z tego powodu.

- Może ucieknę z tą mleczarką, zamieszkamy w jakiejś chatce i będziemy jeść lody cały dzień, a ty zamieszkas w Londynie z twoim księciem i będziesz pić ze złotych filiżanek.

- Złote filiżanki będą zupełnie niepraktyczne - zwróciłam uwagę.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Czarna grzywka wpałała mu jak zwykle do oczu. Nie zamierzał tracić czasu na wklepywanie pomady we włosy, żeby je przygładzić, jak robią modni dżentelmeni, co tylko czyniło go bardziej przystojnym. Rękawy miał podwinięte, widać było jego silne pięści i muskularne ramiona. Rozumiałam, czemu mleczarka uważała, że on jest całkiem w porządku.

Skupiłam się na wydłubywaniu różowych lodów z dna dzbanka. Były zimne, słodkie i roztopiały się na podniebieniu. Prawie zamruczałam z zadowolenia.

Colin odchrząknął.

- A więc smakują ci lody?

Otworzyła¹ oczy. Nie zdawałam sobie sprawy, że je zamknęłam.

_ straszliwie.

_ Tak sobie właśnie pomyślałam.

Jedliśmy w przyjaznej ciszy. Między nami przefrunęła jakaś pszczoła. Ciepły podmuch zakołysał miętą. W żywopłocie śpiewały ptaki, a w domu ktoś grał na pianoli. Starłam się nie myśleć o duchu w bawialni, wodzie w moim pokoju mi o Tabicie. Nie miałam zamiaru psuć tej chwili. Siedziałam na trawie, po moich butach wspinały się mrówki, usta miałam lepkie od lodów i byłam szczęśliwsza niż w mojej najlepszej sukni pod kryształowym żyrandolem. Czułam, że jestem sobą - po raz pierwszy, od kiedy opuściliśmy Londyn.

Zastanawiałam się, czy rzeczywiście coś jest ze mną nie tak.

ROZDZIAŁ 6

CS «O

Tej nocy prawie nie spałam.

Wciąż na nowo odtwarzałam w głowie ostatnie wydarzenia: ducha Roweny rozpływającego się na kamiennych płytach, wodę spływającą po ścianach i Tabithę patrzącą na mnie złowrogo. Rozgniewałam ją, sprawiłam, że poczuła się bezbronna, i nikt nie musiał mi mówić, że nie zostanie mi to zapomniane. Znałam dziewczęta w rodzaju Tabithy - zostałam przez taką wychowana. Będzie szukać okazji do zemsty. Nie wiedziałam, jak jej powiedzieć, że nie warto tak się wysilać z mojego powodu. I tak nie mogłam się z nią równać. Gdybym mogła przekonać ją do czegoś, co i tak już przeczuwała - że nie byłam warta jej uwagi - moja sytuacja stałaby się prostsza.

Łatwiej było martwić się Tabitha, niż zastanawiać się, **jak** uda mi się utrzymać to wszystko w tajemnicy przed moją matką. Mogłam nie wiedzieć zbyt wiele o tym, jak właściwie rozmawiać z umarłymi, za to dobrze znałam swoją matkę. Zmusiłaby mnie do rozmawiania ze zmarłymi członkami każdej wpływowej rodziny w całym Londynie, z królową włącznie, jeśli znalazłaby do niej dostęp. Nie miałam ochoty szlifować tej nowo odkrytej zdolności do widzenia duchów. Już i tak wpędziło mnie to w kłopoty, a trwało to dopiero dwa dni.

Myślenie o sobie jako o medium nie poprawiało mi nastroja

Nigdy nie przyszło mi do głowy, że inne media mogą naprawdę mieć widzenia. Zakładałam, że korzystają z tych samych trików co my, z różnym powodzeniem. Nie mogłam

jednak zaprzeczyć, choćbym bardzo chciała, że ze mną dzieje się coś niezwykłego.

Uderzyłam pięścią w poduszkę jeszcze kilka razy, zanim ostatecznie się poddałam. Najwyraźniej sen pozostanie w sferze marzeń. Westchnęłam i usiadłam, sięgając po mały zbiór wierszy Tennysona, ale nawet *The Lady of Shalott* nie była w stanie utrzymać mojej uwagi. Zbyt łatwo wyobrażałam sobie siebie na barce, z wizjami przed oczyma, płynącą ku zagładzie. Wepchnęłam książkę pod poduszkę. Czułam się nienaturalnie pobudzona, jakbym zjadła za dużo słodkich ciastek.

Światło księżyca wpadało przez okna. Nie zasłoniłam zasłon, bo szkoda było nie skorzystać z takiego widoku. Moje okno w domu było cztery razy mniejsze od tego i widać było przez nie tylko wiąz o powykręcanych konarach i cegły sąsiedniego domu, z którego panna Bentley zerkała na mnie z dezaprobatą, kiedy tylko miała okazję.

Zarzuciłam szal na ramiona i otworzyłam szklane drzwi prowadzące na balkon. Noc była na tyle ciepła, że czułam się dobrze w mojej znoszonej koszuli nocnej i cerowanym koronkowym szlafroku, który wcześniej należał do mojej matki. Gwiazdy migotały jak świece, a wiatr przynosił zapach róż i ostróżki.

Nie mogłam przeoczyć światła księżyca błyszczącego na powierzchni wody tam, gdzie wzgórza ustępowały wypiełgnowanym trawnikom Whitestone Manor.

Pod moim balkonem zaszeleściły krzewy. Dobiegło mnie zduszone przekleństwo.

- Bądź ciszej. Chcesz obudzić cały dom?

Znałam ten zgorzkniały i pełen przygany głos. To Caroline Donovan, guwernantka Tabithy.

- Kochanie, za bardzo się przejmujesz.

Drugi głos był męski, zadowolony z siebie i protekcjonalny. Nie rozpoznałam go. Przykucnęłam, żeby nie zostać

dostrzeżoną, i zerknęłam przez szparę między kamiennymi balustradami. Pod stopami czułam chłodną posadzkę.

- Wszyscy śpią - uspokajał mężczyzna. Wydawał się lekko znudzony. Widziałam tylko mankiet jego ciemnej marynarki i błyszczące buty. Caroline była do połowy schowana za małym cisem i rozglądała się dookoła. Co do diaska guvernantka Tabithy robiła tutaj o tej porze?

- Nie jestem tego pewna - wyszeptała Caroline.

- Jest już późno - odparł radośnie.

- Bądź poważny, dobrze?

- Po co? Jesteś wystarczająco poważna za nas dwoje.

- Musimy być ostrożni.

- To po to mnie tu wyciągnęłaś? Mogłem grać w karty i pić brandy. - Cisza w odpowiedzi była napięta i oschła. On raczej tego nie zauważył. - Przynajmniej daj mi buziaka.

Nie tylko ja miałam tajemnicę. Poruszyłam się, żeby rozprostować kolana, i potknęłam się o wstążkę od szlafroka. Zachwiałam się ze zduszonym „uff”.

- Słyszałeś? - spytała Caroline przestraszona.

Zamarłam, zaciskając oczy, jakby to miało mnie uczynić niewidzialną. Lekko uchyliłam jedną powiekę. W ten sposób dostrzegłam trzecią postać obserwującą ich z kryjówki pod drzewkiem różanym. Zauważyłam ją tylko dlatego, że pod tym kątem światło księżyca odbiło się w srebrnej spince od krawata. Mężczyzna obserwował ogród z twarzą ukrytą w cieniu rzuconym przez swój kapelusz.

- To pewnie nic takiego - wyszeptał tajemniczy kawaler Caroline. - Ale może powinnaś wracać.

Rozstali się, Caroline ruszyła, skradając się przez trawnik, zaś mężczyzna wycofał się do środka. Po kilku chwilach wyprostowałam się, pocierając łokieć, który bolał mnie teraz tak samo jak kolano.

Odpędziłam coś, co, jak sądziłam, było muchą. Ale hałas rozległ się znowu, z dołu, z gęstego od cieni ogrodu. Białe róże zdawały się błyszczeć w słabym świetle księżyca.

- *Psst!*

Przechyliłam się przez balustradę.

- **GG**

Nie przypominało to słów Julii do Romea ani żadnych, które mogłaby wypowiedzieć dobrze wychowana panna. Prawdopodobnie powinnam była zachichotać zachęcająco albo wrzasnąć i schować się pod kocem.

Zamiast tego pochyliłam się bardziej i omal nie wypadłam z balkonu.

Zza dekoracyjnego żywopłotu w kształcie syrenki wynurzył się Colin. Ten ogród był bardziej zaludniony niż Covent Garden w dzień targowy. Colin zaś był tak przystojny jak którykolwiek z młodych lordów, nawet w płaszczu z nieoczyszczonej wełny i ze zgrubieniami, którymi porane były jego dłonie.

- Nie powinieneś być w łóżku? - Z jakiegoś powodu mówiąc to, zarumieniłam się. Colin uśmiechnął się szeroko.

- *Aty?*

Omala mu nie powiedziałam, czemu nie mogłam spać. Omala nie powiedziałam mu o wodzie w moim pokoju, o utopionej dziewczynie i o tym, jak na mnie patrzyła: z nadzieją, błagalnie, prosząco. Nie zrobiłam tego jednak.

- Ktoś nas zobaczy - powiedziałam zamiast tego. Zabrzmiało to bardzo sztywno.

Mogłabym przysiąc, że był zawiedziony, ale ponieważ wydało mi się to bez sensu, zignorowałam ten fakt. Colin skłonił się kpiąco. Odwróciłam się i weszłam do środka, ostentacyjnie zamykając drzwi za sobą.

Nie wiem, czemu Colin zdawał się podążać za mną, opalowując moją pustą sypialnię i moje myśli, ani czemu przynosiło mi to ukojenie.

Obudziłam się z grymasem niezadowolenia na twarzy. Grymasiłam nad filiżanką herbaty, grymasiłam, kiedy Marjorie rozczesywała mi włosy i nawet kiedy promienie słońca padały przez okna na dywan.

Było wcześnie. Zbyt wcześnie.

Byłam naburmuszona przez całą drogę w dół po schodach, patrzyłam wilkiem na wszystkich przodków rodu Jasperów w holu z portretami, a nawet na paproć doniczkową, która omiotła rąbek mojej sukni, kiedy przechodziłam. Jeśli sądzić na podstawie Rosefield, nie zanosilo się na to, by moda na paprocie miała się ku końcowi. Ogromne, zielone, pierzaste liście chwyciły mnie niczym czyjeś ręce, kiedy szłam na śniadanie.

Miałam na tyle wycucia, że zatrzymałam się przed wejściem, żeby się opanować. W głębi czaszki czułam narastający, pulsujący ból głowy. Przybrałam uprzejmy uśmiech, po czym weszłam do środka. Większość gości zgromadziła się wokół długiego stołu. Mężczyźni podnieśli się na krótką chwilę. Fryderyk uśmiechnął się szeroko. Ponieważ nie usłyszałam zwyczajowego, zduszonego westchnienia Elizabeth, wywnioskowałam, że nadal śpi jak każdy rozsądny człowiek. Jednym z gości był wysoki, chudy mężczyzna. W jego wyglądzie było coś drapieżnego, podkreślonego dodatkowo przez sposób, w jaki patrzył, czarnymi oczyma przenikając wszystkie warstwy, które każdy z nas nosił na sobie w towarzystwie niczym szale.

Było w nim jednak coś jeszcze, co sprawiło, że poczułam się nieswojo: srebrna spinka przy jego krawacie. Był to ten sam człowiek, który wczoraj wieczorem ukrywał się w ogrodzie, obserwując, jak Caroline kradnie pocałunki.

Ale po co to robił?

- Tu jesteś, moja droga. - Ton matki był zdecydowanie oschły. Obrzuciła mnie krytycznym wzrokiem znad filiżanki. Uśmiechała się znacząco. - Czemu nie usiądziesz obok twojego pana Tretheweya?

Natychmiast zapomniałam o mężczyźnie ze spinką od krawata i spłonęłam rumieńcem aż po cebulki włosów. Jedna z dam głośno odchrząknęła.

- Mamo - wyszeptalam. Była zbyt śmiała. Widziałam oburzenie na twarzy siostry lorda Jaspera i błysk w oczach Tabithy, kiedy usiadła po drugiej stronie Xaviera, uśmiechając się do niego uroczo. Zdusiłam jęk. Nie miałam ochoty grać w gry, które prowadziły matka i Tabitha. Ból głowy zaatakował mnie znów, bezlitośnie.

- Będzie to dla mnie prawdziwa przyjemność - wyszeptał Xavier. Mogłam tylko dziękować opatrności, że jego rodzice wciąż spali.

- *Powiedz Jasperowi, że za nim tęsknię.*

Zamrugałam, spoglądając na gości. Nikt inny zdawał się nie słyszeć cichego głosu, który szeptał:

- *Naszyjnik jest pod kanapę. Vera upuściła go tam w zeszłym tygodniu.*

Na pewno to usłyszałam. Podniosłam rękę do głowy, która pulsowała nieustępliwie.

- *Słyszysz mnie?*

- *A mnie?*

- *Proszę, odpowiedz mi!*

Było jeszcze więcej głosów, nakładających się jeden na drugi jak poddmuchy wiatru w czasie sztormu. Chyba się zachwiałam. Naprawdę pragnęłam, żeby to się nie działo. Już widzenie duchów było złe, słyszenie ich nie było lepsze. Przycisnęłam ręce do uszu. Musiałam się stąd wydostać.

- Violet - warknęła matka.

Przynajmniej jej głos był prawdziwy i wystarczająco ostry, żeby przebić się przez mgłę paniki. Lord Jasper wpatrywał się we mnie intensywnie. Uśmiechnęłam się słabo i podeszłam do stolika z jedzeniem. Potrzebowałam być teraz sama, potrzebowałam ciszy. Byłam zmęczona, to wszystko.

Gwar rozmów i brzęk srebrnej zastawy drażnił mi nerwy.

Sięgnęłam po talerz, odtrącając pomoc lokaja. Nigdy tego nie rozumiałam. Z pewnością byłam w stanie nieść swój własny talerz, chociaż czułam się okropnie zmęczona. Wracałam do stołu z jajkami i tostem, starając się oddychać spokojnie mimo niepokojów i pulsowania skroni. Nie zwróciłam uwagi na Tabithę.

To był mój pierwszy błąd.

Drugim było to, że kiedy ukradkiem sięgnęła do tyłu i pociągnęła mnie za łokieć, wydałam bardzo nieelegancki wrzask, jak mała spadająca z drzewa.

Po trzecie, upuściłam talerz.

A raczej nim rzuciłam.

Wyfrunął mi z ręki, a ja mogłam tylko z przerażeniem obserwować trasę jego lotu. Posmarowany dżemem tost przekreślił się raz, drugi... i wylądował na ramieniu Xaviera z bardzo nieeleganckim plaśnięciem. Jajka poleciały na podłogę, a bekon ześlizgnął się ze śnieżnobiałego obrusu, zostawiając tłuste plamy. Zapadła pełna oburzenia cisza, po czym wszystkie damy jednocześnie wydały okrzyk, jakby właśnie wrzucano je pod wodę. Matka rzuciła mi wściekłe spojrzenie, a Tabitha roześmiała się dźwięcznym, perlistym śmiechem przypominającym pieśń drozda.

- Ja... - mój głos przypominał raczej skrzek. Czemu głos Tabithy mógł przypominać śpiew ptaka, podczas gdy mój upodabniał mnie do ropuchy? I czy było już za późno, żeby schować się z powrotem do łóżka i odmówić wstania?

- Strasznie mi przykro - wykrztusiłam wreszcie, kiedy Xavier wstał, żeby wytrzeć lepiące się ramię serwetką. Tabitha również wstała, omal nie mrucząc z zadowolenia.

- Och, cóż za potworna niezdarność - powiedziała. - Byłoby mi strasznie wstyd. Po prostu umarłabym ze wstydu.
- Uśmiechnęła się do Xaviera. - Proszę pozwolić mi pomóc.

- Przepraszam - wyszeptałam ponownie, po czym uciekłam z pokoju. Zatrzymałam się w pustym holu, przyciskając plecy do wytapetowanej jedwabiem ściany. Z zakłopotania zamknęłam oczy. Przynajmniej pulsowanie w głowie ustąpiło miejsca tępemu bólowi.

Żałowałam, że nie ma tu Elizabeth, może wówczas wydałoby mi się to zabawniejsze. Prawdopodobnie później będę się z tego śmiać. Śmiałabym się bardziej, gdyby udało mi się rozsmarować dżem na lokach Tabithy. To przynajmniej byłoby zabawne i warte całego wstydu. Kiedy to samo wydarzenie dotyczyło przystojnego młodego człowieka, który smalił do mnie cholewki, przestawało już być takie śmieszne. Nigdy nie widziałam, żeby matka tak szeroko otworzyła oczy. Owoce w cukrze spadły lady Ashford z widelca i wylądowały z plaskiem na talerzu, a Fryderyk parsknął herbatą nawet przez dziurki nosa.

Zabrało mi chwilę, zanim zdałam sobie sprawę, że chichoczę. Wcisnęłam pięść do ust, ale nie potrafiłam się uciszyć. W oczach stanęły mi łzy, a ja starałam się nabrać powietrza. Jeśli w moim śmiechu był chociaż ślad hysterii, postanowiłam nie zwracać na to uwagi. Śmiech był mimo wszystko lepszy od paniki, trzymał ją z daleka jak łańcuch wściekłego psa.

- Panno Willoughby.

Wciąż chichotałam jak zwariowana gęś. Otworzyłam oczy.

- Panno Willoughby, dobrze się pani czuje?

Kiedy dostrzegłam, że przede mną stoi sam lord Jasper, ze związanymi w ogon białymi włosami, w lśniących butach, zaśmiałam się jeszcze mocniej. On uśmiechnął się zdumiony.

- Przepraszam bardzo - wykrztusiłam. - Poplamiłam pański... obrus... i... - wciąż musiałam urywać, starając się oddychać normalnie. - I... frak... pana Tretheweya!

Z jakiegoś powodu jeszcze bardziej mnie to rozśmieszyło. Lord Jasper zaśmiał się również, podczas gdy ja walczyłam o odzyskanie utraconego panowania nad sobą. Otarłam oczy.

- *Wszystko* da się wyczyścić, zapewniam panią - odparł.
- Muszę powiedzieć, że miło mi widzieć, że nie poddała się pani uderzeniu hysterii i nie została zabrana do łóżka, jak wiele innych młodych pańienek.

- Dziękuję. - Zawsze lubiłam lorda Jaspersa. Teraz polubiłam go jeszcze bardziej. - Musiałam się... potknąć.

- Hmm.

- Jestem bardzo niezgrabna - zapewniłam go radośnie. To przynajmniej było prawdą.

- Nie musi pani chronić panny Wentworth - odpowiedział oschle. - Widziałem ten dość niezwykły kąć, pod jakim uderzyła w panią łokciem. - Uniósł brew, wskazując mi, że bym poszła za nim. Stukanie jego srebrnej laski było kojące.
- Przechodziła ostatnio trudny okres.

Przypomniałam sobie Rowenę, jej spuchniętą twarz i lilie we włosach. Tym razem ja wydałam nieokreślony dźwięk.

- Mhm.

- Proszę mieć do niej cierpliwość. - Skręcił za róg i zatrzymał się parę drzwi dalej. - Pomyślałem, że mogłaby się pani spodobać biblioteka.

Nie mogłam powstrzymać okrzyku podziwu. Ściany od podłogi po sufit zastawione były mahoniowymi regałami pełnymi książek we wszystkich rozmiarach. Lord Jasper uśmiechnął się wyrozumiale.

- Wiedziałem, że wyczuwam w pani pokrewną duszę bibliofila.

- Matka nie lubi czytać tak bardzo jak ja - stwierdziłam z westchnieniem.

Mrugnął.

- Więc może nie powinniśmy jej mówić, prawda? To będzie nasza tajemnica. Proszę bez skrupowania pożyczać dowolny z tych tomów podczas pobytu w Rosefield.

- Dziękuję - wyszeptalam. Diamentowy naszyjnik nie byłby dla mnie tak cenny. I nagle, mimo że było to potwornie niewłaściwe, stanęłam na czubkach palców i lekko pocałowałam lorda Jaspera w ogorzały policzek. Poklepał mnie szorstko po plecach.

Zrobiłam małe kółko, upajając się otoczeniem. Kominek był głęboki, otoczony dwoma szerokimi krzesłami obitymi w zieloną skórę. Mogłabym przysiąc, że dostrzegłam kształt kobiety, słyszałam szelest sukni i brzęczenie filiżanki do herbaty. Czułam też zapach kwiatów i cytryn.

- To było ulubione krzesło pańskiej żony - powiedziałam miękko. - Piła herbatę lawendową i czytała w nim prawie co wieczór.

Nie wiedziałam, czemu to mówię. Skuliłam się pod jego nagle surowym i intensywnym spojrzeniem. Były w nim smutek i zaniepokojenie.

- To prawda - potwierdził.

Zarumieniłam się. Poczułam się jak głupiec, bardziej niż podczas śniadania.

- Nie powinnam była... - Nie chciałam, żeby pomyślał, że jestem jak moja matka.

- Co jeszcze widzisz, dziecko?

- Nic. To tylko... Czuję zapach cytryn, muszę być zmęczona.

On jednak wiedział, że nie mówię prawdy. Właściwie wyglądał, jakby bardzo chciał wydobyć ze mnie więcej szczegółów, ale się powstrzymał. Czemu do licha zaczęłam paplać o jego zmarłej żonie?

- Książki na półce przy oknie mogą panią szczególnie zainteresować.

Skinęłam głowę, wiedząc, że zaczęłabym się jąkać, gdybym spróbowała coś powiedzieć. Czułam się, jakbym zamoczyła stopę w wąskiej rzece, która nagle porwała mnie na pełne morze. Działo się tu coś jeszcze, ale nie wiedziałam, co to

było. Przeczuwałam tylko, że prądy są silne i niebezpieczne. W tym morzu bardzo łatwo byłoby utonąć.

Kiedy lord Jasper wyszedł, zajęłam się przesuwaniami palcem po skórzanych oprawach i przeglądaniem wytłoczonych na nich tytułów. Potrzebna mi będzie duża doza samokontroli, żeby nie zataszczyć ogromnej, ciężkiej sterty książek na górędo mojego pokoju. Byli tu Jane Austen, Mary Wollstonecraft, Lord Byron. Była *Alicja w Krainie Czarów*, *Frankenstein*, *Król Artur* - wszyscy moi przyjaciele.

Nie zdawałam sobie sprawy, że nie jestem sama, dopóki nie rozległo się chrząknięcie. Trzy kroki ode mnie stał Xavier w nowym fraku, ze zwisającym z kieszeni łańcuszkiem od zegarka, dokładnie w tym miejscu, co poprzednio.

- Proszę wybaczyć najście, ale lord Jasper powiedział mi, że mogę tu panią znaleźć.

- Wie pan dobrze, że to panu należą się przeprosiny - odparłam, odpowiadając uśmiechem na uśmiech. - Bardzo przepraszam. Potwornie bolała mnie głowa i, cóż, nie bardzo wiem, co się stało.

Dobrze wiedziałam, co się stało: wstrętna Tabitha.

- Proszę się tym nie przejmować - odpowiedział uprzejmie. - Ufam, że czuje się pani lepiej?

- Tak, dziękuję. - Zapadła chwila ciszy. Nie byłam pewna, czym ją wypełnić. Elizabeth pewnie by zażartowała, a Colin wygłosiłby złośliwe uwagi. Xavier myślał pewnie, że jestem bardzo wrażliwa i delikatna.

- Ogród jest dzisiaj uroczy - powiedział w końcu, zerka-
jąc przez okno. Róże były ogromne i wciąż wilgotne od rosy. Niedaleko nich przefrunął motyl. - Czy miałaby pani ochotę na przechadzkę?

Jego uśmiech był szczerzy, blond włosy zaczesane do tyłu odślaniały przystojne czoło. Spacer byłby rozkoszny i nieskomplikowany. Poza tym miło z jego strony, że mnie na

niego zapraszał, mimo że wcześniej musiał wyczyścić swoje ucho z dżemu. Kiedy podał mi ramię, poczułam nerwowe, ale przyjemne klucie w żołądku. Położyłam moją urękawiczoną rękę na jego mankiecie, tuż nad nadgarstkiem. Pachniał mydłem i lekko dżemem truskawkowym. Może mogłabym przyzwyczać się do podziwu, z jakim na mnie patrzył.

- Dziękuję panu, panie Trethewey, z przyjemnością przejdę się po ogrodzie.

On raczej nie będzie wkładał dżdżownic za moją suknię, jak robił to Colin. Co prawda było to sześć lat temu, ale jednak.

Dopiero kiedy minęliśmy okno, zauważyłam książki, które polecił mi lord Jasper. *Rocznik spirytystyczny 1871*, *Szkice duchowe* Williama M. Wilkinsona, *Historia zjawisk nadprzyrodzonych* Williama Howitta oraz broszury licznych stowarzyszeń parapsychicznych i spirytystycznych.

Było to całkowicie zrozumiałe. Lord Jasper zakładał pewnie, przez wzgląd na zainteresowania mojej matki i swoje własne, że mnie również to zainteresuje. Mimo to nie mogłam wyjaśnić lekkiego dreszczu, który przebiegł mi po krzyżu.

Xavier nic nie zauważył, tylko poprowadził mnie na zewnątrz, gdzie nad żywopłotem pikowały i nurkowały jaskółki. Pachniało różami i deszczem, a my szliśmy powoli krętą ścieżką, jakbym godzinę temu nie upuściła na Xaviera tostu. Byłam trochę onieśmielona i nie przychodziło mi do głowy nic, co mogłabym powiedzieć, ale jego towarzystwo było przyjemne. Poprowadził mnie ostrożnie wokół kałuży. Zatrzymaliśmy się przy kamiennej ławie pod żywopłotem z liliowych krzewów. Była tam duża fontanna z królikami i czaplami zanurzającymi kamienne łapy w zimnej wodzie. Na powierzchni pływały płatki lili.

Xavier nie usiadł za blisko ani nie próbował mnie pocałować - to byłoby niegodne dżentelmena, a on był niezwykle uprzejmy. Ale jego ręka na ławie spoczywała obok mojej,

a palec w rękawiczce prawie dotykał mojego. Falbany przy mojej sukni poruszyły się na wietrze i otarły o jego nogę.

- Panno Willoughby, proszę powiedzieć, że wypije pani herbatę ze mną i z moimi rodzicami - wyrzucił z siebie wreszcie. - Opowiedziałem im o pani wszystko.

Oblizawałam wargi, bo nagle poczułam suchość w ustach. Nie byłam pewna, czy jestem na to gotowa.

- Oczywiście.

Jego ręka delikatnie przykryła moją. Odwróciłam dłoń w jej kierunku. Uśmiechnął się do mnie, a ja spróbowałam odwzajemnić uśmiech.

- Xavier... To znaczy panie Trethewey... - Rozmowa o tym będzie potwornie niezręczna, ale nie miałam ojca, który zrobiłby to za mnie, a moja matka i tak by skłamała. Proślenie o to Colina byłoby zbyt upokarzające, żeby nawet to rozważać.

- Tak, Violet?

- Czuję, że powinnam... to znaczy... - Westchnęłam, zirytowana na samą siebie. Nie było sensu czuć uderzenia gorąca z powodu suchych faktów. - Ja nie mam wiana.

Przez krótką chwilę wyglądał na zszokowanego, ale nie miałam pewności, czy to z powodu tego, co właśnie powiedziałam, czy dlatego że zrobiłam to tak obcesowo.

- Może już nie chce pan, żebym wypić herbatę z pańską matką? - dopytywałam się, wyprostowana jak struna, z wyrazem twarzy tak beznamiętnym i uprzejmym, na jaki mogłam się zdobyć mimo dokuczliwego, piekącego ucisku w piersi.

- Och, Violet! - Przycisnął moją rękę do swojej piersi, zdumiewając mnie. - Jesteś dziesięć razy piękniejsza niż którakolwiek inna dziewczyna w Anglii. Niech to będzie twoje wiano!

Byłam pewna, że gdzieś za tym kryje się komplement. Nie umiałam powiedzieć, czemu zapragnęłam nagle zrobić coś szokującego, na przykład zjechać po poręczy albo zdjąć buty i drapiące pończochy i pofiglować w fontannie pod

kamiennymi królikami. Co prawda, to ja miałam na sobie sztywny gorset, ale to Xavier na pewno by zemdłał, gdybym zrobiła coś podobnego. Opacznie zrozumiał moje milczenie i z ochoczym uśmiechem zerwał dla mnie naręcze róż.

- Violet, mojej matce zależy tylko na tytule albo na jakimś głośnym wyczynie, z którym mogłaby się obnosić przed przyjaciółkami - wyjaśnił. A więc Elizabeth miała rację. - Twoja matka jest obecnie najsłynniejszym medium w Londynie - stwierdził z dumą. - A twojej urodzie nikt nie może zaprzeczyć.

Już drugi raz wspominał o mojej urodzie. Powinno mi to pochlebiać. Kolec przebił się przez moje cienkie letnie rękawiczki i ukłuł mnie w kciuk.

- Chodźmy do nich teraz - nalegał. - Będiesz wiedzieć, że nie musisz się martwić. Pokochają cię tak mocno, jak ja.

Był szczery, oszałamiająco przystojny, a ja byłam okropną dziewczyną. Powinnam go kochać. A przynajmniej czuła do niego pociąg. Tymczasem czułam tylko coś w rodzaju wyrozumiałości, jakby był słodkim chłopaczkiem. Ale może to była miłość, to powolne, delikatne uczucie, a nie pełen pasji i porywów melodramat rodem z powieści. Zdecydowana doprowadzić to do końca, wzięłam go pod rękę i ruszyliśmy w kierunku domu i prywatnej bawialni jego matki.

- Och, moje kwiaty! - Zatrzymałam się tak gwałtownie, że prawie zbiłam go z nóg. Jego eleganckie, wypolerowane buty nie miały chyba zbyt dobrej podeszwy. Zarumienił się pod kołnierzykiem. - Zaraz wracam - obiecałam i zawróciłam.

W niezgrabny trucht przeszłam dopiero, kiedy zniknęłam mu z oczu za żywopłotem. Róże leżały na ławie jak malowany jedwabny wachlarz. Zebrałam je delikatnie. Były naprawdę piękne, pierwsze, jakie otrzymałam od chłopca. Nie mogłam powstrzymać sekretnego uśmiechu szczęścia, kiedy zanurzyłam w nich nos, uważając na kłujące kolce. Pachniały latem, perfumami i słońcem. Będę musiała pamiętać, żeby zasuszyć

je w książce, kiedy wrócimy do domu; może w mojej ukochanej *Jane Eyre*, którą kupiłam dzień po tym, jak wsypałyśmy narkotyk do gorącej czekolady pani Gordon. Od tamtej pory nie byłam w stanie pić czekolady.

Powąchałam róże raz jeszcze, zdecydowana nie popsuć sobie tej chwili.

Od tego w końcu miałam Colina.

- Pszczoła ci wleci do nosa - powiedział. Podskoczyłam, upuszczając jedną z róż.

- Colin, na litość boską. Chowałeś się w krzakach? - Czy słyszał moją rozmowę z Xavierem? I jakie to miało znaczenie?

Zeskoczył z niższej gałęzi dębu, gdzie wylegiwał się, popatrząc na liście.

- Tęsknię za zielenią - powiedział, wzruszając ramionami. Czasem zapomniałam, że nie zawsze mieszkał w Londynie.

- A /asper nie podziękuje ci za ogałacanie jego ogrodu - stwierdził, wyczesując liść dębu ze swoich czarnych włosów. Miał na sobie swoje zwykłe spodnie i koszulę. Widziałam go w nich setki razy, ale po tyłu wy krochmalonych kołnierzykach i krawatach niewielki dekolt, ukazujący jego nagą szyję i pierś, był rozpraszaający.

- To prezent - odparłam.

- Po co stary człowiek... - urwał, nagle stając prosto jak hrabia. - Trethewey.

- Tak - potwierdziłam, postanawiając, że nie będę się rumieniła. - Czyż to nie romantyczne?

Zacisnął szczęki.

- Zakochał się w twojej ślicznej buźce i nie ma pojęcia, kim jesteś.

- Jestem pewna, że to nieprawda - odparłam sztywno.

- Przepraszam.

- Dobrze więc. Leć za swoim księciem.

Odwrociłam się na pięcie, depcząc płatki róż.

- Violet, zaczekaj.

Odwrociłam się, marszcząc brwi.

- Nie mam czasu na przekomarzania.

- Po prostu bądź ostrożna.

- Mam uważać, na co? - Z pewnością nie miał na myśli Xaviera.

- Nie jestem pewien - przyznał, zakłopotany. - Ale służba opowiada różne historie.

- Historie? O Xavierze? - naciskałam z powątpiewaniem.

- Tak, nawet o tym domu i o Jasperze. Myślę, że nie wszystko tu jest takie, na jakie wygląda.

- Lord Jasper jest miłym starszym panem, a w dodatku hrabią. Nie mówisz chyba poważnie.

- Jest miłym facetem, to prawda. Ale to nie zmienia faktów - upierał się. Cętkowane światło sprawiało, że jego oczy wyglądały jak tafla wody, tajemnicze i nieodgadnione.

Przekrzywiłam głowę.

- Nigdy dotąd nie podskakiwałaś na widok lada cienia.

- Nie jestem nerwowy - wymamrotał. - Tylko ostrożny. I ty też powinnaś.

- W porządku - odpowiedziałam. - Będę uważać. A teraz muszę iść.

Złapał mnie za rękę, kiedy się odwracałam. Nie miał oczywiście rękawiczek, a ja zdjęłam moje, żeby nie poplamić ich małą ranką od kolców na kciuku.

- On nie jest dla ciebie dość dobry.

- Słucham? - Wpatrywałam się w niego z niedowierzaniem. - Powiedziałyby, że coś ci się pomyliło. On jest z dobrej rodziny. Ja nie. - Puścił moje palce. Koło nas przeleciała jaskółka. - Więc wybac, ale muszę iść i przekonać jego matkę, że nie *jestem* zdesperowaną łowczynią majątków z kłamczucha zamiast matki i okropnym talentem do upajania starszych pań narkotykami.

- Nie.

Zmarszczyłam brwi.

- Co ma znaczyć nie? Co się z tobą dzieje?

Colin tylko podszedł bliżej, stając na moim cieniu, jednej przeszkodzie, która nas dzieliła. W oczach miał złość i **zagu**. bienie, ale jego ręce dotknęły mojej twarzy delikatnie i **dje** ły mnie za szyję. Pociągnął mnie lekko, a ja pochyliłam się do przodu. Jego usta zamknęły się na moich, a od jego pocałunku poczułam ciepło od brzucha aż po kolana. Językiem śmiało dotykał mojego, jakby to były lody truskawkowe. Ogarnęło mnie upojenie.

Zatrzymał się gwałtownie i odsunął, oddychając ciężko.

- Ja też nie jestem dla ciebie dość dobry.

ROZDZIAŁ 7

Xavier czekał w patio, żeby zaprowadzić mnie **do** stolika wrogu pustej bawialni. Kiedy przemierzaliśmy całą szerokość pokoju, powtarzałam w głowie zasady etykiety, żeby nie **od-**twarzać wciąż na nowo pocałunku Colina. Było **mi** gorąco, za gorąco. Czy Colin naprawdę przed chwilą mnie pocałował?

Dama nie krzyżuje stóp, kiedy siedzi.

I czyja równie ochoczo oddałam **mu** pocałunek?

Dama nie wita się podaniem ręki na balu.

- Matko, ojcze, pozwólcie, że przedstawię pannę Violet Willoughby - oznajmił Xavier, odsuwając się, żeby mnie przedstawić, jakbym była wyjątkowo lśniącą nową zabawką. Musiałam zmuszać się, żeby słuchać, **co** mówi.

- Panno Willoughby - zwrócił się **do** mnie uprzejmie **oj-**ciec, opuszczając gazetę. Na palcach miał złote pierścienie, a na wyszukanym krawacie złotą spinkę. - Jak się pani miewa?

Wykonałam mały dyg, po czym natychmiast zastanowiłam się, czy krótki ukłon nie byłby lepszy.

- Miło mi pana poznać, sir.

Xavier uśmiechnął się z dumą.

- Czyż nie jest tak piękna, jak mówiłem?

Nie wiedziałam, **co** na **to** odpowiedzieć. Ani gdzie podziać wzrok. Mój uśmiech niezupełnie **tu** pasował.

- Xavier, wprowadzasz młodą damę w zakłopotanie - skarciła go matka. - Proszę usiąść, panno Willoughby.

- Dziękuję. - Spróbowałam nie opaść na kanapę. Inne kobiety zawsze siadały z taką gracją. Nie miałam pojęcia, jak im się to udaje w tych gorsetach. Ja prawie się przewróciłam, ~~ale~~ powstrzymałam się, zakładając stopę za nogę wytłaczanego krzesła. Xavier usiadł obok mnie, wciąż się uśmiechając.

- Myślę, że panna Willoughby najbardziej lubi gorącą czekoladę, prawda, najdroższa? - spytał, skinąwszy głową w kierunku stojącej przed nami srebrnej tacy.

Zastanawiałam się, czy mylił mnie z inną dziewczyną, czy po prostu zakładał, że wszystkie dziewczęta najbardziej lubią czekoladę. A jeśli będę musiała teraz wypić czekoladę, mogę zwymiotować na eleganckie jedwabne buciki z hartowanymi guziczkami, jakie miała na sobie jego matka. Na sam ich widok bolały mnie palce. Żal mi było biednej tkaczki, która musiała wykonywać te ściegi przy świetle lampki gazowej.

Z trudem przełknęłam ślinę.

- Z przyjemnością napiłabym się herbaty.

Cholera.

Czy dama powinna zdjąć rękawiczki do herbaty, czy tylko podczas obiadu? Nie mogłam sobie przypomnieć.

- Z mlekiem czy z cytryną? - Suknia pani Trethewey była żółta i pasowała do złotych zasłon. Cytrynowe kamienie kołysały się jej w uszach i wisały ciężko wokół szyi. Rękawiczki leżały obok niej, porządnie złożone.

Pospiesznie zdjęłam własne, łokciem prawie uderzając Xaviera w wątrobę.

- Z cytryną proszę.

Była to już najdłuższa herbatka w historii herbatek Filiżanka w mojej dłoni pomalowana była w róże i gołębie.

- Xavier mówił nam, że jest pani z Londynu, panno Willoughby.

- Tak, proszę pani. Z okolic Wimpole Street.

- Czy to blisko parku?

- Niedaleko - wykręciłam się, upijając szybki łyk herbaty i parząc się w język. W domu zjadłabym łyżeczkę cukru, żeby wyleczyć oparzenie. Nie mogłam sobie wyobrazić, jak zareagowałoby Xavier i jego rodzice, gdybym zatopiła łyżeczkę w cukiernicy. Omal nie parsknęłam śmiechem przy tym malowanym stoliku i nie zszokowałam ich delikatnych nerwów.

- Pani matka jest tam bardzo znana, jak rozumiem - odezwał się pan Trethewey. - W kręgach spirytystycznych.

Skinęłam głową.

- Uważa się ją za dobre medium, sir.

- Lepsze niż dobre - chciał się Xavier. - Słyszałem, jak mówiono, że jeśli seans u lorda Jaspera pójdzie dobrze, może się tym zainteresować pewien książę!

Nie słyszałam jeszcze tej plotki i miałam szczerą nadzieję, że moja matka też nie.

- I pochodzi pani z dobrej rodziny, prawda? - spytała pani Trethewey, mieszając ostrożnie herbatę, tak że łyżeczka ani razu nie zadzwoniła o brzeg filiżanki. Nie mogłam sobie przypomnieć, czy moja łyżeczka zadzwięczała. Pewnie tak. - Kim jest pani rodzina?

Zacny ród Willoughbych ograniczał się do serii portretów na klatce schodowej domu, ustawionych w rzędzie, jakby nas obserwowali. Matka mówiła ludziom, że to przodkowie jej męża, ale tak naprawdę znalazła je pewnego ranka za straganem w Covent Garden. Moim ulubionym był portret starszej kobiety z cocker spanielem, ubranym niegodnie w białą sukienkę chrzcielną z żałosną różową wstążeczką na każdym z oklapniętych uszu. Nie byłam pewna, czy pani Trethewey by ją polubiła.

- Tak, mój ojciec zmarł, kiedy byłam bardzo mała - odparłam, niezupełnie odpowiadając na pytanie. Informowanie kogoś, że mój ojciec zmarł, zazwyczaj kończyło ten wątek konwersacji.

- Och, bardzo mi przykro - odparła pani Trethewey.;
- Proszę, napij się jeszcze herbaty.

- A co jest pani ulubionym zajęciem? - spytał ojciec j
Xaviera. - Jazda konna? Zbieranie muszli? Nie jest pani jed-
ną z tych rzadkich dziewcząt, które obawiają się odrobiny ru-
chu, prawda?

Byłam najlepszym złodziejem kieszonkowym po tej stro-
nie Mostu Londyńskiego, robiłam doskonały pudding śliw-
kowy i wiedziałam, jak nanizać kwiaty na nitkę tak, że wygła-
dały, jakby unosiły się na wodzie. I najwyraźniej widziałam
też duchy i słyszałam głosy.

Nie sądziłam, żeby liczyło się to jako przyjemne rozrywki.

- Uwielbiam czytać - odparłam.

Pani Trethewey odstawiła filiżankę.

- Czytać.

Xavier skrzywił się.

- I zbierać muszle - dodałam pospiesznie. - Lubię robić
klosze z muszelek. - Nigdy w życiu nie zrobiłam klosza z mu-
szelek, ale czytałam o nich w czasopiśmie dla pań. Były za-
chwalane jako zajęcie godne damy. - I asystuję mojej matce
- ciągnęłam, wyrzucając sobie trochę, że dałam się wciągnąć
w tę grę. - Niedawno była na wieczorze u lady Charleston.
- Lady Charleston uważana była za bardzo elegancką damę
i arbitra wszystkiego, co modne.

Oczy pani Trethewey pojaśniały - natychmiast zapomnia-
ła o moim podejrzanym czytelnictwie.

- Żartujesz!

Xavier pokiwał głową i oboje zagłębili się w dyskusję na
temat mody na jedwabne kwiaty, wizytówki z jedwabnymi
krawędziami i nowym sklepie na Bond Street, o którym ni-
gdy wcześniej nie słyszałam. Ja piłam herbatę, uśmiechałam
się, kiwałam głową i piłam więcej herbaty. Wreszcie Xavier
wstał.

- Sądzę, że powinienem zwrócić pannę Willoughby jej matce, żeby mogły obie przebrać się na piknik.

- Chyba tak - zgodziłam się, podnosząc się niechętnie. Miałam wielką ochotę wślizgnąć się w jakiś ciemny kąt z książką i absolutnie nie zamierzałam spędzać popołudnia z moją matką. Poza tym nie miałam dodatkowej sukni, w którą mogłabym się przebrać. - Dziękuję za herbatę.

- Z ogromną niecierpliwością oczekuję pokazu pani matki - powiedziała pani Trethewey. - Jest bardzo znana. Naprawdę bardzo znana, jeśli prowadziła seansy dla samej lady Charlestone.

- Jest pani rzeczywiście niezwyklej urody - uśmiechnął się jowialnie pan Trethewey. - Rozumiem, co mój syn w pani widzi.

Uśmiechnęłam się słabo.

Piknik prowadzony był przez sympatyczniejszą siostrę lorda Jaspera, lady Oktawie. Brały w nim udział niektóre rodziny z sąsiedztwa, więc była tam także Tabitha. Postanowiłam, że jej wrogie spojrzenie nie zepsuje mi popołudnia. Moja matka zdecydowała, że zostanie w domu, jako że nie przepadała za spotkaniami na powietrzu, więc czułam się prawie zupełnie wolna, mimo mojej niskiej pozycji towarzyskiej i pozostawiania na krawędzi obłędu z powodu duchów. Niebo było tak błękitne i delikatne jak porcelanowa filiżanka, wzgórza opadały łagodnie we wszystkich kierunkach, poprzerywane od czasu do czasu srebrną wstęgą rzeki. Rudziki śpiewały wśród buków.

Stoły czekały na nas na szczycie wzgórza, zasłane białymi obrusami i zastawione ceramicznymi dzbanami z lemoniadą. Była tam zimna szynka, pasztet z gołębi, miski jeżyn w delikatnym sosie. Zastanawiałam się, czy Colin musiał pomagać lokajom nosić całe to jedzenie i czy zauważył tę elegancką zastawę. Byłoby tak łatwo wsunąć jedną z tych srebrnych łyżeczek do

rozcięcia w rąbku mojej spódnicy. Mogłabym sprzedać ją po powrocie do Londynu i dostać dość pieniędzy, żeby kupić jedzenie na cały tydzień. Może stać by nas było nawet na wołowinę. Złożyłam ręce za plecami, żeby uniknąć pokusy.

- Violet, po prostu musisz spróbować tych tartetek!
- Elizabeth otrzepała ręce z okruszków. Na rękawiczkach miała perłowe koraliki. - Po namyśle może powinnaś trzymać się słodczy. Nie byłoby mądrze jeść tarty z porami teraz, kiedy Xavier może cię pocałować!

Rozejrzałam się dokoła.

- Elizabeth!

Roześmiała się tylko.

- Nikogo nie ma dość blisko, żeby nas *usłyszeć*. I jak poszło z jego matką? Oczywiście już cię uwielbia. - Optymizm Elizabeth wciąż mnie zaskakiwał. Nie wątpiła, że Xavier mnie kocha, że weźmiemy ślub i że wszystko uda się znakomicie. Ale tak naprawdę nie znała mojej matki i nie wiedziała, jak blisko byłam kradzieży srebrnej zastawy.

Mimo to wszystko poszło lepiej, niż sądziłam. Matka Xaviera zdawała się skłonna myśleć o mnie dobrze. I najwyraźniej jego ojciec nie przestawał powtarzać Xavierowi, jaka jestem ładna.

Nie mogłam przestać się zastanawiać, czy Colin w ogóle myśli o naszym pocałunku.

Zjadłam plaster ananasa, zanim odpowiedziałam Elizabeth, po czym całkowicie straciłam wątek. Nigdy wcześniej nie jadłam ananasa. Był lepszy nawet od lodów truskawkowych.

- To najlepsze, co kiedykolwiek jadłam - powiedziałam z czcią, wgrzając się ponownie w ananasa. - Wysłałabym za tego ananasa, gdybym mogła.

- W takim razie jedz go, zanim lord Furlinghew utoruje sobie tu drogę. Jest znany z tego, że zjada całego ananasa i nie zostawia nic dla nikogo.

Zjadłam dwa kolejne kawałki tak szybko, że prawie się zakręsiłam.

Elizabeth uśmiechnęła się szeroko i wsunęła garść cukrowanych migdałów do swojej torebki na później.

- Urządzili boisko do krokieta po drugiej stronie wzgórza. Chodźmy zobaczyć, czy mecz już się zaczął.

- Nie umiem grać - powiedziałam przepraszająco.

- Och, ja właściwie nie chcę grać - odparła, machając lekceważąco ręką. - Chcę tylko zobaczyć, czy zrobi się tak gorąco, że lord Fitzwilliam będzie musiał zdjąć płaszcz. Ma boskie bary.

Stukanie młotków poprowadziło nas wokół kępy młodych jesionów na łąkę, dookoła której rosły pierwiosnki i stokrotki. Falbany u sukien i wstążki we włosach łopotały, błyszcząły wypolerowane buty, kiedy goście ze śmiechem próbowali wybić drewniane pasiaste kule poza wyznaczone boisko do gry.

I Wysoka trawa kołysała się wokół naszych łydek. Sączawka pomiędzy Rosefield a Whitestone Manor lśniła jak srebrna moneta w dłoni lata.

Jeśli Xavier i ja rzeczywiście się pobierzemy, prawdopodobnie czeka nas wiele takich popołudni. Leniwych i pełnych zadowolenia, z ananasami i eleganckimi przyjaciółmi. Nieważne, że Elizabeth była tu jedyną osobą, w której towarzystwie czułam się swobodnie - wciąż miło było o tym pomarzyć. Obróciłam głowę ku niebu, pozwalając, by słoneczne plamki tworzyły mi pod powiekami taniec kolorów.

- Wiedziałam, że w końcu będzie musiał zdjąć ten płaszcz! - zachichotała Elizabeth. Jej głos przeszył ciszę, wytrącając mnie z zamyślenia. - I swój krawat. Chyba zemdleję. Violet! Musisz na to spojrzeć.

Leniwie uchyliłam powieki.

- Mmm?

- Fitzwilliam, o tam. Ten przystojny. - Jej głos zdawał się nerwowy.

Posłusznie poszłam za jej spojrzeniem i także się zdenerwowałam.

Z tym że nie patrzyłam na lorda Fitzwiiliama, tylko na Rowenę Wentworth.

Wyszła z kępy jesionów i ruszyła w moim kierunku, wlokąc za sobą przemoczony rąbek sukni, który zostawiał za sobą trawę moką jak od rosy. Nikt inny jej nie widział. Elizabeth ciągnęła swoją podekscytowaną, szeptaną paplaninę, młotek uderzył w piłkę, czerwonoskrzydły kos zaśpiewał, nurkując w kierunku sadzawki. Rowena spojrzała na mnie ostro.

Zamrugałam, ale ta przeklęta dziewczyna nie zniknęła.

Potrząsnęłam głową w jej kierunku i spróbowałam ją zignorować. Powinna mieć na tyle przyzwoitości, żeby zostać umarłą. Nie wspominając o tym, że prawie utopiła mnie w mojej własnej sypialni. Policzyłam w myślach do dziesięciu, po czym znowu spojrzałam w tamtym kierunku.

Była tam nadal, z wodą ociekającą z jej splątanych włosów, w koronie z lilii i trawy, z siniakami na ramionach i w poszarpanej eleganckiej sukni.

Elizabeth urwała i wciągnęła powietrze.

- Czujesz lilie?

Spojrzałam na nią ostro.

- A ty?

Znów wciągnęła powietrze i wzruszyła ramionami.

- Już nie. To pewnie wiatr od sadzawki.

Wróciła do swoich peanów na temat barów lorda Fitzwiiliama.

Rowena zwróciła ku mnie błagalnie swoją bladą twarz.

- Proszę, nie tutaj - wymamrotałam pod nosem. - Idź sobie. Po prostu odejdz.

Otworzyła usta, ale wypłynęła z nich tylko woda, przelewając się przez sine wargi. Zadrżałam, czując, jak buty nasiąkają mi wodą. Zacisnęłam ręce w pięści, wbijając paznokcie

w dłonie z nadzieją, że opuści mnie uczucie mdłości. Czułam się bardzo dziwnie, jakbym stała na statku w samym środku gwałtownej burzy. Zawirowało mi przed oczyma. Zamrugałam rozpaczliwie, ale nie mogłam już tego zatrzymać. Miałam wrażenie, jakbym spadała. Zastanawiałam się, czy mdleję, ale Elizabeth nie krzyknęła, a ja nie poczułam uderzenia o ziemię.

Właściwie wcale już nie widziałam trawiastej polany.

Zamiast tego stałam na popękanych kamiennych płytach porośniętych białymi liliami, świecącymi błękitną poświatą w dziwnym półmroku. Dookoła była trawa i jabłonie, z których opadały bladoróżowe płatki. Były tam ogromne kamienne schody, jakie można byłoby znaleźć w zrujnowanym zamku, ale te po prostu się urywały, nie prowadziły właściwie donikąd.

Rowena stała na trzecim stopniu, obok kilku świec. Światło u szczytu schodów jaśniało jak księżyc albo tysiąc świec. Czułam ich ciepło nawet z tak daleka. Rowena trzęsła się w swojej mokrej sukni, wargi miała lekko sine. Nie rozumiałam, czemu nie chce podejść bliżej.

- Proszę, kochanie - błagała kobieta z najwyższego stopnia. W świetle stanowiła tylko zarys postaci, ale dojrzałam kosmyk długich blond włosów i błysk diamentów. - Czekałam na ciebie.

Wiedziałam, choć nie było w tym żadnej logiki, że to matka Roweny, która zmarła wiele lat temu. Po prostu to czułam.

Rowena nie chciała do niej podejść. Zakrywała oczy, jakby światło było zbyt jasne, jakby bolało ją patrzenie w jego kierunku. Płakała i gwałtownie kręciła głową.

- Tabitha. - Widziałam, jak Rowena wymawia imię swojej siostry, ale nie usłyszałam jej, bo nagle spadł gwałtowny deszcz, przyginając źdźbła trawy do ziemi i odzierając gałęzie jabłoni z płatków. Światło zgasło. Rowena wciąż łkała i ja także, choć nie umiałam powiedzieć dlaczego.

- Tabitha.

Deszcz zasłonił mi widok i między jednym mrugnięciem a drugim znów znalazłam się na łące. Stukanie piłek do krokieta wydało mi się za głośne. Na policzkach miałam łzy. Rowena zniknęła.

Za to naprzeciw mnie stała Tabitha z kąśliwym uśmiechem. Za nią stało kilku młodych dżentelmenów w białych krawatach i z potarganymi od wiatru włosami.

- Co się z nią dzieje? - zwróciła się pogardliwie do Elizabeth. Nie miałam pojęcia, jak długo stałam tak, nie odpowiadając. Poruszyłam się, zakłopotana.

- Źle się czujesz? - spytała Elizabeth.

Pokręciłam głową.

- Trochę mi słabo, to wszystko. Za dużo słońca.

- Proszę pozwolić. - Jeden z adoratorów Tabithy z galanterią podał mi ramię. Tabitha zmrużyła oczy, kiedy położyłam swoją dłoń na jego ręce.

- Violet, czy dziś rano nie miałaś na sobie tej samej sukni? - Uśmiechnęła się do Xaviera, który rozmawiał z jednym z jej galantów o krokiecie. - Panie Trethewey, mam nadzieję, że panna Willoughby nie zniszczyła panu płaszcza przez swoją niezdarność.

- Ależ nie, zapewniam panią. - Skłonił się w moim kierunku. Uśmiechnęłam się i starałam nie zaczerwienić. Mogłby pomyśleć, że jestem zakłopotana, podczas gdy tak naprawdę czułam pod skórą uderzenie gniewu. Nie mogłam sobie pozwolić, żeby dać mu tutaj upust. Przełknęłam ślinę, choć czułam, jakbym miała w gardle jeden z kandyzowanych migdałów Elizabeth.

Tabitha uśmiechnęła się złośliwie. Była córką hrabiego i dobrze wiedziała, co jej ujdzie na sucho.

- Och, Tabitho - westchnęła Elizabeth, również córka hrabiego, więc wcale tym nie była przejęta. - Przestań **bw** taką trzpiotką.

Tabitha prychnęła.

- Cóż, jeśli macie się tak zachowywać - odparła.
- Zabiorę moich nowych przyjaciół gdzie indziej.

Otoczyli ją, proponując, że przyniosą jej lemoniadę albo oczyszczą z liści trawę pod drzewem, żeby mogła użyć trochę cienia. Słońce odbiło się w spince od krawata. Rozpoznałam młodego mężczyznę, który w ogrodzie śledził Caroline. To on przemierzał korytarze, kiedy ja i Colin ukrywaliśmy się w pa-prociach. Nie uśmiechał się ani nie flirtował z Tabitha tak jak pozostali. Właściwie wyglądał na zrozpaczonego. Nie mogłam nie zauważyć, że jego garnitur, choć porządnie wyprasowany, nie był tej samej jakości co stroje innych mężczyzn. Odstawał od leniuchujących arystokratów, zwłaszcza w sąsiedztwie Fryderyka, w szmaragdowym pierścieniu na palcu, popijającego ze srebrnej piersiówki, którą wyciągnął z kieszeni.

Elizabeth wyprostowała się.

- Witaj, Fryderyku.

Uniósł w jej stronę piersiówkę, z nieobecny wyrazem twarzy. Tabitha zatrzepotała rękami na Xaviera, który zamru-gał, a uszy zrobiły mu się czerwone.

- Panie Trethewey, bardzo bym chciała naszkicować róż-
zowe obuwiki, które rosną niedaleko tej małej jaskini. Może
mogłyby pan zerwać je dla mnie? Będę ogromnie wdzięczna.

Zerknął na mnie bezradnie. Nie potrafił się jej sprzeciwić.

- Oczywiście, panno Wentworth.

Rzuciła mi spojrzenie pełne zadowolenia i triumfu, po czym odpłynęła, a mężczyźni prześcigali się w zakładach, który zerwie dla niej więcej kwiatów. Elizabeth i ja zostały-śmy same, obserwując żałośnie, jak Xavier i Fryderyk znikają, by wykonać jej polecenie.

- Przez cały tydzień będzie nie do zniesienia - powiedzia-
ła Elizabeth przepraszącąco. - Nigdy nie ma okazji do flir-
towania, a każdy z tych dżentelmenów to bogaty kawaler.

No, może poza tym na końcu. Nie jestem pewna, kto to jest - Pokręciła głową. - Jej wujkowi nie spodoba się to, kiedy zobaczy tę zgrają. A ona będzie teraz nocować w jednym z pokojów gościnnych Jaspera tak często, jak to możliwe. - Objęła mnie ramieniem. - Chodź, sprawdzimy, czy zostało jeszcze trochę ananasa.

Tej nocy usłyszałam skrobanie do drzwi mojego pokoju, a potem coś, co zabrzmiało jak kaszlący jeź.

Kiedy otworzyłam z rozmachem drzwi, Elizabeth urwała w połowie kaszlu.

- Szybko, zanim ktoś mnie zobaczy. - Wpadła do środka, w szalu zarzuconym na nocną koszulę i z jakimś przedmiotem pod pachą. - Moja matka zasypiała wieczność. Nie mogłam ryzykować przemykania się obok jej pokoju, kiedy nie spała. Nawet jeśli wydaje mi się, że jestem cicho, ona ma jakiś tajemniczy zmysł, kiedy chodzi o pozbawienie mnie możliwości choć odrobiny dobrej zabawy.

Minęła mnie i rozgościła się na dywanie przed otwartym oknem, przez które słychać było cykające w ogrodzie różnym świerszcze. Płomień świecy zamigotał w przeciagu.

Dołączyłam do niej na dywanie, podejrzliwie patrząc na pakunek w jej rękach.

- Co ty tam masz?

- Znalazłam to w bibliotece wujka Jaspera. W komóдке na balkonie.

- W tej zamkniętej komóдке?

- Naturalnie. Nie ma nic trudnego w otwieraniu zamka, ze spinką do włosów każdy da sobie radę. To tablica spin tystyczna - wyjaśniła, zanim udało mi się wymyślić wiarygodny powód, dla którego córka medium spirytystycznego nie chce mieć nic wspólnego z duchami. Księżyc dostarczał nam tylko tyle mlecznoniebieskiego światła, że biel naszych

koszul nocnych jaśniała słabo, a ja byłam w stanie rozróżnić litery na leżącej przed nami tablicy, jeśli zmrzyłam oczy.

- Wujek Jasper ma zawsze dostęp do najciekawszych rzeczy. Powiedział, że to będzie ostatni krzyk mody, jak tylko ją udoskonala, ale jeszcze nie zgadza się jej używać podczas seansów.

- Jak chcą ją udoskonalić?

Elizabeth zmarszczyła nos.

- Zdaje się, że nie jest tak bezpieczna, jak powinna być.

Spojrzałam z powątpiewaniem na malowaną drewnianą tablicę na dywanie.

- Dla mnie wygląda wystarczająco bezpiecznie. To tylko kawałek dębu.

- No właśnie! Wiedziałam, że nie zareagujesz jak oburzona panusia.

Tablica wydawała się zwyczajnym przedmiotem z wymalowanymi na czarno literami alfabetu i rzymskimi cyframi od jednego do dziewięciu. W rogach znajdowały się słowa „tak” i „nie”, a u dołu „do widzenia”. Z boku wystawała dziwna trójkątna deseczka na małych nóżkach.

- A to jak działa?

- Nie jestem pewna. Nazywa się *planchette*.

- Nie wiesz? Więc jak mamy tego użyć?

- Jestem pewna, że coś wymyślimy. Nie wierzę, żeby to było takie trudne. Wiem na pewno, że musimy użyć tej deseczki.

- Podniosła trójkątny kawałek drewna i położyła go na tablicy. - I jeśli dobrze pamiętam, duchy popychają ją na kolejne litery i w ten sposób przekazują wiadomości z zaświatów.

Zadrżała dramatycznie.

- Może uda nam się przekonać Boudikę² albo Annę Boleyn, żeby z nami porozmawiały? Albo może Afrodyta

² **Królowa Icenów zamieszkujących wschodnią Brytanię, która pod nieobecność rzymskiego namiestnika Brytanii ok. 60 r. n.e. wzniesiła powstanie przeciwko Rzymianom.**

powie mi, czy Fryderyk się we mnie zakocha? - Nie sądziłam, żeby nawet sama bogini miłości ośmieliła się odmówić Elizabeth. - Oooh, może powie ci, kiedy dokładnie Xavier ci się oświadczy. Mam nadzieję, że uklęknie na jedno kolano i wyrecytuje sonet na cześć twojej urody.

Zastanawiałam się, czy to źle świadczy o moim charakterze, że wizja Xaviera recytującego wiersze miłosne pobudzała mnie do śmiechu. To nie było zbyt romantyczne. Nie przyznałam się do tego głośno. Zamiast tego szczerzej otuliłam się szalem i umościłam się wygodniej.

- Może zacznijmy? Już mam dreszcze.

- Wiem, czy to nie cudownie przerażające? Może porozmawiamy z Napoleonem albo Catherine Bathory, która kąpała się w krwi dziewic³.

- Chciałam powiedzieć, że robi mi się zimno, ty gąsko.

- Och. - Elizabeth odgarnęła włosy z ramion i spojrzała mi w oczy. - Gotowa?

Przełknęłam ślinę. Głupio było denerwować się zwykłą salonową zabawą. Tak naprawdę denerwowałam się jednak tym, że będę zmuszona przyznać, raczej wcześniej niż później, że duchy naprawdę istnieją i owszem, lubią do mnie przemawiać.

Tylko tak długo udało mi się zaprzeczać oczywistym faktom. Odrobinę dłużej by nie zaszkodziło.

- Duchy - wyszeptała Elizabeth. - Przemówcie do nas za pośrednictwem tej tablicy. Słuchamy was.

Czekałyśmy w napięciu. Wpatrywałam się w deseczkę tak intensywnie, czekając, aż się poruszy, że poczułam, że zapiekły mnie oczy. Elizabeth opuściła ramiona.

- Nic się nie dzieje.

Wytarłam dłonie o kolana.

³ Właściwie Elżbieta Batory (1560-1614), siostrzenica króla Polski Stefana Batorego, znana jako Krwawa Hrabina z Catchic.

- Może źle to robimy. Nie powinniśmy zaśpiewać jak w czasie seansu?

- Nie wiem. Nie mogłam przecież spytać o to wujka laspera, prawda? Może jest zepsuta? - Elizabeth przykucnęła, nosem prawie dotykając deseczki. - Halo?

Wyglądała tak śmiesznie, że nie mogłam powstrzymać chichotu, który zabrzmiał bardziej jak prychnięcie. *Odgłos* zaskoczył Elizabeth do tego stopnia, że pisnęła i odskoczyła, jakby deseczka zmieniła się w pająka. Roześmiałam się głośniej.

Spojrzała na mnie ponuro, bijąc się w pierś, jakby serce jej przed chwilą stanęło.

- Nie rób tego więcej!

- Przepraszam! - Nie mogłam przestać chichotać. Elizabeth starała się utrzymać surowe spojrzenie, ale po chwili ona także chichotała w najlepsze. Wreszcie otarła oczy.

- Może *spytamy* twoja matkę? - spytała, kiedy odzyskała powagę. - Na pewno ma doświadczenie z takimi rzeczami.

- Nie! - odparłam, może zbyt szybko. Elizabeth zamrugała, widząc moją stanowczość. Spróbowałam się uśmiechnąć, żeby złagodzić swój ton. - Tak się składa, że wiem, iż nigdy nie miała do czynienia z tablicami. - Gwałtownie szukałam jakiegoś innego tematu, żeby odwrócić jej uwagę, zanim zacznie ją zastanawiać moje skrępowanie.

Mogłam jej wtedy wyznać prawdę.

Nie zrobiłam tego. Ponownie zwróciłam uwagę na deseczkę.

- Widziałam raz rysunek w jednym z magazynów spirytystycznych - powiedziałam, przypominając sobie ilustrację przedstawiającą uczestników siedzących wokół stołu z rękoma opartymi o drewniany trójkąt. - Wszyscy dotykali deseczki, tak jak inni trzymają się za ręce. Może żeby połączyć się z kanałami energii?

- Genialne! - stwierdziła Elizabeth. - Może naprawdę jesteś medium, tak jak twoja matka.

Nie wiedziałam, jak jej wyjaśnić, czemu ta myśl tak mnie przygnębiła.

Pochyliłyśmy się nad tablicą, żeby spróbować raz jeszcze. W chwili, kiedy nasze palce spoczęły na deseczce, cykanie świerszczy ustało. Starałam się nie brać tego za zły znak. Elizabeth uśmiechała się nerwowo.

- Gotowa? - wyszeptała. Kiedy skinęłam głową, podniosła odrobinę głos. - Duchy, słuchamy was.

Znów odpowiedziała nam cisza.

- Oczekujemy was. - Jej głos brzmiał ostro jak u guwernantki.

Poczułam mrowienie na czole, jakby dotknęła mnie pszczoła. Żadnych głosów ani wpatrujących się we mnie twarzy.

- Jakie to nieuprzejme. - Rozzłoszczona Elizabeth głęboko odetchnęła. - Ponieważ nie jestem córką medium, najwyraźniej nie chcą ze mną mówić. Ty spróbuj.

Rozruszałam palce, żeby nie złapał mnie skurcz.

- Duchy.

- Mogłabyś poprosić o rozmowę ze swoim ojcem - wyszeptała Elizabeth.

Potrząsnęłam głową. Wiedziałam, że nie otrzymałabym odpowiedzi, mogłybyśmy go wzywać, aż zdrętwieją nam języki.

- Duchy - powtórzyłam mocniej, nagle zapragnawszy, żeby to się już skończyło i żebym mogła wsunąć się znów pod koc. Gdybym nie musiała trzymać palców tak nieruchomo, podrapałabym się teraz w czoło. Czułam w nim napięcie, jak bym przypiekła sobie skórę, przebywając zbyt długo na słońcu. **Z początku nie byłam przekonana**, że coś rzeczywiście się dzieje. Deseczka poruszyła się nieznacznie, ale może wydało mi się to, tak byłam pochylona nad tablicą.

- Czy coś się dzieje? - spytała Elizabeth zduszonym półgłosem.

- Nie jestem pewna. Może? - Pochyliłam się lekko, tak że światło księżyca zza moich pleców padło na tablicę. - Proszę, przemówcie do nas.'

- Poruszyła się! - Elizabeth złapała mnie za rękę, czym bardzo mnie wystraszyła. Deseczka zaterkotała, jakby z wywoskowanej podłogi ześlizgnęła się na dywan.

- Połóż rękę z powrotem!

Tak się spieszyła, żeby na powrót schwycić deseczkę, że aż mnie zadrapała. Ja trwałam w bezruchu. Deseczka poruszyła się znowu, odrobinę.

* Widziałas to? - szepnęła Elizabeth.

Skinęłam głową, nie ufając swojemu głosowi. Trójkąt poruszył się tak powoli, że oblałam się potem, tak się starałam, żeby nie poruszyć rękoma ani w żaden sposób na niego nie wpłynąć. Siedząca naprzeciw Elizabeth była także zarumieniona od wysiłku. Wydawało mi się, że minęły wieki, zanim deseczka przemieściła się kilka centymetrów, w kierunku pierwszej litery, „R”.

- „R” - wyszeptała Elizabeth. - „R” jak co? Reumatyzm? Rabarbar? Ryszard Trzeci?

Deseczka ruszyła się dalej, w kierunku litery „O”.

-Romantyczny? Poda nam imiona naszych mężów! Albo... rozmowny? - Przerwała. - Czy to nazywa nas gadułami?

- X .

- Ktoś będzie się kłócił⁴? - Zamrugała, po czym gwałtownie wciągnęła powietrze. - Och. - Napotkała moje spojrzenie. Skinęłam głową, nie przestając śledzić ruchu deseczki.

Skrupulatnie przeliterowała resztę imienia.

Rowena.

Czułam się dziwnie, kręciło mi się w głowie i brakowało powietrza, a w punkcie pomiędzy oczami czułam pieczenie.

⁴ Row to po angielsku kłótnia.

Elizabeth trzęsa się, a oczy jej błyszczały.

- Naprawdę? Rowena?

Zapomniałam, że dla Elizabeth Rowena była dobrą przyjaciółką, która zmarła tragicznie zeszłego lata, a nie jakimś nękającym ją duchem. Deseczka poruszała się dużo szybciej jak pszczoła nad powierzchnią sadzawki.

- *N-i-e-b-e-z-p-i-e-c-z-n-i-e.*

Elizabeth i ja wpatrywałyśmy się w tablicę.

- Co jest niebezpieczne? - wyszeptała Elizabeth, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczyma.

Deseczka kontynuowała swoją dziwną podróż.

- *N-i-e s-a-m-a.*

Obie obejrzałyśmy się za siebie. Miałam ściśnięte gardło. Z łatwością wyobrażałam sobie, iż ktoś się za nami czai, chociaż za mną nie było nic poza malowaną szafą na ubrania. Rowena musiała mieć na myśli siebie. Przy niej był ktoś inny, kto próbował kontrolować tablicę. Albo ktoś inny szukał jej mordercy, a my nie byliśmy same w tym śledztwie. Albo też ktoś w holu podsłuchiwał naszą rozmowę. Było tak wiele interpretacji, że miałam wrażenie, iż wiemy mniej, niż zanim zaczęłyśmy.

Wskazówka zamarła. Czułam, że połączenie się urywa, a pieczenie w skroniach zmieniło się w rozpraszający ból.

- Rowena, nie odchodź! - zawołała Elizabeth. - Musisz nam wyjaśnić, co się dzieje!

Deseczka przeliterowała „P-a-n”, a potem „T-r-a”.

I nagle zaczęła wirować tak szybko, jak przy grze w ruletkę. Wirowała i wirowała w miejscu, po czym zatrzymała się gwałtownie i nie poruszyła więcej, nieważne jak bardzo koncentrowałyśmy się i prosiłyśmy. Elizabeth wyglądała na równie osłupioną, co ja.

- A niech to - wyszeptała.

W milczeniu pokiwałam głową. Ale przynajmniej wiedziałyśmy coś, czego nie wiedziałyśmy wcześniej. Istniała



ważna osoba, której nazwisko zaczynało się na „Tra”, może duch, który trzymał się tablicy wraz z Roweną? A może jeszcze ktoś zupełnie inny.

Było to niewiele. Ale zawsze coś.

Następnego ranka spróbowałam podpytać matkę, czy zna kogoś o nazwisku zaczynającym się na „Tra” ale odpowiedziała, żebym nie przeszkadzała jej, kiedy szykuje się na bal. Z braku nowych wskazówek udało mi się na chwilę zapomnieć o głosach i tablicy. Jeśli się porządnie skoncentrować, bal potrafi być wspaniałą rozrywką. Elizabeth spędziła godziny na przygotowaniach, które głównie polegały na sprzecznaniu się z matką na temat wiązania gorsetu i realnej, fizycznej potrzeby oddychania. Ani ona, ani ja nie byłyśmy debiutantkami (a ja nigdy nie miałam nią być), ale pozwolono nam włożyć nasze najlepsze suknie i upiąć włosy perłowymi spinkami. Gdyby ktoś pytał, pozwolono nam nawet tańczyć. Uważano to za doskonałe ćwiczenie do oficjalnego debiutu. Czulałam się trochę jak koń na pokazie, ale byłam wystarczająco dumna z mojej odkrywającej ramiona niebiesko-fioletowej sukni, żeby mi to nie przeszkadzało.

Tak jak się spodziewałam, sala balowa była olśniewająca, oświetlona woskowymi świecami i lampami oliwnymi. Z oranżerii przyniesiono ogromne paprocie i drzewka pomarańczowe i ustawiono w rogach, tworząc cieniste, tajemnicze dżungle. Oczywiście wszędzie były też róże; białe zwisały z sufitu, a czerwone płatki pokrywały każdą powierzchnię: podłogę, stoły i misy z ponczem. Nawet orkiestra schowana była za ekranami ozdobionymi różami, tak że muzyka zdawała się napływać zewsząd. W sąsiednim pokoju stał stół bufetowy zastawiony po brzegi kanapkami z ogórkiem, ciastem śliwkowym i wodą sodową. Lokaje krążyli z tacami lemoniady i szampana. Było tu z pewnością ze stu gości, bo

lord Jasper zaprosił większość swoich sąsiadów oraz przyjaciół i rodzinę. Pary tańczyły walca po dużym okręgu pośrodku sali. Było pięknie.

Ale coś tu nie grało.

Sala balowa była dużo bardziej zatłoczona, niż można by się spodziewać, sądząc z liczby gości. Obok albo za każdym z nich znajdowała się jeszcze jedna osoba: mglista, zimna, cienka jak szkło i podobnie jak ono przezroczysta. Przetarłam oczy, ale duchy pozostały: tańczyły walca, przechadzały się i podśpiewywały. Kilka z nich było ubranych tak jak my, niektóre miały na sobie chitony, a jedna z kobiet była w prawdziwej renesansowej sukni. Minął mnie jakiś tańczący mężczyzna w pasiastej kamizelce dandysa i drugi, w płudrach i dublecie.

Dama w sukni, jaką mogła nosić Maria Antonina, z włosami upiętymi bardzo wysoko wokół małej pozłacanej klatki ze śpiewającym ptakiem w środku, dziewczyna w cygańskiej spódnicy i mężczyzna, który zdecydowanie wyglądał jak pirat. Poruszała się jak dym, a w uchu błyszczał mu pierścień.

Niektórzy szlochali, inni się śmiali. Jeden zdawał się krzyczeć do ucha starszego mężczyzny, ale ten tylko zamrugał oczami. Rzeczywiście, sądząc po braku omdleń i soli trzęsawicy, żaden z pozostałych gości ich nie widział.

Ja widziałam ich bardzo dokładnie. A oni widzieli mnie.

Nigdy wcześniej nie czułam się tak jak w tej chwili, kiedy wszyscy odwrócili się jednocześnie i utkwili we mnie swoje fosforyzujące oczy. Czułam się lekka, a jednocześnie ciężka jak kamień. Żołądek przewrócił mi się do góry nogami jakbym siedziała w zepsutym powozie, który jechał stanowczo za szybko. Miałam wrażenie, że jestem daleko od swojego ciała, a jednocześnie uwięziona w nim przez strach i trwogę.

Za to Rowena ledwie zwracała na mnie uwagę, co wydało mi się dziwne. Zwykle była aż nazbyt chętna do wtykania

nosa w moje sprawy. Natomiast dziś wieczorem krażyła opiekuńczo u boku Tabithy, a woda chłupała jej pod stopami. Na wie miała koronę z białych lilii. Spojrzała na mnie wreszcie, jakby próbowała uplasować się pomiędzy swoją siostrą i mężczyzną, który stał odwrócony do mnie plecami. Nie mogłam go rozpoznać; miał taki sam ciemny garnitur co każdy mężczyzna w tej sali i nie wyróżniające się niczym brązowe włosy obcięte zgodnie z obowiązującą modą. Mógłby być kimkolwiek.

A ja nie miałam czasu czekać, aż on się odwróci, ponieważ pozostałe duchy przestały tańczyć z niczego nieświadomymi partnerami, obserwować podpierających ścianę ludzi albo obejmować owdowiałe damy. Rzuciły się ku mnie, wszystkie naraz, jakby nade mną zapaliło się widoczne tylko dla nich światło.

Stało się to z taką siłą, że poczułam, jakby uderzyła we mnie fala lodowatej wody. Ich usta poruszały się, ale nie słyszałam żadnych słów, tylko coś jak grzmot i bardzo wysoki pisk, jakby uderzenia metalu o metal, który spowodował, że przycisnęłam ręce do uszu. Wstażki na mojej sukni załopotwały.

Tymczasem przyjęcie toczyło się dalej, ludzie sączyli lemoniadę, plotkowali, palili cygara w pograżonym w bezručiu ogrodzie. Ledwie słyszałam płynącą muzykę i skrzypienie jedwabnych butów o podłogę. Nie widziałam nic poza upiornymi twarzami i przezroczystymi ciałami. Wyciągnęły ręce w moim kierunku, dziesiątki mglistych rąk dotknęły mnie jak podmuch zimy. Nigdy dotąd nie było mi tak zimno, nawet kiedy pewnego dnia wpadłam w lutym do rzeki.

- Przestańcie! - Cofnęłam się o krok, starając się je odpedzić. Gość o dumnym wyrazie twarzy spojrzał na mnie z dezaprobatą. Nie wiedziałam, jak długo już tu stoję, początkowo zamarła, a potem odpychając wyimaginowane ręce. Jęknęłam, aż czyjaś ciepła dłoń o kojących zgrubieniach schwyła mnie

za ramię i szarpnięciem wypchnęła na zewnątrz, do holu. Ktoś ciągnął mnie, a ja, potykając się, szłam za nim, aż zatrzymaliśmy się w podcieniach. Przycisnęłam plecy do ściany i opadłam na podłogę, nie zważając na nową suknię i blade jedwabne kwiaty przyszyte przy rąbkach i wykończeniach.

ROZDZIAŁ 8

CS s o

-Violet.

Przyznaje, że byłam zbyt wystraszona, żeby otworzyć oczy. Przynajmniej ten okropny odgłos drapania gdzieś odpłynął.

- Vi! Jesteś błąda jak duch!

Nie wiedział, jak mało się mylił.

- Violet, na litość boską, otwórz oczy.

Głos Colina był ostry i zmartwiony. Kiedy na niego spojrzałam, kontury miał lekko rozmyte i chwiał się lekko, zanim znów przybrał kojącą stałą formę.

- Co się u diabła stało?

- Ja... - Z trudnością łapałam oddech. Colin przykucnął **przede** mną. Na szczęście tylko on. Żadnej bladej twarzy zerkającej zza jego pleców albo szepczącej mu do ucha. Byłam **mu** za to tak wdzięczna, że złapałam go za rękę. Początkowo wydał się zdumiony, ale potem odwzajemnił słaby uścisk.

- Nie czułam się najlepiej.

- To było widać.

- Czy ktoś jeszcze to zauważył?

Colin wzruszył ramionami.

- Nie sędzę. Wyglądałaś na przestraszoną, jakbyś miała zemdleć.

- Ja nigdy nie mdleję - zażartowałam.

- To lubię w tobie najbardziej.

- jakże mi to pochlebia.

Znów zrobił się poważny.

- Nie potrzebujesz lekarza?
- Nie! Nie, już czuję się lepiej. To pewnie z powodu emocji. Nie wyglądał na szczególnie przekonanego.
- Ty mi o czymś nie mówisz.

Spróbowałam uśmiechnąć się słabo, podniosłam się i wygładziłam suknię.

- Może powinnaś się położyć - dodał.

Skrzywiłam się.

- I stracić bal? Matka byłaby wściekła jak torba pełna mokrych mały.

Właściwie nie wiedziałam, czy mokre mały są złe z powodu spektakularnego gniewu.

W oczach Colina coś się zamknęło, jakby zasunięto okiennice.

- Więc lepiej tam wracaj - stwierdził sarkastycznie.
- I złap swojego księcia.

Spojrzałam na niego ze złością.

- Przestań go tak nazywać. Jest niezwykle *uprzejmym* dżentelmenem.

- Więc jego mama cię polubiła? Jakie to szczęście, prawda? Jak myślisz, jak długo prawiłby ci komplementy, gdyby jego matce się to nie podobało?

Zmarszczyłam brwi.

- Nie rozumiem twoich humorów, Colinie Lennox. Raz mnie całujesz, innym razem dokuczasz. Chciałabym, żebyś wreszcie się na coś zdecydował.

Odmaszerowałam z powrotem do sali balowej. Muzyka była teraz łagodniejsza, bardziej powolna. Potrzebowałam każdego grama odwagi, jaką dysponowałam, żeby przekroczyć próg. Kiedy nikt nie obrzucił mnie badawczym spojrzeniem, odetchnęłam z ulgą. Wszyscy wydawali się być sami tańcząc, jak to się robi na balach, bez towarzystwa duchów - co oznaczało, że mogłam na powrót stać się dziewczyną na

swoim pierwszym balu. I choć było to kuszące, udało mi się nie odepchnąć nikogo na mojej drodze, kiedy spieszyłam się, żeby znaleźć Elizabeth. Wyobrażałam sobie, jaka byłaby reakcja, gdybym przewróciła jakąś starą wdowę z perłami we włosach prosto do miski z ponczem.

W końcu znalazłam Elizabeth na skraju parkietu, obok matki, która szeptała zawzięcie, przykrywając dłonią usta, do jakiejś kobiety ociekającej diamentami. Dolny odcinek pleców miałam wciąż mokry od potu. Miałam nadzieję, że najedwabiu nie zostanie od tego ślad. Elizabeth wyglądała bardzo ładnie w śliwkowej sukni z liliowymi satynowymi wykończeniami. Na szyi miała uroczy naszyjnik z pereł i ametystów. Na mojej szyi nie było niczego. Nie miałam nic odpowiedniego na elegancki bal, tylko prostą broszkę z kameą, którą pewien adorator dał mojej matce. Znudziła się jej, więc teraz broszka była moja.

Starałam się nie zwracać uwagi na spojrzenia rzucane w moim kierunku, kiedy przeciskałam się przez tłum. Nie powinienam była poruszać się sama, ale wymknęłam się, zanim matka zdołała zauważyć. Przez całe popołudnie popijała swoją „leczniczą” herbatę i nie miałam ochoty zwracać na siebie jej uwagi.

- Violet! - Elizabeth klasnęła w ręce. - Dzięki Bogu. Zaczynałam się czuć jak głupek, stojąc tu sama przez cały czas, a matka nie pozwala mi się oddalić, nawet po lemoniadę. Gdzie się podziewałaś? - Zamrugała. - Jesteś raczej blada.

- To na pewno podniecenie, nic więcej. - Uśmiechnęłam się słabo, zdecydowana cieszyć się wieczorem i udawać, że jestem taką samą szesnastoletnią dziewczyną jak inne, które nie widzą duchów ani umarłych dziewcząt ociekających wodą na dywan.

- W każdym razie i tak wyglądasz uroczo - dodała.
- Xavier nie będzie mógł oderwać od ciebie oczu.

Odczekałyśmy, aż muzyka przycichnie i zacznie się znowu, po czym Elizabeth wzięła mnie pod rękę.

- Matko, idziemy przejść się po sali.

Lady Ashford skinęła głową, zaabsorbowana jakąś smaczną plotką, której nie wolno nam było usłyszeć. Okrążyłyśmy tańczące pary, podziwiając eleganckie bokobrody i piękne, marszczone falbany. Kilka razy zatrzymałyśmy się, żeby Elizabeth mogła wymienić uprzejmości z przyjaciółmi swojej matki i raz z wujem Tabithy, sir Wentworthem, o krzaczastych bokobrodach i okrągłym brzuchu, który uszczypnął ją w policzek i wsunął jej w rękę kawałek czekolady zawinięty w złotą folię. Najwyraźniej robił to od czasów, kiedy była małą dziewczynką.

Elizabeth westchnęła w sposób, który znałam aż za dobrze

- Myślisz, że Fryderyk poprosi mnie do tańca?

Podążyłam za jej spojrzeniem do miejsca, gdzie Fryderyk stał i śmiał się z kilkoma przyjaciółmi nad szklaneczkami portu. W krótkim czasie wszyscy umkną do sali gier. Większość młodych mężczyzn uważała bale za męczące wydarzenie, podczas którego zmuszano ich do proszenia bogatych, nie zamężnych dziewcząt do tańca, niezależnie od tego, czy miały końskie zęby albo mdlały na widok ómy. Debiutantki były w gorszej sytuacji: musiały tańczyć z bogatymi starszymi mężczyznami, którzy pachnieli smażoną cebulą i deptali im po palcach. Nie sądziłam, by Fryderyk nas zauważył, nawet kiedy przeszłyśmy koło niego rozpaczliwie powoli, praktycznie zatrzymując mu się tuż przed nosem.

- Elizabeth - wyszeptałam. - Kulejący osioł szedłby szybciej niż my.

Powstrzymała się od śmiechu, co skończyło się prychnięciem. „Ciii” - dodała. Zachichotałyśmy i kontynuowałyśmy okrażenie sali. Nigdy wcześniej nie widziałam tylu pięknych sukien i tak dużo biżuterii. Wszystko lśniło. Przyjęłyśmy

kryształowe szklanki napoju czereśniowego od przechodzącego lokaja.

- Co ona sobie wyobraża, żeby nosić taki kolor w jej wieku! - Usłyszałyśmy, jak kobieta prycha pogardliwie. W srebrzystoszarej sukni z wieloma marszczeniami i falbanami wyglądała królewsko. Jej towarzyszka ubrana była w zielony akksamit i miała równie zde gustowany wyraz twarzy. Tłum rozstał się, pozwalając nam zobaczyć kobietę, o której mowa.

Moją matkę.

Ubrana była w różową suknię, od tiurniury po kwadratowy, wykończony różami *dekolt*, i halkę w ciemniejszym odcieniu różu. Suknia była z jedwabiu, a ona aż w niej błyszczała. Jej ciemne włosy były wysoko upięte, z długimi lokami puszczone w dół na karku. Na szyi miała granaty i otoczona była młodszymi mężczyznami, bez wątplenia obsypującymi ją komplementami.

Nie chodziło o to, że w różowej sukni nie było jej do twarzy. W mało którym kolorze jej cera wyglądała tak korzystnie, ale ten odcień cukierkowego różu zarezerwowany był raczej dla młodszych dziewcząt. Matka zawsze chciała wydawać się znacznie młodsza, niż była. Nic nie uszczęśliwiało jej bardziej, niż kiedy jakiś przystojny lord brał ją za swoją starszą siostrę. W dodatku dość dramatycznie różniło się to od jej zwyczajowych żałobnych szat.

- Co za wstyd - stwierdziła dama w zielonym jedwabiu.

- Ona jest wdową, czyż nie?

- Z tego, co słyszałam, od lat nosi się na czarno. Z wyjątkiem bardzo eleganckich bali.

- Dobrze wychowana dama wiedziałaby, że tak robić nie należy. Doprawdy, co sobie myśli lord Jasper, obnóże się w ten sposób ze swoją kochanką? Jakbyśmy wierzyli, że ona jest jakimś medium, które wzbudza jego naukowe ^interesowanie.

Zachichotała sztucznie. Nigdy jeszcze nie słyszałam takiego śmiechu. Stojąca obok mnie Elizabeth skrzywiła się.

- On jest samotny, biedaczek.

- I dość bogaty, żeby nie przejmować się tym, co myślimy - odparła sucho towarzyszka.

Roześmiały się, a ja stałam jak wrośnięta w podłogę. Matka roześmiała się również, a jej śmiech zabrzmiał jak srebrne dzwoneczki, tylko stanowczo zbyt głośno. Policzki miała zarumienione. Nawet z tej odległości wiedziałam, że po sher-ry, które piła przez cały dzień, wypła jeszcze kilka kieliszków szampana.

- Nie zwracaj na nie uwagi - powiedziała Elizabeth.
- Wiesz, jacy są ludzie. Po prostu są zazdrosne, że same wyglądają jak stare pomarszczone śliwki.

Tylko kiwnęłam głową, czując się jeszcze gorzej, bo właściwie zgadzałam się z tym, co mówiły o mojej matce. Zawsze się tak zachowywała, kiedy wokół byli bogaci mężczyźni, nie ważne w jakim wieku. Mężczyzna, który w tej chwili się do niej uśmiechał, był niewiele starszy ode mnie, co nie wydawało się jej ani trochę przeszkadzać. Zerknęła na niego spod opuszczonych rzęs. Moja matka, chociaż pragnęła szacunku, uwielbiała flirtować. Mimo iż wiedziałam, że nie przyniesie to nic dobrego, podeszłam do niej.

- Matko.

Zrobiła nadąsaną minę. Nie chciała, żebym przypominała jej adoratorom o jej wieku.

- Niemożliwe! - zawołał jeden z nich. - Nie może pan mieć dorosłej córki.

Uśmiechnęła się skromnie i poklepała go po piersi czubkiem złożonego wachlarza.

- Pochlebia mi pan.

- I to takiej pięknej córki - wyszeptał lord Marshall
Poruszyłam się niespokojnie.

- Matko, może któryś z tych dżentelmenów przyniosłby ci trochę lemoniady. Musisz być spragniona.

Tylko zachichotała.

- Nie chcę lemoniady. Ale całus dla pierwszego, który przyniesie mi szampana.

Pół tuzina mężczyzn ruszyło przed siebie jak rozjuszony byki. Rozległy się piski protestu ze strony kobiet, które nie flirtowały tak dobrze, jak moja matka i wobec tego musiały uskakiwać z drogi. Lord Marshall został u jej boku, całując wierzch jej dłoni w bardzo niedyskretny sposób.

- Matko - jęknęłam, zażenowana. Rzuciła mi spojrzenie, po którym cofnęłam się o krok.

- Nie bądź niezdolna, Violet. Wiedziałam, że jesteś za młoda, żeby wziąć udział w balu. Powinnam odesłać cię do pokoju.

Powstrzymałam łzy, chociaż nie byłam pewna, czemu napływały mi do oczu. Przecież mówiła mi już gorsze rzeczy. Chodziło raczej o sposób, w jaki na mnie spojrzała. Gdybym jej nie znała, gdyby nie była moją matką, pomyślałabym, że była tam urażona, może nawet trochę nienawisci. Nie wiedziałam, co zrobić.

- Chodź, Vi - wyszeptała Elizabeth. - Przejdźmy się jeszcze raz.

- Tak, biegnijcie, dzieci - wymamrotał lord Marshall.

Matka znów zachichotała, a ja i Elizabeth odeszłyśmy, żeby okrążyć salę, trzymając się pod ręce. Nagle bal wydał mi się mniej ekscytujący, mniej magiczny.

- Przepraszam - powiedziałam, kiedy mijałyśmy podwójne drzwi do holu.

Elizabeth wyglądała na zmartwioną.

- Mam iść z tobą?

- Nic mi nie jest, tylko trochę mi gorąco. - Zmusiłam się dla niej do uśmiechu. Nie uwierzyła mi oczywiście, ale nie poszła za mną.

Hol był opustoszały, poczułam ulgę, zostawiając za sobą gorące, duszne powietrze sali balowej. Ruszyłam korytarzem w stronę oranżerii, zatrzymując się, żeby podziwiać masywną urnę z brązu na marmurowym stole. Była wystarczająco wielka, żeby pomieścić coś, co wyglądało na krzak różany w całości, a znalazło się tam jeszcze miejsce dla pawich piór, liści paproci i białych lili. Obeszłam ją, korzystając z jej rozmiarów, żeby zebrać myśli, ale tylko przez chwilę. Nie chciałam dać mojej matce ani innym damom satysfakcji, uciekając z balu, żeby schować się w swoim pokoju. Niedługo poczuję się lepiej. Już czułam mniejszy ucisk w gardle. A jeśli moja matka nie zamierzała czuć się zakłopotana swoim zachowaniem, czemu ja powinnam? Przynajmniej muszę starać się trzymać ją z dala od pana Tretheweya.

Uniosłam brodę i przygotowywałam się do udawania dziewczyny, która nie ma najmniejszego pojęcia, co się dzieje. Byłam zdecydowana ocalić z tego wieczoru, co tylko się da. Muzyka była piękna i zniewalająca, nawet przytłumiona przez zamknięte drzwi.

Nagle dobiegł mnie dźwięk pocierania brązu o marmur, dziwny, skrzypiący odgłos, a urna zaczęła przesuwac się w moim kierunku. Patrzyłam na nią, nic nie rozumiejąc, chociaż jakaś część mnie zdawała sobie sprawę, że zaraz stanę zgnieciona. Nie miałam czasu zdecydować, czy powinnam przygotować się na uderzenie, czy raczej starać się odskoczyć na bezpieczną odległość.

Decyzję podjął za mnie ktoś inny. Jakaś ręka złapała mnie za ramię, boleśnie się w nie wpijając i szarpnięciem odwałając mnie na bok. Urna rozbiła się o podłogę z głośnym hukiem, rozlewając wodę i rozsypując płatki lili. Wciąż nie byłam w stanie nabrać powietrza, kiedy rozpoznałam osłaniającego mnie mężczyznę.

- Ostrożnie, panno Willoughby - wyszeptał, błyskając spinką od krawata. Zadrżałam i potykając się, wyzwoliłam z jego uścisku. Rozpoznałam spinkę do krawata z ogrodu.

Podbiegło do nas kilku lokajów.

- Co się stało? Nie jest panienka ranna?

Pokręciłam głową, starając się odzyskać głos.

- Urna się przewróciła.

- Powinna pani bardziej uważać - powiedział mężczyzna ze spinką w taki sposób, że zaczęłam się zastanawiać, czy nie mówi tak naprawdę czegoś innego. W cieniu panującym w holu wyglądał na wymizerowanego. Jego garnitur podobnie wisiałby na strachu na wróble. Wreszcie spojrzął na jednego z lokajów.

- Ta urna powinna być lepiej zabezpieczona. Trzeba będzie poinformować o tym lorda Jaspera. Zakładam, że nie planuje przygniatać nią swoich gości. - Znów spojrzął na mnie. - Czy chce pani, żebyśmy wezwali pani matkę?

- Nie! - Wyobrażałam sobie, jak by zareagowała, gdyby zabrać ją od jej adoratorów. - Czuję się dobrze, dziękuję. Moja przyjaciółka na mnie czeka. - Przełknęłam ślinę. Serce wciąż tłukło mi się w piersi, a gorset uciskał bardziej niż zazwyczaj. Mimo iż pod jego spojrzeniem czułam się nieswojo, ocalił mnie od wypadku. Dygnęłam. On skłonił się i odszedł.

Zatrzymałam jednego z lokajów.

- Kim jest ten człowiek? - spytałam.

- To pan Travis, panienko. Porządny facet, ale bardzo cierpi. Przemierza hol przez całą noc i wcale nie śpi.

Pan Travis.

Musiałam zblednąć, bo lokaj zerknął na mnie, zaniepokojony.

- Źle się pani czuje, panienko?

- Nie, to tylko szok, jak sądzę. - Uśmiechnęłam się do niego słabo, po czym ratowałam się ucieczką do sali balowej.

Za drzwiami, zanim zdążyłam znaleźć Elizabeth i powiedzieć jej, że znalazłam naszego „Pana Tra...” - choć nadal nie wiedziałam, o co właściwie w tym chodzi - zatrzymał mnie Xavier. Pan Travis wyraźnie coś knuł, ludzie nie kryją się po ogrodach w środku nocy ani nie przechadzają się bez końca po holach dla zdrowia. Poza tym za dużo się przyglądał.

A jednak przed chwilą mnie uratował.

- Dobry wieczór, panno Willoughby. - Xavier pachniał mydłem i wodą kolońską. Był bezpieczny, uprzejmy i na pewno nie popchnąłby na mnie urny. Mój puls powoli wracał do normy.

- Panno Willoughby, czy uczyni mi pani ten honor i tańczy ze mną? - spytał, kiedy otoczyły nas miękkie jak krople deszczu dźwięki walca. Ujęłam jego rękę, a on poprowadził mnie na parkiet. Może wieczór odzyska coś ze swego uroku. Xavier trzymał mnie tak blisko, że czułam jego oddech na moich włosach i ciepły dotyk jego ręki na mojej talii. Mogłam wreszcie zapomnieć o wszystkim innym i pozwolić mu stać obracać w wirze barw tworzonym przez innych tańcem. Czułam się, jakbym znalazła się wewnątrz kalejdoskopu.

- Nigdy jeszcze nie byłaś tak piękna - powiedział. Trzymał mnie, jakbym była bardzo krucha, zrobiona z porcelany i ko ronki. Nie byłam zrobiona z żadnej z tych rzeczy, ale mimo wszystko się uśmiechnęłam.

- Dziękuję.

Tańczyliśmy, aż poczułam rumieńce i zawroty głowy. Kiedy muzyka ustała, Xavier skłonił się ponownie, a ja dygnęłam.

- Panno Willoughby, proszę darować moją śmiałość, ale czy zechciałaby pani towarzyszyć mi do ogrodu? Słyszałam, że róże pięknie wyglądają w świetle księżyca.

Uśmiechnęłam się, kładąc moją rękę na jego przedramię niu. Wszyscy wiedzieli, że pary wykradały się do ogrodu na balach, żeby się pocałować. Otworzyłam szeroko oczy do

Elizabeth, kiedy ją mijaliśmy. Zdusiła chichot za rękawiczką. Miałam nadzieję, że się nie rumienię.

Wieczór był ciepły, świecił jasny księżyc, mlecznym światłem oświetlając drzewa i kwiaty. Białe róże błyszcząły. Ledwo widoczne świetliki fruwały między dębami. Pary przechadzały się po trawniku, a grupka mężczyzn w kącie werandy śmiała się i paliła cygara. Xavier i ja ruszyliśmy kamienną ścieżką. Idąc, przesuwałam palcami po kwiatkach, które tym mocniej wydzielały swój zapach.

- Myślę, że musi pani wiedzieć, panno Willoughby, że ogromnie panią podziwiam. - Odwróciłam wzrok, tym razem z pewnością się rumieniając. - Mam nadzieję, że czuje pani to samo co ja. - Zatrzymał się i odwrócił, tak że stał teraz naprzeciw mnie. Jego włosy błyszcząły w bladym świetle. - Kiedy wrócimy do miasta, chciałbym pomówić z pani matką.

Wstrzymałam oddech. Przez rozmowę z moją matką mógł mieć na myśli tylko jedną rzecz - chciał prosić o moją rękę. Ożenić się ze mną, ledwie szesnastoletnią i nigdzie jeszcze oficjalnie nie przedstawioną. Moje serce zaczęło bić jak oszalałe. Byłam jednocześnie podekscytowana i bardzo pragnęłam wyrwać się z domu mojej matki, ale także zdenerwowana i przestraszona. Co się stanie, jeśli kiedykolwiek dowie się o „dare” mojej matki i moim udziale w tej grze? Czy mi kiedyś wybaczy? Czy jego rodzice i przyjaciele będą mnie traktować z góry? I co powie Colin, kiedy się dowie? Czy kiedykolwiek przestanie uśmiechać się złośliwie, wypowiadając imię Xaviera? A może w tej chwili chichocze gdzieś z mleczarka? Chciałam wytrzeć wilgotne ręce o suknię, ale wiedziałam, że zostaną mi od tego plamy na jedwabiu. Powinnam być w siódmym niebie. Właściwie nie miałam przecież innego wyboru. Nie mogliśmy w nieskończoność oszukiwać kolejnych wdów.

Wyznanie miłości w oświetlonym księżycem ogrodzie było czymś, o czym marzyły wszystkie dziewczęta, czyż nie?

Po prostu kręciło mi się w głowie z nerwów i byłam zmęczona, i tyle. Przy duch

Xavier musiał źle zrozumieć moje milczenie. Przycisnął moją rękę do swoich ust.

- Violet, jeśli mogę cię tak nazywać? - Skinęłam głową. Jeśli mamy się pobrać, pewnie powinnam pozwolić mu na zwracanie się do mnie po imieniu. - Violet, jesteś taka urocza. Wiem, że będziemy do siebie pasować. Po prostu to wiem.

Pochylił się i pocałował mnie, przyciskając swoje usta do moich. Rękoma objął mnie za plecy, podtrzymując mnie, jakby myślał, że zemdleję. Jego wargi były miękkie i ciepłe, przyciągnął mnie bliżej, a muzyka z sali balowej otuliła nas niczym mgłą dźwiękami harfy i łkaniem skrzypiec.

Jaka szkoda, że nie jestem dziewczyną, która potrafi dąć się unieść chwili.

ROZDZIAŁ 9

C S

Następnego ranka obudziłam się wcześniej. Zaczynało mi to niestety wchodzić w zwyczaj.

Na szczęście w sali śniadaniowej siedziała tylko Elizabeth. Uchyliła się żartobliwie, kiedy wzięłam kawałek tosta i sięgnęłam po słoik z dżemem. Wyciągnęłam do niej język. O ileż przyjemniej tu było bez dorosłych i dziewcząt, które siedziały sztywno jak struna i uśmiechały się z wyższością, nawet kiedy były same. Elizabeth ziewnęła rozziewając. Ja również byłam wyczerpana. Powinam wciąż być w łóżku, wyciągnięta pod pierzyną. Wciąż ziewając, przeżuwałyśmy nasze śniadanie.

Słońce odbijało się w ostatnich kroplach rosy, kiedy postanowiłyśmy przejść się na spacer po wzgórzach. Było już ciepło i ptaki śpiewały radośnie w żywopłocie. Minęłyśmy róże, hortensje i dęby i ruszyłyśmy na ukos przez łąkę.

- Nie mogę uwierzyć, że cię pocałował! - zawołała Elizabeth, kiedy już nikt nie mógł nas usłyszeć. Wydawało się, że jesteśmy jedynymi osobami w promieniu wielu kilometrów. Śpiący dom zostawiłyśmy za sobą na wzgórzu. Zapragnęłam zerwać moją narzutkę i biec, aż zaczną mnie boleć nogi, albo kręcić się w kółko, aż się przewrócę.

- Wiem. - Wciąż czułam jego rękę na mojej szyi i jego zapach - pachniał dymem i liśćmi.

- To takie romantyczne. I on jest taki przystojny. Nie tak przystojny jak Fryderyk - mówiła Elizabeth,

kiedy maszerowałyśmy ramię w ramię. - Ale i tak dobrze się prezentuje, nie uważasz? A jego rodzina jest bardzo bogata.

Xavier. Ona mówi o Xavierze, nie o Colinie.

- Całkiem przystojny - zgodziłam się. Xavier naprawdę był przystojny w swoim granatowym surducie ze złotym zegarkiem kieszonkowym.

- Myślisz, że naprawdę chce się oświadczyć?

Poczułam dziwne ukłucie w żołądku, ale nie było to nieprzyjemne.

- Może. Czemu chciałby pomówić z moją matką?

Elizabeth zapiszczała i przytuliła mnie. Potem zaczęła podskakiwać. Śmiejąc się, skakałam razem z nią, bo wciaż trzymała mnie pod rękę.

- Och, a jaką będziesz mieć suknię? Będziesz miała bukiet kwiatów? - Nie mogłam jej powiedzieć, że nie stać mnie na nową suknię. Będę musiała założyć najlepszą, jaką mam i mieć nadzieję, że niezbyt wiele osób zauważyło, że miałam ją wcześniej na sobie. - Wyglądałabyś uroczo z kwiatami pomarańczowymi we włosach.

- Myślę, że lilie byłyby w sam raz - stwierdziłam, pozwalając sobie na wdanie się w dyskusję o szczegółach. Będziemy mieli ślubne śniadanie z ciastem cytrynowym udekorowanym kandyzowanymi fiołkami. Matka będzie ubrana na biało, jak przystało na spirytystkę, a nie w swoją zwyczajową czerń. A Elizabeth będzie moją druhną.

- A więc ślub na wiosnę. Doskonale. - Westchnęła znowu, całym ciałem dając ujście emocjom. - Tak bym chciał być zaręczona.

- Nie jestem zaręczona!

- Jeszcze nie, pani Trethewey - zachichotała.

Będę panią Xavier Trethewey. Zawsze mnie zastanawiało, czemu miałabym przyjmować imię męża. Violet Trethewey.

Również zachichotałam. Miałam wrażenie, że w gardle mam bąbelki szampana.

- Może zabierze cię do opery - dodała, kiedy wilgotna trawa moczyła rąbki naszych sukien. - I och! Może pojedziecie w podróż poślubną do Włoch! Zawsze pragnęłam zobaczyć Rzym. Mogłabyś sobie uszyć stertę nowych sukien. Będiesz taka modna. Chociaż byłoby miło, gdybyśmy mogły razem zostać zaprezentowane u dworu.

- Elizabeth - odparłam miękko. - Nie jestem arystokratką. Nigdy nie będę dygać przed królową i nie będę debiutantką - Tego nigdy przed sobą nie ukrywałyśmy.

- Och. - Zrobiła nadaśaną minę. - No cóż, i tak będziesz musiała mi pomóc ćwiczyć. Jak można od nas oczekiwać wycofywania się z sali tyłem z takimi długimi trenami? Co będzie, jeśli się przewrócę? Co jeśli pozostałe debiutantki przewrócą się razem ze mną?

Spojrzałyśmy na siebie i roześmiałyśmy się. Mogłam to sobie wyobrazić.

Wspięłyśmy się na ostatnie wzgórze dzielące nas od sadzawki, która migotała między Rosefield i Whitestone Manor. Po obu stronach rozciągały się pola pełne tłustych owiec. Doliny tworzyły ciemne szczeliny porośnięte dębami, pełne grzybów. Bliżej sadzawki długa trawa falowała na wietrze, upstrzona dziką miętą, jaskrami i rzeżuchą łąkową.

Wśród lilii stał jakiś mężczyzna.

Był wysoki, szczupły i garbił się, jakby był w rozpacz. Nawet z tej odległości widziałam, że gwałtownie się trzęsie.

Pan Travis.

- Co on tu robi? - spytałam Elizabeth.

Pokręciła głową, osłaniając oczy ręką.

- Nie wiem. Może wyszedł na spacer?

- Nad sadzawkę, w której utopiła się dziewczyna? - odparłam podejrzliwie, marszcząc brwi. - Nie podoba mi się to.

- Rzeczywiście wygląda dość... dziwnie.

Po cichu ruszyliśmy w jego stronę. Zeszliśmy ze wzgórza i wspięliśmy po niewielkim wzniesieniu w kierunku sadzawki. Zanim do niej dotarliśmy, pana Trávisa już nie było. Dostrzegłam go, jak zmierza do lasu prowadzącego z powrotem do Rosefield.

- Wiemy, dlaczego on tu jest? - spytałam, kiedy zatrzymaliśmy się nad sadzawką. - Skąd lord Jasper go zna?

- Słyszałam, że jego rodzina mieszka w miasteczku, jego ojciec jest krawcem, szmuklerzem czy kimś podobnym. Ale chyba tylko on jest spirytystą. Nie wiem, skąd Rowena miałaby go znać, chociaż przyznaję, że z początku wydawał mi się znajomy.

- Skąd?

- Nie umiem teraz tego wyjaśnić. Może to tylko moja wyobraźnia. Moja matka zawsze twierdziła, że czytanie tych przerażających historii źle wpływa na usposobienie. A on ni jest arystokratą, więc nie pozwolił nas sobie przedstawić, na wet tutaj.

Kiedy na chwilę zerwał się wiatr, blade lilie skłoniły swoje ciężkie głowy. Woda była głęboka i ciemna. Staliśmy na jednym z dużych kamieni na brzegu, ostrożnie utrzymując równowagę. Wszędzie dookoła były wzgórza poprzecinane niskim kamiennym murem, za którym jak księżyc kniło Whitestone Manor. Po raz pierwszy od wielu dni czułam spokój, mimo spotkania z panem Travisem. Mogłabym spędzić tu cały dzień, obserwując ptaki nurkujące w poszukiwaniu płuskwiaków wodnych, słuchając świerszczy i czekając, aż odważny królik wyskoczy ze swej kryjówki w poszukiwaniu jedzenia.

I wtedy, oczywiście, Rowena musiała przyjść i wszystko popsuć.

Gdybym tylko mogła znaleźć prywatną szkołę dla duchów, zmusiłabym ją, żeby do niej chodziła. Może była córką

hrabiego, kiedy żyła, ale jako zmarła miała okropne maniere. I miałam zamiar jej to powiedzieć, kiedy tylko wymyśle, jak uspokoić moje przerażone serce.

Na początku powierzchnia wody zmarszczyła się lekko, a potem, pod powierzchnią, kamienie na dnie stały się oczami, brązowymi, wpatrującymi się we mnie oczami. Jej blada twarz ukazała się na powierzchni, a zaraz potem jej otoczone siniakami nadgarstki.

Wyciągnęła rękę z wody i pociągnęła mnie za kostkę. Mocno. Ponieważ Elizabeth patrzyła w wodę i nie reagowała, wiedziałam, że nie widziała nic poza pluskwiakami. Ja jednak czułam uporczywy dotyk zimnych palców, nawet przez moje buty. Nie sądziłam, że duchy mogą mieć cielesną postać.

Nie było to pocieszające odkrycie.

Odskoczyłam, ale ona szarpnęła mnie tak mocno, że potknęłam się i ześlizgnęłam z kamienia. Zamachałam bezradnie rękami jak zwariowany młyn i wrzasnęłam. Miałam wrażenie, że moja kostka jest otoczona lodem. Elizabeth krzyknęła i złapała mnie, ale zamiast powstrzymać mój upadek, dołączyła do mnie, dodając nam rozpędu. Wpadliśmy głową naprzód do zimnej wody z bardzo niedystygowanym pluskiem. Wymachiwałam rękoma i nogami, starając się trafić na górę.

Słońce zgasło, jakby połknięte przez burzowe chmury. Nie było światła, które mogłoby przebić wodę i poprowadzić mnie na powierzchnię. Czułam, że moje ruchy są spowolnione, jakbym pływała w płynnym miodzie. Było to to samo dziwne uczucie, które miałam podczas pikniku, tylko gorsze, znacznie gorsze.

Sadzawka nie była tak głęboka.

Powinłam była już dotknąć dna albo wypłynąć, a zamiast tego unosiłam się gdzieś pomiędzy. Spróbowałam się odbić, ale ledwo mogłam się ruszać. Woda wypełniała mi usta i nos, chciałam ją odkaslnąć, ale nawet to wydawało się zbyt

wielkim wysiłkiem. Na brzegu sadzawki był jakiś cień stojący w trawie, nagle jasno oświetlony światłem księżyca. Nie wiedziałam, czy to mężczyzna, czy kobieta, ale czułam, że go znam. A raczej, że zna go Rowena. Byłam zagubiona.

I tonęłam.

Szarpnęłam się mocniej. Moje włosy wysunęły się ze spi-nek i unosiły się w wodzie jak wodorosty. Suknia była ciężka i ciągnęła mnie w dół. Gorset stał się jak żelazne ręce, zbyt mocno zaciśnięte wokół mojej talii. Nadgarstki miałam posiniaczone, na szyi czułam palący ból. W ustach miałam dziwny smak, słodkawy, przypominający lekarstwo. Listy pofrunęły na powierzchnię sadzawki, zajmując się ogniem po dotknięciu wody.

I nagle Elizabeth schwyciła mnie za ramię i wyciągnęła na powierzchnię, parskając śmiechem. Włosy lepiły jej się do szyi i twarzy.

- Wyglądasz jak podtopiony szczur! - wykrztusiła, plując wodą, z szerokim uśmiechem.

Kaszlałam wodą, desperacko nabierając powietrza do spragnionych płuc. Ja się nie topiłam. Byłam pod wodą przez ledwie parę sekund. To Rowena się utopiła.

To już wiedziałyśmy. Nie musiała być tak gwałtowna w przypominaniu o tym. Zęby mi dzwoniły, a ja starałam się opanować panikę.

To Rowena utonęła - powtarzałam sobie. Nie ja.

Żałowałam, że nie mogę śmiać się z naszego niezdarnego upadku do sadzawki, jak Elizabeth. Zamiast tego gorączkowo zastanawiałam się, czy pływałyśmy nad martwym ciałem i czy nie złapie mnie coś innego. Nie potrafiłam wyjść z wody wystarczająco szybko. Poślizgnęłam się i znów wpadłam do wody, twardo lądując na plecach. Zanurzyłam rękę w poszukiwaniu oparcia w gęstym mule, dłońmi drapiąc o kamienie i skały. Woda wypełniała mi usta. Wynurzyłam się, plując, przerażona mimo woli.

- Niezdara! - żartowała Elizabeth, kładąc się na plecach, żeby stopami macić wodę w sadzawce.

- Co wy dwie wyprawiacie? - spytał czyjś lodowaty głos.

Elizabeth tylko roześmiała się głośniej. Tabitha patrzyła na nas z pogardą. W gardle narastał mi nerwowy chichot. Walczyłam z potrzebą wciągnięcia jej razem z nami do sadzawki. Jakoś nie wydawało mi się, żeby poprawiło to jej nastawienie. W swojej bladej sukni wyglądała bardzo elegancznie. My przypominałyśmy zszokowane koty i pachniałyśmy stojącą wodą.

- Tabitha, udało ci się uciec wujowi i Caroline! - zaszczybiała Elizabeth, kiedy wyszliśmy na brzeg, chwytając się długiej trawy. Wyglądaliśmy nieciekawie. Coś spadło z moich oblepionych błotem rąk i błyszczało słabo, aż zanurzyłam to w wodzie, żeby wypłukać najgorszy szlam. Moje buty skrzypiały przy każdym kroku.

- Znalazłam coś - wymamrotałam, przełykając ślinę. Był to złoty pierścień wysadzany perłami w kształcie stokrotek.

Tabitha zbladła.

- Daj mi to. - Złapała go tak gwałtownie, że jej paznokcie zostawiły na mojej ręce cienkie czerwone ślady. Oczy miała podejrzanie błyszczące.

Elizabeth przekrzywiła głowę.

- To twoje, Tabitha?

Z nagłą jasnością dotarło do mnie, że ten pierścień nie był jej. Należał do jej siostry Białe lilie zafalowały u jej stóp; niezwykle światło wyostrzyło ich zarysy.

- Należał do Roweny - wyszeptała, właściwie do siebie. Kiedy na nas spojrzała, jej wzrok był palący jak gorący węgiel rzucony prosto na mnie. - Wynoś się z posiadłości mojego wuja - powiedziała przez zęby. - Zanim poszczuję ciebie psami.

Kiedy Tabitha odeszła, Elizabeth uniosła brwi prawie po samo czoło.

- No - wysapała. - Doprawdy. - Usiadła na trawie, pozwalając słońcu ogrzewać swoją twarz. - Ciekawe, o co jej chodziło? - spytała zaintrygowana. Spojrzała na mnie wyczekująco.

- Co? - spytałam, odwracając wzrok.

Przewróciła oczami.

- Violet, nie mam ptasiego mózdzku. Wiem, że jest coś, o czym mi nie mówisz. Pamiętaj, że też widziałam wiadomość na tablicy, i to niesportowe z twojej strony mnie z tego wykluczać.

Na chwilę przygryzłam wargę, ale szybko podjęłam decyzję. Powiedziałam jej wszystko: jak zobaczyłam Rowene, zanim jeszcze poznałam Tabithę, o głosach w jadalni, duchach na balu, wszystko. Jako dobra przyjaciółka i, co ważniejsze, dziewczyna z rodziny spirytystów, Elizabeth uwierzyła mi od razu i prawdopodobnie zrobiłaby to jeszcze, zanim użyłszy tablicy spirytystycznej. Ja wątpiłam w każde swoje słowo, ale ona tylko kiwała głową.

- Och, Vi, jakie to podniecające! Co na to twoja matka? Na pewno przechodziła coś podobnego, kiedy otrzymała swój dar?

- Ona nie może się dowiedzieć. - Popatrzyłam na nią sta nowczo. - Obiecaj mi.

Elizabeth zamrugała, po czym powoli pokiwała głową.

- Dobrze. Ale w takim razie co zrobimy?

- Nie wiem - jęknęłam, opadając na trawę i rozsiewając płatki jaskrów. - Naprawdę nie wiem. Ale muszę coś zrobić. Ona robi się coraz bardziej natarczywa. - Zawahałam się. - Kiedy ją widzę, ma siniaki wokół szyi i nadgarstków.

- Nie! - Elizabeth gwałtownie wciągnęła powietrze. - Naprawdę została zamordowana.

Unikałam tej części zagadki z taką ostrożnością, jak unikałabym szerszenia.

- Mówiłaś, że się utopiła - przypomniałam jej, chociaż ani przez chwilę w to nie wierzyłam.

- Dziewczeta, które się topią, nie mają takich siniaków.

- Usta jej drżały. - Na pewno chce, żebyśmy znalazły jej mordercę.

Uniosłam głowę.

- My?

- Oczywiście. My. Naprawdę myślałaś, że będę siedzieć z założonymi rękoma i pozwolę ci samej się tym zająć? Zwłaszcza że chodzi o moją przyjaciółkę z dzieciństwa? Doprawdy, Yiolet. - Wydawała się szczerze zniesmaczona.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie miałam wielu przyjaciół. Często zmienialiśmy miejsce zamieszkania i mieliśmy zbyt wiele tajemnic.

- Dziękuję - wyszeptałam.

- Od czego zaczniemy?

- Chciałabym to *wiedzieć*. - Przeczesałam ręką włosy kompletnie zmierzwiłone od wilgoci. - Nie mogę przecież powiedzieć Tabicie. Już i tak mnie nienawidzi.

- Oj tak.

Skrzywiłam się.

- Dzięki.

Elizabeth poklepała mnie po ramieniu.

- Tylko dlatego, że przez ciebie czuje się bezbronna, a ona tego nie znosi. Och, i jest przyzwyczajona do bycia najładniejszą dziewczyną w pokoju, a ty jesteś ładniejsza od niej.

- Ona jest damą, córką hrabiego.

- Możliwe, ale jest potwornie irytująca.

- To prawda. - Skręciłam włosy w sznur i ścisnęłam, aż przestały ociekać wodą za mój kołnierz. - Zapomniałam ci powiedzieć. Myślę, że wczoraj wieczorem znalazłam naszego nPana T-r-a". Pan Travis to mężczyzna noszący srebrną spinkę do krawata, który przed chwilą był przy sadzawce.

I czekałaś cały ten czas, żeby mi to powiedzieć?
- Spojrzała na mnie z szeroko otwartymi ustami, po czym potrząsnęła mną.

- Właśnie umarła dziewczyna wepchnęła mnie do sadzawki - wymamrotałam. - A niedługo mogę być zaręczona. Wcześniej prawie przygniotła mnie urna. Byłam dość zajęta.

- No już dobrze - wyburczała, po czym urwała.
- Czekaj. Urna? - spytała zdziwiona.

Opowiedziałam jej o urnie i o panu Travisie.

Podniosłyśmy się, dygocąc w mokrych sukniach. Słońce grzało mocno, ale zdecydowanie czas było włożyć coś suchego. Udałyśmy się w powrotną drogę przez wzgórza i nieskazitelne trawniki z doskonale wypielęgowanymi płaczącymi wierzbami.

- Wiesz, co musimy zrobić, prawda? - spytała wreszcie Elizabeth z przejęciem.

Natychmiast poczułam niepokój. I podniecenie.

- Co takiego?

- Musimy powęszyć. - Zatarła ręce. - Wreszcie wychowanie mojej matki na coś się przyda. Co mi po szukaniu bogatych kawalerów, ja mam zamiar znaleźć mordercę.

ROZDZIAŁ 10

C# BO

Następnego ranka miałam bibliotekę dla siebie. Elizabeth ruszyła zebrać plotki w bardziej konwencjonalny sposób. Matka wciąż była w łóżku i nie spodziewałam się, że wstanie przed południem. Szampan zawsze tak na nią działał - głównie dlatego, że rzadko miała okazję go pić, więc za każdym razem przesadzała.

Przechadzałam się po ogromnym pomieszczeniu o ścianach zastawionych książkami po sam sufit. Wybór był ogromny. To było lepsze niż ciastka z kremem czekoladowym, lepsze niż pocałunek Xaviera - i prawie tak dobre, jak pocałunek Colina. Na samą myśl poczułam zdenerwowanie i przycisnęłam rękę do brzucha. Nawet teraz trudno mi było uwierzyć, że on się naprawdę zdarzył. Bardzo chciałam rozpamiętywać go trochę dłużej, ale nieco przyćmiła go brutalna rzeczywistość z duchami, tablicami spirytystycznymi i mordercami.

Ułożyłam mały stos książek na stoliku, zdjęłam buty i usiadłam ze zwiniętymi nogami. Słońce zaglądało przez okna, rzucając światło na skórzane fotele. Przewertowałam grube welinowe strony, wdychając zapach pergaminu i słońca. Okna były szeroko otwarte, a podmuch wiatru przynosił zapach róż. Jakież szczęście miała Elizabeth, że spędzała tu tak dużo czasu. Zazdrościłam jej tego, prawie tak mocno jak prostoty życia jej i jej rodziny. Jej matka potrafiła być czasem strasznie apodyktyczna, ale ja nawet nie wiedziałam, kim jest mój własny ojciec: lordem, rzeźnikiem czy producentem

świec. Ojciec Elizabeth kupował jej suknie, satynowe wstążki i konie arabskie.

Wróciłam do balsamu, którym były dla mnie poezja i proza. Nie było sensu się o to dąsać. Moja matka była moją matką, nie mogłam przecież pójść do sklepu i kupić sobie nową. Całe szczęście, że Colin potrafił nas rozdzielić.

Sięgnęłam po egzemplarz *Alicji w Krainie Czarów* o lekko pomarszczonej obwolucie. Była to moja ulubiona powieść, ale dotąd nie zdołałam kupić jej sobie na własność. Miałam już odłożone pieniądze, schowane w bucie z tyłu szafy. Dostałam je od starszych pań, które przychodziły na seanse matki i wsuwały mi *monety do ręki*, kiedy pomagałam im oprzeć ich laski albo przynosiłam herbatę. Lord Jasper także regularnie dawał mi parę szylingów, kiedy matka była zajęta czymś innym. Ona oczekiwała, że kupię za to koronkowe chustki albo ziemniaki na kolację. Pewnie powinnam była się z nią podzielić. Zamiast tego odkładałam każdy szyling na książki. Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie sięgnąć po leżący obok *Alicji w Krainie Czarów* egzemplarz *Jane Eyre* - ta książka była dla mnie jak stary przyjaciel.

Na dobre pół godziny zagościłam w czerwonym pokoju w Thornfield Hall z mrukliwym i przystojnym panem Rochesterem. Xavier ani trochę go nie przypominał. Wiedziałam, że nie ma żadnych tajemnic. Nie będzie mi dokuczał ani na mnie warczał, ale też nigdy nie przebierze się dla rozrywki za starą Cygankę. Nie wiedziałam, czemu ich ze sobą porównuję. Ani czemu doskonale wyobrażałam sobie Colina ze szkatułką pełną sekretów.

Jane, ubrana w swoją najlepszą sukienkę, właśnie opuszczała kościół na wieść o żyjącej żonie pana Rochester, kiedy Elizabeth stanęła nade mną i odchrząknęła.

Podskoczyłam zgłósnym wrzaskiem. Zdumiona Elizabeth odwrzasnęła jeszcze głośniej.

- Czemu krzyczymy? - zawołała, przyciskając ręce do piersi.

Zamarłyśmy, popatrzyłyśmy na siebie, po czym wybuchnęłyśmy śmiechem. Jak zwykle siedzenie z nosem w książce sprawiało, że zupełnie zapomniałam o swoim otoczeniu. Byłby ze mnie marny szpieg - pierwsza osoba, która podałaby mi książkę, mogłaby spokojnie odstrzelić mi głowę bez zwracania mojej uwagi. Elizabeth opadła na krzesło i zdmuchnęła zabłąkany lok znad oka.

- Rozmawiałam z każdą obecną tu staruszką i wypięłam tyle herbaty, że starczyłoby na poszerzenie Tamizy - wymamrotała. - Dokładnie wiem o wszystkich zapaleniach stopy, haluksach i zapaleniach gardła. I że ponad połowa ludzi tutaj jest potwornie zmęczona - przedrzeźniała, osuwając się w krzesło tak, jak żadna z nas nigdy by się nie ośmieliła, gdyby któraś z naszych matek była w pobliżu. - Za to nie wiem prawie nic o tragicznej śmierci Roweny.

Niechętnie odłożyłam książkę.

-Nic?

- Nic, poza historią, którą wszyscy już znają, że utopiła się zeszłej jesieni. Dużo przy tym wzdychania i „mój Boże”, ale nieużytecznego. Co się stało z porządną plotką? Jest mi szczerze za nich wszystkich wstyd. Nawet wspomnienia o jej ojcu to wciąż te same narzekania na temat hazardu i dłużników.

- A pan Travis?

- Nic czego byśmy już nie wiedziały. Moja matka ani żadna z jej przyjaciółek nie raczy z nim rozmawiać. Są dość oburzone, że lord Jasper w ogóle go zaprosił. Więc nadal nie przypominam sobie, gdzie mogłam go wcześniej widzieć.

- A niech to.

- To samo myślą o Xavierze - przykro mi to mówić, ale jest dość bogaty, żeby udawały co innego. A ty jesteś taka piękna, że uważają go za szczęściarza. - Wyobrażałam sobie, co by o mnie myślały, gdyby znały prawdę.

Wstałam i podeszłam do półek przy oknie. Nie mogłam dłużej ich unikać.

- Może to nam pomoże? - powiedziałam, kładąc całą stertę na dużym okrągłym stole.

- Dzień jest zbyt ładny na czytanie - jęknęła Elizabeth.

- Nie ma zbyt ładnego dnia na czytanie - odparłam stanowczo.

- Erudytką z ciebie, bez przerwy z nosem w książce - stwierdziła, wzdychając ciężko. - Poza tym od czytania boli mnie głowa.

Uniosłam brew i popchnęłam w jej kierunku stertę broszur.

- Czytaj.

- Moja matka mówi, że nie powinnam być zbyt inteligentna, bo żaden mężczyzna mnie nie zechce. - Prychnęłam. Elizabeth oparła brodę na dłoni i uśmiechnęła się szeroko.

- Może w takim razie nie wyjdę za męża. Zamiast tego zostaniemy starymi pannami i zamieszkamy w chatce nad morzem. Spalimy nasze gorsety, będziemy jeść czekoladę w dzień i w nocy i zrobimy się okrągłe jak jeże.

- Brzmi uroczo. Ale wolałabym książki od czekolady.

- To przestępstwo - zawyrokowała. - Wolałabyś książki od ananasa?

- Nawet od ananasa.

Czytałyśmy przez kilka godzin, dowiadując się o duchach więcej, niż uważałyśmy za możliwe: że czasami przejmują władzę nad ciałem, piszą na tabliczkach, a medium nie ma żadnej kontroli nad tym, co piszą, że wyczarowują z powietrza kwiaty, dmuchają zimnym wiatrem (bez pomocy miechów), że kobiety są bardziej podatne na ich działanie i bardziej odpowiednie do prowadzenia seansów, że polecenia od duchów należy wykonywać dokładnie i że choroba często poprzedza rozwój darów spirytystycznych. Czytałyśmy, aż nawet mnie zaczęły boleć

oczy, ale czułam się tak samo zagubiona. Wreszcie Elizabeth zatrzasnęła książkę, wznecając tumany kurzu.

- Dość tego! - zawołała. - Mam mętlik w głowie, a jeśli zrobią mi się zmarszczki wokół oczu, matka mnie zabi-
je. I ciebie też, jak sądzę. Jest przekonana, że moja kuzynka
Mary właśnie dlatego nie wyszła za męża. Chociaż jest dużo
bardziej prawdopodobne, że to dlatego, że jest wiecznie nie-
zadowolona i je za dużo cebuli. - Skoczyła na równe nogi.

- Chodźmy na spacer.

- Ale musimy szukać dalej.

- Pójdziemy nad sadzawkę i zobaczymy, czy czegoś nie
znajdziemy. To są poszukiwania.

- I raczej zły pomysł. - Wstałam i uśmiechnęłam się.

- Chodźmy.

Złapała mnie za rękę, zanim zdążyłam zmienić zdanie.

- Powinnyśmy odłożyć książki. - Zaśmiałam się, ciągnąc
ją wstecz.

- Zrobi to pokojówka. No chodź.

Wsunęłam jedną małą książkę do kieszeni. Nie udało mi się
skończyć rozdziału o kontaktowaniu się z duchami, a wyda-
wał się on obiecujący. Może być nam pomocny. Wypadłyśmy
do rozświetlonego ogrodu, mrugając jak małe sówki.

- Nie tędy - syknęła Elizabeth, kiedy chciałam skrócić.

- Piją herbatę na zewnątrz, a jeśli usłyszę jeszcze słowo na te-
mat tego, że wilgoć jest niedobra dla kości, przysięgam, że
zacznę krzyczeć.

Zanurkowała pod krzewem cisowym dokładnie przy-
strzyżonym na długość dwóch i pół centymetra. Miał kształt
królika, jeśli króliki mogą być nieruchome i doskonałe. Za
nim biegła wąska ścieżka wijąca się wokół patio i osłonię-
ta przed ludzkim wzrokiem kratami porośniętymi kolejny-
mi różami i powojem. Minęłyśmy oranżerię z małymi drzew-
kami cytrynowymi i pomarańczowymi, przyciskającymi

błyszczące liście do szyb. Między nimi przeszedł jakiś cień. Rozpoznałam burzę białych włosów.

- Wujek Jasper! - stwierdziła Elizabeth triumfalnie. - Jest sam. Doskonale.

- Nie powinniśmy mu przeszkadzać, - Nie wiedziałam, czemu czuję się tak niepewnie. Byłam zła na Colina, którego niejasne ostrzeżenia powodowały moje wahanie.

- Nie bądź gąską. Jak inaczej mamy zdobyć jakieś informacje? W ten sposób będziemy mogli zadać mu tyle impertynenckich pytań, ile będziemy chciały. Jemu to nie przeszkadza

W szklanym pomieszczeniu było ciepło i wilgotno, czuć było zapach wilgotnej ziemi i kwiatów. Dostrzegłam klomb lili i kilka półek z różami w malowanych donicach. Nawet zimą Rosefield będzie godne swego miana. W glinianych donicach, tak dużych, że mógłby się w nich schować dorosły człowiek, rosły figusy, hibiskusy i ananasy. Lord Jasper spacerował w tę i z powrotem po wąskich alejkach, rytmicznie postukując laską. Duże liście ocierały mu się o ramiona.

- Ach, dziewczęta! - powiedział, zerkając na nas, choć nie miałam pojęcia, skąd wiedział, że tu jesteśmy. Nie zrobiliśmy nawet szmeru. - Dzień dobry.

- Dzień dobry, wuju Jasperze - odparła Elizabeth, wkładając palec do doniczki. Skrzywiła się na widok ziemi, która weszła jej za paznokiec. Ja złożyłam ręce w pasie i **WY** konałam uprzejmy dyg. Trudno było mi spojrzeć lordowi Jasperowi w oczy.

- Czy podoba się pani pobyt, panno Violet? - spytał
- Mogę nazywać panią Violet, prawda?

Skinęłam głową.

- Oczywiście, wasza lordowska mość.

- Seans twojej matki będzie z pewnością jeszcze bardziej spektakularny niż nasz wczorajszy mały wiejski bal. - Patrzył na mnie uważnie, przenikliwie.

Wydałam wymijający dźwięk, podczas gdy Elizabeth gładziła grube liście skrzydłolistu.

- Może chciałbyście pojeździć konno? - Lord Jasper zerwał parę uschniętych liści z najbliższej paproci.

Nigdy nie uczyłam się jeździć konno, a było to niezbędną umiejętnością wszystkich młodych panien z arystokracji. Nie było nas stać na to, żeby trzymać konia. Zaczynałam być zmęczona kluczeniem po ciasnych alejkach, w które zapędził się przez nasze kłamstwa, przez stan naszych finansów, przez wszystko. W ustach czułam gorzki smak winy.

- To bardzo uprzejme z pana strony, lordzie Jasper - odparłam pospiesznie, zanim Elizabeth, której uwagę łatwo było odwrócić, zdążyła się zgodzić. - Ale postanowiłyśmy pójść na przechadzkę i nie chcę kłopotać pańskiego stajennego. - A dokładniej nie chciałam sprawiać mu kłopotu, łądując u jego stóp.

- Doskonale. Może mogłybyście wziąć ze sobą Tabithę?

Elizabeth rzuciła mi triumfujące spojrzenie.

- Ale Tabitha jest taka dokuczliwa - poskarżyła się swemu chrzestnemu.

- Wciąż jest w żałobie - przypomniał jej. - Wiesz, jak bardzo ucierpiała jej rodzina.

Skinęła głową, kręcąc w dłoniach pęk róży, aż płatki opadły na podłogę. Wyglądały jak krew na białych kamieniach.

- Równie dobrze może wstąpić do zakonu - westchnęła i było w tym słychać prawdziwy smutek. - Lubiłam Rowenę - dodała miękko.

Lord Jasper pocieszająco poklepał ją po ramieniu. Po dłuższej chwili ciszy Elizabeth zmarszczyła nos w przypływie frustracji.

- Byłam wtedy z *maman* - spróbowała znowu. - Spędzałyśmy lato w Paryżu - wyjaśniła mi. - Nigdy nie usłyszałam szczegółów.

Jej brązowe oczy emanowały bezbrzeżną prostotą i niewinnością jak u małego kotka. Z takim aktorstwem mogłaby występować na deskach teatru na Drury Lane. Musiałam powstrzymać nerwowy chichot, a usta Elizabeth zdrząły. Unikałyśmy swojego wzroku. Ja wpatrywałam się w eleganczką, różową orchideę rosnącą w okrągłej doniczce, walcząc z kolejnym, niestosownym chichotem. Elizabeth uszczypnęła mnie ukradkiem, po czym zwróciła się wyczekująco do swego chrzestnego.

- Wuju?

- Tak, moja droga?

Elizabeth przekrzywiła głowę. Widać było, że intryguje ją, czemu lord Jasper nagle zaczyna wydawać się nieobecny i roztargniony. To nie było w jego stylu, nawet ja to wiedziałam.

- Jak umarła Rowena? - nalegała Elizabeth.

- Utopiła się.

- Przecież umiała pływać - odparła Elizabeth. - Wymykałyśmy się czasami razem, kiedy było zbyt gorąco na cokolwiek innego.

Spojrzał na nią twardo.

- Obiecuj mi, że nie będziesz chodziła sama nad sadzawkę. Żadna z was. I trzymaj się z dala od Whitestone, dość mają kłopotów.

Wymieniłyśmy krótkie spojrzenia. Wcisnęłam książkę głębiej do kieszeni.

- Wuj...

- Obiecuj mi! - Krzyknął, podkreślając to uderzeniem łaski o ziemię.

Skinęłyśmy głowami, chociaż dobrze wiedziałam, że obie kłamiemy.

- Dobrze. A teraz już idźcie. Cieszcie się słońcem.

Odwróciłyśmy się, żeby odejść, ale Elizabeth zatrzymała się, wróciła.

Czemu miała siniaki na szyi? - spytała cicho.

Pomieszczenie wypełniła ciężka cisza, a powietrze wydało się gęste jak dżel. Przeszła całe dni na lekturach spirytystycznych i piciu portu w klubach.

- Gdzie o tym usłyszałaś? - spytał.

Elizabeth skuliła się nieco.

- N-nigdzie. Naprawdę.

Przeszył mnie spojrzeniem bladych oczu.

- Violet?

Pokręciłam w milczeniu głową. Chciałam mu powiedzieć, ale nie mogłam. Zmrużył oczy. Wreszcie warknął.

- Zostawcie to w spokoju, dziewczęta. Albo odeślę was obie natychmiast do Londynu.

ROZDZIAŁ 11

Lord Jasper sztywnym krokiem wymaszerował z oranżerii i skierował się w stronę domu. Popatrzyłyśmy na siebie, po czym wolnym krokiem ruszyłyśmy dalej, w kierunku szopy ogrodowej. W żywopłocie śpiewały ptaki. Konik polny zdezorientowany odbił się od mojego kolana. Elizabeth złapała mnie pod rękę, trzęsąc się cała.

- Nigdy go takim nie widziałam - wyszeptęła. - On coś ukrywa.

- Coś na pewno jest nie tak. - Przygryzłam dolną wargę.
- Może to bardziej niebezpieczne, niż myślałyśmy. Może nie powinnaś się w to ze mną mieszać?

- Pfff - zawołała. Był to bardziej świst powietrza niż okrzyk, ale dość jasno wyrażał, co chciała powiedzieć.

- Będziemy musiały uważać - powiedziałam, wyjmując z kieszeni małą książkę w twardej okładce. Może wyglądała niepozornie, ale skórzana oprawa była przetarta, a grzbiet poluzowany od wielokrotnego czytania. Ktoś najwyraźniej czytał ją więcej niż raz.

- Uważać na co? - spytał jakiś głos podejrzliwie. Zamarłam, tłumiąc jęk. Znałam ten głos aż za dobrze, i ten ton. Jeszcze zanim podniosłam wzrok, wiedziałam, że Colin marszczy brwi.

- Na nic - odparłam z naciskiem.

Colin stał za szopą, opierając się o drzewo. Na pobliskim kamieniu siedział Fryderyk, z łokciami opartymi na kolanach

I z butelką w dłoni. Obok stał trzeci młody człowiek w ich wieku i uśmiechał się złośliwie.

- Dawny narzeczony Roweny - syknęła mi do ucha Elizabeth. - Peter Burlington, najstarszy syn hrabiego Berkeley. Ma paskudne humory, jeśli coś dzieje się nie po jego myśli.

Peter był przystojny i uwodzicielski, jednak nie spodobał mi się sposób, w jaki na mnie patrzył, jakbym była lukrowanym ciasteczkiem świeżo wyjętym z piekarnika.

- I Rowena go kochała?

- Nie sądzę. Owszem, lubiła go, ale to ich ojcowie byli prawdziwie zachwyceni sobą i związkami, jakie ich połączyły, kiedy poženili ze sobą swoje dzieci. Nawet wuj Roweny aprobował to małżeństwo, ale tylko dlatego, że była jeszcze Tabitha, która chciała wziąć udział w kilku sezonach balowych, żeby spotkać odpowiedniego kawalera i pochwalić się sukniami. On ma dostęp do majątku Wentworthów tylko, kiedy pozostaje ich opiekunem.

Fryderyk wyprostował się, pociągnął solidny łyk i podał butelkę Colinowi, którego nigdzie indziej nawet by nie zauważył, ale był niewątpliwie zadowolony, mogąc w jego towarzystwie skracać sobie czas na wsi. Następnie wstał i wykonał niedbały ukłon.

- Moje panie. - Wyszczrzył zęby, bynajmniej niezawstydzony. - O czym tak szepczecie?

Eliabeth wyprostowała się natychmiast, odgarniając loki z twarzy.

- Fryderyku. - Delikatnie wciągnęła powietrze. - Czy ty pijesz maderę? - spytała, zszokowana, zgrabnie zmieniając temat. - O tej godzinie? - Dochodziło południe, oni zaś byli wyraźnie wstawieni.

Wzruszył ramionami, podczas gdy Colin upił łyk i oddał *mu* butelkę.

- Niewiele innego do roboty w tym cholernym miejscu
- stwierdził Peter, przeciągając.

Znałam ten głos.

Słyszałam go w ogrodzie, jak namawiał Caroline na pocałunek.

Jedna tajemnica rozwiązana, za to pojawiło się parę innych. Czemu pan Travis ich szpiegował? I o czym mogli szeptać syn hrabiego i guwernantka w samym środku nocy? Czy Caroline wiedziała coś o śmierci Roweny, o czym nie powiedziała nikomu? A może Peter, który podobno miał paskudne humory? Będę musiała spytać o to Elizabeth, ale tymczasem straciłam ją z powodu wątpliwych wdzięków Fryderyka.

- Ty nie znosisz madery - zwróciła się do niego.

Zamrugał, patrząc na nią.

- Skąd ty o tym wiesz?

Wzruszyła ramionami i zarumieniła się.

- Podoba ci się pobyt?

Peter zaśmiał się.

- Podobałby mu się bardziej, gdyby wuj Tabithy nie wygnał go kopniakami z jej posiadłości.

Uśmiech Elizabeth przygasł.

- Chciałeś zobaczyć się z Tabitha? Czemu?

Teraz Fryderyk wzruszył ramionami.

- Jest ładna, bogata i znudzona.

- Tak jak ty - wymamrotałam pod nosem.

- Ale Wentworth nie chciał o tym słyszeć.

- Przepędził nas obu, jeśli sobie przypominasz - poczuł się zmuszony dodać Fryderyk. - Nie zaprosił cię raczej do biblioteki na szklaneczkę porto, stary.

Podczas gdy oni spierali się ze sobą, Colin odepchnął się od pnia dębu.

- Piękna Yiolet - powiedział. - Co ty planujesz?

Staralam się nie spłonać rumieńcem. Nie byłoby najlepiej dla mnie i dla Elizabeth, gdybyśmy obie zaczęły chichotać i potykać się jak zadurzone kociaki. Poza tym nie miało dla mnie absolutnie żadnego znaczenia, że Colin uważał, iż jestem piękna. Naprawdę.

Spojrzałam na niego złowrogo.

- Poważny mały kwiatusek - powiedział tak cicho, że inni go nie słyszeli. Wyciągnął rękę i przesunął palcem po moich brwiach. Musiałam przełknąć ślinę, bo nagle zaschło mi w gardle. Przez jedną szaloną chwilę myślałam, że ma zamiar pochylić się i pocałować mnie, tak po prostu przy wszystkich.

Xavier miał mi się oświadczyć. To jego powinnam całować.

Colin był jednak tak blisko, że czułam słodkie wino w jego oddechu. I wtedy, kiedy ja zastanawiałam się, czy przysunie się do mnie jeszcze bliżej, on wyciągnął rękę i wyrwał mi książkę z ręki, szybko jak letnia burza. Próbowałam ją przechwycić, ale za późno.

- Cholera, Colin.

Zacmokał.

- Takie wyrażenia u młodej damy.

- Zaraz dostaniesz w pieszczel.

Zignorował mnie, przypatrując się tytułowi książki. Uniosłam brodę. Nie miałam powodu, by czuć się zakłopotana lub winna. Więc proszę.

- Co ty planujesz? - spytał mnie cicho.

Obdarzyłam go krótkim i całkowicie nieszczerym uśmiechem, który sprowadzał się do tego, że obnażyłam zęby jak wściekły pies. Schwyciłam książkę z powrotem.

- Nic - odparłam z fałszywą godnością. Zadarłam nos wysoko w powietrze dla podkreślenia moich słów i złapałam Elizabeth za rękę. - Idziemy przejść się po ogrodzie.

Colin zrobił krok w moim kierunku.

- Yiolet.

Odeszłam pospiesznie. Nie podobało mi się, że nagle zaczynam oddychać z trudnością.

- On jest bardzo przystojny - szepnęła Elizabeth. - Nigdy wcześniej tego nie zauważyłam. Nawet z tym akcentem.

Nic nie odpowiedziałam.

- Kłóćcie się jak brat z siostrą.

- On nie jest moim bratem - rzuciłam.

Elizabeth nie powiedziała już ani słowa. Szliśmy żwawo przez przystrzyżone trawniki. Zanim dotarliśmy do sadzawki, brakowało nam tchu. A kiedy już tam doszliśmy, poczułam się głupio z moim poradcikiem w ręku.

- Może to nie taki dobry pomysł.

- To nasz jedyny pomysł, Vi.

- To prawda. - Przerzuciłam strony raz jeszcze, po czym znowu schowałam książkę. Odgarnęłam włosy z twarzy i przestąpiłam z nogi na nogę.

Czułam się jak kretyńka.

Elizabeth wyszczerzyła się.

- Masz pchły?

Zrobiłam grymas w jej kierunku i przestałam się kręcić.

- No dobrze. Zaczynamy.

Pokiwałam głową w przód i w tył, żeby rozluźnić mięśnie.

- Vi!

- Dobra - wymamrotałam. Starałam się uspokoić krew tętniącą mi w uszach i nie przypominać sobie upiornych oczu wpatrujących się we mnie na balu. Częściowo miałam nadzieję, że to nie zadziała. Tak wiele czasu poświęciłam, walcząc o to, by nie być taką jak moja matka, że posiadanie przeze mnie prawdziwych zdolności medium zakrawało na ironię

- Du... - Musiałam przerwać i odchrząknąć. - Duchy, zapraszam was. - Elizabeth trąciła mnie, bym kontynuowała, kiedy znów się zawahałam. - Roweno Wentworth, wzywamy cię, byś przemówiła do nas. Roweno!

Podmuch zmarszczył powierzchnie wody. Żdźbła trawy skłębiły się i zafalowały. Szlam na dnie zawirował i zaciemnił taflę. Słońce świeciło nad nami jasno i obojętnie.

- Roweno!

Sadzawka pociemniała, jakby była pełna burzowych chmur. Woda była koloru płatków hiacyntów i lili; odbicie mojej twarzy rozmywało się i zmieniało. Oczywiście, w które patrzyłam, już nie były moje, z fiołkowoniebieskich stały się orzechowobrazowe, moje ciemne włosy przybrały kolor żonkili, wymknęły się z upięcia i opływały bladą szyję.

W sadzawce unosiła się spokojnie Rowena.

- Roweno, czemu wciąż do mnie przychodzisz?

Wskazała na swoje gardło. Jej wargi poruszały się, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Słyszałam wcześniej głosy wszystkich innych duchów, ale jej nigdy, chociaż przypuszczałam, że był taki sam jak Tabithy, może tylko mniej zjadliwy.

- Nie możesz mówić? - spytałam.

Potrząsnęła głową. W jej włosach znów były lilie.

- Bo utonęłaś? Czy zostałaś uduszona?

Skinęła głową.

- I nie spocznesz, póki nie znajdziemy twojego mordercy?

Znów skinęła głową. To było zadanie dla posterunkowego albo dla prywatnego detektywa, nie dla nas dwóch.

- Wiesz, kto ci to zrobił?

Jej twarz zmieniła się, przybrała dziki, wściekły wyraz. Nad nami zaczęły zbierać się chmury, rozprzestrzeniając się jak rozlany atrament. Było coraz zimniej. Zbliżyłyśmy się do Elizabeth do siebie. Dłonie miałam wilgotne.

Rowena uniosła się tak, że pływała teraz na palcach, zostawiając ślady na wodzie. Obróciła się raz, wyciągając ręce, jakby tańczyła walca. Udała śmiech, popijając z niewidzialnej filiżanki, mrugając rzęsami, flirtując. Potem wskazała za nas, na

Rosefield Manor. Spojrzałam na nią zdumiona. Nie podobało mi się, dokąd to zmierzało.

- Twój morderca jest na przyjęciu?

Skinęła głową. Zaczynałam mieć dość tych skinieć.

Tańczyłyśmy walca i chrupałyśmy ciasteczka do herbaty z mordercą.

Zadrżałam, kiedy z chmur spadło parę zimnych kropeł. Uderzył w nas lodowaty wiatr.

- Czy to Peter? - spytałam. - A może pan Travis?

Wyglądała na coraz bardziej rozwścieczoną.

- Czy to pan Travis? - powtórzyłam. Uderzyły w nas kulki lodu przeganiane nienaturalnym wiatrem. Moje serce gwałtownie przyspieszyło. Deszcz był coraz silniejszy jak setki małych strzał. Woda zabulgotała. Cofnęłyśmy się, oddalając się od krawędzi.

- Powinnyśmy wracać! - zawołała Elizabeth, przekrzykując burzę. Rowena wyglądała na przerażoną. Jej usta otworzyły się w niemym krzyku, oczy płonęły jak gwiazdy. Rozległ się dźwięk, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałam. Rowena zdawała się walczyć, szarpiąc się i przeklinając.

I nagle zniknęła.

Stałyśmy tak przez dłuższą chwilę, zdumione i milczące. Na powierzchni wody utworzyła się nowa twarz, a ja poczułam, jak strach wbija we mnie swoje ostre zęby. To był ktoś kogo nie znałam.

Wyłonił się z wody i ruszył prosto na mnie. Jego twarz była dzika, głodna i krwiożercza. Na sobie miał poszarpane resztki surduta poplamione krwią. Włosy miał białe i potargane, policzki wychudłe, o kościach policzkowych ostrych jak noże. Na skroni miał rozcięcie, a we włosach więcej krwi

Wokół nas szalała gwałtowna burza. Deszcz dodawał cię żaru mojej sukni, jakby do jej rąbka przyszyto kawałki ołowiu. Fiszby mojego gorsetu były jak z lodu. Widziałam

przez widmo na wylot, mogłam dostrzec trawę, sadzawkę i błyskawice na wzgórzu poza nim, a co jeszcze gorsze: czujamgo. Schwycił mnie, wbił we mnie ręce zimne, zimniejsze niż cokolwiek, co wcześniej czułam.

Usłyszałam, jak Elizabeth krzyczy, ale jego głos był gorszy- lodowaty i ponury.

- Zemsta - wyszeptał, prawie jakby śpiewał sobie kołysankę. Włosy na mojej szyi i ramionach stanęły dęba. Było to równie przerażające, co jego próba pokonania mnie.
- Zemsta, po tylu latach.

Próbowałam go odepchnąć, ale nie mogłam go dotknąć. Zaczynałam się czuć tak, jakby moje żyły zmieniły się w zamrożone rzeki. Z każdym oddechem wypuszczałam kłęby pary, unoszące się w powietrzu. Było mi słabo i kręciło mi się w głowie, jakby wyciągał mnie z mojego ciała, jakby zamierzał mnie *stamtąd* wyrzucić albo co gorsza uwięzić w środku i przejąć nad mną kontrolę. Moja ręka już uniosła się wbrew mojej woli. Jeśli mu się to uda, będzie to gorsze niż śmierć. Wiedziałam to dobrze, ale nie wiedziałam, jak go powstrzymać.

- Nie! - Myślałam, że krzyknęłam, ale z gardła wydobył mi się tylko bulgot. Przewróciłam oczami. Zamachnęłam się pięścią, jakby mój napastnik miał ciało i oczy, które mogłabym oslepić, ale poślizgnęłam się na mokrej trawie i upadłam na Elizabeth. Przewróciłyśmy się na trawę. Wystarczyło, żeby odeprzeć rozwścieczonego ducha.

- Oj! - Colin izucił się na nas z okrzykiem. Kołnierz jego płaszcza znalazł się blisko mojego nosa, który już sztywniał od mrozu, podobnie jak moja suknia. Gwałtownie nabrałam powietrza. - Co to u diabła było? - spytał.

Deszcz wciąż padał, ale już łagodniejszy i cieplejszy.

Tylko pokręciłam głową, pozwalając, by ciepło jego ciała przegnało ostatnie dreszcze. Pachniał dymem, winem i jeżykami. Chciałam zwinąć się koło niego w kłębek jak kot.

- Och, Violet - szepnęła Elizabeth.

Colin podskoczył lekko, jakby zapomniał o jej obecności. **Usiadł**, po czym podparł mnie ramieniem, widząc, że staram się zrobić to samo. Wstałam, ale moje kolana były jak z waty. Czułam się, jakbym przez kilka dni bez odpoczynku płynęła przez ocean. Wszystko mnie bolało. Powoli odsunęłam się od sadzawki, marząc tylko o gorącym ogniu i wiadrach ciepłej herbaty. Colin zaklął, podszedł do mnie, po czym uniósł mnie w ramionach. Wiedziałam, że Elizabeth, mimo przeżytego strachu, uważa to za bardzo romantyczne. Ja tylko spojrzałam na niego nachmurzona.

- Mogę iść - powiedziałam. Głos miałam zdecydowanie ochrypły.

Nawet na mnie nie spojrzął.

- Zamknij się.

Otworzyłam usta, żeby się odciąć, ale coś w jego twarz; mnie powstrzymało. Zresztą nie miałam na to siły. Potrzęsnałam głową.

- Wiedziałem, że nie planujesz nic dobrego - wymamrotał.

Żadne z nas nie powiedziało ani słowa, póki znów nie znaleźliśmy się na terenie posiadłości. W zagajniku Colin postawił mnie na ziemi. Wokół nas szumiały dęby, słońce już zachodziło, jak miód spływając między powykręcane gałęzie.

- Tędy - powiedziała Elizabeth i poprowadziła nas jeszcze jedną sekretną ścieżką, która z kolei okrążała kuchnie aż do rzadko używanych drzwi. Wszystko pachniało mokrymi różami. Weszliśmy po schodach dla służby i ruszyliśmy korytarem w kierunku małego saloniku.

- Nikt tu nigdy nie przychodzi - zapewniła nas Elizabeth, zamykając za sobą drzwi. Nie było właściwe, żebyśmy **znia** dowwały się za zamkniętymi drzwiami bez przyzwotki, a lenie

przejmowałyśmy się tym zbytnio. Mokra wełna, ociekające halki i wściekłe duchy uczą dystansu do takich spraw.

Colin przykucnął i rozpałił przygotowane w palenisku drewno. Wkrótce siedzieliśmy przytuleni przed kominkiem, rozłożeni na podłodze jak szczeniaki, walcząc o każdy gram ciepła. Było to dużo przyjemniejsze niż węglowe paleniska w londyńskich domach. Zapach dymu z płonącego drewna był jak ciepły szalik w zimowy dzień. Mokre buty położyliśmy na dywanie. Wciąż wstrząsały mną gwałtowne dreszcze, chociaż zaczynało mi się robić cieplej. Rozpuściłam włosy i wzięłam je skręcone w linę, przytrzymując je przed ogniskiem, żeby wyschły.

- Masz zamiar mi powiedzieć, co się wydarzyło? - spytał Colin ponuro.

Nie powiedziałam mu o tym wcześniej, bo obawiałam się, że mnie wyśmieje. Robiliśmy sobie zbyt wiele dowcipów. Ale biorąc pod uwagę to, co się stało, istniała mała szansa, że zanie mi teraz dokuczać.

- Ja... - Przygryzłam wargę i zapatrzyłam się w ogień. Czułam na sobie jego wzrok. Starałam się wyobrazić sobie uprzejmy, elegancki uśmiech Xaviera, lecz nie mogłam. - Ja... widzę dudę. - Skończyłam pospieszenie, jakby wyzywając go, żeby to skomentował. Zapadła długa chwila ciszy, i następna. Nie wiedziałam, o czym on myśli. Wreszcie poddałam się i spojrzałam na niego. Uniosłam jedną brew w geście obrony. - No?

Przyznaję, że było to mało wdzięczne podziękowanie za uratowanie mnie. Naprawdę nie podobało mi się, kiedy ktoś musiał mnie ratować.

Skinął głową.

- W porządku.

Zagapiłam się na niego.

- W porządku? To wszystko? - Zerknęłam na Elizabeth, która przymknęła oczy. Oddychała powoli i równo.

Wiedziałam, że nie udaje, bo gdyby nie spała, nigdy nie trzymałaby ust otwartych w ten sposób. - Po tym wszystkim? - wyszeptalam.

- Wierzę ci, Vi. - Z jakiegoś powodu poczułam łyzy pod powiekami, ale zamrugałam, żeby je odpędzić. Wystarczy, że prawie zemdlałam, nie zamierzałam stać się jeszcze konewką. Skubałam koronkę od halki wystającej spod mojej sukni. Przypominała bitą śmietanę. Colin zaczerwienił się po uszy, co mnie zdziwiło. Nie był przecież pruderyjnym typem. Dobrze wiedziałam, że chodził do Covent Garden i zadawał się z podejrzanymi ludźmi. Miał w końcu osiemnaście lat.

- Ale musisz być ostrożna. - Spuściłam wzrok, kiedy dotknął mojej ręki. - Co robiłaś przy sadzawce? - spytał.

- Poszłyśmy tam, żeby skontaktować się z Roweną - wyjaśniłam i opowiedziałam mu o balu i o tym, że jej morderca tańczył wśród nas, a skończyłam na widziadle, które wychynięto ze wzburzonej wody.

- Ty mała kretynko - zaklął, kręcąc głową. - Nie mówię ci, że coś tu jest nie w porządku? Nawet nie pomyślałaś, żeby siebie chronić. Pewnie nie miałaś przy sobie ani odrobiny soli.

Zamrugałam.

- Co sól ma z tym wszystkim wspólnego?

- Chroni cię od złego.

- Sól? - W moim głosie słychać było niedowierzenie. Nie mogłam na to poradzić. - Sól stołowa? Jak przyprawianie siebie miałyby mi pomóc? To nie uroczysta kolacja.

- Równie dobrze mogła nią być, skoro tak zaprosiłaś tego ducha. W ten sposób stajesz się otwarta, Violet. Musisz uważać

- Skąd ty to wszystko wiesz? - Wzruszył ramionami, wyglądając na zakłopotanego. Przekrzywiłam głowę. - Skąd Colin? - spytałam jeszcze raz.

Przeczesał ręką włosy. Jego niebieskie oczy zabłyśły.

- Bo moja mama miała dar - powiedział to tak szybko, że ledwie go zrozumiałam.

- Twoja mama? - powtórzyłam bez sensu. Przez te wszystkie lata nigdy nie mówił o swojej rodzinie. - Naprawdę?

- Tak - potwierdził cicho.

- Ale... ty nie wierzysz w dar widzenia duchów.

- Nie wierze w dar twojej matki.

Skrzywiłam się.

- W porządku.

- Moja mama widziała różne rzeczy - powiedział, patrząc w ogień, jakby ona mogła się za nim skrywać. - I zawsze się sprawdzały. Nie mówiła nic o duchach, nazywała to po prostu drugim wzrokiem. Mówiła, że to dziedziczne i czasem niebezpieczne, jeśli nie jest się ostrożnym.

- Masz to? Widzisz coś?

Pokręcił głową.

- Colin. - Jeśli myślał, że pozwolę się zbyć wymijającą odpowiedzią, to wydarzenia dzisiejszego dnia najwyraźniej przyćmiły mu rozum. Musiał wiedzieć, że nie zamierzałam dać się okłamać.

- Powiedziała mi o dziewczynie o fiołkowych oczach - wyznał cicho, wstając.

Spojrzałam na niego zdumiona.

- Naprawdę?

- Tak - Skinął głową. - Muszę iść. - Ruszył w kierunku drzwi. Uchylił je lekko, upewniając się, że hol jest pusty. Włosy wciąż miał wilgotne i zmierzwione. Mimo woli przypomniałam sobie dotyk jego ciała przyciskającego mnie do ziemi.

- Colin? - odezwałam się cicho.

- Muszę iść. - Nie odwrócił się. Zamknął za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 12

INastępnego dnia Elizabeth wyskoczyła na mnie zza ściany paproci, kiedy szłam do biblioteki. Tylko zapiszczałam.

Uśmiechnęła się do mnie szeroko.

- Gotowa?

- Na co? - spytałam podejrzliwie.

Pociągnęła mnie za rękę.

- Chodź.

Popędziłyśmy przez bawialnię, zatrzymując się tylko, by dygnąć krótko przed lady Lucindą i jeszcze jedną kobietą, której nie rozpoznałam. Wybiegłyśmy tylnymi drzwiami do ogrodu, zanim skończyły się z nami witać. Przebiegłyśmy przez trawniki i przez pola, przeskakując przez ogrodzenia. Znow wyszło słońce, oświetlając ostatnie krople deszczu zwisające z liści i ~~z~~ trawy. Przestraszony królik zanurkował pod żywopłotem.

- Dokąd idziemy? Znow nad sadzawkę? - spytałam, unosząc spódnicę, żeby nie zabrudzić jej błotem. - Czy to rozsadne? - Wciąż czułam zimny dotyk ducha próbującego wejść w moje ciało.

- Idziemy do Whitestone Manor.

- Czy tobie wolno tam chodzić?

- Nie będę się tym martwić. Coś jest nie w porządku i mam zamiar dowiedzieć się co. Wczoraj mogłaś utonąć.

- Co zrobimy, kiedy już tam dojdziemy? Nie sędzę, ~~z~~aby Tabitha była szczególnie uradowana, kiedy mnie zobaczysz' - stwierdziłam.

Przeszliśmy przez kolejne ogrodzenie, tym razem z paroma drewnianymi stopniami po obu stronach, co znacznie ułatwiło nam zadanie. Gorsety nie sprzyjały przeczołgiwaniu się przez przeszkody.

- Nie, prawdopodobnie każe cię wyrzucić.

- Dziękuję - odparłam oschle. - To nam bardzo pomoże.

Elizabeth tylko się roześmiała. Na polu pasło się parę tysięcy krów, spokojnie przeżuujących trawę. Było tu na pewno co najmniej tysiąc akrów sadów i pól uprawnych. Nic dziwnego, że wuj Tabithy tak się obawiał łowców majątków, którzy będą chcieli się ożenić z Tabitha dla jej bogactwa.

- Wejdzimy od tyłu, tam gdzie nikt nas nie zobaczy. Stara pani Moon wciąż jest tam gospodynią, ona zawsze była dla mnie miła. Może uda nam się wydobyć od niej jakieś informacje.

Dom był tak duży jak Rosefield, wykonany z jasnych kamieni, które błyszcząły jak perły. Okna świeciły jasno niczym dziesiątki oczu obserwujących nasze sylwetki. Wszystkie kwiaty w ogrodzie również były białe: róże, naparstnice, dalie. Wyglądało to uroczo jak w baśni. Skierowałyśmy się szeroką, białą ścieżką na tyły, do wejścia dla służby. Elizabeth zdawała się tym nie przejmować, chociaż damy nigdy nie korzystały z tylnych drzwi. Uśmiechała się tylko, jakbyśmy coś psociły. Służba kłaniała się, kiedy przechodziłyśmy, i zdejmowała czapki z głów. Czułam się dziwnie, jakbym była tu intruzem. Bardziej przypominałam tych ludzi niż Elizabeth. Trzy lata temu kłaniałabym się przed nią w ten sam sposób. Elizabeth, nieprzejęta, równym krokiem przeszła przez kuchnię.

- Wentworth ma francuskiego kucharza - wyszeptała.

- Robi przepyszne sosy. Lepsze niż kucharz wuja Jaspera.

Kucharz stał przy ogromnym drewnianym stole, krojąc kawał mięsa. Podkuchenna podawała mu wypolerowane narzędzia zawinięte w białą ściereczkę. Coś bulgotało w garnku na kuchni, wydzielając wspaniałe zapachy. W komórcie

z tyłu dwie pomocnice myły stertę naczyń w głębokim zlewie. Włosy miały wilgotne, a ręce czerwone i spierzchnięte. Odwróciłam wzrok. Jeden fałszywy ruch i mogę skończyć jak one, jak lubiła mi powtarzać matka.

Przeszliśmy dalej, do spiżarni. Elizabeth stała w drzwiach, uśmiechając się szeroko, aż pani Moon podniosła wzrok znad kwiatów, które właśnie kandyzowała. Były tam płatki róż, fiołków i nagietka, wszystkie posypane cukrem. Wytarła ręce, po czym podbiegła do nas. Wyglądała tak, jak powinna wyglądać osoba o takim nazwisku, okrągła i radosna, z białymi włosami uważnie zakręconymi i upiętymi pod marszczonym czepkiem. Pachniała słodyczami i herbatą.

- A niech mnie, dziecko, nie widzieliśmy cię tutaj od... cóż, od bardzo dawna, prawda?

- Och, tęskniłam za panią! - Elizabeth uściskała ją krótko.

- Spójrz na siebie, jak ty urosłaś. Jak elegancko wyglądasz w tej pięknej sukience. - Klasnęła językiem.

- Uważaj, jestem cała w cukrze.

- Och, nic mnie to nie obchodzi - odparła Elizabeth.

- Poza tym i tak jesteśmy całe w błocie.

Pani Moon uśmiechnęła się, a w kącikach oczu zrobiły jej się zmarszczki.

- Jesteście. A to kto?

- Violet Willoughby, poznaj panią Moon. Robi najlepsze tarty jagodowe w całej Anglii.

- Pochlebcy. Chodźcie, pewnie jesteście spragnione.

Poszliśmy za nią do jej bawialni z kominkiem i stojącym przed nim fotelem oraz koszami wełny do robienia na drutach. Kredens na przeciwległej ścianie był od podłogi po sufit wypełniony zapasami, dżemami, przyprawami i cukrem. Pani Moon usiadła ostrożnie na krześle przy małym stoliku i zaprosiła, żebyśmy zrobiły to samo. Wbiegła pokojówki z tacą z herbatą i tarteletkami jagodowymi.



Elizabeth po prostu rzuciła się na tarteletki. Jadła, pojękując z rozkoszą, zanim przypomniała sobie, po co właściwie tu przyszliśmy.

- Powiedz no mi, czy nie przez ten czas nie napsociłaś? - spytała pani Moon.

Elizabeth uśmiechnęła się radośnie, zlizując z ust kawałek tarty.

- Oczywiście, że nie.

- Mhmm.

Piliśmy herbatę ze świeżym mlekiem i jadłyśmy biszkopty. Dopiero po wypiciu filiżanki do dna Elizabeth wygłosiła coś innego niż uwagi o pogodzie i miłe wspomnienia pani Moon, przy pomocy miotły przeganiającej ją i Rowenę z kuchni, kiedy przypadkiem przewróciły garnek z gotującym się dżemem. Na wspomnienie imienia Roweny pani Moon westchnęła.

- Biedne dziecko.

- Wciąż za nią tęsknię - dodała Elizabeth *cicho*.

Pani Moon poklepała ją po ręce.

- Oczywiście, kochanie.

- Wciąż nie rozumiem, jak mogła utonąć. Pływała całym nieźle.

Pani Moon odwróciła wzrok.

- Straszny wypadek - powiedziała tylko.

Elizabeth pochyliła się do przodu, potracając pustą filiżankę.

- Ale to nie ma sensu, Moony. - Domyśliłam się, że było to przezwisko, jakim obdarzyły gospodynię w dzieciństwie.

- Tragedie nigdy nie mają sensu. Napij się jeszcze herbaty.

Rozlała to, co zostało w imbryku, i podsunęła nam więcej tartelek. Ale przeżuwanie nie powstrzymało Elizabeth od zadawania pytań. Odgryzała tylko mniejsze kawałki i szybciej przełykała.

- Pamiętasz ten dzień? Kiedy utonęła Rowena?

- Jakżeby nie. Znów pokłóciła się ze swoim narzeczonym i nie mogła zasnąć. Tabitha się dąsała, bo ich ojciec przysłał wiadomość, że w najbliższej przyszłości pozostanie w Indiach. Panna Donovan była tu także, ale dziewczęta były zbyt rozproszone, żeby uczestniczyć w lekcjach, było tak gorąco.

- Nie kręcił się tu nikt... dziwny?

Pani Moon zmarszczyła brwi.

- Co panienka ma na myśli? Sir Wentworth miał gości i nawet dom waszego lorda Jaspera był pełen ludzi, którzy przyjechali na lato. Zawsze tak jest o tej porze roku.

- I nikogo... złowrogiego?

- Hmm. Niech ci nie przychodzą do głowy niestworzone pomysły, Lizzie. Zawsze lubiłaś zmyślać historie. Rowena miała wypadek. Pewnie była zmęczona albo złapała ją jakiś skurcz. Lekarz powiedział, że nie cierpiała. - Pani Moon otarła usta serwetką. Wstała z miłym, ale stanowczym uśmiechem na twarzy. - Może pójde zobaczyć, czy panna Tabitha jest w domu?

- Ale my przyszliśmy do ciebie - odparła Elizabeth.

- Och? - Pani Moon uniosła brew. - I nawet dzień doby dla przyjaciółki z dzieciństwa?

- Widziałam Tabithę przez cały tydzień u wuja Jaspera - wymamrotała Elizabeth. - Chodzi rozżłoszczona jak dwa koty.

- Cóż, pewnie po prostu jest zmęczona.

Elizabeth westchnęła boleśnie, po czym z ociąganiem podniosła się z krzesła.

- No dobrze, jeśli musimy.

- Tak robią damy. - Powiedziała zdecydowanie pani Moon. - Chodźcie.

Posłusznie poszłyśmy za nią, robiąc grymasy za jej plecami. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęłam, było odwiedzić Tabithę. Pokoje były ogromne, a każda powierzchnia wypolerowana



i odkurzona. Zasłony były z ciężkiego aksamitu, ale podwiązane, żeby wpuścić wiejskie słońce. Nie było niebezpieczeństwa, że miejski dym powstały ze spalania węgla zabrudzi każdy kąt i każdą szczelinę sadzą. Pani Moon zostawiła nas w słonecznej bawialni, gdzie intensywna woń orchidei w wazonach mieszała się z równie silnym zapachem mieczyków.

- A więc Caroline i Peter byli tu oboje - wyszeptalam. - A mają wspólny sekret, słyszałam ich pewnej nocy w ogrodzie.

Elizabeth otworzyła szeroko oczy.

- Naprawdę? Ale on jest dżentelmenem, a ona jest zbyt głupia, żeby mieć sekrety.

Parę chwil później z holu dobiegł nas odgłos kroków. Tabitha zatrzymała się w drzwiach. Ubrana była w piękną żółtą suknię i białą halkę. Wyglądała na wyczerpaną.

- Co wy tu robicie? - spytała podejrzliwie.

- Przyszłam na tarteletki Moony - odparła Elizabeth, odchylając się w krzesło z dłonią na brzuchu. Jęknęła. - I zjadłam ich za dużo.

- Nigdy nie wiedziałas, kiedy przestać - stwierdziła Tabitha, ale niezłośliwie. Przysiadła na brzeżku rzeźbionego krzesła, jakby nie była pewna, czy nie będzie uciekać. Przyjrzała mi się nieufnie. Uśmiechnęłam się tak niewinnie, jak potrafiłam. Przez lata musiałam radzić sobie z humorami matki, nie zamierzałam teraz dać się przestraszyć debutantce, niezależnie od tego, jakie miała koneksje rodzinne. Wszędzie stały kryształowe wazy pełne róż, irysów i ostróżki. Elizabeth stłumiła kichnięcie.

- Skąd te wszystkie kwiaty? - spytała.

Tabitha uniosła wyniośle brodę.

- Od moich adoratorów. - Było ich tyle, że wystarczyłoby na zaopatrzenie co najmniej dwóch kwaciarni. Tabitha spojrzała na nie z dumą. - Prawie wszyscy kawalerzy z Rosefield przysłali mi bukiet, nawet Fitzwilliam. - Zastanowiłam się

przez chwilę, czy Xavier też jakiś przysłał, ale nie dałam jej satysfakcji i nie sprawdziłam. - Są nawet bukiety z Londynu, chociaż nie byłam tam ponad rok i nie zostałam jeszcze oficjalnie przedstawiona. - Puszyła się jak paw.

- Twój wuj musiał dostać napadu szału - prychnęła Elizabeth.

- Trochę - przyznała.

- Czy powinnyśmy złożyć mu wizytę? - spytała Elizabeth, wciąż masując swój przepełniony żołądek.

- Nie, ma okropny humor. Przegrał w karty, a potem zobaczył te kwiaty. A ojciec przysłał wiadomość, że... - Zerknęła na mnie. - Zresztą nieważne. Ma zły humor.

- Wszystko jedno. Nie sądzę, żebym była w stanie się ruszyć.

- Czy podoba ci się pobyt na wsi? - spytała mnie chłodno Tabitha.

- Tak, dziękuję. - Skinęłam głową.

- Może napiłabyś się herbaty?

- Nie, dziękuję.

Uprzejme konwersacje salonowe zawsze mnie nudziły. *Colin* i Fryderyk, chociaż z innych klas społecznych, mogli wymknąć się i pić maderę za szopą. Nikt nie oczekiwał od nich, że będą się uśmiechać i ładnie siedzieć. Nagle pozazdrościłam im możliwości wyboru. Chciałam przechadzać się przez Vauxhall Gardens, odwiedzić jaskinie gry i palarnie opium. Chciałam wejść do Hyde Parku bez przywoitki albo przejechać się zbyt szybko powozem wzdłuż St. James Street. Nagle zapragnęłam tego wszystkiego.

Zamierzałam zacząć, odrzucając pozłacane kajdany salonowych pogaduszek. Prawdopodobnie był to zły pomysł. Nie byłam pewna, czemu to robiłam, ale chyba nie mogłam się powstrzymać. Pochyliłam się do przodu.

- Tabitho, twoja siostra chce, byśmy znalazły jej mordercę.



Nie do końca tak chciałam zacząć.

- Znowu to - warknęła Tabitha, odwracając się do Elizabeth, która przerwała swoje leniuchowanie i podniosła się, jakby zabłąkana iskra z paleniska zaproszyła ogień w jej sukni. - Czemu przyprowadzasz swoją nawiedzoną przyjaciółkę, skoro nie potrafisz jej kontrolować?

- Tabitho, proszę, tylko jej wysłuchaj - powiedziała błagalnie Elizabeth.

- Już wam mówiłam, nie jestem spirytystką. Nie wierzę w duchy. - Odwróciła się do mnie. - Czy ona jest tu teraz?

Pokręciłam głową.

-Nie.

- Sprytnie.

- To tak nie działa. Właściwie nie jestem do końca pewna jak - przyznałam.

- To wcale nie działa - odparła. - A moja siostra nie została zamordowana. Ona utonęła.

- Wiesz równie dobrze, jak ja, że twoja siostra była zbyt dobrą pływaczką, żeby utonąć w jakiejś małej sadzawce - zarzuciła Elizabeth.

Tabitha zmrużyła oczy.

- Nie myślałaś tak, dopóki nie spotkałaś jej. - Stwierdziłam, że pewnie miała na myśli mnie.

- Może to prawda. Ale tylko dlatego, że ona zmusiła mnie do myślenia, a nie ślepego akceptowania tego, co mi powiedziano. Nie zaprzeczysz, że ludzie zachowują się w tej sprawie bardzo dziwnie.

- Nie wiem, co masz na myśli. - Próbowała udawać niezainteresowaną, ale było za późno. Dostrzegłam błysk w jej oku. Nie byłam tylko pewna, jak go interpretować.

- A zatem może się myłę - powiedziałam. - Mam nadzieję. Wiem tylko, że ona stara mi się coś powiedzieć i że stara się ciebie chronić.

- Przed czym? - Nie sądziłam, by zdawała sobie sprawę z tego, że nerwowo przygryza dolną wargę.

- Nie jestem pewna. Ale ona nie spocznie. Dopóty, dopóki nie dowiemy się, co się z nią stało.

- Utonęła. Była zmęczona.

- Naprawdę w to wierzysz? - spytałam miękko.

Skoczyła na równe nogi i podeszła do okna.

- Muszę. - Były to najszczerze słowa, które od niej usłyszałam. I chociaż za nią nie przepadałam, za to jedno mogłam ją podziwiać.

- Pamiętasz, kto był tu wtedy? - spytałam. - Musimy od czegoś zacząć.

- Co zacząć?

- Nasze śledztwo - wyjaśniła Elizabeth z błyszczącymi oczami.

- Myślę, że obie jesteście stuknięte - odpowiedziała Tabitha. Elizabeth wzruszyła ramionami.

- Możliwe. Ale spróbuj sobie przypomnieć, jakich gości mieliście.

Tabitha westchnęła, jakby czuła się wykorzystywana.

- Nie spędzałyśmy wiele czasu z gośćmi, wciąż pobierałyśmy lekcje, jeśli pamiętasz. Była Caroline, oczywiście, i Peter, który zalecał się do Roweny, ale ona była zakochana w kimś innym. Zwracała na niego uwagę tylko dlatego, że byli zaręczeni, od kiedy skończyłyśmy siedem lat.

- Była zakochana w kimś innym? - Elizabeth wyczuła plotkę jak ogar, który czuje trop jelenia w lesie. Przyłożyłaby nos do ziemi, gdyby sądziła, że to pomoże. - Z kim flirtowała? Nie powiedziała mi ani słowa!

- Wciąż tego nie wiem - przyznała Tabitha. - Mnie też nie chciała powiedzieć. W każdym razie nikt się później nie przyznał ani nie wydawał się bardziej przygnębiony niż inni na pogrzebie.

Elizabeth pokiwała głową, wyraźnie starając się sobie przypomnieć.

- Byłam tam, na Cmentarzu Highgate w Londynie - powiedziała cicho. - I też nie przypominam sobie szczególnie żadnego mężczyzny. - Zabębniła palcami w kolano. - Teraz będzie mnie to dręczyć.

Trącałam ją łokciem.

- Skup się.

- Racja, przepraszam. Kto jeszcze tu był, Tabitho?

- Nie jestem pewna. Chyba twój kuzyn Fryderyk był w Rosefield z siostrami, podobnie jak dwie twoje ciotki. Przyjechali wuj przyjaciele z miasta, ale nie pamiętam ich imion. I oczywiście lordowie Winterbourne, Underhall i Fitzwilliam. Zawsze przyjeżdżają na dobre przyjęcie. - Poznałam ich w Rosefield. Większość czasu spędzali na grach i polowaniach.

- Fitzwilliam - westchnęła Elizabeth. - Jest boski, czyż nie?

Był dość przystojny, miał ciemne włosy i dumny profil. Migał do wszystkich debiutantek, żeby zaczęły chichotać. To on zdjął swój surdut podczas gry w krokiet.

- Rowena też tak uważała - stwierdziła Tabitha. - Według mnie on jest za stary.

- A pan Travis? - spytałam niedbale.

Tabitha zmarszczyła brwi.

- Kto?

- To jeden ze spirytystów, którzy przyjechali do Rosefield - wyjaśniła Elizabeth. - Bardzo wysoki i dość szczupły, z miasteczka.

Tabitha wzruszyła ramionami.

- Nie znam go. Nie wydaje się wart przedstawienia.

Elizabeth przewróciła oczami w moją stronę.

- To wszystko? - naciskała na Tabithę.

- Tak. Czytałyśmy mity greckie, a Caroline absolutnie nie chciała nam pozwolić wyjść do dorosłych.

Tabitha zamigotała mi przed oczyma, ałe tylko przez chwilę. Nagle pojawiła się Rowena, ociekająca wodą i płatkami liiii. Podniosła bladą, drżącą rękę ku szyi. Na lewej ręce miała złoty pierścień z maleńkimi perłami, który znalazłam w szlamie. Ten, który wyrwała mi Tabitha. I który teraz ona nosiła.

- Pierścień Roweny - wyszeptałam pytająco. Tabitha schowała palec w zwiniętą drugą dłoń, jakby chcąc go schować.

- Skończyłam - odpowiedziała obronnie. - Więc?

- Tabitho - powiedziałam miękko. - Co ty ukrywasz?

- Nic. Nie chciała mi powiedzieć, kto jej go dał, i nie chciała go zdjąć. - Wyglądała, jakby miała powiedzieć coś więcej, kiedy wbiegła zdenerwowana Caroline.

- Tu jesteś - powiedziała. - Zastanawiałam się, dokąd poszłaś.

Tabitha zacisnęła wargi.

- Nie uciekłam przecież - odparła rozzłoszczona. - Nie musisz zachowywać się jak kwoka. Doskonale sobie poradzę sama przez godzinę.

Caroline zamruczała uspokajająco i usiadła na fotelu w rogu. Tabitha odwróciła wzrok. Jej postawa uległa zmianie. Cokolwiek mogła chcieć nam powiedzieć, już nie zostanie powiedziane. Nie przy guwernantce, która obserwowała każdy nasz ruch. Tabitha zeszywniała, jakby ktoś mocniej zawiązał jej gorset.

- Dziękuję za wizytę - powiedziała - ale jestem już zmęczona.

- Może powinnaś się położyć - zaproponowała łagodnie Caroline.

- Nie, pójdę się przejść po ogrodzie. - Była blada Wyciągnęła puzderko pastylek z kieszeni i wsunęła jedną pod język.

Elizabeth zmarszczyła brwi.

- Czy to tabletki opiumowe? Po co je bierzesz?

- Mam koszmarne bóle głowy - odpowiedziała krótko.

Wyszła bez słowa. Starałam się nie zwracać uwagi na obecność kilku duchów pokojówek, które pojawiały się i znikwały opodal okna, patrząc na mnie błagalnie.

Nie podobał mi się sposób, w jaki Caroline obserwowała nas ~~gd~~ odchodziłyśmy: z wyrazem determinacji na twarzy i z ~~jeszcze~~ bardziej niż zwykle zaciśniętymi ustami.



ROZDZIAŁ 13

Nasze subtelne śledztwo nie przyniosło nam niczego dobrego. Nawet najbardziej przemyślane pytania nie odsłoniły przed nami nic szczególnie pomocnego. W tym tempie będę starszą panią w bujanym fotelu, a Rowena wciąż będzie latać wokół mnie jak uprzykrzony komar. Już ta wizja wystarczyła, żebym nie mogła zasnąć.

Wreszcie poddałam się i postanowiłam pójść na dół do biblioteki. Poruszałam się tak cicho, jak tylko mogłam, niosąc ze sobą świeczkę, żeby nie potknąć się o żaden mebel i nie obudzić całego domu. Byłam tak ostrożna, że natychmiast wiedziałam, iż podłoga nie skrzypi pod moimi stopami. Zamarłam. Kolejne skrzypnięcie. Nie miałam pojęcia, czy były to kroki ducha, czy ludzkie. W każdym razie nie miałam ochoty zostać nakryta. Zdmuchnęłam świeczkę i ukryłam się w cieniu wysokiej mahoniowej szafy i kępy paproci u szczytu schodów. Wstrzymałam oddech i czekałam. Skrzypienie stawało się coraz głośniejsze, aż wreszcie zza rogu wyłoniła się postać.

Pan Travis.

Wyglądał naprawdę okropnie. Oczywiście miał czerwone, jakby pił, ale wydawał się absolutnie trzeźwy. Zaczzerwienienie mogło być spowodowane płaczem, ale nie wiedziałam, *I* kiego powodu miałby tak płakać. Był jeszcze bardziej przygarbiony, jakby musiał walczyć ze sobą, żeby trzymać się pionowo. Zmarszczyłam brwi, kiedy minął mnie i zszedł **ZE**

schodów. Zastanawiałam się, czy nie pobiec po Elizabeth, ale nie było na to czasu. Wychyłam z kąta i poszłam za nim.

Wyraźnie planował coś niedobrego.

Pan Travis, nie zatrzymując się, minął bawialnię. Biegłam łanym, chowając się kolejno w cieniu paproci, drugiej paproci i zegara. Urn unikałam jak ognia. Nie wydawało mi się, by poruszał się szczególnie szybko, ale na rogu za biblioteką straciłam go z oczu. Sala balowa świeciła pustkami. Poirytowana obróciłam się na pięcie, zastanawiając się, jak go teraz znajdę.

Myślałam, że zgubiłam go bezpowrotnie, kiedy usłyszałam szmer głosów z palarni przeznaczonej dla mężczyzn. Drzwi były zamknięte. Przykucnęłam przy nich bezszelestnie i przyłożyłam oko do dziurki od klucza. Dostrzegłam błysk małego ognia płonącego w kominku i lampki oliwne na stołach. Lord Jasper siedział odchylony w fotelu i palił fajkę z herbanowego drewna.

- Znowu nie możesz spać, stary? - spytał pana Travisa.

Pan Travis przeczesał ręką zmierzwione włosy.

- Obawiam się, że nie.

- Wyglądasz okropnie - wymamrotał Peter radośnie.

- Zagraj z nami w karty. Przydałyby mi się jakieś pieniądze, jeśli masz coś do przegrania. Straciłem już wszystkie pieniądze, które dostałem w tym miesiącu.

Pan Travis dołączył do nich przy lśniąącym stole, gdzie przekazywali sobie karafkę z porto i grali w karty. Nie będę miała lepszej okazji, żeby poznać ich sekrety. Szczególnie uważnie szukałam lordów Fitzwilliama, Winterbournea i Underhalla. Winterbourne jako jedyny z nich nie grał. Twarz sir Wentwortha była zarumieniona, może od siedzenia tak blisko ognia, a może od porto, nie byłam pewna. Fryderyk i Peter wyraźnie objawiali skutki zbyt dużej ilości porto. Jeśli pochyła się ku sobie jeszcze bardziej, Fryderyk będzie siedział na kolanach Petera. Rozważałam przez chwilę, czy nie pójść po

Elizabeth, ale postanowiłam tego nie robić. Na widok rozluźnionego krawata i rozpiętego kołnierzyka Fryderyka zaczęła by pisać i na pewno zostałybyśmy wykryte.

- Czy to rozsądne, sir Wentworth? - spytał łagodnie lord Underhall. - Już przegrał pan swojego ulubionego konia.

Wuj Tabithy opróżnił swój kieliszek i odstawił go tak gwałtownie, że roztrzaskał szklaną nóżkę. Wytarł rękę w spodnie

- Bah, jeszcze się odegram. Zapamiętaj moje słowa.

Gdyby nie pewne wyraźne napięcie między graczami uznałabym obserwowanie tego za potwornie nudne zajęcie. Sir Wentworth przegrał to rozdanie i nastąpiła wymiana kawałków pergaminu, które, jak sądziłam, zawierały kwotę do spłacenia.

- Twoja bratanica jest całkiem urocza - zwrócił się lord Fitzwilliam do sir Wentwortha. - I niedługo będzie panną na wydaniu, czyż nie?

Nie mogłam nie pomyśleć, że przecież Rowena była tak piękna jak Tabitha, którą teraz tak komplementował. Warto było przyrzeć się temu dokładniej. Sir Wentworth przestał wpatrywać się ponuro w karty i popatrzył złowrogo na lorda Fitzwilliama.

- Nie dla takich jak ty - odparł nieprzyjaźnie. - Nie będziesz w stanie jej utrzymać. Póki mój przeklęty brat zarządza rodzinnym majątkiem. Więc trzyma; się z daleka Fitzwilliam.

Fitzwilliam zaśmiał się tylko. Wieczór trwał dalej. Peter wyglądał, jakby ledwie pamiętał własne imię, ale i tak udało mu się wygrać następne rozdanie. Pan Travis wydawał się nie pić, tylko obracał w dłoni swój kieliszek porto w sposób, który wywoływał zgrzytanie zębów u sir Wentwortha. Lord Jasper zaproponował gościom kawę. Peter przerzucił się na brandy. Sir Wentworth wygrał złoty zegarek i przegrał sakiewkę pieniędzy. Podrapał się po twarzy. Pan Travis zjadł kawałek sa-

Ziewnęłam, znudzona. Kolana zaczynały mnie boleć od kle-
czenia na podłodze. Poruszyłam się, żeby złagodzić nacisk.

- Diabło tu zimno - wymamrotał Peter, bełkocząc nieco.

To nie było zwykłe zimno. Przy stole pojawiła się Rowena,
unosząc się pomiędzy graczami. Przesunęła ręką nad blatem.
Karty poruszyły się. Peter zadrżał.

- Zamknij okno - zwrócił się do Fryderyka.

Lord Jasper zamknął drzwi i zaczął rozglądać się po po-
koju, jakby wiedział, że chłodne powietrze nie ma nic wspól-
nego z otwartym oknem. Rowena krążyła po pomieszczeniu,
zmieniając wyraz twarzy na łagodny, potem na surowy, na
pozwór przypadkowo.

Dokładnie rozpoznałam moment, w którym zdała sobie
sprawę, że jestem po drugiej stronie drzwi. Odwróciła się
i porzuciła swoją przechadzkę wokół stołu. Poruszała się tak
szybko, że myślałam, iż zniknęła. Nagle pojawiła się znowu:
jej oko patrzyło wprost w moje. Żelazne okucie klamki za-
marzło, a ja wrzasnęłam i upadłam na plecy, rozbijając łokieć
o kant stołu. Świeczka zachwiała się i przewróciła, a srebrna
podstawa upadła z hukiem na podłogę.

- Co to było? - spytał pan Travis. Rozległo się szuranie
odsuwanych krzeseł i podnoszących się mężczyzn.

Biegłam całą drogę do mojego pokoju, masując obolałą
rękę i modląc się, żeby nikt za mną nie szedł. Strach przed
złapaniem opuścił mnie całkiem dopiero wtedy, kiedy przez
półgodziny nikt nie zapukał do moich drzwi.

- To nie jest dobry pomysł.

- Wiem o tym! - odpowiedziałam Colinowi po raz kolej-
ny. Tłoczyliśmy się w ciemnym kącie za szklanym naczyniem
z paprociami przed wejściem do bawialni. Elizabeth wyjrza-
ła nad krawędzi naczynia, żeby upewnić się, czy nikt nas nie
wypatrzył. - Ale musimy coś zrobić.

- Nie to - nalegał Colin.
Elizabeth syknęła na nas.
- Mówcie ciszej. - Z bawialni dobiegł nas czyjś śmiech.
- Poza tym nic nam się nie stanie.
 - Jeśli nie chcecie słuchać mnie, powinniście posłuchać Jaspera - wymamrotał. - Powiedział, żeby zostawić to w spokoju. To zbyt niebezpieczne.
 - No cóż, nie możemy po prostu siedzieć i czekać, aż nie my duch powie nam wszystko, co trzeba. Racz zauważyć, że Rowena jest bardzo enigmatyczna. - Colin stał bardzo blisko; pachniał deszczem. - Zrobiliśmy listę podejrzanych, ale nie będzie z niej pożytku, jeśli jej nie wykorzystamy.
 - Zrobiliście listę podejrzanych? - jęknął Colin.
 - Tak - odparła Elizabeth, mrugając szelmowsko.
- Jesteśmy bardzo sprytne.
Colin na chwilę przymknął oczy.
 - A kto jest na tej waszej liście?
Wyjaśniłam mu, czego się dowiedziałyśmy, wymieniając najbardziej znaczące postaci: Caroline, Peter, pan Travis oraz lordowie Fitzwilliam, Winterbourne i Underhall.
 - Oczywiście Fryderyk nie jest podejrzany - ostrzegła nas Elizabeth zdecydowanym tonem.
 - Oczywiście, że nie - odparł Colin oschle.
 - Aha, Rowena miała tajemniczego wielbiciela. Musimy się dowiedzieć, kim on był.
 - Ha. - Elizabeth triumfalnie pokiwała głową. - Mówiłam ci, że jesteśmy sprytne.
 - I lekkomyślne.
 - To tylko parę pytań tu i tam - zadrwiła. - Znam tu wszystkich od dzieciństwa.
Potrzęsnałą głową.
 - Wszyscy mają tajemnice.
 - Nie arystokracja.

- Zwłaszcza arystokracja.
Elizabeth wyglądała na zszokowaną.
- Na pewno nie. - Pokręciła głową. - Ja wyjdę pierwsza.
Obserwowaliśmy, jak odchodzi. Colin podrapał się po
twarzy.

- Nie wydaje ci się dziwne, że wszystkie osoby, które były
tutaj w zeszłym roku, są tu i teraz? W wiejskiej posiadłości
lorda Jaspera? Z domniemanym medium?

Zamarłam. Miał rację. W dodatku lord Jasper bardzo ostro
ostrzegł nas, kiedy próbowaliśmy zadawać mu pytania.

Nasza lista podejrzanych właśnie się wydłużyła.

- Violet, to mi się nie podoba.

- Wiem, ale nie widzę innego wyjścia. - I nie mogliśmy
wspomnieć o tym Elizabeth, nigdy nie uwierzyłaby, że to
mógł być jej ojciec chrzestny.

- Zastanów się nad tym: co będzie, jeśli zadasz prawdzi-
wemu mordercy pytanie, które go zdenerwuje? Będzie my-
ślał, że wiesz więcej niż naprawdę. Co wtedy?

I znowu miał rację. A niech to.

- Będziemy ostrożne - obiecałam, wyglądając suknię.
Ten dzień nie był zbyt łaskawy dla moich ubrań. Moja ostat-
nia czysta suknia była prosta, ciemnobrązowa i nieco nie-
modna, ale będzie musiała wystarczyć. Matka nie była zado-
wolona. Ale przynajmniej przestała ją boleć głowa, więc już
nie wrzeszczała na mnie i na pokojówki.

- Masz sól? - spytał wreszcie Colin.

- Tak. - Czuję się głupio, ale wyróciłam kieszeń, aż
wyspało się z niej trochę soli. Nie byłam przekonana, że to
pomocze, ale bardzo chciałam spróbować wszystkiego, żeby
zapobiec powtórce wydarzeń przy sadzawce.

- Przynajmniej to - stwierdził niechętnie.

Wyszliśmy do holu i skierowaliśmy się do bawialni, gdzie
wszyscy zebrali się na podwieczorek i gry po kolacji. Colin

czekał w środku przy drzwiach, jak zawsze. Dołączyłam do Elizabeth na kanapie, starając się udawać, że siedziałyśmy tam przez cały czas. Przed zrobieniem czegokolwiek musiałyśmy nieco wtopić się w otoczenie. Pokojówka podała mi tace lukrowanych ciasteczek i filiżankę herbaty. Uśmiechnęłam się i upiłam łyk, obserwując ludzi i próbując nie robić tego w sposób ostentacyjny.

Pozwoliłam, by ogarnął mnie gwar rozmów o jutrzejszej strzelnicy, zakupach w pobliskim miasteczku i o tym, że nie które suknie wyglądają okropnie z powodu braku jedwabnych kwiatów. Było tu kilkanaście par, nie miałam pojęcia, jak miałymy dowiedzieć się czegoś użytecznego. Nikt nie rozmawiał z szesnastoletnimi dziewczętami, a my nie powinnyśmy w ogóle się odzywać, póki ktoś nie zada nam bezpośredniego pytania Elizabeth uniosła filiżankę i użyła brzeżku, żeby zakryć usta.

- Znasz wuja Jaspera, lady Octavię i Lucindę. Lord Francis, ten w pomiętych bryczesach, przynosi rodzinie wstyd. Pije, przeklina i śmierdzi rybą. Bardzo niepokojące. Lord i łam Kearlsey to sąsiedzi, też byli tu w zeszłym roku. On pije, a ona gra, ale w tajemnicy. W zeszłym roku w wista prze grała parę koni i swój ulubiony powóz. Fryderyk - Elizabeth nie mogła powstrzymać westchnienia - i pozostali mężczyźni są w Oxfordzie. Ellen i Diana są zaręczone i nie rozmawiają o niczym innym. Lord Furlinghew ma kochankę w mieście. A może dwie? Wuja Tabithy znasz, w święta zawsze ofiarowuje mi drugi pudding. Lord Fitzwilliam wywołuje rumie niec u lady Marguerite, zastanawiam się, co takiego mówi? - Zmrużyła oczy, jakby próbując czytać z ich ust, ale poddała się z westchnieniem. - Lord Winterbourne jest nieco bruchaty, ale potwornie bogaty. Lord Underhall niewiele mówi, ale wszyscy twierdzą, że jest bardzo miły. - Nie słyszałam, by powiedział słowo przy kartach, nawet kiedy wygrał pokąźną sumę, na widok której pozostali mężczyźni jęknęli.

Colin miał rację. Dziwne, że wszyscy tu byli, ci sami ludzie naprawie takim samym przyjęciu.

Dostrzegłam pana Trávisa, który popijał kawę i obserwował nas ze zmarszczonymi brwiami.

- Pan Travis znów na mnie patrzy - wyszeptałam.

- Może myśli, że jesteś ładna.

- Albo wie, że go podejrzewamy.

- W takim razie nie patrz mu w oczy. J nie marszcz brwi! Całkiem się zdradzisz. - Kontynuowała swoją ocenę gości. - Tretheweyów już znasz, zajmują się handlem, ale nie są źli. - Trąciła mnie porozumiewawczo. Zignorowałam ją.

- A ojciec Tabithy naprawdę nie wrócił od czasu... wypadku? - Wydawało mi się ostrożniejsze użyć słowa „wypadek” zamiast „morderstwo”, choć mówiłyśmy przyciszonym głosem. Mimo woli współczułam Tabicie, chociaż flirtowała z Xavierem i rzucała mi kąpiące spojrzenia. Jej suknia była perfekcyjna w każdym calu, w bladoróżowym kolorze z kremową koronką. Na szyi i nadgarstkach miała różowe kamienie otoczone diamentami. Kamienie spoczywały dokładnie tam, gdzie Rowena miała siniaki. Tabitha była bardzo blada. Caroline stała nieopodal, sztywna jak żelazny pogrzebacz. Spodziewałam się prawie, że ktoś złapie ją za nogi i użyje do I podsylenia ognia.

Kiedy Tabitha się poruszyła, pojawiła się za nią Rowena jak błądy, wilgotny cień. Przełknęłam ślinę. Na rękach wyskoczyła mi gęsia skórka.

; Elizabeth podążyła za moim wzrokiem.

- Nie martw się, nie zależy jej na Xavierze, chce cię tylko zdenerwować.

- To nie to - odszepnęłam. - Rowena.

- Och - odszepnęła Elizabeth. - To dobrze, prawda? Potrzebujemy jej. - Naciągnęła szal na ramiona. - Nagle zrobiło się chłodniej.

- Postaraj się udawać, że jesteśmy pogrążone w rozmowie
- powiedziałałam. - I powiedz mi, jeśli zacznę robić zeza.

- I to ma być zabawne?

- Roweno - zaczęłam, mając nadzieję, że Tabitha nie pomyśli, iż patrzę na nią, i nie postanowi zrobić z tego afery. To by było idealne zakończenie dnia. Rowena zerknęła na mnie i skinęła głową, ale pozostała na swoim *miejscu*.

Jak miałam z nią rozmawiać, kiedy stała tak daleko?

Pan Travis pochylił się do przodu i wpatrywał się we mnie jeszcze bardziej intensywnie niż przedtem. Miałam nadzieję, że nie odezwałam się za głośno. Pomyślałby, że oszalałam. I wtedy nie udałooby się już ukryć moich wysiłków.

- Pan Travis wciąż na mnie patrzy - powiedziałałam kątem ust.

- Myślisz, że cię usłyszał? - spytała Elizabeth.

- Nie wiem. Zaśmiej się głośno.

Roześmiała się.

- Roweno - powtórzyłam twardo, pod osłoną chichotu Elizabeth.

Xavier odszedł, składając Tabicie krótki ukłon. Rowena zignorowała mnie.

Przekłeta zmarła dziewczyna ociekająca wodą na dywan mnie zignorowała.

- Och, nie sądzę - wymamrotałam z rozdrażnieniem. - To przez ciebie wpakowałyśmy się w to wszystko.

Odchrząknęłam ostrzegawczo.

- Roweno Wentworth, przekłeta dziewczyno, czy twój morderca jest w tym pokoju?

Kiwnęła głową, ale pozostała tam, gdzie była, oczyma śledząc wszystkich gości i ich ruchy.

- Pokaż nam.

Nie odpłynęła dalej niż parę centymetrów. Jestem pewna, że to bardzo wznuszające, że tak tęskni za siostrą, nawet jeśli

a siostra jest okropna, ale mogłaby być nieco bardziej skłonna do pomocy.

- Rusz się, dobrze ci radzę - wymamrotałam.

Karier wyglądał na speszonego. Nie zauważyłam, że do nas podszedł i stał teraz przed nami.

- Bardzo przepraszam - powiedział.

Chichot Elizabeth był tym razem doskonale szczery.

- Och. Yyy. - Nie potrafiłam wymyślić ani jednego słowa, które rymowałyby się z „radzę”, dzięki któremu mogłabym wyjaśnić, że po prostu nie dosłyszałam, co właśnie wyszczałam w jego kierunku.

- Usiadłam na jej szarfię, panie Trethewey - skłamała radośnie Elizabeth. - Violet prosiła mnie właśnie, żebym się przesunęła. Jak pan się miewa?

- Bardzo dobrze, dziękuję. - Skłonił się przed nami. - Zastanawiam się, czy nie miałyby pani ochoty na szklankę lemoniady, panno Willoughby.

- Tak, dziękuję. - Wstałam i wzięłam go pod rękę, chociaż tak naprawdę miałam ochotę podejść do opornego ducha Rowena i strzelić jej solą prosto w nos. Zamiast tego poszłam z Xavierem do stolika w kącie sali, gdzie czekała srebrna misa z ponczem i szklanki. Moja matka obserwowała nas triumfalnie. Starłam się nie patrzeć na Colina, żeby sprawdzić, co robi. Prawdopodobnie nie chciałam tego wiedzieć.

Xavier i ja prowadziliśmy uprzejmą pogawędkę o pogodzie. Xavier był bardzo przystojny i uważny; jego blond włosy kniły w świetle licznych lamp oliwnych. Nie było jego winą, że był nijaki. Prawie przykryłam sobie ręką usta. Najwyraźniej ta sprawa z duchami zwarzyła mi mózg. Powinnam być wdzięczna i dumna, że prawił mi komplementy i prawdopodobnie pragnął się ze mną ożenić.

Byłam wdzięczna. I dumna. Naprawdę. Uśmiechnęłam się do niego jeszcze szerzej, zdecydowana nie zachowywać się jak

gęś. Odwzajemnił uśmiech i swoją urękawiczoną dłonią dotknął mojej, podając mi filiżankę.

- Jesteś jak zwykłe piękna, Violet - wyszeptał. Jego rodzice uśmiechali się do nas ze swoich miejsc, popijając wino. Świetnie. Uśmiechaliśmy się wszyscy czworo.

Było to bardzo sympatyczne, chociaż zaczynały mnie boleć policzki.

I wtedy Rowena bez ostrzeżenia opuściła swoje stanowisko.

Naprawdę zaczynała się robić nieznośna. Miała tyle czasu, żeby przejąć się moją obecnością, ale zamiast tego poczekała, aż znajdę się na osobności z Xavierem, który właśnie opowiadał mi uroczą historyjkę o pudlu swojej ciotki. Opowiadał mi ją już wcześniej, ale nie o to chodzi.

Rowena wisała nade mną, aż dostałam dreszczy. Xavier zaprowadził mnie na fotel, sądząc, że kazał mi stać w przeciągu. Ja starałam się nie zwracać uwagi na Rowenę.

- Za chwilę - wymamrotałam kątem ust.

Przycisnęła się do mnie w najbardziej niewygodny sposób. Przezroczyta biała lilia uderzyła mnie w twarz, o mały włos nie trafiając mnie w oko. Było mi zimno i wilgotno, nawet moje kości miały wrażenie, jakby zima przyszła za wcześnie. Zacisnęłam zęby, żeby nie szczękały. Pokój zawirował gwałtownie i nagle znalazłam się w środku kolejnej wizji. Żałowałam, że Rowena nie miała innego sposobu dzielenia się ze mną informacjami. Bardziej przejrzystego. I takiego, który nie przyprawiałby mnie o mdłości.

Wygodne kanapy bawialni zniknęły.

Byłam ciągnięta przez trawnik przy Whitestone Manor w mojej nocnej koszuli. Biały bawełniany materiał połyskiwał w świetle księżyca. Czułam się słaba i zdezorientowana znów czułam w ustach posmak jakiegoś lekarstwa. W ustach Roweny. Trudno było pamiętać, że nie przydarzało się to mnie samej. To nie ja byłam ciągnięta w kierunku sadza

nie ja czułam przeszywający ból krtani od przyduszania. Nie wiedziałam, kto trzyma mnie za nadgarstki, kto właśnie w tej chwili wpycha mnie pod wodę i przytrzymuje. Nie widziałam wyraźnie. Byłam otumaniona paniką i tym, do czego przeknięcia zostałam wcześniej zmuszona. Zimna woda obmywała mnie łagodnie. Próbowalam się szarpać, bezskutecznie kopałam nogami. Czułam ból w płucach.

Wskoczyłam z powrotem do mojego ciała ze zduszonym okrzykiem.

- Violet, dobrze się czujesz? - spytał Xavier, najwyraźniej przejęty.

Upiłam łyk lemoniady, żeby się uspokoić, zanim się odezwę. Ręce mi drżały.

- Atak kolki - wyjaśniłam. - Mój gorset musi być zbyt ciasny.

Xavier zarumienił się, a ja ponieważ przypomniałam sobie, że damy nie powinny wspominać o swoich gorsetach. Podążyłam za jego zakłopotanym spojrzeniem do rąbka mojej sukni, który zrobił się mokry. Wokół niego tworzyła się kałuża wody. Rowena.

Uśmiechnęłam się słabo.

- Ojej - wymamrotałam. - Musiałam wylać trochę lemoniady.

Starałam się utrzymać miły wyraz twarzy, nawet kiedy Rowena przefrunęła przez pokój niczym gwałtowny wiatr, rozsiewając płatki lilii i krople wody. Usta miała otwarte odstręczająco szeroko, jakby wydobywał się z nich lament. Nie potrafiłam znaleźć na to innego słowa. Grzmoty, deszcz i kawałki lodu roztrzaskiwały się wściekle o posadzkę.

Wieczór trwał dalej, jakby nic takiego się nie stało.

Tabitha przyjęła szal od pokojówki, Caroline stała jak zawsze prosto jak struna. Lord Jasper śmiał się z jakiegoś dowcipu, Wentworth zjadł kolejną garść makaroników. Moja matka

flirtowała z o połowę od siebie młodszą mężczyzną, po czym odwróciła się, by zrobić to samo z mężczyzną dwa razy od siebie starszym. Młode dziewczęta chichotały, młodzi mężczyźni grali w karty przy stołach pod oknem. Kobieta w białej satynowej sukni grała na pianinie Mozarta bez ani jednej pomyłki.

W szyby uderzył deszcz. Włosy na moich rękach stały dęba jak żołnierze na baczność. Powstrzymałam dreszcz. Wsunęłam rękę do kieszeni i dyskretnie, tak jak to możliwe, rozsypałam sól na ziemi przy moim fotelu.

- Dziwne - wyszeptał Xavier, a ja przez chwilę sądziłam, że zauważył, co robię. - Nie spodziewałem się burzy dziś wieczór - ciągnął ku mojej wielkiej uldze.

Nie spuszczałam z oczu Roweny, jednocześnie starając się uśmiechać do Xaviera. Rowena krążyła dookoła pokoju, próbując zwrócić na siebie moją wyraźnie rozproszoną uwagę. Nie zatrzymywała się jednak dość długo przy nikim konkretnym. Zaczynało mi się kręcić w głowie i czułam się przeciążona.

- Jest pani pewna, że dobrze się pani czuje, panno Willoughby? - spytał Xavier z troską.

I wtedy, znienacka, Rowena zniknęła. Na zewnątrz rozległ się potężny huk grzmotu, aż zadrżały szyby w oknach. Kilka osób podskoczyło, rozlewając drinki. Deszcz uderzył w szyby i potrząsnął różami.

- Myślę, że przez tę burzę dostałam migreny - powiedziałam, wstając. - Może powinnam powiedzieć panu dobranoc.

- Dobranoc, panno Willoughby - Xavier pochylił się nad moją dłońią. Jego ręce były ciepłe i miękkie. Rowena podażyła za mną na korytarz. Miałam dość jej występów na ten wieczór, więc zignorowałam ją, zgrzytając zębami. Powinnam była wiedzieć, że to nie pomoże. Utworzyła wokół mnie wir zimnego powietrza i sprawiła, że światła dookoła przygasły)

Lord Jasper stał przy drzwiach wejściowych, wymieniając uścisk dłoni z lordem Kearsleyem. Xavier wyprostował A

i odszedł, żeby odprowadzić matkę do schodów. Pan Travis stał w drzwiach do palarni. Elizabeth i Colin czekali na mnie niecierpliwie przy paprociach.

Wszyscy byli zbyt daleko, żeby mi pomóc.

Nawet krzyk pana Trávisa i widok Colina wybiegającego spomiędzy liści paproci nie wywołały we mnie reakcji. Dopiero twarz Roweny, która nagle pojawiła się przede mną z bezgłośnym krzykiem, sprawiła, że cofnęłam się o krok.

Ten jeden krok wystarczył jednak, żebym zeszła z drogi ciężkiemu żyrandolowi, który spadł z haka na suficie, rozsiewając wokół płonące świeczki.

Nie wiadomo skąd pojawił się sir Wentworth i szarpnięciem odsunął mnie z drogi. Kryształowy żyrandol rozbił się o podłogę na drobne kawałeczki jak sople lodu spadające z gałęzi drzew. Świeczka wylądowała u moich stóp i zgasła w pióropuszu ciemnego dymu. Zapach płonącego wosku wypełnił korytarz. Pozostali goście nie ruszyli się z miejsc, zastygli z przerażenia. Lord Jasper jako pierwszy przerwał bezruch.

- Violet! - Swoją laską rozrzucał kawałki szkła. - Nic ci nie jest? - Zabrał mnie z uścisku sir Wentwortha i przyjrzał mi się uważnie, jakby był moim dziadkiem. Colin pojawił się zaraz po nim, cały błądy.

- Och, Violet! - zwołała Elizabeth.

Na moich gołych rękach nad rękawiczkami i na karaku pojawiła się gęsia skórka. Rowena rozwiąła się jak dym. Napotkałam poważne spojrzenie pana Trávisa i wiedziałam, że pamięta mój wypadek z urną. Zaczynałam mieć podejrzenia co do jego obecności przy obu wydarzeniach. Mogłabym zastanawiać się nad tym dłużej, ale przeszkadzało mi pulsowanie krwi w uszach i fakt, że moje serce zdawało się na dobre umiejscowić w moim gardle.

- Dziękuję, sir Wentworth - powiedziałam skrzekliwie.

- Violet! Kochanie! - Moja matka schwyciła Xaviera za rękę i zaciągnęła w moim kierunku. Jej oczy były zbyt radosne, domyśliłam się więc, że w jej filizance było coś więcej niż herbata. Zdała sobie sprawę z tego, że coś się dzieje, kiedy odwrócono od niej uwagę. - Tak się martwiliśmy. - Poklepała Xaviera po ramieniu. - Wyglądasz słabo, może pan Trethewey mógłby podać ci ramię.

- Nie jest mi słabo. - Spojrzała na mnie złowrogo, po czym rzuciła Xavierowi spojrzenie spod oka. Wiedziałam, co powinnam była zrobić. Powinnam była unieść rękę do białego czoła i łagodnie opaść Xavierowi w ramiona. Ale po prostu nie miałam na to czasu.

- Proszę mi wybaczyć - wyszeptałam, po czym uciekłam na górę.

Bo nie dość, że piłyśmy herbatę z mordercą, to stawało się bardzo możliwe, że ktoś próbował nie tylko mnie odstru[^] ale zwyczajnie zamordować.

Tej nocy Colin przyszedł do mnie do pokoju. Wpuszczenie go do środka było z mojej strony skandaliczne, ale nic mnie to nie obchodziło. Twarz miał tak poważną, że prawdopodobnie i tak by nie odszedł. Kiedy chciał, potrafił być nieustępliwy.

- Musisz wracać do Londynu - wypalił, odwracając spojrzenie od mojej koszuli nocnej. - I nie stój tu.

Zamrugałam na tę nagłą zmianę tematu.

- Co? Czemu? - Zerknęłam za siebie, na wpół obawiając się, że czai się tam jakiś duch, ale była tam tylko migocząca świeczka.

- Za tobą jest światło. Widzę twoje nogi przez koszulę.

- I?

- To rozpraszające. - Coś w sposobie, w jaki to powiedział, przez zaciśnięte zęby, wywołało u mnie uśmiech. Zmrużył oczy. - Przestań.

Odsunęłam się z przesadną skromnością, nadal się uśmiechając.

- Przyszedłeś tu tylko po to, żeby mi powiedzieć, żebym nie stała przy świeczce?

- Jasne, że nie. - Jego irlandzki akcent stał się wyraźniejszy, co oznaczało, że naprawdę się martwi. - Musimy uciekać. Teraz.

- Ale czemu?

Utkwił we mnie zdumione spojrzenie.

- Ominęło cię może, jak żyrandol prawie spadł ci na głowę niemądra dziewczyno?

- Ale nie spadł. Nic mi nie jest.

- Jeszcze nie. Kogoś zdenerwowaliśmy. To było cholerne ostrzeżenie, Violet.

- Co może oznaczać tylko jedno.

- Że jesteś w strasznym niebezpieczeństwie?

- Nie - odparłam, przysiadając na kanapie w nogach łóżka - Że zbliżamy się do jakiejś odpowiedzi.

- Im bardziej się zbliżysz, tym większe niebezpieczeństwo ci grozi - wytknął Colin.

- Nie możemy teraz przerwać. Rowena zasługuje na sprawiedliwość, czyż nie? A jeśli jestem jedyną osobą, która może jej pomóc?

- Nic mnie ona nie obchodzi. Ty mnie obchodzisz.

Kiedy to powiedział, poczułam, jak zalewa mnie fala ciepła, jakbyśmy siedzieli na rozstłonecznionej łące.

- Nie mogę wyjechać, Colin.

- Wiedziałem, że tak powiesz. - Przeczesał ręką włosy.

• Tylko nie zapomnij nosić przy sobie soli. I pamiętasz ten łos, którego cię uczyłem? - Pokiwałam głową. - Nie chowaj łuka, bo go sobie złamiesz.

- Nie wydaje mi się, żeby bicie duchów było bardzo *uteczne.

- A mnie się nie wydaje, żeby to duchy poluzowały ten żrandol albo popchnęły urnę.

- Pewnie nie. - Wyjęłam z szafy tablicę spirytystyczną. Elizabeth zostawiła ją tutaj, żebym mogła poeksperymentować, ale nie było ku temu okazji. - Ale skoro już o tym mówimy, może moglibyśmy zajrzeć do świata duchów - zaproponowałam. - Żeby niczego nie pominąć.

- Co to jest u diabła?

- Tablica spirytystyczna - wyjaśniłam. - Użyłyśmy jej już z Elizabeth, żeby porozmawiać z Roweną. - Usiadłam na dywanie i umieściłam deseczkę pośrodku tablicy. Kosmyk włosów opadł mi na ramię. Colin wyciągnął rękę, żeby go odgarnąć, przytrzymując go w palcach przez długą, milzącą chwilę, jakby było to coś cennego. Rzuciłam mu spojrzenie kątem oka. Był bardzo blisko i miał bardzo poważny wyraz twarzy. Spodziewałam się, że znów mnie pocałuje. On jednak usiadł i odchrząknął, zanim ja zdążyłam pomyśleć o pocałowaniu jego.

- Jak to działa? - spytał ochryple z tak silnym akcentem, że mogłoby się wydawać, iż mówi po gaelicku.

- Kładzie się czubki palców na tym czymś, a potem zadaje pytania. Duch odpowiada, literując słowa.

Rękoma musnął moje dłonie. Jego skóra była ciepła, pod jej dotykiem poczułam dreszcze. Skoncentrowałam się na tablicy. Byłoby śmieszne popadać w uniesienie tylko dlatego, że Colin siedział tuż obok mnie w ciemnościach.

- Duchy - wyszeptałam. Z jakiegoś powodu zaschło im w gardle. - Duchy, przemówcie do nas.

Czekaliśmy, ledwie oddychając. Deseczka się nie poruszyła

- To chyba nie działa. Pewnie robimy to na odwrót.

- Daj jej chwilę - upomniałam go. - Duchy, słuchamy - oznajmiłam ponownie. - Duchy, przemówcie! Przyjdźcie do nas!

Deseczka zadrżała jak motyl przyszpilony do tablicy. Colin wciągnął powietrze i zaklął. Uniosłam brew w jego stronę ukimpertynencko, jak potrafiłam.

- Dobra, dobra - wymamrotał.

lednak deseczka nie wskazała na żadne litery. Zamiast tego kręciła się w miejscu. Zabraliśmy ręce, ale ona nadal się kręciła, porzucając wszelkie próby przeliterowania jakiejś wiadomości. Poruszała się tak szybko, że uniosła się w powietrze, po czym zatrzymała się gwałtownie i upadła z głośnym stukotem, szczerbiąc tablicę.

Zerwał się zimny wiatr. Płomień świecy zamigotał. Z ust wydobywały nam się kłęby pary. Nad tablicą ukazał się duch starej kobiety. Rąbek jej pomiętej sukni zostawiał za sobą na dywanie ślad szronu. Uśmiechnęła się do mnie prawie bezzębnym uśmiechem. Następnie przykucnęła, żeby zajrzeć w twarz Colinowi. Miała na sobie wysoką perukę, w rodzaju tych, jakie były modne sto lat temu. Wśród loków i zjedzonych przez mole włoszek krążyły białe szczury. Szron zaczynał porastać mu buty.

-Colin, uważaj!

Za późno.

Stara kobieta okrążyła go, wzbudzając zimny wiatr, od którego zaszczekały mi zęby. Przykucnęła za Colinem, po czym rzuciła się na niego, aż jej kościste ręce zaczęły wystawać z jego piersi. Zbladł tak bardzo, że zrobił się lekko niebieski. Złapał się za pierś, chociaż wiedziałam, że nie widzi mglistych rąk. Wstrząsnął się mocno, walcząc o swoje ciało. Był silny i sprytny.

Ale przegrywał.

- Przestań! - Skoczyłam na nią, ale ona tylko kłapanęła zębami w moją stronę. Z sufitu zaczął padać śnieg. - Hej! - Krzyknęłam, w przypływie gniewu zapominając o wszystkich lekcjach dykcji i wymowy. Szarpnęłam Colina do przodu za koszulę, po czym wyciągnęłam z kieszeni sól, którą kazał mi ze sobą nosić. Posypałam nią jego głowę, a resztę

rzuciłam starej kobiecie w twarz. Colin strząsnął jej trochę na rękę i polizał. Kiedy ją przełknął, stara kobieta wrzasnęła i zniknęła razem ze szczurami.

Colin ukląkł na podłodze i gwałtownie wciągnął powietrze, poruszając klatką piersiową. Włosy wpadały mu do oczu.

- Ty też powinieneś nosić sól w kieszeni - powiedziałam drżącym głosem. Wziął mnie za rękę, zanim zdążyłam się odsunąć, i przycisnął usta do moich palców.

- Dziękuję - wyszeptał.

Czułam potrzebę przyklęknienia tuż przed nim, tak żebyśmy byli oko w oko i usta w usta. Zanim zdążyłam się ruszyć, odgłos za drzwiami popsuł nastrój.

Colin zanurkował pod łóżkiem, a ja obróciłam się, upewniając się, że zasłaniam tablicę. Drzwi otworzyły się gwałtownie.

- Violet, co ty robisz? - spytała moja matka, rozglądając się podejrzliwie.

- Ćwiczę przed seansem - odparłam beztrąsko.

- No dobrze, ale bądź cicho - rzuciła, po czym odmaszerowała do swojej sypialni.

Przeszłam przez dywan, żeby porządnie zamknąć drzwi

Colin wysunął głowę spod łóżka. Wyglądał niechlujnie: miał na sobie spraną lnianą koszulę z podwiniętymi rękawami. Nawet teraz, kiedy między nami pojawiła się nowa, dziwna energia, czułam się przy nim bezpiecznie.

Colin wstał i odgarnął włosy z twarzy.

- Nie jesteś bezpieczna w tym domu.

Nie mylił się. Już kilka razy ledwo uniknęłam poważnego zranienia w domu lorda Jaspera, a tablica spirytystyczna należała do niego. Colin miał rację. Coś tu było nie w porządku. Chciałam spytać o to Elizabeth, ale wiedziałam, że ona będzie miała o swoim wuju jak najlepsze zdanie.

Ja nie byłam już tego taka pewna.

- Będę ostrożna - obiecałam.

ROZDZIAŁ 14

e*

Następnego dnia po południu Elizabeth spędzała czas ze swoją matką, więc poszłam na spacer do ogrodu, chcąc uniknąć mojej własnej matki. Główny seans miał się odbyć jutro wieczorem i miało się na niego zjechać jeszcze więcej gości. Z powodu napięcia matka była jeszcze bardziej drażliwa niż zwykle, nawet Marjorie się przed nią chowała, udając, że ceni rąbek mojej sukni, choć wiedziałam, że on nie wymaga cerowania. Większość pozostałych gości wybrała się do miasteczka na zakupy albo grała w gry w pokoju bilardowym. Nawet biblioteka była zajęta, ale i tak nie byłaby to najlepsza kryjówka, bo matka od razu zaczęłaby mnie tam szukać. Usiana płatkami róż kamienna ścieżka wiła się między kwietnikami i zakręcała w kierunku dębowego zagajnika. Były tam biedronki, pszczoły i drepczący powoli jeż.

I pan Travis.

Zatrzymałam się gwałtownie. Pan Travis siedział na marmurowej ławce, paląc cygaro. Wyglądał na przygnębionego. Przełknęłam ślinę i powoli odwróciłam się na pięcie, mając nadzieję, że zdążę zanurkować za zakrętem, zanim mnie zauważy.

Niestety.

- Panno Willoughby?

Może mogłabym udawać, że go nie dosłyszałam. Nie odwróciłam głowy i szłam dalej, przyspieszwszy kroku. Usłyszałam, że podnosi się z ławki.

- Panno Willoughby!

Szłam tak szybko, że właściwie biegłam. Pewnie po-
winnam była się zatrzymać i sprawdzić, jakie informacje
o Rowenie udałoby mi się z niego wydobyć, ale czułam się
przy nim nieswojo. Wolałam już uciec do domu i ryzykować
zetknięcie z humorami matki.

Dyszałam ciężko, kiedy mnie dogonił. Złapał mnie za ra-
mie, a ja pisnęłam, nie spodziewając się tak brutalnego powi-
tania. Od domu zasłaniały nas gęste krzaki róż.

- Proszę mnie puścić, proszę pana. - Szarpnęłam się, pa-
trząc na niego wrogo. On jednak tylko przesunął uścisk
z mojego ramienia na łokieć. Do mojego oburzenia dołączy-
ło ukłucie strachu. - Panie Travis!

- Chcę tylko zamienić z panią słowo, panno Willoughby.
- Był tak natarczywy, że aż się zwinęłam. Bardzo chciałam,
żeby nie patrzył na mnie w ten sposób.

- Czego pan chce? - warknęłam.

- Mogła pani zostać poważnie ranna, kiedy spadł ten ży-
randol - zauważył ponuro. - I urna.

Komentarz był dość uprzejmy, ale mimo wszystko przy
pominął groźbę. Moje ręce zrobiły się zimne.

- Nie sądzi pani? - naciskał, kiedy nie odpowiedziałam
Palce mocno zacisnął na mojej ręce, wbijając je w skórę przez
cienki jedwab.

- Naprawdę powinnam wracać do domu.

- Jest pani w niebezpieczeństwie, panno Willoughby, czyz
pani tego nie widzi? Co pani wie?

- Zapewniam, że nie wiem, o czym pan mówi.

- Proszę mi powiedzieć! - warknął. Odskoczyłam. Serce
zabiło mi mocno pod gorsetem. Zaczynałam czuć prawdzi-
e strach, mimo słońca, pięknych pąków róż i bliskości domu
Pomyślałam o pełnej gniewu twarzy Roweny nad sadzawb
kiedy przywołałam sprawę pana Trávisa.

- Pani nie jest tu bezpieczna - nalegał. Oczy mu płonęły. Był tak blisko, że czułam zapach jego cygara na surducie i widziałam sińce pod jego oczyma. Nadal mnie nie puszczał, więc zrobiłam jedyną rzecz, jaka przyszła mi do głowy.

Kopnęłam go w goleń najmocniej, jak potrafiłam.

Zaklął i instynktownie złapał się za obolałą nogę, a jego uścisk zelżał. Wykręciłam się i biegłam całą drogę do domu, jakby ścigało mnie stado wściekłych psów.

Tego wieczoru, kiedy wszyscy udali się na spoczynek, czekałam na Colina w bawialni. Musieliśmy przygotować ją do seansu. Tym razem było inaczej, gdy znaleźliśmy się razem i ciemnym pokoju, kiedy nikt nie mógł nam przeszkodzić. To śmieszne, że dokładnie uczesałam włosy i przewlekłam nową wstążkę przy szyi mojej cerowanej już koszuli nocnej. Gdyby wiedział, tylko by się z tego śmiał.

Nie wyobrażałam sobie tego, zdecydowanie coś innego unosiło się w powietrzu między nami. Coś w rodzaju radośnego oczekiwania jak w świąteczny poranek, kiedy wiedziałam, że dostanę pomarańczę i dodatkę puddingu, tylko jeszcze radośniej szego.

Chociaż bardzo irytowało mnie, że trzęsą mi się ręce. Nie zamierałam stać się jedną z takich dziewcząt.

Zwłaszcza że Colin się spóźniał.

Równie dobrze mogłam już zacząć, zamiast czekać. Ukłękłam i wczołgałam się pod stół z koszykiem w ręce. Wymieniłam wsunięty tam kawałek papieru i dodałam mały flakonik perfum, wsuwając go pomiędzy skrzyżowane drewniane nogi. Wysunęłam korek, po czym przywiązałam buteleczkę kawałkiem sznurka. Zmierzyłam odległość do każdego z krzeseł. Musiałam być w stanie dosięgnąć flakonika i każdego miejsca, w którym zostaną posadzone. Nie było gwarancji, że usiądę na tym samym krześle co ostatnio, a nie

można było spodziewać się sukcesu, nie przygotowując się na każdą ewentualność, także na to, że naprawdę zobaczy się ducha.

Wciąż tkwiłam pod stołem, wystawiając pupę w niezbyt elegancki sposób, kiedy drzwi otworzyły się ze skrzypieniem.

- Violet?

Podskoczyłam, uderzyłam się w łokieć i wyciągnęłam rękę, żeby złapać krzesło, zanim upadnie na podłogę i obudzi któregoś z gości. W łokciu czułam pulsujący ból.

- Cholera jasna - wysyczałam, pocierając siniaka. Wygramoliłam się spod stołu i usiadłam na dywanie, marszcząc brwi. Colin miał włosy tak zmierzwione jak ja i koszule wyjętą ze spodni. - Co ci się stało?

- Musiałem zapolować w kurniku na pióra. - Skrzywił się. - Nie najprzyjemniejsze zajęcie.

Zmarszczyłam współczująco nos. Woń drobiu przyćmiła romantyczne marzenia.

- Raczej nie. Uzbierałeś ich dosyć?

- Tak, Marjorie ma koszyk pełen białych piór i drugi z płatkami róż.

- Dobrze. Igłę do cerowania mam już w bucie. Przynajmniej nie będę musiała znowu kuśtykać po domu z miechami.

- Spojrzałam na niego. - Myślisz, że potem z tym skończy? Choć na chwilę?

Zrobił grymas.

- A ty jak myślisz?

Westchnęłam.

- Nie, oczywiście, że nie. - Umowa najmu na nasz dom wygasła tego lata. Jeśli nie zarobimy więcej pieniędzy, zostaniemy bez środków do życia. Co gorsza, od medium oczekiwano, że będzie przyjmować podarunki zamiast pieniędzy jeśli nie chciało być uznawane za zwykłego, zawodowego spirytystę. - Nienawidzę tego, Colin.

- Wiem.
- Ty przynajmniej nie jesteś z nią spokrewniony
- Może cały ten dar widzenia był karą za wszystkie kłamstwa, które wypowiedziałam.
- Wzruszył ramieniem i odwrócił wzrok.
- Nie jest wcale tak źle.
- Czemu nie odszedłeś? - spytałam cicho. - Czy dlatego że twoja matka o mnie wspomniała?
- Wiedziałem, że nie powinienem być ci o tym mówić
- wymamrotał.
- Co powiedziała, Colin?
- Nie odpowiedział od razu.
- Colin?
- Westchnął i przeczesał ręką włosy.
- Mówiła o dziewczynie o fiołkowych oczach. To wszystko.
- Wciąż za nią tęsknisz?
- Tak. - Podeszedł bliżej.
- Czy dlatego nie odchodzisz? Ze względu na nią? Choć moja matka jest okropna?
- Spojrzał mi w oczy.
- Zostałem dla ciebie, Violet.
- Nagle zrobiło mi się gorąco.
- Dla mnie?
- Skinął głową.
- Nie mogę cię jej zostawić. Pożarłaby cię żywcem. - Przykucała przede mną. - Powinnaś od niej odejść, Violet. Będzie ci lepiej bez niej.
- Jego ręce pachniały płatkami róż.
- Jedyne rozwiązanie na to, żeby od niej uciec, to wyjść za męża.
- Trethewey - stwierdził ponuro.
- Niekoniecznie - odparłam, nagle czując się nieswojo.
- Może.
- Nie kochasz go.

- Ale nie nienawidzę.

Roześmiał się, ale bez radości.

-1 myślisz, że to wystarczy, żeby zawrzeć związek małżeński? Źle się do tego zabierasz.

- Nie mam innego wyboru, Colin, nie tak jak ty - odparłam obronnie. - Jestem kobietą, jakbyś nie pamiętał. Moje możliwości to potrawki albo szwalnia; matka zawsze powtarzała, że nikt nie zatrudni mnie jako guwernantki. - Chociaż wciąż żywiłam nadzieję, że w jakiś sposób mi się to uda. - Poza tym jedyny możliwy wybór to małżeństwo. A Xavier jest dobrym człowiekiem. - Nie byłam pewna, kogo próbuję przekonać i czemu czułam się taka zmęczona. Wiedziałam tylko, że chwila minęła bezpowrotnie jak piękna koronka, która odwinęła się, żeby ukazać materiał zjedzony przez mole.

- Co z niego za mężczyzna! Nigdy cię nie zrozumie - stwierdził z zawziętością. - Myślisz, że uśmiechnie się do ciebie i weźmie za rękę, kiedy następnym razem duch zaatakuje cię przy kolacji?

- On nie musi wiedzieć.

- Więc nic nie będzie o tobie wiedział.

- Myślisz, że tego nie wiem? - Pod powiekami czułam łzy. Nie chciałam, żeby popłynęły. Mój oddech stał się urywany, ale z uporem uniosłam brodę.

Colin podał mi rękę i podniósł mnie na nogi. Nagle stałam bardzo blisko niego. W mroku bawialni jego niebieskie oczy były prawie srebrne. Pod kołnierzykiem widać było kawałek jego opalonej skóry. Przełknął ślinę.

I kiedy już zaczynałam się zastanawiać, czy mnie pocałuje, puścił mnie gwałtownie.

- Powinniśmy pójść spać - stwierdził szorstko.

W milczeniu pokiwałam głową. Nie odezwaliśmy się więcej i poszliśmy każde w swoją stronę.

Kiedy dotarłam do sypialni, na poduszce leżały rozsypane płatki róż. Wsunęłam się pod kołdrę i leżałam, wdychając ich delikatny zapach.

Nie byłam pewna, czy czuję się przez nie lepiej, czy gorzej.

Matka popijała sherry z filiżanki malowanej w wielkie peonie. Miała nienagannie upięte włosy, a na sobie suknię z czarnego jedwabiu i czarne koronkowe rękawiczki. Na szyi zawiesiła naszyjnik z dżetami. Wyglądała przepięknie: blada, delikatna i tragiczna.

Ziewnęłam i opadłam na jeden z foteli, sięgając po filiżankę.

- Violet - powiedziała. - Dobrze. Oboje będziecie dziś musieli szczególnie się starać. To musi być nasz najlepszy występ.

Colin zerknął na mnie. Ciemne włosy opadły mu na czoło. Między nami było teraz coś intymnego, wspólny sekret - ale taki, który nie ciążył ani nie zmuszał do kłamstwa. Który nie miał nic wspólnego z moją matką ani z morderstwem.

Nie wiedziałam dlaczego, ale kiedy nasze spojrzenia się spotkały, miałam wrażenie, że się zarumienię. Zamiast tego dosypałam cukru do herbaty.

- Nie możecie zacząć zachowywać się jak pensjonarki. Violet, czy ty mnie słuchasz?

- Tak, *maman*.

Widziałam, że jest zdenerwowana. Palce drżały jej lekko i wierciła się na krześle. Nie znosiła, kiedy ktoś się wiercił. Marjorie zostawiła nas już dawno temu - kręciła się okropnie, kiedy matka była nie w humorze i nigdy nie kończyło się to dobrze. Wypiłam więcej herbaty.

- Mamo, czy wierzysz w duchy?

- Nie bądź głupia.

- Nie uważasz, że niektórzy naprawdę widzą duchy i z nimi rozmawiają?

Spojrzała na mnie surowo. Nigdy nie rozmawialiśmy o oszukanych seansach. Tak właśnie popełniane były błędy i odkrywane tajemnice. Bez znaczenia, czy miało się wrażenie, że rozmowa jest prywatna i bezpieczna, zawsze ktoś jeszcze mógł jej słuchać, więc nie prowadziliśmy rozmów w ogóle.

- Nie, z całą pewnością nie. Szarlatani, cała banda.

- Och. - Colin i ja wymieniliśmy spojrzenia. Wiedziałam, że nie powinnam była pytać, ale skrycie żywiłam nadzieję, że mogłaby pomóc mi z moim nowo odkrytym, niemile widzianym talentem. Colin niedostrzegalnie pokręcił głową. W przeciwieństwie do mnie umiał nie odzywać się, kiedy nie trzeba. Wypiłam jeszcze herbaty, żeby zająć się czymś innym. W tym tempie będę chłupotać całą drogę do bawialni. Matka przypatrywała mi się przez dłuższą chwilę, po czym skinęła głową.

- Ładnie wyglądasz - stwierdziła wreszcie. - Dobrze ci w tej sukni.

Miałam na sobie suknię w niebiesko-fioletowo-czarne pasy. Wzdłuż dekoltu przyszyłam jedwabne fiołki, żeby wyglądała na bardziej modną. Matka pochyliła się i uszczypnęła mnie w policzki.

- Ała!

- Potrzebujesz rumieńców, żeby zachęcić twojego pana Tretheweya. Nie możemy pozwolić, żeby nasza ciężka praca poszła na marne.

Zdążyłam o nim zapomnieć.

- Jestem z ciebie dumna, kochanie. On ma kieszenie bez dna i jest przystojny. Nie mogłaś lepiej trafić.

Poruszyłam się, nagle zrobiło mi się nieswojo. Czułam na sobie wzrok Colina, ale nie oglądałam się na niego. Matka obserwowała nas oboje.

- Poprosi o twoją rękę, kiedy tylko wrócimy do Londyn" - ciągnęła, zadowolona. - Już pytał, czy może złożyć nam

CÓRKA MEDIUM

wizytę, a jego matka jest dla ciebie przemiła. Nie myśl, że nie zauważyłam.

Słońce zachodziło za wzgórzami. Niedługo będziemy musieli zejść na dół.

- Colin, idź przodem - zwróciła się do niego matka. Colin wstał i skłonił się lekko, głównie w moim kierunku. Kiedy wstałam, żeby pójść za nim, matka zatrzymała mnie, kładąc i mi rękę na ramieniu. - Nie bądź głupia, Violet.

Zamrugałam.

- Słucham?

- To dobry chłopak, ale tylko tyle. Byłoby idiotyczne porzucić pana Tretheweya i jego szanowaną rodzinę dla sieroty **bez** pensa w kieszeni.

- Nikogo nie porzucam - odparłam gorąco, wrywając się. - A Colin zawsze robił wszystko, o co go poprosiłaś. Jak możesz mówić o nim w ten sposób.

- To prawda - odparła, wzruszając ramieniem lekceważąco. - Możesz go kochać, Violet, ale nie możesz za niego wyjść. Co będziesz jadła? Błoto? Kurz? On nie ma perspektyw.

- Nie Kocham Colina. - Naprawdę? Z pewnością nie.

- Więc nie mamy się czym martwić, prawda?

Potrząsnęłam głową zachmurzona. Nie byłam pewna, kiedy małżeństwo z Colinem w ogóle stało się możliwe i czy mogłabym się nad tym zastanawiać, ale z pewnością nie podobalo mi się założenie, że nie jest dla mnie dość dobry. To tylko wzbudzało mój upór i złość.

- Możemy już iść?

Minęła mnie w drodze do drzwi.

- Pamiętaj - powiedziała, jak zwykle. - Żadnych błędów.

W bawialni było tłoczno. Goście plotkowali i gawędzili między sobą, popijając czerwone wino i szampana z kieliszków. W ogrodzie za gęstymi, aksamitnymi zasłonami było

ciemno i cicho. W kominku nie palił się ogień, świeciły się za to lampy oliwne i jedna świeczka na stole, zgodnie z życzeniem matki. Colin stał na swoim zwyczajowym miejscu przy drzwiach, uważnie obserwując otoczenie, chociaż wszyscy inni myśleli, że po prostu patrzy w ścianę jak każdy dobry lokaj.

Lord Jasper podszedł do nas, stukając laską na świecącej drewnianej posadzce. Jak większość mężczyzn, ubrany był dziś na czarno i w wykrochmaloną białą koszulę.

- Pani Willoughby, wszyscy wyczekujemy demonstracji pani rzadkich talentów. - Złożył ukłon. - I pani, panno Willoughby, jeśli taka będzie pani wola.

Zarumieniłam się po korzonki włosów i wykręciłam nie zrzecznie. Matka popatrzyła na mnie przez krótką chwilę spod zmrużonych powiek, po czym uśmiechnęła się wdzięcznie do lorda Jaspera.

- Duchy pragną do nas dołączyć.

- Miło mi to słyszeć.

- Tłoczno tu dziś wieczorem - zauważyła matka, zadowolona.

- Jest pani sensacją, moja droga. Może zajmujemy miejsca?

Matka skinęła głową i wzięła go pod rękę.

- Prosiłabym o chwilę skupienia, żeby móc otworzyć zmysły.

- Oczywiście.

Matka usiadła w fotelu z szerokim oparciem przy okrągłym mahoniowym stole w samym środku pokoju. Wyglądała jak królowa, która czeka tylko, aż uklękną przed nią dworzanie. Ta chwila ciszy była częścią przedstawienia, ukazywała ją z jej najlepszej strony, bladą, piękną i niedostępną. Lord Marshall kręcił się w pobliżu z płonącymi oczyma, popijając wino. Nadal nie wzbudzał mojej sympatii. Pan Travis jak zwykle się we mnie wpatrywał. Tym razem krążył w tę i z powrotem

pomiędzy mną a Tabitha. Odwróciłam się lekko, nie chcąc napotkać jego wzroku. Próbowałam znaleźć sposób na to, by mieć go na oku, nie będąc natrętną, kiedy Elizabeth oddaliła się od swojej matki i odezwała się cicho za moimi plecami.

- Myślisz, że Rowena przyjdzie?

Wzruszyłam ramionami, chociaż znałam odpowiedź: z całą pewnością nie. A gdyby jednak przyszła, moja matka jej nie zauważy.

- Jak się ma Tabitha? Pan Travis ją obserwuje, ale ona wydaje się go nie znać.

- Nie zapominaj, że on trudni się handlem. Tabitha nie odezwie się do niego, chyba że będzie to konieczne. Flirtuje z Xavierem tylko po to, żeby ci dokuczyć. Poza tym pokłóciła się z Caroline i nie rozmawia praktycznie z nikim, nawet ze swoim wujem.

Poczułam nerwowe ukłucie w żołądku. To było gorsze niż nasze małe posiedzenia z pogrążonymi w żałobie wdowami i znudzonymi, spragnionymi silnych wrażeń arystokratami. Było tu dziś mnóstwo ludzi, wielu z nich przyjechało specjalnie aż z Londynu. I wszyscy wpatrywali się w moją matkę i spodziewali się, że skontaktuje się z ich ukochanymi zmarłymi. Moja matka udawała, a niektórzy z tych ludzi naprawdę byli w żałobie. Czułam się okropnie, jak pszczoła, na którą zaraz ktoś ma nastąpić.

Rozmowy przycichły i milkły, w miarę jak goście zajmowali miejsca. Z uwagi na rozmiary tłumu, tylko kilkanaście osób siedziało na krzesłach, podczas gdy pozostali stali w półokręgu przy kominku. Już było mi gorąco i duszno; w powietrzu unosił się zapach wody kolońskiej i wyrazista, słodko-woń brandy. Wokół jednego z krzesel zaciągnięto zasłony - tam matka miała odbywać bardziej spektakularne rozmowy

z duchami. Było powszechnie wiadomo, że medium najwyżej wykorzystuje swoje dary na osobności.



Matka wciąż miała zamknięte oczy i oddychała głęboko.

- Moja córka zgasi światła.

Okrzyknęłam pokój, gasząc lampy gazowe. Gęsty półmrok powoli opanowywał pokój. Kiedy dotarłam do ostatniej lampy, spojrzałam w twarz mężczyzny stojącego obok. Nasze twarze były jedynymi widocznymi jeszcze w ciemnościach.

Miałam wrażenie, że patrzę w lustro.

Nie ulegało wątpliwości, że mężczyzna w ciemnym garniturze, z ciemnymi, kręconymi włosami, o szerokich ustach, był moim krewnym. Bardzo bliskim krewnym. Cisza przedłużała się, a my wpatrywaliśmy się w siebie zaskoczeni. Wokół nas zaczynały narastać gorączkowe szepty, raz głośniej, raz ciszej, jakbyśmy stali nad brzegiem morza i słuchali szumu fal. Rozległ się okrzyk, po nim nerwowy chichot.

Nie byłam pewna, co robić.

Matka otworzyła oczy i odwróciła się w naszym kierunku. Zbladła gwałtownie. Usta jej zadrżały.

- Ty. - Prawie nie wydała dźwięku, ale odczytałam to z ruchu jej ust.

- To nie pan Willoughby - wyszeptał ktoś, podniecony nową plotką. - To hrabia Thornwood.

Hrabia Thornwood z Wiltshire. A więc moja matka została uwiedziona przez hrabiowskiego syna w Wiltshire.

Bo ten mężczyzna był najwyraźniej moim ojcem.

Nie mogło być inaczej, świadczyły o tym niebieskofiołkowe oczy, kształt czoła i kolor włosów. Miałam wrażenie, że wszystkie moje członki są wypełnione powietrzem, byłam lekka, unosiłam się nad ziemią, zdezorientowana. Z takim pietyzmem konstruowane arystokratyczne wdowieństwo matki legło w gruzach, nasze źródło utrzymania znalazło się w prawdziwym niebezpieczeństwie. A ja mogłam tylko stać i patrzeć, zastanawiając się, czy mój ojciec mnie poznaje i czy zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje. I czy choć odrobinę pamięta moją matkę

Jego spojrzenie krążyło od mojej matki do mnie i powrotem. Zdawałam sobie sprawę, że szepty stają się coraz głośniejsze, na granicy wyczuwalnego szoku, ale nie potrafiłam skoncentrować się na tyle, by wypowiedzieć jakieś słowo.

- Lordzie Thornwood - odezwała się matka.

- Mar...

Przerwała mu, odwracając się gwałtownie i klaszcząc w ręce.

- Duchy nie będą czekać. Violet, światło!

Zgasiłam je prędko, chociaż niechętnie odwracałam wzrok od tego mężczyzny - mojego ojca!

- Violet, usiądź!

Potrząsnęłam głową, żeby oprzytomnieć, i rzuciłam się na krzesło. Wiedziałam równie dobrze, jak ona, że jedyny sposób, w który możemy wyjść z tego cało, to naprawdę oszołomić rozgadana publiczność mocą mojej matki.

Bez tego czekały nas jedynie niełaska i bankructwo.

ROZDZIAŁ 15

- Zaczniemy modlitwą - wyszeptała matka. Nie mogłam patrzeć na Elizabeth, która starała się napotkać moje spojrzenie, ani na Colina przy drzwiach, ani na Xaviera, który, przejęty, siedział naprzeciwko mnie. Tabitha bez wątplenia z tuciem powstrzymywała wybuch radości na widok mojej nadciągającej klęski. Wzięłam głęboki oddech. Muszę się skoncentrować.

Uczestnicy pochylili na chwilę głowy. Nie było nikogo więcej, ani jednego ducha czy zjawy. Nawet Roweny. Naprawdę byliśmy dzisiaj całkiem sami.

- Czy możemy wziąć się za ręce? To pomaga przewodzić energię.

Wszyscy wzięli się za ręce. Uścisk matki był mocny i gruchotał mi palce. Szepty nie ucichły całkowicie. Musiałam walczyć z potrzebą odwrócenia się i patrzenia na stojącego za nami lorda Thornwooda. Na karku czułam ciarki i mrowienie. Co on tu robił? Czy naprawdę był tym, za kogo go uważałam? I co to dokładnie dla mnie znaczy?

- Czujesz to? - wyszeptał ktoś.

Poczułam podmuch zimnego powietrza; byłam pewna, że nie ma nic wspólnego z duchami. Był zbyt rytmiczny, zbyt przewidywalny. Nie wiedziałam, gdzie są miechy ani kto nimi porusza, ale rozpoznałam zapach stęchlizny. Stół zadrzął.

- Henry! - zawołała jedna z kobiet, przytulając się do męża. Henry nie wyglądał na bardziej odważnego od niej.

Drżenie przeszło w kołysanie.

- Czy są tu duchy?

Trzy wyraźne stuknięcia.

- Tak - przetłumaczyła matka. - Trzy znaczy tak, dwa - może, jedno - nie.

- Dziadku? - spytał ostrożnie jakiś mężczyzna. - Czuję twoją wodę kolońską.

Kolejne trzy uderzenia. Młody człowiek zarumienił się i z radości. Oczy mu pojaśniały.

- Istotnie, szczęście nam dziś dopisuje - oznajmiła matka.

Seans rozwijał się według tych samych reguł, co zwykle, nie było tylko duchów, które mogłyby wziąć w nim udział. Metalowy krążek przymocowany dyskretnie do podeszwy lewego pantofla mojej matki był przyczyną donośnych stuknięć. Znow rozległy się szepty, lecz tym razem na temat przodków idotyku zimnych rąk na ramionach. Nie na temat zdumiewającego podobieństwa między mną i lordem Thornwoodem.

Matka boleśnie wzmocniła uścisk. Czubkiem buta wymacalam stołową nogę i powoli przesuwalam stopę, aż trafiłam na umieszczony tam przeze mnie flakonik. Przewróciłam go, tak że zawartość wylała się na dywan, gdzie z łatwością wchłonie się przed końcem wieczoru. Owionął nas zapach ciężkich, liliowych perfum. Jedna z kobiet delikatnie wciągnęła powietrze.

- Perfumy liliowe! Ulubione mojej matki!

Nikt nie pamiętał, że dwadzieścia lat temu panowała moda na liliowe perfumy. Niewielu uczestników posiedzenia w odpowiednim wieku nie miało podobnej pamięci węchowej. Kobieta załkała otwarcie. Czulałam się potwornie.

- *Maman* zawsze obiecywała, że przyśle mi jakiś znak.

Skuliłam się. Nigdy nie pragnęłam uciec z seansu tak bardzo, jak teraz. Gdybym mogła przegryźć swoje własne pięści, żeby rolnic ręce, przeskoczyłabym przez stół i pobiegła do drzwi. Matka często powtarzała, że ofiarowuje postugę i pocieszenie

żałobnikom, podobnie jak księża, którzy w końcu nie mogą udowodnić istnienia Boga bardziej, niż ktokolwiek jest w stanie udowodnić istnienie duchów. Nie mogłam powstrzymać uczucia, że to okrutna mistyfikacja, ale byłam złapana jak mucha w pajęczą sieć. Matka podniosła się z wdziękiem.

- Oddalę się, żeby wejść z nimi w głębszy kontakt. Zaśpiewajmy, żeby je powitać!

Skryła się za zasłoną, oficjalnie, żeby usiąść na *stoku* i otworzyć się na kontakt z duchami. Pomyślałam o mężczyźnie w sadzawce. Może to lepiej, że matka nie miała prawdziwego talentu.

Po dłuższej chwili śpiewania w ciemnościach zza szpary w zasłonie wyłoniła się blada twarz. Oczy były szkliste, wyraz twarzy upiorny. Ktoś pisnął. Na stoliku pod ścianą zabrzączało szkło, kiedy ktoś w zdumieniu cofnął się o krok.

- Widzicie? Widzicie? Jest w transie!

- To nie jest jej twarz!

- To te oczy. Są inne.

Wszyscy byli bardziej niż chętni podzielić się swoimi spostrzeżeniami. Twarz matki istotnie wyglądała jak z innego świata. Była przerażająco nieruchoma, po czym zniknęła. Teraz nadeszła trudna część: żeby ukazał się cały duch, matka musiała całkowicie wyłonić się zza zasłony tak, żeby nikt niczego się nie domyślił.

Trudne, ale prostsze, niż można sobie wyobrazić, jeśli zrobić to właściwie.

Publiczność była zbyt zajęta patrzeniem w okna, gdzie odwrócił ich uwagę Colin, dyskretnie podnosząc zasłony. Marjorie była w pokoju nad nami z koszem pełnym ciekawostek

- Pada śnieg!

Rozległ się ogólny okrzyk podziwu. Marjorie wytrząsnęła kawałki postrzępionych piór zebranych przez Colina, wystarczająco dużo jak na krótki i niezwykły opad śniegu w piękny

letni wieczór. Przed nadejściem ranka rozpędzi je wiatr, a te, co zostaną, sprzątnie Colin, który spędzi nocne godziny, kiedy wszyscy włącznie ze służbą będą już w łózkach, usuwając dowody.

Przed seansem Colin przywiązał nitkę do kompletu zasłon przy innym oknie. Teraz za nią pociągnął. Nikt nie zauważył. Byli zbyt zajęci wskazywaniem sobie magicznie podnoszących się zasłon. Marjorie, która znała ciąg dalszy, pobiegła do następnego okna na górze i opuszczała teraz z niego na krawędź okna niżej specjalnie wykonaną z wosku dłoń. My zobaczyliśmy tylko blade palce drapiące w szybę. Garść płatków róży spłynęła w dół jak krew.

Wreszcie nadeszła kolej matki.

Rozległ się mrozący krew w żyłach pisk i wszyscy podskoczyli na krzesłach. Ręce uniosły się do poblaskłych twarzy, okrzyki odbijały się rykoszetem po pomieszczeniu.

Przybyła Alice Owen.

Alice Owen była bardzo lubiana. Krążyła po pokoju w białej koszuli, uważając, by nikogo nie dotknąć. Koszula została namoczona w wodzie lawendowej. Wilgotną matka nosiła pod gorsetem. Po wyjęciu jej zapach wypełniał pokój niczym kolejny gość. Kiedy się rozprzestrzeniał, budził szepty i okrzyki.

- Na imię mam Alice - powiedziała, wyraźnie innym głosem. Był zdecydowanie młodszy i bardziej nosowy. Zatrzymała się za krzesłem starszego mężczyzny. Szacowna kobieta naprzeciw niego zapiszczała:

- Uszczypnęła mnie!

Była wyraźnie poza zasięgiem rąk matki. Uszczypnięcie było zasługą małej igły do cerowania przymocowanej do giętkiego pręta przy moim bucie. Wsuniecie go pod stół i defatne trącenie igłą gości nie było niczym trudnym. Zawsze **WYOBWAŁO** chichoty, a ja zawsze wybierałam najbardziej ^mną matronę albo protekcyjnego młodego lorda.

- I mnie! - zawołała młoda dziewczyna, chichocząc.

Nawet jej nie dotknęłam.

To również zdarzało się dość często.

Matka dalej krążyła po pokoju. Uczestnicy wydawali się prawdziwie rozbawieni i zainteresowani; pociągała ich obietnica skandalicznej plotki i podniecające doświadczeniem rozmowy ze zmarłymi. Byłam równie nieuważna, jak oni; zastanawiałam się, co myśli lord Thornwood i czy będę mogła z nim porozmawiać. Chociaż nie do końca wiedziałam, co powinnam powiedzieć.

To stało się z mojej winy.

Nie byłam dość uważna.

Właściwie to była wina Roweny.

Pokój zawirował, wygodny fotel zniknął, a ja stałam się głucha na szepty ludzi dookoła mnie. Nagle był środek nocy. Miałam na sobie ciepły szlafrok dla ochrony przed chłodem, otaczała mnie ciemność, ciemny był nawet korytarz zaraz za na wpół otwartymi drzwiami. Byłam w bibliotece, klęczałam na twardych kamieniach przed kominkiem. Tlił się tam tylko jeden węgielek, który rozżarzył się, kiedy przekopywałam się przez popiół. Pociągnęłam za róg złożonego kawałka listu spalonego na końcach.

Nie potrafiłam odczytać pisma, ale je poznałam. Rowena je poznała. I opanował ją tak mocny strach, że musiała schwycić brzeg marmurowego kominka, żeby się podeprzeć.

Jej tajemnica wyszła na jaw.

Jej los był przypieczętowany.

Wróciłam do swojego ciała, kiedy nagle zapłonęła lampa gazowa.

Byłam uwięziona we wspomnieniach Roweny i nie dostrzegłam ruchu Caroline. Colin był po drugiej stronie pokoju, zbyt daleko, żeby ją powstrzymać. Rzuciła mi pełne triumfu spojrzenie. Miodowe światło oświetliło wszystko. Spłynęło

na dżetowe korale i diamentowe spinki do włosów, wykrochmalone kawałki na porzuconej sukni mojej matki, wystającej zza zasłony, Matka zastygła między siedzącymi a rzędem gości stojących za nimi. Rozpuszczone włosy spływały jej na ramiona, zdjęty naszyjnik ukazywał nagą szyję. Na sobie miała tylko lnianą koszulę. Światło przeświecało przez nią, ukazując jej nogi i podkreślając każdą krągłość.

ROZDZIAŁ 16

Zapadła cisza, jakby na środku pokoju właśnie wylądował wielki kamień.

Trwała jednak krótko.

Zakłóciły ją pełne zdumienia okrzyki i znaczące chichoty. Lord Jasper siedział nieruchomo. Z wyrazu jego twarzy nie potrafiłam nic wyczytać. Xavier zerwał się gwałtownie, okryty rumieńcem, z otwartymi szeroko ustami. Jego matka wachlowała się zawzięcie i wydawała z siebie zduszone dźwięki. Elizabeth miała łzy w oczach. Nie chciałam patrzeć na Tabithę, ale widziałam, że Caroline jest jednocześnie poważna i zadowolona z siebie. Colin rzucał przekleństwa pod nosem. Matka zadygotała lekko i uniosła drżącą rękę do skroni.

- Gdzie jestem? - wyszeptała, przygotowując się do omdlenia. Niektórzy wierzyli, że medium nie ma kontroli nad swoim działaniem, kiedy duchy przejmują nad nim kontrolę. Dobrze wiedziałam, że ten konkretny argument nie wystarczy, żeby nas ocalić. Już pojawiały się wrogie spojrzenia, a nosy unosiły się w górę z widocznym niesmakiem. Nikt nie lubi być brany za głupca, a zwłaszcza arystokracja.

Kiedy matka zaczęła bezwładnie opadać na podłogę, Colin ruszył do przodu, by ją złapać, i unióśł do góry w swoich ramionach. Wyglądało to bardzo dramatycznie, ale nadal nie dość, żeby nas uratować. Wreszcie zebrałam się w sobie na tyle, żeby zerwać się z krzesła, złapać najlepszą suknię matki z podłogi i pobiec za nią i Colinem. Za nami zostawiliśmy

kakofonie głosów. Ludzie niczego nie kochają bardziej niż skandalu, zwłaszcza takiego, którego są świadkami. Matka poruszyła się, uniosła głowę.

- To koniec.

Prawie wbiegliśmy po schodach i biegiem przemierzaliśmy korytarz. Colin nie postawił mojej matki na ziemi aż do chwili, kiedy dotarliśmy do drzwi do naszych pokoi. Weszliśmy przez nie tak gwałtownie, że aż dziwne, że wszyscy zmieściliśmy się w przejściu.

- Co teraz zrobimy? - wyszeptałam.

- Co tylko będziemy w stanie - wyszczała matka, obracając się, żeby rzucić mi groźne spojrzenie. Wzdrygnęłam się. - Kto pozwolił tej głupiej smarkuli zapalić lampę? Czemu jej nie powstrzymaliście? - Zawyla ze złości i rzuciła stojącą na stoliku przed nią filiżanką z chińskiej porcelany. Filiżanka roztrzaskała się o ścianę. Zimna herbata ściekała po jedwabnej tapecie i utworzyła kałużę na posadzce. Matka zacisnęła zęby. - To się da naprawić - powiedziała znienacka. Wciąż była na wpół rozebrana, ale zdawała się tego nie dostrzegać. Albo się tym nie przejmowała.

Zaszczekałam zębami, chociaż nie było mi zimno. Dziś wieczorem wszystko się zmieniło. Nie było odwrotu.

- Czy lord Thornwood jest moim...

Przerwała mi miażdżącym spojrzeniem.

- Och, Violet. Nie teraz.

- Co chce pani zrobić? - spytał Colin. - Czy mam iść po lorda Jaspera?

Wyglądała na zniesmaczoną.

- Jesteście idiotami. Musimy wyjechać.

- Z samego rana?

- Natychmiast. Jak tylko goście pójda do łóżek.

- Czy to nas bardziej nie pogrąży? - Przygryzłam wargi.

- I jak znajdę okazję, żeby porozmawiać z lordem

Thornwoodem? - Jeśli był moim ojcem, a na pewno nim był czy nie chciałby także ze mną porozmawiać? Ja miałam już do niego ze sto pytań... czy mam jakieś rodzeństwo? Dziadków?

- Zapomnij o nim. - Wyrwała mi swoją suknie. - Nie stanę tutaj i nie pozwolę, żeby te sztywne stare plotkary patrzyły na mnie z góry. Jakby były lepsze ode mnie. Wyjeżdżamy dziś w nocy. Spakujcie swoje rzeczy.

Odczekaliśmy, aż dom pograży się w ciszy, przerywanej tylko delikatnym szumem wiatru za oknami i cykaniem zegara w holu. Minęło trochę czasu, zanim rozmowy w bawialni ucichły, i jeszcze trochę, zanim przestaliśmy słyszeć kroki pod naszymi drzwiami. Połowa gości znajdowała jakiś powód, żeby przejść akurat tym korytarzem w nadziei na kolejną smakowitą plotkę. Ktoś nawet zapukał ostrożnie, ale wstrzymaliśmy oddech i nie odpowiedziliśmy.

Colin wymknął się i czekał na nas na zewnątrz, na końcu długiego podjazdu, z wynajętym powozem. Musiał iść po niego na piechotę aż do miasteczka, żeby nie zawiadomiać stajennych z Rosefield. Konie rżały cicho i potrząsały głowami. Kiedy zamknęliśmy za sobą drzwi wejściowe, zerknęłam za siebie, spodziewając się zapalonych świeczek w oknach i ciekawskich twarzy przyciśniętych do szyb albo przynajmniej pana Travisa jak co noc przemierzającego korytarze. Dom był jednak ciemny i nieruchomy. Zadrżałam, zastanawiając się, co teraz zrobi Rowena.

- Violet, pospiesz się.

Colin wrzucił nasze bagaże na górę, a matka zamierzała właśnie wejść po schodku do powozu, kiedy z ciemności w spadła jakaś postać i żarliwie złapała ją za rękę. Colin już miał ją siłą odtrącić, kiedy matka zatrzepotała rękami i uśmiechnęła się uwodzicielsko. Stłumiłam jęk. Colin odsunął się i stanął koło mnie, wyglądając na równie zrezygnowanego.

- Lordzie Marshall - powiedziała matka łagodnie.

- Moja droga - odparł, unosząc jej dłonie bez rękawiczek do ust w sposób, który wywołał grymas na mojej twarzy. Lord Marshall był dość przystojny, nawet mimo siwizny na skroniach. Jednak coś w sposobie, w jaki się poruszał, nie podobało mi się i nie wzbudzało zaufania. Był wszakże bogaty, bogatszy nawet niż lord Jasper, a dla mojej matki tylko to miało znaczenie.

- Obawiam się, że zostaliśmy wezwani z powrotem do miasta - stwierdziła.

- Rozumiem. Oni po prostu nie doceniają subtelności pani... talentu.

- Dokładnie. - Przekrzywiła głowę, tak by światło księżycy lepiej oświetlało jej szyję, bladą i delikatną jak łądyga orchidei. - Będzie mi brakowało naszych pogawędek.

Lord skłonił się.

- Pamiętaj o mnie - wyszeptał, wsuwając w jej dłoń kartę wizytową. - Gdybyś zapragnęła zmiany otoczenia.

- Pan mi pochlebia.

- Dobrej nocy.

- Dobranoc, mój lordzie.

Odwrocił się i odszedł, zapalając cygaro. Na mnie nawet nie spojrział. Matka w zastanowieniu uderzyła kartą o usta. Potem zniknęła we wnętrzu powozu.

Zmarszczyłam nos.

- Nie lubię tego człowieka!

Colin mruknął potwierdzająco, po czym wszedł za mną do powozu i zamknął za sobą drzwi. Siedzenia były wytarte, a zasłony wyblakłe, ale przynajmniej było tu czysto i nie pachniało czymś niepranym surdudem albo lunchem podróżnym. Matka nic nie mówiła, tylko w zamyśleniu wyglądała przez okno. Ja rozmyślałam równie zawzięcie. Nie pragnęłam odpowiedzialności za pomoc Rowenie, ale kiedy już na mnie spadła, gorączkowo zastanawiałam się, jak miałam

dokonać jakiegokolwiek postępu w Londynie. Bardzo prawdopodobne, że nie będzie nam dane więcej podróżować, a z pewnością nie do Rosefield. Nadal do rozwiązania pozostawała też zagadka pana Trávisa. A jeśli pod moją nieobecność zrobi coś nieprzewidzianego? On albo Peter? Nigdy nie będę mogła na własne oczy zobaczyć jego ataku złości.

Nie wspominając o tym, że wieść o zdemaskowaniu i ruinie matki wkrótce dotrze też do Londynu. Co wtedy zrobimy? Groźby matki na temat szycia przez długie, żmudne godziny stawały się realne. Co gorsza, nie sądziłam, bym szyła na tyle dobrze, żeby pozostawał mi nawet ten wybór. I co z Colinem? Dokąd pójdzie? Czy będziemy rozdzieleni?

Martwiłam się tak bardzo, że z początku wydawało mi się, że to mgła układa cienie w kształt twarzy albo też stres ostatnich kilku dni. W końcu matka nawet na chwilę nie odwróciła się od okna i nie przerwała swoich posępnych dąsów.

Widok z mojego okna był zdecydowanie inny.

Mgła gęstniała, aż wszędzie, gdzie spjrzałam, były upiorne twarze i blade ręce, które wyciągały się w moim kierunku. Niektóre zjawy jechały obok nas na równie bladych koniach, a inne po prostu unosiły się po drugiej stronie szyby. Była tam dama o wysoko upiętych lokach, z krwawą linią wokół szyi niczym czerwona satynowa wstążka, i inna, w poszarpanej i nadjedzonej przez mole sukni ślubnej, mężczyzna w kapeluszu z bobrowego futra, jeszcze inny ze szpadą, którą wymachiwał, nie przejmując się tym, czy nie wbije jej w któregoś nic niepodjejrzanego ducha. Ledwo rozpadły się jak krople deszczu i już scaliły się ponownie. Stanowiliśmy upiorną karawanę: nasz wynajęty powóz i orszak oszalałych duchów dotrzymujących nam kroku.

Moja twarz musiała zmienić wyraz, bo Colin wbił we mnie spojrzenie, zmuszając mnie do odwrócenia się od mglistego tłumu. Kiedy to zrobiłam, utkwiał we mnie wzrok.

- Patrz na mnie - szepnął, żeby nie zwracać uwagi mojej matki, ale mignięcie białej barwy znów odciągnęło mój wzrok ku oknu, które było już zasnuwane upiornymi dłońmi. Colin kopnął mnie w kostkę. Mocno.

- Au - odszepnęłam, rozcierając siniak.

- Tylko na mnie - wyszeptał. - Patrz tylko na mnie.

Matka nawet nie zauważyła naszej szeptanej rozmowy. Oczy Colina przybrały barwę srebra, kiedy odbiło się • nich słabe światło lampy woźnicy. Jego źrenice były czarne i ogromne jak spokojna tafla wody o północy. Powóz kołysał się lekko, kiedy podążaliśmy naprzód wyboistą drogą. Duchy rozplynęły się.

Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że zasnąłam, aż Colin wyszeptał moje imię. Mój policzek oparty był o jego ramię. Wsiadliśmy na stacji i schowaliśmy nasze skrzynie za kępę drzew czereśniowych, żeby doczekać do rana. Nie odzywaliśmy się ani słowem, ale Colin podał mi powiastkę kryminalną, pominiętą od przechowywania w kieszeni. Kiedy otworzyłam ją, by zabrać się do czytania, pomiędzy kartek wypadł pła-tek róży, taki sam jak te, które znalazłam na swojej poduszce.

Trzymałam go w kieszeni przez całą podróż pociągiem następnego ranka. Do Londynu przyjechaliśmy wcześniej i w kolejnym wynajętym powozie przemierzaliśmy zasnuwane mgłą londyńskie ulice. Pył węglowy był gęsty, osnuwał wąskie domy, puby i rachityczne drzewka. Kwiaciarki stały na rogach ulic z bukietami fiołków. Mężczyźni ciągnęli wózki, z których sprzedawali muffiny, gotowane ziemniaki i placki z mięsem. Kiedy mijaliśmy Hyde Park i Myfair, chodniki wypełniły się pokojówkami wyprowadzającymi rozpieszczone pieski, głównie małe puszyste stworzonka i dziwnego mopsa, ale także kilka kotów i nawet jedną niezadowoloną małpę.

Nasza ulica wciąż była dość spokojna, a wszystkie okna szczelnie zasłonięte. Konie powoli odjechały, a Colin wniósł

nasze bagaże. Mgła była tu gęstsza, wypełniała każdą pustą przestrzeń, każdą alejkę i szczelinę. Z trudem oddychałam. Matka weszła po schodach i zamknęła się w sypialni. Colin i ja usiedliśmy w ciemnej bawialni i popatrzyliśmy na siebie. Nigdy w życiu nie czułam się tak zmęczona.

- Co teraz zrobimy? - Podrapałam się po twarzy.
- Trudno mi sobie wyobrazić, co się stanie.

Byliśmy świadomi nienaturalnej ciszy panujące; w pokoju matki.

- Będzie źle, Vi - stwierdził Colin.
- Wiem.

Matka nie zeszła na dół przez cały dzień, nawet na herbatę ani na kolację. Talerz z gulaszem i puddingiem jabłkowym wciąż stał przed jej drzwiami, gdzie zostawiła go parę godzin wcześniej. Obiad był zimny, zastygły i nietknięty. Przyznaję, że także nie miałam wielkiego apetytu, ale zmusiłam się, żeby wypić herbatę i zjeść trochę chleba z masłem i plasterkiem sera.

Po raz ósmy dla zabicia czasu czytałam *Opactwo Northanger*. Kiedy podniosłam wzrok, napotkałam zmarłą twarz starszej kobiety, chudej i przezroczystej jak stary papier. Wrzasnęłam i z łoskotem spadłam z łóżka. Ona odwrzasnęła słabo, jak duch, rozszerzając oczy z przerażenia.

- Och! - warknęłam rozzłoszczona, wdrapując się z powrotem na puchową pierzynę i naciągając kapę na głowę
- Idź sobie!

Miałam już dość duchów. Jak można było myśleć racjonalnie i prowadzić normalne rozmowy, kiedy wciąż miało się do czynienia z tego rodzaju przerywnikami? Nie wiedziałam, jak radziły sobie inne media, i nic mnie to nie obchodziło. Nie chciałam być medium.

Siedziałam tak, obrażona, aż zapadłam w sen. Kiedy obudziłam, napisałam długi list do Elizabeth. Nie mogłam

sobie wyobrazić, co o mnie myśli, poza tym, że jest na mnie śmiertelnie obrażona. A potem napisałam do mojego ojca. Nie mogłam się powstrzymać. Nie bardzo wiedziałam, jak zacząć i czy w ogóle to przeczyta. Z pewnością był mnie tak ciekawy jak ja jego?

*Drogi Lordzie Thornwood,
jest oczywiste, że jest pan moim ojcem. Jestem pewna, że jest to dla pana wielkie zaskoczenie, podobnie jak dla mnie. Imtawiam się, czy zechciałby pan złożyć nam wizytę albo czyja mogłabym odwiedzić pana? Sądziłam, że mój ojciec nie żyje, więc bardzo pragnę się dowiedzieć, czy mam jakichś braci i siostry i czy to po panu odziedziczyłam miłość do tart maslanych? Matka nie może znieść ich smaku. Wiem, że to bardzo niestosowne, ale z pewnością w tych sprawach rodzina może być ważniejsza od etykiety?*

*Z poważaniem,
Violet*

Przeczytałam go trzy razy, zanim się podpisałam. Rozważałam podpisanie się jako Violet Willoughby, co było naturalne, albo Violet St. Clair, co nie do końca było prawdą, ale mogło nią być, gdyby okoliczności były inne.

Chciałam zapytać, czy mogłabym go odwiedzić i zostać **tam z** nim, ale nie zrobiłam tego.

Następnego ranka rozpaczliwie zapragnęłam wyjść z domu. W momencie kryzysu moja matka nigdy nie była tak cicho, ~~ifugi~~ spacer na świeżym powietrzu wydawał mi się ostrożną ucieczką; jednak kiedy otworzyłam drzwi, rozległ się krzyk ~~coś~~ przeleciało mi nad głową. Na wpół zgniła kapusta wylądowała z płaskim na podłodze krętego korytarza. Zamrugałam, ~~patząc~~ na nią zdumiona. Czemu z nieba spadały kapusty?

Odwrociłam się i ujrzałam kobietę z wózkiem dziecięcym, dwóch mężczyzn o długich bokobrodach i szczerbatą ośmioletnią dziewczynkę. Dziewczynka wyszczerzyła się i rzuciła następny pocisk, który był chyba garścią zgniecionych rzodkiewek. Zatrzasnęłam drzwi, zanim korytarz zmienił nam się w bufet z przekąskami. Pozbawieni celu ludzie zaczęli krzyzczeć głośniej. Gdybym potrafiła celować, otworzyłabym drzwi i odrzuciła im ich kapustę. Ale z moim szczęściem trafiłabym w śpiące dziecko albo niewinną starszą panią na porannej przechadzce. A wtedy na pewno ciągnano by nas po ulicach.

Poczułam ukłucie strachu w żołądku.

- Czy to kapusta? - spytał Colin, wychodząc z jadalni. Usłyszawszy uniesione głosy, zmarszczył brwi i sięgnął po klamkę. Złapałam go za rękę.

- Nie.

- Czemu nie?

Uniosłam brew.

- Dostaniesz zepsutą tartą z mięsem w oko.

- Panno Willoughby? - przerwała nieśmiało Marjorie.

- Tak, Marjorie?

- Pomyślałam, że powinna pani to zobaczyć.

Podawała mi dzisiejszą gazetę, która wciąż była gorąca - Marjorie przed chwilą skończyła ją prasować, żeby wysuszyć farbę. Przygryzła dolną wargę, podczas gdy Colin pochylił się, by przeczytać mi przez ramię rubrykę o skandalach.

Doszły mnie słuchy, drogi Czytelniku, że niejaka pani U. % stała niedawno zdemaskowana jako fałszywe medium. Została odkryta w szokującym dezabilu na przyjęciu we wpływowej wiejskiej posiadłości. Źródła twierdzą, że uciekła pod osłoną nocy ze swą zniesławioną córką. To kolejny już skandal, który cieniem kładzie się na dobrym imieniu Stowarzyszenia Spirytysto. Musimy być czujni i uważnie tropić podobne oszustwa. Jako*

tiiski znajomy prawdziwych talentów tej epoki, ten autor przynajmniej nie został zwiedziony prymitywną taktyką pani W.

Oczywiście, matka wybrała ten moment, żeby zejść na dół po raz pierwszy, od kiedy wróciliśmy do domu. Miała na sobie jedną z moich cennych, nowych sukien, żółtą w białe pasy na halce. Nawet przy jej zadbanej figurze suknia niezupełnie na nią pasowała, więc nie włożyła gorsetu. Jej dekolt był dość szokujący. Uniosła brwi na widok mojego zdziwienia.

- Cóż, skoro nie mogę już dłużej nosić żałoby, czemu nie miałabym się zabawić? Dotąd nie było mi to dane, czyż nie?
- Zeszła na dół, poruszając się z wdziękiem i pewnie. Mówiła wyraźnie. Mimo to zapach wody różanej nie wystarczył, żeby przyćmić opary sherry. Jej oczy zamigotały, po czym zwięziły się.

- Co się dzieje? - spytała zirytowana, kiedy wrzawa zaczęła narastać i przedostała się przez szpary w drzwiach i oknach. Brzmiało to tak, jakbyśmy przenieśli się do chatki nad morzem. Spróbowałam dyskretnie zmiąć gazetę, ale sześć papieru mnie wydał.

- To dzisiejsza gazeta? - Wyciągnęła rękę, kiedy się skrzywiłam. - Pokaż.

- Mamo...

Zamachała palcami z niecierpliwością.

- No już, Violet.

Podaliśmy ją powoli, razem ze stosem odwołanych zaproszeń na kolację. Zamarliśmy z Colinem, obserwując, jak przebiega oczyma druk. Zacisnęła usta; dwie białe linie utworzyły małe nawisy. Kiedy z rozmachem otworzyła drzwi, światło padło na nią, upodabniając do wojowniczej Amazonki. Włosy miała rozwiane, a gniew nadawał bladeści jej twarzy i różu policzkom. Tłum zaszył przez chwilę, zapominając o koszykach z nadpsutą żywnością. Drzwi umazane były ciastem z placków, spleśniałym serem **Medycznym**, cienkim liściem sałaty powiewającym na wietrze.

- Nic nie wiecie! - krzyknęła do nich.

- Kłamczucha! - wrzasnął ktoś i na drugim schodku wyładował pomidor, rozpryskując się na miążgę przypominającą plamę krwi. Zatrzasnęłam drzwi z głośnym hukiem, zanim któraś ze stron wystrzelił następny pocisk. Kilka następnych owoców zabębniło o drzwi niczym pukanie dobrze wychowanego gościa.

- Matko, może... - Położyłam jej rękę na ramieniu, ale straciła mnie, warcząc. Wszystkie dźwięki ucichły: wściekłe okrzyki, przejeżdżające powozy i deszcz warzyw.

Słyszałam tylko mój oddech, pulsowanie krwi w żyłach i głośne uderzenie ręki mojej matki o mój policzek.

Colin zaklął. Policzek zapiekł i łzy zasnuły mi oczy, chociaż dawno temu postanowiłam, że nie pozwolę im spływać. Minęła mnie i ruszyła do bawialni, mnąc strony gazety w dłoniach zaciskających się w drżące pięści. Zamarliśmy obserwując, jak traci nad sobą panowanie.

- Stara wiedźma! - krzyknęła. - Jak śmie pisać o mnie w ten sposób! - Swoją złość podkreśliła ciśnięciem czegoś o okno, powodując drżenie szyb. - Niewdzięcznicy! - Odrzuciła papierjedną ręką, drugą rzucając świecznikiem o ścianę. Srebro zostawiło dziurę w tapecie. - Chamy i obrzydliwe mądrale!

Rzuciła porcelanową figurkę pasterki, a po niej wykładany muszlami abażur, filiżankę, a następnie cały czajnik. Ciemny płyn spłynął po fotelu, plamiąc poduszki.

- Będą mnie osądzać? Wszystko mieli podane na tacy, prawda? Nie przepracowali ani jednej godziny w swoim cholernym życiu!

Porcelana i szkło błyszczały na podłodze i pod stolikami. Matka krzyknęła i kopniakiem przewróciła stojący opodal stół. Colin i ja wycofaliśmy się cicho, ja wciąż trzymając mój bolący policzek, i Marjorie, która z szeroko otwartymi oczyma chowała się w cieniu pod schodami.

ROZDZIAŁ 17

Przez resztę poranka schodziłam jej z drogi. Matka została w zdemolowanej bawialni i popijała sherry, rzucając w ścianę każdą kruchą rzeczą, która wpadła jej w ręce. Policzek nadal mnie bolał, ale zaczerwienienie zdążyło zniknąć.

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, wszyscy zamarliśmy. To był ostatni dźwięk, jaki spodziewaliśmy się usłyszeć. Z pewnością nikt nie złożyłby nam wizyty, teraz, kiedy staliśmy się społecznymi wyrzutkami, unikany i publicznie wyśmiewany. To było nie do pomyślenia - i raczej nie można było się spodziewać niczego dobrego.

- Marjorie, otwórz te cholerne drzwi. - Matka, zataczając się, podeszła do drzwi bawialni, z rozczochranymi włosami i zamglonym wzrokiem. Przed otwarciem drzwi Marjorie głośno przełknęła ślinę, najwyraźniej dochodząc do wniosku, że tłum będzie lepszy niż dalsze drażnienie mojej matki. Nie mogłam jej winić. I chociaż wiedziałam, że Elizabeth jest na mnie zła, wciąż miałam nadzieję, że to doręczyciel pilnego listu zaadresowanego do mnie.

Myliłam się.

Był to Nigel St. Clair, hrabia Thornwood.

Uśmiechnęłam się z nadzieją. Z pewnością otrzymał mój list i przyszedł z wizytą, by poznać swoją córkę. Przyciskał śnieżnobiałą chusteczkę do swojego arystokratycznego nosa. Za jego głową, po pomalowanych na czerwono drzwiach, wolno ściekało jajko.

- Uroczo - wymamrotał bez emocji. Nikt nie rzucił już niczym więcej. Było oczywiste, że to prawdziwy dżentelmen, i nikt nie ośmieliłby się tego zrobić, nawet rozwścieczony tłum. Zwłaszcza w obecności zwałistego, umięśnionego woźnicy.

- Przyjechałem, by spotkać się z... panią Willoughby, czy tak? Proszę mnie wpuścić, zanim zapach wchłonie się w ubranie. - Potrząsnął rękawem swojego wyprasowanego płaszcza i wszedł, mijając Marjorie, która nie wiedziała, co robić. Wykonała pośpieszny ukłon, ale nie została zauważona. Ja siedziałam na schodach, zastanawiając się, czy w bawialni zostało cokolwiek do uratowania.

- Nigel - powitała go matka, na wpół bełkocząc, na wpół się śmiejąc.

- Mary - odparł, rozdrażniony, kiedy potknęła się i musiał przytrzymać ją za łokieć ręką w rękawiczce.

Wyprostowała się dumnie.

- Mam na imię Celeste.

- Rozumiem.

Uśmiechnęła się jak uprzejma gospodyni.

- Masz ochotę na sherry?

- Nie, dziękuję.

Wzruszyła ramionami.

- Jak wolisz.

- Jesteś nietrzeźwa.

- Też mi coś - prychnęła. - Nie jestem nietrzeźwa, jestem pijana.

Odwracała się, by wrócić do zniszczonej bawialni po filiżankę herbaty z sherry, kiedy wstałam. Dostrzegła mnie i odwróciła się z powrotem. Zmrużyła oczy z namysłem.

- Ach, przyszedłeś z jej powodu, prawda?

Poczułam, że się czerwienię. Lord Thornwood odchrząknął

- Tak, tak sądzę. - Przyjrzał mi się dokładnie, a ja zobijałam to samo. Był raczej wysoki i dość chudy i miał oczy

o rzadko spotykanej, fiołkowiebieskiej barwie. Wyraz twarzy miał nijaki; zaciekawiony i chłodny zarazem.

- Jak ci na imię, dziecko?

- Violet, proszę pana.

- Ile masz lat?

- Szesnaście. - Nie wiedziałam, jak należy się zachować podczas pierwszej rozmowy z ojcem, który dotąd nie miał pojęcia, że istnieję, i nie wyglądał, jakby bardzo obchodziło go, co u mnie słyszeć. Ograniczyłam się więc do zwykłej uprzejmości. Chciałam, by był szczęśliwy, że mnie widzi. Powstrzymałam budzące współczucie drżenie dolnej wargi.

Lord Thornwood westchnął.

- Nie da się zaprzeczyć rodzinnego podobieństwa, nieprawdaż?

- Nie, proszę pana.

Wpatrywał się we mnie przez pewną chwilę.

- Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.

I to było wszystko, co mężczyzna będący moim ojcem był w stanie mi powiedzieć. Nie wyglądał, jakby miał złe intencje. Był po prostu obojętny. Kiedy byłam mała, pragnęłam wierzyć w opowieści mojej matki o bogatym hrabim. Myślałam, że kiedy nas odnajdzie, będę jeść ciastka pokryte różowym lukrem, mieć własnego kucyka i lalki ubrane we francuską koronkę. Kiedy dorosłam, stwierdziłam, że mama wymyśliła całą tę historię o synu arystokraty z Wiltshire, by poczuć się lepiej. Nigdy nie sądziłam, że mężczyzna, o którym mowa, będzie bardziej zainteresowany fałdką na rękawie płaszcza niż swoją nowo odkrytą córką.

- Nic mi o tym nie wspomniałaś - zwrócił się do matki, która przyglądała włosy, by wyglądały jako tako porządnie.

- Czy wówczas ożeniłbyś się ze mną?

- Oczywiście, że nie. - Spojrzał się na nią zdumiony. "Byłaś służącą. Musiałem chronić swój tytuł szlachecki.

- Tak, twoja matka też tak myślała.
- Moja matka wiedziała? - Zmrużył oczy, zaskoczony.
- Oczywiście. - Zaśmiała się, lecz bez humoru, oschle.
- Kobiety zawsze wiedzą takie rzeczy. Zaproponowała mi kilkaset funtów w *zamian za* odejście. Miło z jej strony, naprawdę, większość nie zawracałaby sobie tym głowy.
- Wzruszyła ramionami. - Więc wróciłam do Londynu. Nigdy nie zarobiłabym tyle forsy, polerując srebro w twoim domu, nieprawdaż?
 - Cóż, z pewnością zrobiłaś z tego zamieszanie, czyż nie?
 - zauważył, nie bez życzliwości.
 - Co ty możesz o tym widzieć? - Zaatakowała. - Nigdy nie byłeś głodny ani samotny. - Pod wpływem zdenerwowania, jej staranny miejski akcent zaczął ustępować samogłoskom z londyńskiego żargonu.
 - Mary...
 - Już ci mówiłam. Mam na imię Celeste. Po co przyjechałeś do Rosefield, skoro nie po to, by mnie zobaczyć?
 - Zostałem zaproszony. Lord Jasper jest wieloletnim przyjacielem mojego dziadka. Pomyślałem, że się rozerwę - odparł głosem suchym jak zapałki, wykrzywiając usta.
 - Nie kłóćmy się, Nigel - matka wydeła słodko wargi, wyraźnie zmieniając front. - Najważniejsze, że masz córkę. Dlaczego nie zabierzesz jej ze sobą do domu?
 - Roześmiał się, zaskoczony.
 - Nie mówisz poważnie.
 - Czemu nie? Jesteś za nią tak samo odpowiedzialny jak ja. Nawet bardziej, powiedziałabym. Nie ubierałaś jej ani nie karmiłaś, może nie? Nie kosztowało cię to ani centa.
 - Mam żonę - powiedział. - I dwóch synów.
 - Więc mam rodzeństwo. Zaczęłam się zastanawiać, jacy oni są i czy wiedzą o moim istnieniu.
 - Matka klasnęła w dłonie.

- Doskonale. Violet ma świetne podejście do dzieci. Mogłaby się nimi zajmować. - Wpatrywałam się w nią bez słowa. Nigdy wcześniej nie miałam żadnego kontaktu z dziećmi.

- Celeste, nie możesz oczekiwać, że moja żona, córka księcia, zaakceptuje w swoim domu moje nieślubne dziecko. Bądź rozsądna.

Odpłynęła ze mnie cała krew. Nieważne, że od dawna wiedziałam, iż jestem bękartem. Czym innym było jednak usłyszeć to z ust własnego ojca, w dodatku wypowiedziane tak swobodnie, jak gdyby to nic nie znaczyło.

- Musisz ją zabrać.

Zrobiło mi się słabo. Żadne z moich rodziców mnie nie chciało.

- Po prostu nie mogę. To wykluczone. W ogóle nie powinienem był tu przychodzić. - Oddał mi list, który do niego napisałam. - Przepraszam.

- Ona jest St. Clair! - Matka dogoniła go, kiedy zmierzał do drzwi wyjściowych. - Jest jednym z was, sam to powiedziałaś.

Pokręcił głową raz jeszcze.

- Jak mam ją wyżywić? - Krzyknęła, kiedy szedł ścieżką w kierunku czekającego na niego powozu. Patrzyła za nim do momentu, kiedy znalazł się na zatłoczonej drodze i zniknął z pola widzenia. Wreszcie wróciła do ciemnego przedpokoju. Wyglądała, jakby powoli uchodziło z niej powietrze.

- Jak ja mam ciebie wyżywić? - Powtórzyła cienkim, łamiącym się głosem.

Siedziałam na schodach aż do momentu, kiedy cienie zaczęły stawać się coraz dłuższe, a tłum na zewnątrz znudził się i wrócił do swoich domów na kolację. Marjorie przysłała, by zapalić lampy olejne i zamieść bawialnię. Oko miała spuchnięte i fioletowe, ponieważ popełniła błąd, pukając do pokoju mamy, by zapytać się, czy czegoś nie potrzebuje. W ciszy

pomogłam Marjorie wyrzucić porozbijane naczynia stołowe do kosza na śmieci, wynieść roztrzaskany fotel, który wymagał naprawy, i powiesić jedną z zasłon. Na tapecie widniała duża plama z herbaty, której nie dało się wyszorować ani udawać, że zlewa się ze wzorem. Przykryłyśmy więc ją obrazem z przedpokoju, przedstawiającym krajobraz morski. Bawialnią wyglądała teraz na opustoszałą i skąpo urządzone.

Nie rozpłakałam się, dopóki nie znalazłam się sama w pokoju, z jedną świeczką i dalekim odgłosem kopyt dochodzącym z ulicy pod wąskim oknem. A kiedy wreszcie zaczęłam płakać, nie byłam w stanie przestać, pomimo bolących i zaczerwienionych oczu. Nie wiedziałam, co mam ze sobą zrobić. Przed pójściem do łóżka umyłam twarz w miednicy z zimną wodą. Kiedy uniosłam wzrok, odbicie w lustrze nie było moje - blond włosy, białe lilie i ciemne siniaki.

- Rowena - wyszeptalam. Zniknęła tak szybko, jak się pojawiła, znów patrzyłam w swoją własną twarz. - Zaczekaj, wróć!

Nieważne, jak błagałam, Rowena nie wracała. Pojawił się za to inny duch, stary mężczyzna, który nie patrzył w moją stronę. Przeszedł przez ścianę, powłócząc nogami.

Myśl, że może chodzić po moim pokoju w czasie, kiedy śpię lub, gorzej, kiedy się ubieram, spowodowała, że rozrzuciłam sól wokół miejsca, gdzie się pojawił.

W końcu położyłam się i leżałam w ciemnościach, nie mogąc zasnąć i rozmyślając bez końca nad wydarzeniami tego tygodnia, jak gdyby moja głowa była żyzną glebą, która mogłaby zrodzić jakieś odpowiedzi.

Nie muszę dodawać, że nic z niej nie wyrosło.

W czasie seansu *Caroline celowo* zapaliła lampę. Nie stanowiłam dla niej żadnego zagrożenia, ale było oczywiste, że nie podobało jej się, kiedy węszyłam i wypytywałam o Rowenę. Czyżbyśmy szukały morderczyni, a nie mordercy? Czy też może broniła ona Petera? Co mogło skłonić kórd

z nich do takich czynów i jak na Boga miałabym udowodnić ich winę i pomścić niespokojnego ducha Roweny?

Jęknęłam i uderzyłam pięścią w poduszkę. Za dużo pytań krążyło w mojej głowie i żadne z nich nie dawało mi spokoju. Dlaczego spośród wszystkich ludzi Rowena wybrała właśnie mnie? Lord Jasper znał inne media, mogła przecież ukazać się któremukolwiek z nich.

ist ^c dna R o ^w c na .

jeśli naprawdę byłam jej jedyną nadzieją, była zgubiona.

Było po północy, kiedy porzuciłam myśl o spaniu. Leżałam już tak parę godzin, nasłuchując powozów toczących się po ulicy, doprowadzając się do szaleństwa, próbując na przemian zapomnieć o Rowenie i odgadnąć, co jej się przydarzyło. Ani jedno, ani drugie nie przyniosło efektu.

Przypomniałam sobie jednak, co Elizabeth powiedziała na temat pogrzebu Roweny.

Zdecydowana, by coś zrobić nawet, jeśli byłoby to ryzykowne i bez sensu, ubrałam się w jedną z moich najwygodniejszych sukienek i wbiegłam po schodach na strych do pokoju Colina. Zapukałam i czekałam niecierpliwie. Zapukałam po raz drugi.

- Co do cholery? - Otworzył drzwi, zrzędcąc. - Violet? - Nagle wróciła mu czujność. - O co chodzi?

- O nic. - Miał na sobie tylko spodnie. Z całych sił starałam się nie gapić na jego nagą pierś. Pokój za nim był czy-

i prawie pusty. Nie byłam tu od czasu, kiedy przestaliśmy wkładać sobie pod poduszki pajaki.

- Wychodzę - poinformowałam go szeptem.

Nie tracił ani chwili.

- Pozwól, że się ubiorę. - Nie powiedział nic więcej, odwrócił się tylko, by pójść po koszulę.

Wtedy właśnie zrozumiałam. Naprawdę zrozumiałam.

Bez względu na to, co by się stało, nie mogłam poślubić Xaviera. Nie mogłam wyjść za miłego chłopca, który myślał, że jestem miłą dziewczyną, bo w ogóle mnie nie znał. Byłam pewna, że Xavier prosiłby mnie, bym wróciła do łóżka. Colin natomiast od razu zaoferował mi pomoc, o nic nie pytając. I chociaż Xavier był przystojny i zamożny, miał jedną dużą wadę. Nie był Colinem.

- Co się stało? - Zapytał Colin, zamykając za sobą drzwi i patrząc na mnie spod zmarszczonych brwi.

Zawstydziłam się, poczuwszy, że mam łzy w oczach.

- Nic. Jesteś gotów?

Uniósł brwi.

- Na co dokładnie?

- Na spacer po cmentarzu?

- Chcesz się bawić na cmentarzu? - Przekrzywił głowę. Nagle zrozumiał. - Przypadkiem nie na tym, gdzie leży Rowena?

Skinęłam głową, przygryzając wargę.

- Cmentarz Highgate. Myślisz, że uda nam się znaleźć jej grób?

- Sądzę, że tak.

Zeszliśmy po tylnych schodach i wyszliśmy przez drzwi dla służby tak *cicho*, jak *tylko* mogliśmy. Zatrzymaliśmy się pod osłoną postrzępionego krzaku bzu. Z ganku przy drzwiach wejściowych dochodził intensywny zapach gnijących warzyw.

- Przynajmniej ta tłuszcza wróciła na noc do domów - wyszeptał Colin.

- Ale pewnie wróca.

Skinął głową, nie patrząc na mnie.

- Tym będziemy się martwić jutro.

- Mam wystarczająco dużo drobnych, żeby pojechać tam powozem. Ale w drodze powrotnej będziemy musieli i#

pieszo. - Pokazałam mu przypasaną w talii sakiewkę, zanim
założyłam na głowę kaptur, by ukryć twarz.

- Skąd to masz?

- To reszta pieniędzy, które dał mi lord Jasper. Nie miałam
okazji pójść do księgarni.

Gwizdnął przez zęby.

- Jesteś tego pewna?

- Nie. - Uśmiechnęłam się *pośpiesznie*.

Colin zatrzymał powóz i wdrapaliśmy się do tyłu. Czuć
było stęchły zapach potu i rozlanego ginu. Podłoga była
lepką.

- To nie to, co powóz Jasperów, co? - zauważył Colin,
otwierając okno. Im bardziej zbliżaliśmy się do modnej dziel-
nicy miasta, tym więcej mijaliśmy powozów z pozłacanymi
herbami rodzinnymi i uzbrojonymi woźnicami. Panowie po-
mogli paniom w aksamitnych rękawiczkach zejść na chod-
nik, a w oknach salonów jarzyły się lampy gazowe. Sądziłam,
że Rosefield jest piękne i wystawnie urządzone, ale Mayfair
dosłownie lśniło diamentami.

Byli tu kamerdynerzy w wykrochmalonych kołnierzykach
i pałace tak ogromne i wspaniałe, że zdawały się nierzeczy-
wiste. Cienista zieleń Hyde Parku wiła się opiekuńczo wo-
kół dekadentkich sal balowych i męskich klubów. Obijaliśmy
się z tyłu dorożki przez długi czas, wdychając zapach koni
i węglowego pyłu. Przyćmiewał on światła tak bardzo, iż mie-
liśmy wrażenie, jakbyśmy byli na tym świecie sami. Mój od-
dech wydawał mi się głośny. Nagle powóz zatrzymał się i za-
wolał nas woźnica.

- Proszę bardzo, chłopcze. Cmentarz Highgate.

Zeszłam na chodnik, a Colin wręczył woźnicy zapłatę.
Mężczyzna uchylił kapelusza, wrzucając pieniądze do kiesze-
ni kurtki.

- Uważajcie na duchy - zażartował i pogonił konie.

- Przypuszczam, że ród Wentworthów ma mauzoleum we wschodniej części - szepnęłam. Swains Lane dzieliła Cmentarz Highgate na dwa fragmenty.

- Raczej dbają o wizerunek - zgodził się.

Z mgły wyłoniła się główna brama z czarnego żelaza z łukiem w stylu egipskim, który w chwiejnym świetle lamp gazowych wydawał się koloru piaskowego. Minęliśmy ją, nie zatrzymując się.

- Jesteś gotowa? - spytał szeptem Colin. - Będziemy musieli przejść przez ogrodzenie. Mgła powinna nas zasłonić i możemy wdrapać się po tym drzewie dla ułatwienia.

- Czemu nie możemy przejść przez główną bramę?
- zapytałam, podwiązując płaszcz, żeby o nic nie zahaczył.

- Mają strażę przeciwko rezurekcjonistom - przypomniał mi, testując kawałek ogrodzenia, żeby upewnić się, że wytrzyma nasz ciężar. Rezurekcjoniści byli powszechnie znani z rozkopywania grobów i sprzedawania części ciał lekarzom i szpitalom do nauki i ćwiczeń. Przypomniało mi to, jak pierwszy raz przeczytałam Frankenstein. Chowałam się pod kołdrą i ani na chwilę nie zmrużyłam oka. Zastanowiłam się, czy rezurekcjonistów nie nawiedzają wyjące o zemstę duchy sprofanowanych ciał.

- Nie zaczniesz się teraz zachowywać jak pensjonarka, co?
- zapytał Colin, czekając ze złożonymi rękami, żeby mnie podsadzić. Spojrzałam na niego groźnie i wyprostowałam plecy.

- Oczywiście, że nie. - Postawiłam obcas buta na jego dłoniach i pozwoliłam mu się podnieść aż do momentu, kiedy mogłam dosięgnąć końca ogrodzenia. Podciągnęłam się tak, jakbym wsiadała na konia, czego, szczerze mówiąc, nigdy nie robiłam.

Co tu dużo mówić, nie wyszło mi to z gracją.

Wylądowałam ze stęknieniem. Colin bez zastanowienia przesadził ogrodzenie, lądując w przysiadzie. Było jasne, że

nie był to pierwszy płot, jaki pokonał. Zapisałam sobie w głowie, że muszę go o to później spytać. Zaczęliśmy skradać się porośniętą bluszczem ścieżką. Czułam, jakby moja głowa była nakłuwana gorącymi igłami. Potarłam ją, krzywiąc się z bólu.

Odgłos kół powozów i koni był słaby, wydawał się bardziej odległy, niż był w rzeczywistości. Krople wody przyczepiały się do mojej wełnianej sukni i płaszcza. Brzeg sukni włókł się po ziemi. Byliśmy niczym w miękkim kokonie. Byłoby romantycznie, gdyby nie ci wszyscy zmarli. I ciche szuranie. Zastygłam.

• - - Słyszałeś?

Colin również zatrzymał się, nasłuchując. Po chwili pokręcił głową.

- Nic nie słyszę.

- Pewnie to tylko moja wyobraźnia. - Czułam pulsowanie w skroniach. Wydawało mi się, że widzę przed sobą jakieś przemykające przez mgłę kształty. Żaden nie był specjalnie wyraźny, tam oko, tu ręka, kształt biodra w mglistym gorsecie. Duchy zaznaczały swoją obecność, ale mgła nie pozwalała dostrzec ich wyraźnie. To jakoś pogarszało sprawę.

- Tłoczno tu - powiedziałam przez zęby.

- Dasz sobie radę? - Colin rzucił mi troskliwe spojrzenie.

Kiwnęłam głową ponuro.

- Tak. Znajdźmy Rowenę. Im wcześniej to zrobimy, rym szybciej stąd wyjdziemy.

Mauzolea wyglądały jak ozdobne pudełka, a wokół nas łąły kamienne anioły. W gęstej mgle trudno było cokolwiek odczytać na nagrobkach. Z latarnią byłoby łatwiej, ale wtedy nie pozostalibyśmy niezauważeni. Musiałam rozpoznawać kształt niektórych liter opuszkami palców. Imiona nie brzmiały znajomo. Szliśmy naprzód, wzdłuż alei prowadzącej do osławionego Kręgu Libańskiego, pośrodku którego rosło masywne, kilkusetletnie drzewo cedrowe. W ciepłej,

wilgotnej ciemności czułam jego intensywny, wiszący we mgle zapach. Kamienny krąg był podziurawiony drzwiami i jeszcze większą ilością wrytych w kamieniu imion.

- Tu leży jakiś Wentworth! - zawołał cicho Colin. Podbiegłam do niego. Nie był to grób Roweny, ale przynajmniej znajdowaliśmy się pośród jej rodziny. Jej grób nie mógł być daleko. Wyteżając wzrok w ciemnościach, sprawdziliśmy pozostałe nagrobki. Zaczynało mi się kręcić w głowie. Zachwiałam się lekko i złapałam ściany, by nie upaść. Było tu zbyt wiele duchów, które domagały się uwagi, unosząc się w zasięgu mojego wzroku. Ucisk w czaszce wywoływał u mnie mdłości. Drzwi obok mnie otworzyły się.

Wiedziałam, że muszę wejść do środka. Zatrzymałam się w progu. Czułam powiew zimnego wilgotnego powietrza. Colin stanął za mną.

- Powinnam była zabrać świecę - stwierdziłam nerwowo.

- Mam zapałkę - odparł cicho, pocierając nią o kamień. Płomień był mały i słaby, ale i tak zdecydowanie lepszy od mroku. W tym małym domu śmierci nikt go nie dostrzeże. Zrobiłam parę kroków naprzód. Obecność Colina dodawała mi otuchy. Światło z zapałki migotało jak szalone po jego twarzy. Było chłodno, a ziemia pokryta była zeschniętymi liśćmi. Cieszyłam się, że wzięłam ze sobą ciepły płaszcz.

Rowena Wentworth.

Nareszcie jej imię, wryte fantazyjnymi ślimakami oraz daty 1857-1871.

Płomień zjadł cienką zapałkę, zamigotał i zgasł. Colin zaklął pod nosem i zapalił kolejną.

- Przepraszam - wymamrotał.

- Nie ma za co - odpowiedziałam, chociaż moje serce wykonało właśnie piruet w piersi. Sięgnęłam do kieszeni po garść soli i rozsypałam ją u naszych stóp.

- Roweno Wentworth!

Nie ukazała się.

Zapałka znowu zgasła. Ciemność naokoło nas była gęsta i ciężka jak płaszcz, którego nie potrafiłam zlekceważyć. Usłyszałam, jak Colin szuka kolejnej zapałki. Rozsypały się po podłodze.

- Cholera - mruknął pod nosem.

- Au! - krzyknęłam nagle. Colin podskoczył, potracając mnie.

-Co? Co?

- Czy przed chwilą pociągnąłeś mnie za włosy?

- Nie, czemu miałbym to zrobić?

- Ktoś to zrobił! - Moje dłonie zaczęły się pocić. Wytarłam je o spódnicę. Powietrze wokół zrobiło się zimne.

- Trzymaj się blisko mnie. - Staliśmy ramie w ramie, oglądając się na boki, mimo że nie byliśmy w stanie nic zobaczyć.

- Nie mogę znaleźć tych cholernych zapałek.

- Może powinniśmy stąd pójść - zaproponowałam. - Poszukalibyśmy latarni i wrócili.

- Dobry pomysł.

Wejście do mauzoleum zatrzasnęło się, a huk zawibrował mi w kościach. Krzyknęłam, przestraszona, i uderzyłam łokciem w ścianę. Colin zaklął i po omacku znalazł moją rękę. Powietrze z zimnego zrobiło się lodowate, aż zdrętwiał mi czubek nosa.

- Co to u diabła było? - zapytał Colin.

Starałam się przełknąć ślinę, bo zaschło mi w gardle.

- Duch?

- Widzisz go?

- Nie, ale jest bardzo zimno. To się często zdarza. - Moje zęby szczykały. - Ale nigdy tak jak teraz. - Przynęłam się do niego. - Drzwi nie są daleko. Pobiegnijmy do nich.

Jakaś ręka szarpnęła mnie za ramię, powalając mnie na ziemię. Zimno przedostawało się przez moje ubranie. Upadłam

na twardą podłogę, siniacząc kolano. Colin chciał mnie złapać, ale potknął się i upadł razem ze mną. Zimny wiatr popychał nas w stronę nagrobków. Nie mogliśmy się ruszyć.

- Przestań! - krzyknęłam do ducha, szukając po omacku soli, którą wcześniej rozsypałam. Cisnęłam nią w powietrze. Drzwi skrzypiały w zawiasach.

- Mam - szepnął Colin, zapalając zapałkę. Normalnie ciepły blask dodałby nam otuchy, gdyby tylko nie ukazał naszym oczom krzyczącego ducha mężczyzny parę centymetrów od mojej twarzy.

Chciałam wrzasnąć, ale się zakrztusiłam. Zaczęłam się cofać, posyłając kopniaki w jego kierunku, mimo iż wiedziałam, że nie ma to sensu. Colin podniósł pięści, choć to również nie zdałoby się na nic, ponieważ i tak nie widział, z kim walczy. Moje serce łomotało z całej siły, powodując ból w piersiach.

Nagle duch odsunął się tak samo raptownie, jak nas zaatakował.

- Och, śliczna dziewczyna.

- Słucham? - wychrypiałam.

- Najmocniej przepraszam.

- Powinieneś. - Uderzyłam się w pierś, próbując się uspokoić. Colin dzikim wzrokiem rozglądał się dookoła.

- Gdzie on się podział? Kim on jest? Pokaż się, ty tchórz!

Stary mężczyzna w elżbietańskich pończochach uśmiechnął się szeroko. Jego spiczasta broda i białe zęby dodawały mu zawadiackiego charakteru. Usiadłam, zdecydowanie osłupiała.

- Wszystko w porządku, Colin. Tak mi się wydaje.

- Mam dość płaczących kobiet w żałobnych welonach - zwrócił się do mnie mężczyzna. - To takie przygnębiające. To miła odmiana.

- I dlatego mnie popchnąłeś?

Skrzywił się.

- Bardzo mi przykro, ale zachowywałaś się nader podejrzanie. A jedyną rzeczą gorszą od szlochającej kobiety jest spirytualista. Nie dają nam spokoju. To szczególnie niegrzeczne.

- Hmm. - Nie wiedziałam, jak mam odpowiedzieć.

- Lord Rupert Wentworth do usług, pani. - Wykonał doskonały, dworski ukłon.

- Właściwie to szukam Roweny Wentworth - powiedziałam.

- Co za szkoda. Również śliczna dziewczyna, ale niestety nie zatrzymała się tu i od tego czasu jej nie widziałem.

- Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

- Kto to może wiedzieć? Czasami gubimy się, nudzimy albo po prostu nie chcemy opuścić tych, których kochaliśmy. Przez dziesięć lat krążyłem za moją żoną, do czasu, kiedy ponownie wyszła za mąż, Wydawał się miły - wyznał. - Tylko trochę fajtłapowaty. Kiedy umarli, udali się tam, dokąd podobno wszyscy odchodzą. Ja wolę tę perspektywę.

- Mówi, że Roweny nigdy tu nie ma - powiedziałam Colinowi. Przypomniałam sobie wieczór w bawialni, kiedy Rowena nie chciała ze mną rozmawiać, przywierała tylko do swojej siostry bliźniaczki, a potem, zawodząc, zaczęła się miotać na wszystkie strony. - Ona chroni Tabithę - wyszeptalam zdecydowanie. - Raz mignęła w moim lustrze, ale nigdy już nie zostawi swojej siostry. To znaczy, że morderca jest nadal w Rosefield.

Sir Wentworth nachylił się bliżej.

- Co powiesz na małego całusa?

Cofnęłam się.

- Nie licz na to.

- Szkoda. - Oddalił się.

- Uważaj na tego faceta za drzewem - rzucił jeszcze przez ramię.

Przeszły mnie ciarki. Wstrzymałam oddech.

Colin zmarszczył brwi.

- Co znowu?

Przysunęłam się do niego najbliżej jak się dało, bardziej wydychając słowa, niż je wymawiając.

- Ktoś nas obserwuje zza cedru.

Poczułam, jak napina mięśnie.

- Do diabła.

Zgasił zaparkę i wycofaliśmy się na ścieżkę. Colin pociągnął mnie za nadgarstek i zaczęliśmy biec pomiędzy nagrobkami, otoczeni zewsząd kłębiącą się mgłą.

- Szybciej - ponaglał mnie.

- Zaczekajcie!- zawołał za nami głos mężczyzny.

Zaczęliśmy biec szybciej. Paliło mnie w płucach. Trudno było nie zwracać uwagi na czepiające się mnie podczas biegu zimne, wychudłe dłonie. Trzęsłam się cała i szczękałam zębami, kiedy znaleźliśmy się przy żelaznym ogrodzeniu. Colin przerzucił mnie przez nie. Za nami słychać było tupot stóp. Colin wylądował koło mnie na chodniku i ponownie rzuciliśmy się do ucieczki, wymijając powozy, które wydawały się wyskakiwać z mgły, kiedy przebiegaliśmy przez ulicę i zasyliśmy się w labiryncie londyńskich ulic. Moje serce łomotało. Teraz, kiedy byliśmy już bezpieczni, zdałam sobie sprawę, że ów głos brzmiał znajomo.

To był pan Travis.

Kiedy dotarliśmy do domu, byłam *pewna*, że przez całą noc nie będę w stanie zasnąć, tymczasem następną rzeczą, którą poczułam, były promienie słońca padające na moje powieki. Umyłam twarz i napisałam kolejny list do Elizabeth, mimo że i tym razem nie spodziewałam się żadnej odpowiedzi. Kiedy późnym popołudniem rozległo się pukanie, pomyślałam, że lepiej będzie udawać, iż nic nie usłyszałam, jednak moja niepoohamowana ciekawość wzięła górę. Rozpoznałam powiv

stojący na ulicy. Słyszając zaśpiew matki, przyspieszyłam kroku. W pośpiechu poślizgnęłam się na drewnianej podłodze, ~~ona~~ nie wpadając na Xaviera i nie przewracając nas obojga.

- Najmocniej przepraszam - powiedziałam. - Trochę tu ślisko.

Przytrzymał mnie i uśmiechnął się uprzejmie. Nie zdjął kapelusza. Twarz matki lśniła w wyrazie triumfu. Wiedziałam, **O** czym myśli. To jest mężczyzna, który uratuje jej rodzinę **I** zabierze jej córkę.

- Pani Trethewey - powiedziała, chwiejąc się nieznacznie. - Witam serdecznie. Proszę wejść.

- Pani... ach... Willoughby. - Pauza nie zwróciła zbyt dużej uwagi, ale nie pozostała niezauważona. Odchrząknął z zakłopotaniem. - Panno Willoughby.

- Powinien pan powiedzieć: lady Violet - stwierdziła nader ~~czarna~~ matka. Opary sherry były widoczne nawet z miejsca, w którym stałam. Mogłam tylko żywić nadzieję, że Xavier jakimś cudem stracił węch. Sądząc z tego, jak marszczył nos, ~~raczej~~ tak się nie stało. - Violet jest córką hrabiego, wie pan o tym.

Xavier przełknął ślinę zmieszany, zastanawiając się, jak i czy w ogóle odpowiedzieć. Nieuznana córka hrabiego z nieprawego ~~łoża~~ nie zasługiwała na taki szacunek, jak jego ślubna córka. Już raczej powinnam teraz tytułować się panną Morgan.

- Pani Trethewey - powiedziałam głośno, by zagłuszyć następną wypowiedź mamy, jakakolwiek by ona była. - Może ma pan ochotę na filiżankę herbaty? - Zaprowadziłam go do bawialni. Uczucie ulgi, które pojawiło się na jego twarzy, ~~ustąpiło~~ miejsca zakłopotaniu, kiedy rozejrzał się dookoła. Salon, pozbawiony większości dekoracyjnych bibelotów, które poprzednio, jak nakazywała moda, zapełniały każdą wolną przestrzeń, wyglądał na ogołocony. Matka została w przedpokoju, dziwnym, śpiewnym głosem wołając na Marjorie,

by przyniosła tacę z herbatą. Starałam się nie zwracać na nią uwagi.

- Panno Willoughby - Xavier nerwowo rozluźnił palcem kołnierzyk. - Przyszedłem, żeby sprawdzić, jak się pani miewa.

- Miło z pana strony.

Siedział tak daleko ode mnie i tak sztywno. Zaledwie parę dni temu skradł mi w ciemności kilka całusów. Teraz wydawało się, jakby coś między nami stanęło, jakby dzieliły nas ostre krawędzie i kolce. Raptem wstał i zaczął chodzić w tę i z powrotem po pokoju. Takie zdenerwowanie nie było do niego podobne. Zmrużyłam oczy.

- Panno Willoughby. - Po raz kolejny wyraźnie odmawiał zwrócenia się do mnie po imieniu.

-Tak?

- Przyszedłem z pilną sprawą.

- Rozumiem.

Odwrócił się i przeszedł w drugą stronę.

- Chodzi o...

- Tak? - Ścisnęło mnie w żołądku. Kolejna osoba, która mnie nie chce.

- O nasze zaręczyny.

- Rozumiem. Czy mam powiedzieć matce, że chce pan z nią porozmawiać? - Nie wiem, czemu to zrobiłam. Po prostu chciałam zobaczyć, jak skręca się ze zdenerwowania. Nie wiedziałam, jak inaczej ukryć moje rozczarowanie. Nawet jeśli zdawałam sobie sprawę, że nie mogłabym za niego wyjść, byłoby mi miło, wiedząc, że mimo wszystko jest po mojej stronie. Ostatecznie uważałam go za swojego przyjaciela. Jednak doskonale wiedziałam, czemu przyszedł.

- Nie! - Prawie krzyknął. - To znaczy - to prywatna sprawa. Dosyć delikatna. - Przełknął rozpaczliwie ślinę. - Panno Willoughby, musi pani zrozumieć, że nie możemy wziąć słu-
bu. Byłoby to niemożliwe.

- Ach tak? - Znajdowałam perwersyjną przyjemność i osuszaniu g^o do szczegółowych wyjaśnień.

- Moi rodzice na to nie pozwolą.

Wiedziałam, że jego matka dostawała spazmów na samą ~\>, że nasze rodziny mogłyby się połączyć. Sława tak, ale nie za cenę hańby. - A pan? - Zapytałam cicho.

Spojrzał na mnie głęboko zmieszany.

- Słucham?

- Co pan o tym myśli, Xavier?

- Matka mi tego zabrania.

- Nie o to pytałam, prawda?

- Nigdy nie dopuściłbym do zerwania zaręczyn, gdyby i rzeczywistości zostały one zawarte. Ostatecznie, jestem człowiekiem honoru. Chciałbym, by wszyscy myśleli, że to pani się wycofała.

- Iak miło z pana strony - odparłam sucho. Nawet nie zauważyłam sarkazmu w moim głosie.

- Bardzo mi przykro, panno Willoughby. Naprawdę.

- I to wszystko?

- Musi pani zrozumieć. Jesteśmy szanowaną rodziną, a pani jest... cóż...

- Bękartem - odpowiedziałam z jadowitą słodyczą. Wstałam gwałtownie. - Do widzenia.

- Panno Willoughby...

- Wie pan, gdzie są drzwi - przerwałam mu. Musi wyjść, zanim zdradzę się drżąca wargą lub mokrym policzkiem. Uklonił się. Nasłuchiwałam jego oddalających się kroków, zamykających się cicho drzwi i odjeżdżających koni.

Matka weszła radośnie do pokoju, a za nią Marjorie ciągnęła stolik z zastawą do herbaty.

- Proszę bardzo, panie... - zatrzymała się, marszcząc brwi.

- Dokąd poszedł?

Uniosłam podbródek.

- Wezwali go.
- Kiedy wróci?
- Nie wróci.

Chwyliła mnie za rękę, wbijając mi palce w skórę.

- Co? Pozwoliłaś mu odejść? Ty głupia dziewczyno.
- Chciałam się jej wyrwać, ale była ode mnie silniejsza
- Nie poślubi bękarta, matko.

ROZDZIAŁ 18

CS BO

fej oczy były jak szczeliny.

- Wiec to moja wina, tak? Wiec taka jest twoja wdzięczność? - Uderzyła mnie w twarz. - Nie masz prawa tak do mnie mówić. Jestem twoją matką. Nie wiesz, co wycierpiałam. Żądam od ciebie szacunku.

Poczułam krew na wardze.

- Głupia dziewczyna! - wrzasnęła. - Potrzebujemy go. Był naszą ostatnią nadzieją. - Uderzyła mnie jeszcze raz, aż potknęłam się o krzesło, przesuwając je. - Teraz nie mamy nic! Nic!

Tym razem uderzyła pięścią i oko zapiekło mnie z bólu. Siniak już rozkwitał pod nim jak czarna róża. Uniosłam obronnie ręce do góry. Marjorie płakała. Jedno z krzesel wpadło w kanapę, przytrzymując ją do ściany. Stół przechylił się i zatrzęsł przez nikogo niedotknięty, jakby siedział na nim ktoś niewidzialny.

Gromadziły się duchy, ale matka była zbyt oszalała, by móc dostrzec ich sprzeciw wobec tego traktowania. Zasłony wiły się i skręcały, zupełnie jakby szalała burza. Gniewne twarze ukazywały się w lustrach, w oknach, a nawet w dzbanku do mleka stojącym na tacy.

Wydawało mi się, że minęła wieczność, zanim do pokoju wtargnął Colin i odepchnął ode mnie matkę.

- Zostaw ją! - krzyknął. Zadrapała go i po policzku zaczęła mu spływać krew. Jego oczy wyglądały jak matowe, srebrne monety.

- Dobrze!- wrzasnęła. - Zasługujecie na siebie!

Uwolniła się z jego mocnego uścisku i odmaszerowała na górę. Drzwi do jej sypialni zatrzasnęły się wystarczająco głośno, by zagrzecotał świecznik w przedpokoju. Pozostałam na podłodze, zwinięta w kłębek. Colin kucnął, oddychając ciężko, cedząc słowa przez zaciśnięte zęby.

- Poszła już, Violet. - Wyciągnął rękę i pogłaskał mnie po głowie tak delikatnie, że równie dobrze mogłam to sobie wyobrazić. - Wszystko w porządku. Poszła już.

Marjorie wyszła z pokoju i wróciła, ale ja nadal się nie poruszyłam. Podała Colinowi kawałek zimnego mięsa, zawiniętego w ręcznik.

- Na opuchliznę - szepnęła przed wyjściem. Drzwi zamknęły się za nią cicho. W pokoju zostałam tylko ja i Colin oraz słońce zachodzące za oknem, prześwitujące na fioletowo i pomarańczowo poprzez dziury w zasłonach. Nie powiedział ani słowa, tylko podał mi ręcznik i poszedł rozpaścić ogień w palenisku. Trzask zapałek i płonącego drewna był jak kojąca kołysanka. Podniosłam się ostrożnie, z obolałą twarzą i zdrętwiałymi rękoma. Zmarszczyłam nos na widok czerwonego mięsa.

- Dziwnie się czuję z kolacją na twarzy.

- To pomoże - obiecał Colin, dorzucając więcej drewna do ognia. Nie odwrócił się aż do chwili, kiedy spróbowałam wstać - znalazł się przy mnie niemal natychmiast, podtrzymując mnie za łokieć. Próbowałam się uśmiechnąć, ale nie było to zbyt przekonujące.

- Nic mi nie jest - zapewniłam go.

Odchrząknął tylko, ale cofnął się i pozwolił mi samej dojść do fotela najbliższej paleniska.

- Co tym razem ją rozzłościło? - zapytał ponuro.

Krzywiąc się, ostrożnie przyłożyłam zimny befszyk do policzka.

- Przyszedł Xavier.

- Mhm. - Zapadła cisza. - I?

- I nie można oczekiwać po mężczyźnie z szanowanej rodziny, że poślubi bękart, czyż nie? - Starałam się nie zwracać uwagi na trzepot duchów za drzwiami. Być może, jeśli będę je ignorować, duchy znudzą się i zostawią mnie w spokoju. Para bezcielesnych oczu już patrzyła na mnie od drzwi, a z przesklonego zegara wychylała się głowa.

Colin zacisnął usta.

- Tak powiedział?

- Równie dobrze mógł to powiedzieć. To miał na myśli w czasie swojego grzecznościowego bełkotu.

- Kretyn.

Odrzuciłam na bok zawiniątko z mięsem.

- Chyba tak będzie lepiej.

Starał się nie patrzeć mi w oczy.

- Kochałaś go w takim razie?

- Myślałam, że byłabym w stanie. Ale wydaje mi się, że nie. W przeciwnym wypadku byłabym bardziej przygnębiona.

- To dobrze.

- Tylko nie ma już dla mnie ucieczki - wyszeptalam. Kiedy podniosłam wzrok, ujrzałam tłumy duchów obserwujących mnie bacznie. Zadrżałam. Colin podążył za moim spojrzeniem, ale nic nie zobaczył. Przyjrzał się uważniej, ale i tak nadal widział tylko meble i blask ognia.

- Przestańcie - powiedziałam cicho, lecz zdecydowanie. Nie ruszyły się z miejsca, za to wydały się jeszcze bardziej zainteresowane.

- *Powiedz Bradleyowi, że za nim tęsknię.* - Usłyszałam szepł.

- *Widzisz nas?*

- *Gdzie jest ten stary emaliowany stół, który tu kiedyś stał?*
Kiedy miałam 6 lat, wystrugałam na nim moje imię.

Przymknęłam na chwilę powieki. Colin wziął mnie za ręką swoją ciepłą, szorstką dłonią. Kiedy otworzyłam oczy, prawie wszystkie duchy zdażyły zniknąć, z wyjątkiem starszego mężczyzny stojącego za Colinem, z czapką w dłoniach.

- *Panienko, jeśli panienka pozwoli...*

Uśmiechnęłam się.

- Colin, twój dziadek był ogrodnikiem, prawda? W Irlandii? Miał krzaczaste brwi i duże dłonie?

Colin zamrugał.

-Tak.

Kiwnęłam głową, nasłuchując.

- Kiedy miałeś pięć lat, wykopałeś wszystkie rzepy z jego ogródka i zjadłeś je. Powiedział, że tak strasznie bolał cię brzuch, że nie miał serca, żeby cię ukarać.

Colin spojrzął się za siebie.

- Jest tutaj?

- Był - odparłam, kiedy stary mężczyzna zniknął. - Myślę, że cię strzeże.

- A moja matka?

Potrząsnęłam głową.

- Przykro mi. Widziałam tylko jego.

- Co za piekielny talent, Vi - stwierdził w końcu.

- Wiem. - Odrzuciłam włosy na plecy, krzywiąc się, kiedy zabolęła mnie szyja.

- Boli? - spytał od razu. - Pod prawym okiem też robi ci się siniak.

Oko rzeczywiście wydawało się czułe i opuchnięte, ale przynajmniej minął już ten ostry, pulsujący ból. W wardze czułam bolesne klucie.

- Musisz stąd odejść, Violet - powiedział cicho, poważnie.

- Dokąd mam iść? Lord Thornwood nie przyjmie mnie, a nawet gdyby to zrobił, myślisz, że jego rodzina by mnie zaakceptowała? - prychnęłam. - Wątpię w to.

- Wiem, że to twoja matka, ale nie traktuje cię dobrze.

- Możemy o tym nie rozmawiać? - zapytałam, głównie dlatego, że wiedziałam, iż ma rację. - Ja naprawdę chcę już zapomnieć o dzisiejszym dniu. - Odchyliłam głowę do tyłu. W pokoju było ciemno, słońce już od dawna całkowicie zniknęło za mgłą. Ogień trzeszczał wesoło, a w domu panowała taka cisza, jakby był kompletnie opuszczony. Marjorie i Cook z całą pewnością ukrywali się w tylnej części kuchni, a matka niezależnie od pory dnia zawsze kładła się do łóżka po każdym ze swoich ataków. Nawet na ulicach było spokojnie.

- Colin? - Nagle zdałam sobie sprawę z bliskości jego ciała, jego nóg tuż obok moich, naszych obutych stóp leżących obok siebie.

- Hmm?

- Dziękuję.

Wykorzystałam tę chwilę, zanim zdążyłam zniszczyć ją wątpliwościami.

Pocałowałam Colina, bo całowanie go było jak być na zewnątrz podczas burzy z piorunami i nie wchodzić do bezpiecznego domu. Smakował cukierkami i dymem. Smakował tak, jak trzeba. Jego ręka dotknęła mojego karku. Rozcięta waga zakłuła mnie pod dotykiem jego ust, ale nie obchodziło mnie to. Całowaliśmy się, jakby nie istniało nic ważniejszego, nawet powietrze.

Kiedy w końcu odsunęliśmy się od siebie, by dać odpocząć mojej obolałej wardze, wyciągnęliśmy się na dywanie przed kominkiem. Wypiliśmy zimną herbatę i zjedliśmy wszystkie ciasteczka oraz kanapki z masłem, i długo rozmawialiśmy.

- Może matka się myli - powiedziałam, patrząc zamyśloną w płomienie, z podbródkiem opartym na dłoni. - Może mogłabym być dobrą guwernantką. Ostatecznie uwielbiam czytać.

- Jesteś wystarczająco mądra - zapewnił mnie Colin
- Ale twoja matka ma rację. Nikt by cię nie zatrudnił. Jeste;
zbyt ładna.

- No doprawdy.

- Żony hrabiów i książąt nie zatrudniają szesnastoletnich
dziewcząt, Violet. To by było nierozsądne.

Prychnęłam, mierzwiąc pukiel włosów spadających mi na
ramię.

- To niesprawiedliwe.

Wzruszył ramieniem lekceważąco.

- Zawsze tak było. - Leżał obok mnie, jego ramię ociera-
ło się o moje. - Mogłabyś być arystokratką pióra, jak Charles
Dickens i bracia Bell⁵, których tak bardzo kochasz, i pisać
własne książki.

Uśmiechnęłam się.

- Brzmi cudownie. Mogłabym też być nauczycielką w jed-
nej z tych strasznych akademii. Ale najpierw musiałabym ze-
brać wystarczająco dużo pieniędzy, żeby się ogłosić. Czy to
oni się ogłaszają?

- Mogę się dowiedzieć - zaproponował. - Poważnie mó-
wisz o odejściu?

Dotknęłam obolałej twarzy.

- Tak. Ale nie wiem, jak to zrobić. - W pośpiechu, spowo-
dowanym chęcią ucieczki, mogłabym zostać oszukana przez
jakiegoś łajdaka, co wcale nie rozwiązałoby moich proble-
mów. A chociaż byłam świetnym kieszonkowcem, byłby to
ryzykowny sposób na życie.

- Poszedłbym z tobą - powiedział cicho Colin.

- Naprawdę?

- Wiesz, że bym to zrobił.

⁵ Currer, Ellis i Acton Bell - pseudonimy literackie Charlotte, Emily
i Anne Bronte. Przybrały je z obawy, że ich utwory mogą być sądzone
inaczej ze względu na to, że były kobietami.

CÓRKA MEDIUM

Moje serce załomotało w piersi jak srebrny dzwon.

- Gdybyś mógł zrobić, co zechcesz, co byś zrobił? Wróciłbyś do Irlandii? - Bijący dzwon zardzewiał trochę na tę myśl.

- Być może - odparł. - Nie mam tam już żadnej rodziny, ale tęsknię za zielonymi wzgórzami. Chciałbym ci je pokazać, i Tarę i Klify Moher. Moglibyśmy zamieszkać w chacie pokrytej strzechą i hodować owce.

Uśmiechnęłam się do niego szeroko.

- Jeśli ty będziesz po nich sprzątał.

- Jak wyglądałby twój wymarzony dzień? - spytał, odwzajemniając uśmiech. - Skoro nie podobają ci się moje owce?

- Twoja chata brzmi dobrze - przyznałam. - Chciałabym spać do późna i czytać tyle książek, ile bym zapragnęła, oraz pić herbatę z cytryną i jeść plastry ananasa na śniadanie.

- Żadnych aksamitnych sukien ani diamentów?

Wywróciłam oczami, ale przestałam, kiedy siniak zaczął pulsować.

- Au! Nie, oczywiście, że nie. Nie zależy mi na nich. Tylko na książkach. - Spojrzałam na niego nieśmiało. - I na tobie.

- W takim razie w porządku - powiedział miękko. Przejechał lekko palcami po mojej obolałej kości policzkowej. - Boli cię?

Skinęłam głową. Bolało jak diabli, ale nie przejmowałam się tym. Nie pocałował mnie ani ja jego. Patrzyliśmy na siebie przez dłuższą, rozkoszną chwilę. Ogień trząskał obok nas. W migocącym świetle jego oczy były szare, bardziej jak zimowe jezioro niż letni ocean. Jego czarne włosy wpadały mu jak zwykle do oczu. Odgarnęłam je.

- Jaki jest twój wymarzony dzień? - wyszeptałam.

- Na początek wyjechałbym z Londynu - powiedział.

• Nie mogę znieść tej szarości. Chcę pól i lasów, i nieba jak i łęgnać wzrokiem. Nie potrzebuję wiele, może małego

ogródka, żeby móc uprawiać sałatę i zielony groszek oraz zasadzić jabłoni. Moja mama piekła wyśmienitą szarlotkę.

Rozmawialiśmy, aż moje powieki zaczęły się robić ciężkie. Mimo wszystko nie chciałam psuć nastroju. Przekręciłam się na plecy, żeby oprzeć głowę. Otworzyłam szeroko usta i poruszyłam szczęką.

- Co ty wyprawiasz? - Uśmiechnął się Colin. - Wyglądasz jak małpa.

- O, jakie to miłe. Chciałam sprawdzić, czy nadal boli mnie twarz. I boli, nawiasem mówiąc. - Uniosłam brew. - I powinienes wiedzieć, że nie mówi się tak do damy.

- Jesteś Violet. - Wyciągnął rękę i bawił się satynową wstążką, która odpruła się od rąbka mojej sukni. - Chociaż chyba nie jesteś już po prostu Violet, prawda?

- Jestem. Bycie bękartem hrabiego raczej nie oznacza poprawy statusu, Colin. Nic tak naprawdę się nie zmieniło.

Podbiegł do mnie mały, ciemnoszary sznaucer. Mimo że był prześwitujący, mogłam niemal wyczuć szorstkość jego języka, kiedy polizał moją rękę.

No cóż, coś się jednak zmieniło.

Podrapałam go po uszach lub też po powietrzu wokół nich, a on zamerdał ogonem.

Colin odsunął się.

- A teraz, co robisz?

- Bawię się z psem.

- Bawisz się z... - przerwał.

- Duchem psa - dodałam, jakby to wyjaśniało wszystko.

Przewrócił oczami.

- No tak, jasne. - Pokochałam go jeszcze bardziej za tę prostą, zwyczajną odpowiedź. Nie zawierała żadnych sądów, strachu, nieufności. Wierzył mi.

- Jest całkiem uroczy.

- Jak się wabi?

- Skąd mam wiedzieć? - Złapałam go na chwilę za rękę, kiedy podłoga przechyliła się pod *dziwnym* kątem. Powinnam w końcu przyzwyczać się do tego, że widzę duchy. Nie mogę mieć zawrotów głowy i mdleć za każdym razem, kiedy zobaczę zjawę. W ten sposób nigdy niczego nie zrobię. - Nie mówię po psiemu.

Mały sznaucer pobiegł za mną małymi kroczkami.

- Większość ludzi ma zwierzęta, które są widzialne.

-Trudno. Nazwę go Pan Rochester. - Ziewnęłam mimo woli i poczułam ból w ustach. Dotknęłam ich, krzywiąc się z bólu.

- Powinnaś odpocząć. Już prawie świta. - Wziął mnie za rękę i pomógł wstać, po czym odprowadził po wąskich schodach na górę. - Dobranoc, Violet - wyszeptał, kiedy dotarliśny do drzwi. Oparł się jedną ręką o framugę, pochylając się, żeby mnie pocałować.

- Dobranoc - powtórzył, zanim odwrócił się i odszedł korytarzem w stronę tylnej części domu. Nie jestem pewna, jak długo tak stałam, patrząc, jak odchodzi, ale zaraz po tym, jak usłyszałam dźwięk zamykających się drzwi, w progu swojego pokoju stanęła matka. Tuż za nią stał duch małej dziewczynki, która robiła miny i wystawiała język. Matka zobaczyła tylko mnie, jak stałam, uśmiechając się głupio.

- Violet. Wiesz, która godzina?

- Późna. - Odwróciłam się, by pójść do łóżka. Staralam się ominąć mojego niewidzialnego psa i potknęłam się o własną nogę.

- Co z tobą?

- Potknęłam się o psa - odparłam wyniośle. Byłam tak zmęczona, że czułam się słabo i niewyraźnie. W przeciwnym razie na pewno bym tego nie powiedziała.

- O psa? Jakiego psa?

Pan Rochester warknął i skoczył jej do kostki, wbijając I nią zęby. Nawet nie zerknęła w dół.

- Jest niewidzialnym psem - wyjaśniłam. Jakaś część mnie zastanawiała się, dlaczego nie trzymam języka za zębami. Pozostała część nie miała dość siły, żeby się tym przejmować.

- Ja, w przeciwieństwie do ciebie, widzę duchy - oznajmiłam z żarem i wparowałam do pokoju, zatrzasnąjąc za sobą drzwi. Wpełzłam do łóżka w ubraniu, z obolałym okiem i wargą. Pan Rochester zwinął się w kłębek obok mnie i w ciągu kilku minut oboje zasnęliśmy.

ROZDZIAŁ 19

OS VO

Nigdy wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, jak ostre może być światło słoneczne. Było jak małe włócznie i strzały celujące w moje podbite oko. Jęknęłam i schowałam głowę pod poduszkę.

nać - Marjorie - mruknęłam pod nosem. - Mogłabyś zasunąć zasłony?

Światło pozostawało nieustępliwe.

- Marjorie - jęknęłam, podnosząc ostrożnie głowę. Przecież przed chwilą położyłam się do łóżka. To nie mogła być pora wstawania.

Przy moim łóżku stała matka w dziennej lawendowej sukni. Uśmiechała się.

- Wstawaj, Violet - powiedziała miło. Wskazała na tacę stojącą na stole. Stał na niej dzbanek herbaty i jakiś solc - Pij, to ci pomoże.

Ani słowa przeprosin za to, co zrobiła wczoraj. Musiała widzieć siniaki. Ja z całą pewnością je czułam.

- Chce mi się spać.

- Obawiam się, że mamy za dużo do zrobienia. Wstawaj. Zmarszczyłam brwi.

- Co takiego musimy zrobić? Jesteśmy społecznymi wyrzutkami. Mogłabym spać cały tydzień i nikt by nic nie zauważył.

- Już nie, moja droga. - Rozsunęła energicznie zasłony,

- UMYJ się i włóż coś ładnego, może tę prążkowaną sukienkę. przed chwilą była u nas pani Bradley.

- Pani Bradley? - powtórzyłam zirytowana. - A po co? To jedna z największych plotkarek.

- Właśnie dlatego. Mamy dobre wieści, które muszą szybko dotrzeć do właściwych uszu.

Trudno było mi podążać za jej rozumowaniem. Poza tym bardziej interesowało mnie, dokąd poszedł Pan Rochester. Przynajmniej istniała jedna dobra strona niewidzialnych psów - nie brudziły na dywanie.

- Nadażaj, dziewczyno - ponagliła, klaszcząc w ręce. - W nagły i tragiczny sposób bezpowrotnie utraciłam swoje zdolności, ale jako matka jestem szczęśliwa, wiedząc, że miało to swój powód: przebudzenie talentu mojej własnej córki.

Wystrzeliłam z łóżka jak z procy, zapominając o bólu głowy.

- Co? Co?

- To świetnie, kochanie. To zmaże cały ten skandal.

- Ale... - Wybełkotałam przerażona. - Nie chcę być medium.

Zmrużyła oczy.

- Nie proszę o zbyt wiele. Nie cierpisz kłamać i od dziś nie będziesz musiała. Masz dar i wykorzystasz go. Jesteś mi to winna, Violet - dodała. - Przez szesnaście lat karmiłam cię i ubierałam, teraz czas na to, by mi się odwdzięczyć. - Klasnęła językiem o podniebienie. - No, dość już wygłupów.

Zostawiła mnie siedzącą na skotłowanym łóżku i głęboko wstrząśniętą.

Dzień mijał mi jak we śnie. Matka wygoniła mnie z domu, zanim śniadanie zdążyło mi się ułożyć w żołądku i zanim zdążyłam zobaczyć Colina. Kiedy tylko znalazłyśmy się na zewnątrz, pociągnęła mnie w kierunku najbardziej zatłoczonych ulic, zatrzymując się, by obejrzeć kapelusze i wstążki, zjeść lody, a raz nawet by poszperać w księgarni, ponieważ wydawało jej się, że wchodził tam ktoś ważny. Kiedy nogi

zaczęły boleć mnie prawie tak samo, jak moje oko, zdałam sobie sprawę, że jedynym powodem naszego wyjścia było zwrócenie na siebie uwagi. To, że nikt nie rzucał w nas cebulą ani nie przechodził na drugą stronę ulicy, by uniknąć naszego towarzystwa, oznaczało, że plotka o zdolnościach mojej matki, które przeszły na jej jedyną córkę, zdążyła się już rozjeść. Za każdym razem, kiedy starałam się ukryć za jakimś tegim mężczyzną lub niefortunnym damskim kapeluszem, matka wyciągała mnie zza nich bezlitośnie jak fala wyrzucająca na brzeg szczątki rozbitego statku.

Zatrzymałyśmy się nawet w studiu fotograficznym pana Hudsona na Holloway Road, w którym matka postanowiła rozstać się ze swoimi cennymi pieniędzmi, żeby zamówić moje zdjęcie. Pan Hudson był znany z wykorzystywania w swoich fotografiach naukowych metod, dzięki którym udawało mu się ukazywać na nich świat duchów.

Kiedy skręciłyśmy w znajomą uliczkę pełną efektownie pomalowanych szeregowych domków, westchnęłam z ulgą i źle ukrywanym rozdrażnieniem. Byłyśmy już tak blisko *kmu*, że byłabym w stanie przewrócić staruszkę o lasce, gdyby tylko stanęła mi na drodze do pierwszego wolnego fotela. Istotnie, wparowując do domu przez świeżo umyte drzwi wejściowe, mało co nie powaliłam na ziemię Marjorie.

- Herbaty - wychrypiałam. - Na miłość boską, Margie, herbaty.

Colina nie było w pobliżu, załatwiał pewne sprawy, które rzeczywiście wymagały biegania. Meble w bawialni doprowadzono do porządku, a kilka figurek i ozdób ocalałych * pozostałej części domu zebrano i ustawiono w niej dla dekoracji. Jeszcze nie zdążyłam wypić połowy filiżanki, kiedy t tatka popatrzyła na nią znacząco.

- No, dalej, Violet. Nie guzdraj się.

Trzymałam kurczowo filiżankę.

- Jeszcze nie skończyłam.
- Poproszę Marjorie, żeby przyniosła ci tacę. Musisz się przebrać.

Nie spodobało mi się to.

- Niby po co? - zapytałam podejrzliwie.
- Przychodzą goście na seans. Musisz wypaść jak najlepiej, drogie dziecko. Wszystko od tego zależy.

- Słucham? - Wstałam tak szybko, że herbata prysnęła przez krawędź filiżanki wprost na rąbek mojej sukni. - Nie mówisz poważnie.

- Oczywiście, że tak. Tylko ty możesz odmienić nasz los.

- Ale nie wiem nic o byciu medium! Do zeszłego tygodnia nie wierzyłam w duchy. - Pan Rochester pojawił się i zaczął trącać mnie w kostkę, dodając mi otuchy. Tylną część miał schowaną w kanapie - wystawał z niej tylko do połowy.

Matka przyjrzała mi się z ciekawością.

- A więc naprawdę masz dar. To z pewnością ułatwi sprawę. Pomasowałam się po twarzy.

- Matko, proszę.

Zacięła usta.

- Nie dramatyzuj. Zachowaj to na wieczór. A teraz idź na górę i przygotuj się. Nie możesz się spóźnić, nie masz wielbicieli ani wyglądu.

Poszłam na górę tylko dlatego, że nie chciałam być w tym samym pokoju, co ona, a nie było innego miejsca, dokąd mogłabym uciec. Przez całą drogę powłóczyłam nogami, wiedząc, że będzie to słychać w całym domu. Nadal miałam zawroty głowy i byłam zmęczona tak bardzo, że nie miałam siły się buntować. Dzisiaj wieczorem będę musiała dać z siebie wszystko, a jutro pomyślę o innym rozwiązaniu.

Ubrałam się w moją drugą najlepszą sukienkę. Marjorie zdyszana i z wytrzeszczonymi oczami, zaczęła pukać do moich drzwi.

- Proszę, panienko.

Westchnęłam rozpaczliwie i popatrzyłam spocie łba.

- No dobrze.

Było gorzej, niż się spodziewałam. Bawialnią od ściany do ściany wypełniona była żądnymi skandalu plotkarzami. Pani Bradley siedziała w różowej, błyszczącej sukni, trzymając na szerokim łonie swojego okropnego pudła. Pani Grey i panna Wilmington szeptały nad filiżanką herbaty. Reszta to byli po prostu doborowi poszukiwacze skandali, których imion nie znałam. Poszukałam wzrokiem lorda Jaspera, ale nie było go wśród zebranych, co nie było zbyt zadziwiające. Dostrzegłam jednak lorda Marshalla, opierającego stopę jednej nogi na kolanie drugiej i patrzącego cielecym wzrokiem na moją matkę. Miałam ochotę stuknąć go prosto w tę jego lordowską głowę.

Colin stał jak zwykle przy drzwiach i byłam pewna, że dokładnie odgaduje moje myśli. Był tym samym Colinem co zawsze: ironicznym, byстрыm, szczerym, ale z jakiegoś powodu wszystko było inaczej. Czułam się przy nim jak zwykle bezpieczna, ale i zagrożona. Pełna życia. Niestety, nie byłam w stanie w spokoju rozkoszować się tym uczuciem. Kiedy weszłam, matka skinęła głową w moim kierunku.

- Panie i panowie, moja córka Violet - ogłosiła. Rozległy się szept i okulary uniosły się do ciekawskich oczu. Starłam się nie kręcić. Nie cierpiałam być w centrum uwagi. Pragnęłam tylko wrócić do mojego pokoju, zwłaszcza kiedy pani Grey wciągnęła powietrze na widok pokaźnego siniaka pod moim okiem i na policzku.

- Wielkie nieba!

- Tego typu talenty pojawiają się gwałtownie - wyjaśniła spokojnie matka. - Medium często zapada na ciężką chorobę. Biedna Violet zemdląta i uderzyła okiem o stół. - Uśmiechnęła się. - Możemy zaczynać? Wiem, że moja córka z chęcią odpowie na wasze pytania. - Prawie nie ruszyłam się z progu. Moje

stopy miały *ochotę* zaprowadzić mnie gdzie indziej, wszystko jedno dokąd. - Jest mi oczywiście bardzo przykro, że ja nie mogę już służyć wam pomocą. Była to dla mnie przykra i nagła strata. Pociesza mnie jedynie to, że poświęciłam moje zdolności dla udoskonalenia daru mojej córki.

Co za bzdury.

Nie wiedziałam, co było gorsze, jej bezczelne kłamstwa czy sposób, w jaki wszyscy zdawali się je łykać, zupełnie jak uliczny kot świeżą śmietankę. Znajdowałam się w samym centrum hańbiącego widowiska. Jeśli miałam ocalić chociaż część tego nieszczęsnego wieczoru, będę musiała znaleźć jakiś sposób, żeby skontaktować się ze światem duchów. Było mi trudno zdobyć się na uśmiech, który nie przypominałby bolesnego grymasu ryby pozbawionej wody. Lord Marshall odprowadził matkę na fotel, łaszcząc się do jej ręki. Skinał głowę, kiedy się zbliżyłam.

- Panno St.... Panno Willoughby... równie chętnie będziemy podziwiać pani pokaz.

Colin zeszywniał. Zatrzymałam się, zaskoczona. Panno St. Clair. Oczywiście pochlebstwo na użytek mojej matki. Nie byłam pewna, jak powinny zachowywać się dzieci arystokratów z nieprawego łoża, a z pewnością było ich wiele. Tyle sekretów i kłamstw wychodziło najaw, że było to jak chodzenie po ciemnym stawie. Nigdy nie wiadomo, czy stawiając następny krok, dotknie się dna, czy też wpadnie się w głębiny.

A ja naprawdę chciałam tego uniknąć.

Nie mogłam dłużej stać tak, zatopiona w myślach. Usiadłam bez słowa. Zaproszeni panowie zrobili to samo, ponieważ panie już dawno zdążyły się rozgościć. Matka przeprowadziła wszystkich przez zwyczajowe modlitwy, podczas gdy moje myśli krążyły wokół wszystkiego, o czym czytałyśmy w Rosefield razem z Elizabeth. Z pewnością nauczyłam się tam wystarczająco dużo, by móc przebrnąć przez to, zachowując resztki honoru.

Wzięliśmy się za ręce. Przygaszono światła, aczkolwiek nie tak bardzo, jak w wieczór niefortunnego wypadku mojej matki. Dziś wieczór nie zaplanowałyśmy żadnej sztuczki ani zmyślnych intryg, choć podejrzewałam, że wszystkie akcesoria były nadal przymocowane do stołu. Matka nigdy nie zdałaby wszystkiego na łut szczęścia ani na mnie. Mimo to obiecałam sobie, że ich nie użyję. Duchy będą musiały po prostu współpracować.

Zamknęłam oczy, głównie dlatego, że nie mogłam znieść badawczych spojrzeń. Mimo iż niektórzy byli naprawdę zainteresowani skontaktowaniem się ze zmarłym członkiem rodziny, większość obecnych chciała jedynie uczestniczyć w skandalu w rodzaju tego, który skończył się ukazaniem matki w bieliźnie. Chcieli, bym poniosła porażkę, bo byłaby z tego ciekawsza historia.

Niech mnie szlag trafi, jeśli wyświadczę im przysługę.

- Witamy naszych ukochanych zmarłych. - Zdeterminowana, otworzyłam oczy i rozejrzałam się po pokoju. Piórko w siwych kręconych włosach pani Morgan powiewało na przeciągu. Trzepotały wąsy pana Hunta. Lord Marshall usiadł zdecydowanie za blisko matki, jego kolano z pewnością ocieślało się o jej. Świeczka migotała. Ktoś odchrząknął. Pudel zawył, znudzony.

Żadnych duchów.

Napastowały mnie przez cały tydzień. Mogłyby przynajmniej pokazać się wtedy, kiedy były naprawdę potrzebne. W przeciwnym razie było to po prostu niegrzeczne.

- Duchy - powtórzyłam podniesionym głosem. - Powiedziałam, że jesteście tu mile widziane. - Colin kaszlnął. - Jeśli tylko nie chcecie nas skrzywdzić - dodałam, przypominając sobie nagłe pojawienie się rozgniewanego ducha przy sadzawce Whitestone Manor. Goście wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Teraz - pomyślałam. - Mówię poważnie. Pokażcie się.

Matka poruszyła się i wiedziałam, że przygotowuje się na gwałtowne przechylenie stołu. Zanim *zdążyła* to zrobić, pokój wypełniła odrażająca woń octu i mięty.

I wtedy ukazał się mężczyzna o drobnej twarzy, lub też jego większa część, ubrany w wyblakły, szary garnitur. Jedna z kobiet pociągnęła nosem.

- Dziadek - powiedziała. Wyglądał na zadowolonego.
- Zawsze tak okropnie pachniał.

Spojrzał wzburzony i zniknął, ale przedtem jedna ze spinek do włosów jego wnuczki sfrunęła jej z włosów, uderzając z brzękiem o stół. Przez pokój przepłynęła fala podekscytowanych szeptów. Matka z dumą poprawiła się w fotelu.

Następnie pojawiła się kobieta, unosząca się w pobliżu kominka. Nie miała zapachu ani głosu. Przyszło mi do głowy, że byłoby o wiele łatwiej, gdybym mogła ich widzieć i słyszeć jednocześnie, zamiast bawić się w ciuciubabkę, nie wiedząc, czego mogę się spodziewać. Czy ktoś mógłby napisać stanowczy list do zmarłych, żądając ich pełnej współpracy? Byłam gotowa spróbować. Za wiele było w tym zgadywania, a w dodatku byłam zbyt zdenerwowana, mając taką publiczność.

- Kobieta jest ubrana w staromodną sukienkę z halką oraz koronkowy szal - opisałam ją. - Ma na sobie rękawiczki, a jej oczy są bardzo ciemne. Na szyi ma medalion na długim, złotym łańcuchu.

- Lady Schofield! - krzyknęła pani Grey. - Jakże za nią tęskniłam. W dzieciństwie byliśmy najlepszymi przyjaciółkami.

Duch skinął głową. W jego rękach pojawiła się miska z jeżynami.

- Pokazuje mi jeżyny.

Pani Grey zaśmiała się przez łzy.

- Zbierałyśmy je każdego lata nad jeziorem. Kiedy byłyśmy małe, przynosiłyśmy je potajemnie do domu i jadłyśmy o północy, plamiąc poszewki na poduszki.

Kolejną godzinę spędziłam, odpowiadając na pytania, wpatrując się w mrok i starając się zrozumieć sens tajemniczych wskazówek. Zaczęłam czuć się zmęczona i trochę chora. Matka siedziała z głową pochyloną ku lordowi Marshallowi i zdawała się tego nie dostrzegać.

- Czy komuś nie brakuje rodzinnych sreber? - Zażartował z, jak mi się wydawało, wymuszoną niedbałością. - Violet wykonuje świetną robotę.

Przez chwilę ukazała się za nim starsza kobieta. Wyglądała na zniesmaczoną. Natychmiast ją polubiłam, zwłaszcza kiedy spróbowała uderzyć go w tył głowy. Mimo iż zdążyła zniknąć, nadal w mojej głowie rozbrzmiewał wyraźnie jej głos. Powtórzyłam jej słowa. Tak czy owak, nie lubiłam lorda Marshalla.

- Pana żona, lordzie Marshall, mówi, że pana obecna kochanka ma zaledwie siedemnaście lat i pod żadnym pozorem nie pozwoli panu przepuścić na nią swoich rodzinnych sreber.

Rozległy się okrzyki i parsknięcie śmiechem. Lord Marshall skierował w moją stronę swój orli nos.

- Słucham? - spytał lodowato.

Matka spojrzała się na mnie wściekłym wzrokiem, po czym wstała.

- Wystarczy na dzisiaj. Violet, blado wyglądasz. Powinnaś odpocząć. Ta praca jest dość wyczerpująca.

Uśmiechnęłam się blado.

- Dobranoc. - Wyszedłam, podczas gdy matka wylewnie przeproszała lorda Marshalla.

Colin mrugnął do mnie, kiedy przechodziłam.

Odmrugnęłam mu.

Kiedy dotarłam do swojej sypialni, znalazłam pod poduszką list. Colin musiał przynieść go tutaj, zanim matka sprawdziła pocztę. Nie zauważyłam go wcześniej. Zerwałam

pieczęć. Papier był gruby i kiedy go rozwijałam, na koc wyfrunął drugi. Rozpoznałam charakter pisma.

Kochana Violet,

nadal jestem zła, że mnie okłamałaś, ale załączam list, który właśnie dostałam od Tabithy. Mam nadzieję, że nie kłamałaś na temat twoich talentów.

Elizabeth

PS Staram się znaleźć rozwiązanie.

PPS Ale nadal jestem zła.

Następny list był znacznie dłuższy.

Droga Elizabeth,

Nie wiem, czemu zawracam sobie głowę pisaniem. Ze skandalicznego przedstawienia podczas przyjęcia w domu twojego ojca chrzestnego wynika jasno, że pani Willoughby nie jest kobietą godną szacunku. Nie wiem, czemu jej córka miałaby być inna. Przypuszczam, że również kłamała, mówiąc o swoich zdolnościach. Nie zdziwiłoby mnie to. Tak czy owak, nie wierzę w tego typu rzeczy. Muszę jednak przyznać, że Violet dała mi do myślenia. Wiedziała o pewnych szczegółach, które nie mogły być powszechnie znane. I ten pierścionek... Musiałam oszaleć, że to robię.

Elizabeth, jestem przerażona. Coś jest nie w porządku. Nie wiem co, ale mam już serdecznie dość tych kłamstw. Wypełniają ten dom jak woda, a ja czuję, że sama też mogę w niej utonąć.

Violet mówiła, że Rowena się o mnie boi. Ja też się boję. Może mogłabyś mnie odwiedzić? Caroline jest wciąż poirytowana, a wuj jest zajęty jakąś pracą.

Twoja,

Tabitha Wentworth

ROZDZIAŁ 20

Następnego ranka zjadłam śniadanie sama, tylko z egzemplarzem sonetów Szekspira. Matka wyszła wcześniej, żeby odebrać nasze zdjęcia od pana Hudsona, a Marjorie była w kuchni. Nie widziałam Colina do chwili, kiedy wypłam herbatę i wstawałam, żeby wyjść. Wydał mi się wyższy i starszy.

Nagle nie wiedziałam, co powiedzieć.

Uśmiechnął się.

- Dzień dobry.

Odwzajemniłam uśmiech.

- Dzień dobry.

To **było** niedorzeczne. Nie zamierzałam być jedną z tych dziewcząt, które na widok chłopaka głupieją i nie mogą wykrztusić słowa. Colin może i całował mnie do utraty tchu, **ale też** podrzucił kiedyś dżdżownicę do mojej sałatki z ogórków.

- Co napisała Elizabeth? - spytał, potwierdzając, że to on **uratował list** od wścibskich oczu matki. Byłam mu wdzięczna **za poddanie** tematu do rozmowy, który odwracał moją **uwagę od** jego oczu, jasnych jak chmury odbijające się w **letnim** jeziorze.

Zaczyynałam zachowywać się sentymentalnie. To mi w niczym nie pomoże.

-Vi?

- Przepraszam. - Zeszłam na ziemię. - Wysłała mi jeden z listów Tabithy. Martwią się. - Zmarszczyłam brwi. - Ja

także. I nadal nie wiem, czemu pan Travis był na cmentarzu. On wyraźnie coś knuje. A jeśli on...? - Oddaliłam te myśli, zaciskając ręce w pięści. - Nie mam pojęcia, co z tym wszystkim zrobić. Nie mogę przecież w to się wtrącać.

Podszedł bliżej i wyciągnął rękę, by dotknąć kosmyka moich włosów za uchem.

- Coś wymyślisz.

Był wystarczająco blisko, żebym czuła zapach dymu oraz ziemi i kwiatów na jego rękach.

- Nie jestem detektywem - wyszeptałam, odwracając się tak, że stanęliśmy twarzą w twarz.

- Ale jesteś sprytna - powiedział. - Rowena wybrała cię nie bez powodu.

Nie odpowiedziałam, ponieważ jego usta dotknęły moich, a jego ręce osunęły się na moją talię. Gorset nagle wydał mi się przyciasny. Oddałam pocałunek i zaczęliśmy się poruszać, jakbyśmy tańczyli do jakiejś muzyki słyszalnej tylko dla nas, aż moje plecy znalazły się przy ścianie. Byłam wdzięczna za to oparcie, gdyż moje kolana nagle wydały się miękkie. Czułam dreszcze wszędzie, gdzie mnie dotykał, jego ręce, napór jego nóg, jego pierś blisko mojej.

Kiedy otworzyły się drzwi wejściowe, odskoczyliśmy od siebie jak oparzeni.

- Violet - zawołała radośnie matka. Słyszałam, jak zdejmuje kapelusz i rękawiczki. Przez dłuższą chwilę patrzyliśmy sobie z Colinem w oczy.

- Violet! - matka zawołała ponownie, już ostrzej. - Gdzie do diabła jest ta dziewczyna?

- Jestem tutaj - odpowiedziałam, odpychając się wreszcie od ściany i wychodząc na korytarz. Colin podążył za mną, żeby zabrać sprawunki matki z powozu. Spojrzała na nas krytycznie, ale nic nie powiedziała. Miałam nadzieję, że moje włosy nie były rozczochrane, a moje usta różowe.

- W mieście aż huczy od rozmów o nas - oznajmiła w końcu. - Twój pokaz odniósł ogromny sukces. Wszyscy chcą zobaczyć córkę lorda Thornwooda - prychnęła. - Myślałby kto, że będą pamiętać, że poświęciłam im najlepsze lata mojego życia. - Rozwinęła jedną z paczek. - Przynajmniej twoje zdjęcie jest warte swojej ceny. Wyglądasz ślicznie i, co najważniejsze, aż świecisz od ektooplazmy.

Nie brzmiało to zachęcająco.

- Pan Hudson twierdzi, że to najlepsze zdjęcie, jakie kiedykolwiek zrobił. Powiesił jego kopię na wystawie.

- Na wystawie wisi moje zdjęcie?

Skinęła głową uradowana.

- Pomyśl, jaka to reklama.

Przed oczyma ukazała mi się reszta mojego życia: sesje, seanse, odczytywanie tablicy spirytystycznej, wszystko to pod baczny okiem mojej matki, która pobierała opłatę za przywilej uczestnictwa. Dla niej nie miałyby znaczenia, czy praca mnie męczy i powoduje ból głowy. Nie liczyłoby się też to, że nie chcę być córką hrabiego z nieprawego łoża, budzącą oburzenie i poddawaną testom niczym paradny kucyk.

- Czemu jesteś zła? - spytała podniesionym głosem. - Pojść tu i obejrzyj swoje zdjęcie.

Przełknęłam ślinę, bojąc się spojrzeć.

Miałam na sobie prążkowaną, niebiesko-fioletową sukienkę, stałam sztywno i nie uśmiechałam się. Powietrze naokoło mnie było mgliste, zupełnie tak, jakby pokój był zadymiony, a nie był. Półprzezroczysty mały sznaucer stał u moich stóp z wywieszonym językiem. Pan Rochester. Uśmiechnęłam się na jego widok. Wyglądał, jakby był zrobiony z promieni księżyca i dmuchawców. We mgle za mną widoczne były twarze, a najbardziej wyróżniała się twarz dziewczyny, o włosach ociekających wodą i płatkami lilii.

- Rowena - wyszeptałam, dotykając zdjęcia.

- Uważaj, zabrudzisz je. - Matka wyrwała mi je z rąk
- Kazałam zrobić drugą kopię i wysłałam fotografię do lorda Jaspera.

Dostałyśmy odpowiedź następnego ranka. Zastanawiałam się, czy lord Jasper rozpoznał Rowenę mimo jej mglistej postaci.

Matka przebiegła oczyma list, zadowolona z siebie.

- Wiedziałam, że to zadziała. Doskonale. Lord Jasper zaprasza cię z powrotem do Rosefield. Załączył bilet na pociąg dla ciebie. Lepiej szybko zrób na nim wrażenie - dodała złowrogo, niemal jadowniczo. - Nie będę utrzymywać dorosłej córki, która jest leniuchem. - Wybiegła z pokoju, wołając na Marjorie, żeby przyniosła herbatę i ciastka z dżemem.

- O co chodziło? - spytał szeptem Colin.

Uniosłam list, napisany pięknym charakterem pisma na grubym papierze.

- Jej nie zaprosił. Tylko mnie.

- To dobrze.

Uderzyłam listem o dłoń.

- Czas w drogę.

- Pamiętaj - powiedziała matka, prostując koronkę u swojego kołnierzyka, podczas gdy wynajęta dorożka czekała przy krawężniku. - To może być twoja jedyna szansa. Nie zmarnuj jej swoim pruderyjnym zachowaniem. Rób, co do ciebie należy.

Nie było to pożegnanie dodające otuchy. Przytuliła mnie i odwróciła się, zatrzasnąwszy za sobą drzwi, jeszcze zanim zdażyłam zejść ze schodów. Colin chował się w cieniu pomiędzy naszym i sąsiednim domem. Podniósł rękę i pomachał mi.

- Uważaj na siebie - poruszył ustami, nie wydając głosu. Zerknęłam na drzwi wejściowe.

- Ty też.

Lord Jasper wysłał panią Hartley, by towarzyszyła mi w pociągu. Skinęła mi głową i resztę czasu spędziła, robiąc na drutach. Kiedy dotarłyśmy na miejsce, nawet nie wyszła na peron. Skinęła mi tylko ponownie głową i czekała, by zabrano ją z powrotem do Londynu. Powóz lorda Jaspera czekał na mnie z lokajem, który otwierał przede mną drzwi. W środku siedziała Elizabeth z surową miną.

- Dzień dobry - przywitałam się cicho, kiedy powóz ruszył. Nie uśmiechnęła się.

- Dzień dobry.

Zagryzłam wargę.

- Elizabeth, wiedz, że jest mi bardzo przykro.

- Zraniłaś mnie.

- Wiem. Ale przecież nie miałam wyboru, prawda?

Westchnęła niechętnie.

- Chyba nie. Wuj Jasper mówi, że to nie twoja wina.

- Naprawdę? - spytałam zdziwiona.

- Mówi, że to zupełnie jakby moja matka zmuszała mnie do chodzenia na te wszystkie okropne herbatki. Tyle, że ty miałaś gorzej.

Zaczęły piec mnie oczy. Nie spodziewałam się współczucia z tej strony. Nagle Elizabeth uśmiechnęła się do mnie szeroko.

- Zresztą ja nie potrafię się gniewać. - Objęła mnie. - Było mi tak nudno bez ciebie. - Również **ja** przytuliłam. Czułam się, jakbym miała w środku bryłę lodu, która teraz zaczęła topnieć. Elizabeth oparła się o aksamitne poduszki. - W dodatku jesteś teraz prawie szlacheckiej krwi, więc raczej nie mogę traktować cię z góry - stwierdziła złośliwie.

- Raczej.

- Czy było bardzo źle? - zapytała później, kiedy dotarłyśmy do Rosefield. Róże lśniły w słońcu, a pszczoły unosiły się nad nimi leniwie.

- Rzucali w nasz dom zgniłymi jajkami. I kapustą.

- Obrzydliwe! Ale lord Thornwood zaprosił cię do siebie' Słyszałam, że jego pałac jest ogromny i ma marmurowe fontanny z cherubinami.

Potrząsnęłam głową.

- Hrabiowie nie zapraszają swoich nieślubnych córek na herbatę, Elizabeth. Dobrze o tym wiesz.

- A powinni. - Spojrzała gniewnie. - Kiedy wrócimy, podrzucimy parę zgniłych jajek do jego fontanny.

Zachichotałam.

- Och, Elizabeth, tęskniłam za tobą.

Wyszliśmy z ciemnego powozu. Elizabeth wydała zdumiony okrzyk.

- Och, Violet! Twoje oko! Co się stało?

- Och, hmm, nic takiego. - Puder, który nałożyłam na twarz, musiał się rozmazać w pociągu. - Wiesz, jaka jestem niezdarna. - Drzwi wejściowe otworzyły się, zanim zdążyła zadać mi więcej pytań. - Jak to zaaranżowałaś? - Zapytałam, by odwrócić jej uwagę.

- To nie ja. Lord Jasper otrzymał list od twojej matki i od razu po ciebie posłał. Nie pozwolił mi go nawet zobaczyć. Czeka na ciebie w bibliotece. - Mój krok stał się chwiejny. Pociągnęła mnie za ramię. - Nie bądź gąską. Wszystko ci wybaczył. Właściwie to jesteś teraz całkiem sławna, nawet sir Wentworth pytał o ciebie.

- Po co?

Wzruszyłam ramionami.

- Wszyscy o ciebie pytają. Ostatni seans był taki., ekscytujący, że nikt nie mówi o niczym innym.

- Wspaniale - jęknęłam. Do mojej skołatanej głowy przyszła jeszcze jedna myśl.

- Czy Tretheweyowie także wrócili? Myślałam, że opuścili przyjęcie.

- To prawda.

Zatrzymałyśmy się przed ciężkimi, dębowymi drzwiami. Elizabeth zapukała wesoło. Nigdy nie wątpiła, że przez całe swoje życie wszędzie będzie mile widziana.

- Proszę.

- Zaczekaj! - Chwyciłam ją za rękę. - Chodź ze mną.

-Nie mogę - skrzywiła się. - Matka prawdopodobnie już się za mną stęskniła. Na pewno będzie mi robić wymówki, jest przekonana, że masz na mnie zły wpływ.

Zastanawiałam się, czy ktokolwiek miałby coś przeciwko, gdybym wpełzała pod dywan i odmówiła wyjścia. Elizabeth popchnęła mnie lekko i weszłam chwiejnym krokiem do gabinetu. Lord Jasper siedział za ogromnym biurkiem zwałowanym papierami, kałamarzem, zegarem oraz miniaturowym portretem swojej żony. Kiedy mnie zobaczył, wstał, opierając się o srebrną laskę z głową łabędzia.

- Ach, panna Willoughby. Proszę wejść. Choć pewnie raczej panna Morgan, jak *przypuszczam?*

- Dziękuję za zaproszenie, lordzie Jasper - odparłam grzecznie, jak należało. Zapanowała długa cisza. W końcu opadłam na krzesło i spojrzałam na niego nieszczęśliwym wzrokiem poprzez kosmyki włosów opadające mi na czoło - Przepraszam - powiedziałam. Przyszło mi do głowy, że prawdopodobnie resztę dnia spędzę na przepraszaniu. - Nie wiedziałam, jak to panu powiedzieć. I czy powinienam.

Usiadł i przyglądał mi się z powagą przez dłuższą chwilę, aż zaczęłam się wiercić. W końcu skinął głową.

Wiem, Violet. Naprawdę sądziłem, że twoja matka ma to, ale myliłem się. Ty go miałaś, przez cały czas. Wiedziałem tylko, że to ktoś z twojej rodziny.

-Co? - wypaliłam. - Skąd? Nie jest pan zły?

-Nie jestem zadowolony - odparł oschle. - Ale to sprawa pomiędzy twoją matką a mną. Ty jesteś tylko dziewczynką, Violet, Nie mogę czynić cię odpowiedzialną za czyny osób

starszych od ciebie. - Ulga zaćmiła mi spojrzenie. Mogłabym mieć wrażenie, że wyszłam z tego obronną ręką, gdyby lord Jasper nie przeszył mnie swoimi jasnymi oczami. - Ale nigdy więcej mnie nie okłamiesz, Violet. Chcę, żeby to było jasne.

Skinęłam głową, a w ustach zaschło mi ze zdenerwowania. Biła od niego siła, która nie miała nic wspólnego z faktem, iż był bogatym posiadaczem ziemskim.

- Tak, proszę pana - odpowiedziałam cicho.

- Doskonale. Czy mam poprosić panią Harris, żeby zrobiła okład na twoje oko?

- Ja... przewróciłam się - wyjaśniłam nieprzekonująco.

- Oczywiście, że tak. Podejrzewam, że twoja matka nie najlepiej znosi, kiedy psuje jej się szyki.

Przełknęłam ślinę.

- Proszę mi wybaczyć, ale skąd pan wie, że nie okłamuję pana tak jak ona? Nie okłamuję - dodałam pośpiesznie.

Odchylił się w krześle. Przez okno za nim mogłam dostrzec Elizabeth i jej matkę przechadzające się bez pośpiechu między różami. Elizabeth wyglądała na porządnie znudzoną.

- Moja droga, wiesz, jaką herbatę lubiła moja żona i gdzie lubiła czytać, lepiej niż ktokolwiek inny, poza ochmistrzynią, a jej ufam bezwarunkowo i wiem, że nie opowiada o prywatnych sprawach. Poza tym byłaś dosyć zaniepokojona tą wiedzą, czyż nie?

Przygryzłam wargę.

- Tak.

- Całkowicie normalne. Tak samo jak ból głowy, na który później cierpiałas, mimo że większość osób czuje się znacznie gorzej, zanim uzyska ten dar. No i wreszcie to zdjęcie.

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Niejesteś pierwszym medium zaskoczonym nagłym pojawieniem się tego typu zdolności. Ale mogę nauczyć cię, jak je kontrolować.

- A jeśli ja po prostu chcę, żeby zniknęły?

- A chcesz?

Pomyślałam o matce, o Rowenie i o sadzawce.

- Nie wiem.

- W każdym razie radziłbym ci ich nie ignorować. Tego typu talenty rzadko zanikają, jeśli nie poświęca im się uwagi. Raczej stają się bardziej uporczywe. Wręcz nieokiełznane.

- Och. - Zwiesiłam głowę.

- Nie trzeba się martwić. Mam pewne doświadczenie w tych sprawach.

- Ach tak?

- Tak. - Skinął głową, ale wyraz twarzy miał ponury, nieobecny. Podsunął mi książkę leżącą na biurku. - Możesz zacząć od czytania tego.

Wzięłam do ręki oprawny w skórę tom. Wpadłam na pewien pomysł.

- Mogłabym poprowadzić mały seans spirytystyczny? - zapytałam. - Coś prywatnego, może z sąsiadami, żebym mogła poćwiczyć? - Wydawało mi się, że to najlepszy sposób, żeby sprowadzić tu Tabithę i sprawdzić, czy Rowena mogłaby nam przekazać bardziej użyteczne informacje. Raczej nie zostanie zaproszona do Whitestone, a Elizabeth wciąż nie wolno było składać tam wizyt.

- Myślę, że to wspaniały pomysł - powiedział lord Jasper. - Zajmę się tym.

Zdałam sobie sprawę, że będę musiała naprawdę poprowadzić seans dla ludzi, których prawie nie znałam, i w jakiś sposób kontrolować mój tak zwany dar. Nie wspominając o tym, że ci sami ludzie byli świadkami dość spektakularnej kieski mojej matki.

Nie tak wspaniały pomysł, jak sądziłam.

Tej nocy, kiedy właśnie miałam zgasić świeczkę i spróbować usnąć, usłyszałam ukradkowe pukanie do drzwi.

- Violet - syknęła Elizabeth. - Vi, nie śpisz? - Otworzyłam drzwi i zobaczyłam Elizabeth w białym szlafroku, uśmiechającą się do mnie szeroko. Włosy niedbale wepchnęła pod koronkowy czepek. - Matka prawie nie spuszczała mnie dzisiaj z oka i oddam wszystko za dobrą plotkę.

Dostałam ten sam pokój, co w zeszłym tygodniu, więc zwinęłyśmy się w kłębek na kanapie w salonie. Podziwiałam jej umiejętność szybkiego zapomnienia o złości. Wiedziałam, że moja jeszcze by się tliła, ale po jej wyczekującym spojrzaniu widać było, że ona już dawno zdążyła o wszystkim zapomnieć.

- No dalej - ponagliła mnie. - Chcę usłyszeć wszystko, co się stało. Czy Xavier złożył ci wizytę?

Skrzywiłam się.

- Niestety tak.

- O nie. Co się stało?

- Jego rodzina jest zbyt wysoko postawiona, żeby mógł ożenić się z bękartem hrabiego Thornwooda, nieważne, jak bardzo byłby utytułowany.

Wstrzymała oddech.

- Nie podoba mi się to słowo. - Skrzyżowała ręce. - Jeśli ktoś zachował się po łajdacku, to z pewnością nie ty.

Zdusiłam śmiech.

Jej ręce nadal były skrzyżowane, ale uśmiechała się.

- Zapomnijmy o nim, mamy lepsze rzeczy do omówienia od tej ropuchy.

Nie byłam już zła na Xaviera, po prostu wcale o nim nie myślałam. Chciałam za niego wyjść, bo ładne i ubogie dziewczęta właśnie tego pragną. Ładne i bogate również, jeśli się nad tym zastanowić, ale pewnie mniej żarliwie.

- Czy wszyscy nadal tu są? - spytałam.

- Tak, w większości. Chociaż Frederic wyjeżdża za dwa dni. - Westchnęła smutno. - Obawiam się, że na tym froncie nie ma postępu. Straszne, nieprawdaż?

- A Tabitha?

- Oprócz listu nie miałam od niej żadnych wieści.

- Myślisz, że ma się dobrze?

- Tak sędzę. W przeciwnym razie usłyszalibyśmy o tym, prawda?

- Pewnie tak. Byłam na cmentarzu Highgate.

Elizabeth otworzyła szeroko oczy.

- Bardzo się bałaś?

- Trochę. - Pomyślałam o zatraskującej się bramie. A następnie o przytulonym do mnie Colinie. - Ale nie bardzo - dodałam pospiesznie, zanim się zarumieniłam. Elizabeth nigdy nie pozostawiłaby rumieńca bez wyjaśnienia. - Widziałam pana Trvisa.

Wyglądała na zdziwioną.

- Pana Trvisa? Żartujesz?

- Naprawdę.

- Ale... czemu?

- Chciałabym to wiedzieć. - Bezmyślnie bawiłam się rąbkiem mojej koszuli. - Roweny tam nie było. Myślę, że jest wciąż tutaj, by chronić Tabithę. Ale nie widzę innego powodu, dla którego pan Travis był tam i nas ścigał, jeśli nie jest w jakiś sposób zamieszany w jej morderstwo. - Elizabeth przekrzywiła głowę, jakby się nad czymś głęboko zastanawiała. - O co chodzi? - spytałam.

- Nie jestem... Ależ to jasne! - Uderzyła dłonią w kolano.

-Co?

- Właśnie sobie przypomniałam, dlaczego pan Travis wydał mi się znajomy. - Jej oczy rozszerzyły się. - Był na cmentarzu Highgate w dniu pogrzebu Roweny.

- Jesteś pewna? Czemu wcześniej sobie tego nie przypomniałaś?

- Widziałam go tylko przez krótką chwilę, jak kręcił się z tyłu orszaku żałobnego. Dręczyło mnie to od czasu, kiedy się tu pojawił. - Przełknęła ślinę. - Och, Violet, co to może znaczyć?

- Nic dobrego - odpowiedziałam ponuro. - Nadal tu jest?

- Tak, tak myślę. Nie jest zbyt towarzyski. Widujemy go jedynie w czasie seansów i na tym ostatnim balu.

- Musimy mieć na niego oko. Potrzebujemy jakiegoś dowodu.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, ale nie znalazłyśmy żadnego rozwiązania. Mogłam jedynie żywić nadzieję, że seans mi coś rozjaśni. Jeśli oczywiście nie zrobię z siebie totalnego głupka.

Po wyjściu Elizabeth wróciłam do łóżka. Pan Rochester leżał zwinięty w kłębek u moich stóp i chrapał. I nagle po prostu się pojawiła. Nie mogłam usłyszeć Roweny, co znacznie ułatwiłoby sprawę, ale mój mały niewidzialny pies mimo mglistego futerka sapał głośno jak lokomotywa. Obudziłam się, słysząc jego warczenie. Jego tułów aż drżał i łaskotał mnie w palce.

- Cicho - wymamrotałam, otwierając nieprzytomne oczy. Moje burczenie przeszło w stłumiony krzyk.

Rowena unosiła się przy krawędzi mojego łóżka, pochylając się nade mną tak, że kiedy się odwróciłam, znalazłyśmy się twarzą w twarz. Woda kapała na kołdrę. Białe lilie w jej włosach wydawały się żarzyć, podobnie jak jej oczy, widoczne dużo wyraźniej od reszty ciała.

Nagle otworzyła usta i było to jak zagładanie do ciemnej szadzawki. Byłam tak przerażona, że wrzasnęłam i spadłam z łóżka na twardą podłogę, zaplątana w prześcieradło razem ze szczekającym piskliwie Panem Rochesterem. Kiedy się z niego wydostałam, odetchnęłam, odgarniając kosmyki włosów z twarzy i układając pościel z powrotem na łóżku w przenikliwym zimnie.

Rowena zniknęła.

ROZDZIAŁ 21

Tym razem seans odbył się w małym, rodzinnym saloniku ze ścianami pokrytymi srebrzystą tapetą i aksamitnymi zasłonami w kolorze głębokiego błękitu. LAMPY olejne świeciły jasno. Była tam rodzina lorda Jaspera, Ashfordowie, pan Travis, Peter, Tabitha, jej wuj i Caroline. Tabitha nie spojrzała na mnie ani razu. Pan Travis z kolei nie przestawał się we mnie wpatrywać.

- Moja droga, jeśli nie masz nic przeciwko temu - zaczął lord Jasper po tym, jak jedna z jego siostr prychnęła pogardliwie na mój widok. - Ze względu na dobro nauki panna Donovan proponowała, żeby przeszukać cię, zanim zaczniemy.

Wytrzeszczyłam oczy.

- Słucham?

- To metoda przyjęta w wielu środowiskach spirytualistycznych. A pani nie ma powodu, żeby się temu sprzeciwić, czyż nie, panno Willoughby? - Caroline nie uśmiechała się. Jej zachowanie było typowe dla niezadowolonych ze swego losu guwernantek. Włosy miała związane w kok tak mocno, że ściągały do tyłu również kąciki jej oczu. Nie wiedziałam, co powiedzieć lub co myśleć. Elizabeth zmarszczyła czoło w moim imieniu.

- Wierzę w pannę Willoughby i jej zdolności - powiedział łagodnie lord Jasper.

Zrobiłam krok do przodu, wyciągając ramiona. Czułam się dość śmiesznie, ale chciałam udowodnić, że lord Jasper

ma rację. Nie miałam do ukrycia nic na temat dzisiejszego wieczoru ani nic przy sobie. Poza tym matka nauczyła mnie, że media nigdy nie noszą przy sobie dowodów, które mogłyby zostać odkryte. Zwykle niebezpieczeństwo zdemaskowania groziło Colinowi i mnie, z dmuchawą ukrytą pod spódnicą. Ale w końcu to ona została przyłapaną w samej bieliźnie.

- Czemu nie przeszuka mnie pani sama? - zapytałam sarkastycznie. - W ten sposób nie będzie pani miała żadnych wątpliwości.

Przez krótką chwilę Caroline wyglądała na zaskoczoną. Fakt, że zażądano ode mnie takiej rzeczy, raczej nie był zaskakujący. Ale to, że żądanie wyszło właśnie od niej, dało mi do myślenia. Coś kryło się za tym „dobrem nauki”, tego byłam pewna. Była bardzo drobiazgowa i niezbyt delikatna. Przez cały ten czas Peter łytał na nas wzrokiem znad szklanki porto. Tabitha nie odezwała się ani słowem.

- W porządku? - spytał lord Jasper. - Możemy kontynuować?

Caroline skinęła sztywno głową.

- Tak myślałem - stwierdził.

- I tak musimy ją związać - upierała się Caroline.

- Związać mnie? - pisałam. Chcieli mnie związać! Co to za seans? Peter parsknął głośnym, sugestywnym śmiechem.

- Nie mówicie poważnie.

- Nie bój się - powiedział lord Jasper, co było absurdalne. Rzuciłam dzikie spojrzenie na Elizabeth. Popatrzyła na mnie w ten sam sposób.

- Tego typu testy są ostatnio bardzo popularne w kręgach spirytystycznych - wyjaśnił Frederic. - Widziałem to na własne oczy.

Sir Wentworth przewrócił oczami.

- Zostawcie to biedne dziecko w spokoju - powiedział.

- To tylko zabawa. Przecież nie bierzecie tego na serio.

Wszystkie oczy zwróciły się w moim kierunku. Znajdowałam się teraz na grząskim gruncie. Jeśli potwierdzę, że to jedynie rozrywka, pozbawię się jakiegokolwiek szacunku i utwierdzę ich w przekonaniu, iż jestem oszustką, tak jak moja matka. Z drugiej strony, jeśli chciałam być traktowana poważnie, będę musiała zgodzić się na bycie związaną. Westchnęłam. Może nie pragnęłam być medium, ale nie chciałam też być oskarżona o kłamstwo.

- W porządku - powiedziałam niechętnie. - Dla dobra nauki.

Zaprowadzono mnie do czegoś w rodzaju szafki z jednym wejściem z przodu. Ściany boczne i tylna zrobione były z grubych, drewnianych desek z wyrzeźbionymi liśćmi, różami i psotnymi gargulcami. Znajdował się tam niski stołek, na którym mogłam usiąść. Zanim to zrobiłam, Caroline związała moje nadgarstki czerwoną jedwabną nicią, posuwając się nawet do zapieczętowania węzła kroplą wosku ze świecy. Czułam się zdenerwowana i bezbronna. Ale nastrój miałam wojowniczy.

- Czy to już wszystko? - spytałam, kiedy wzięła resztę nici i przywiązała do zewnętrznej strony szafki.

- To zagwarantuje, że panna Willoughby pozostanie na swoim miejscu - wyjaśniła zebrany. - Wystarczy, że się ponuszy lub spróbuje jakiegoś oszustwa, a nie nas o tym ostrzeże.

Zasłoniła zasłony i pozostawiono mnie w ciemności, której wymagało większość mediów. Do tej pory ilość światła nie wydawała się mieć wpływu na moją komunikację z Roweną, ale przynajmniej w ten sposób byłam ukryta przed podejrzliwymi lub prześmiewczymi spojrzeciami oraz przed doskonale opanowanym obliczem lorda Jaspera. Miał znacznie więcej wiary w to, czego zamierzałam dokonać, niż ja. Czułam się jak głupiec, siedząc związana w szafie, z posiniaczoną twarzą.

Nie pozostawało mi nic innego, tylko spróbować. Robiłam to dla Roweny, więc lepiej by było, gdyby się wszystkim ukazała. Albo może uda mi się przynajmniej przekonać Pana Rochestera, żeby przeparał dookoła po stole. Lub też nasikał na nieskazitelnie czyste pantofle Caroline. Albo na coś jeszcze.

Dobiegło mnie szuranie, kiedy wszyscy zajmowali miejsca. Następnie cicho wypowiedziano modlitwę oraz zaśpiewano zwyczajowy zestaw pieśni. Na szyi czułam ciężar naszyjnika, który należał do matki Colina, i słyszałam donośny głos Elizabeth. Dodawało mi to otuchy. Prawie nie słyszałam Tabithy, szeptała tak cicho. Pan Travis niemal desperacko rozglądał się po pokoju. Nie byłam pewna, co miał nadzieję zobaczyć.

- Czekamy na ciebie! - zawołał lord Jasper.

Nie wiedziałam, czy w ogóle mi się uda. Rowena była kapryśna, pojawiała się o każdej porze dnia lub nocy, żeby mnie przestraszyć. Byłoby ogromnie niesprawiedliwe, gdyby nie przyszła teraz, kiedy naprawdę jej potrzebowałam. Skupiłam się na punkcie pomiędzy moimi brwiami. Książka lorda Jaspiera nazywała to moim trzecim okiem. Było dość proste wyobrazić tam sobie oko, niebieskie jak fiołek, otwierające się powoli, ze źrenicą rozszerzającą się jak rozlany atrament.

- Roweno - szepnęłam, zbyt cicho, żeby inni mogli usłyszeć. - Roweno, zaznacz swoją obecność. - Mrugnęłam parę razy, dopóki cienie osób siedzących przy stole nie zachwiały się lekko poprzez szparę w zasłonach. Całe światło w saloniku zdawało się skupiać nad stołem. Nikt tego nie zauważył, chociaż raczej poczuli powiew chłodnego powietrza. Na szynbach pojawił się szron, delikatny jak koronka.

- Co to? - wymamrotał sir Wentworth. - Diabelnie tu zimno, Jasper.

Tabitha uważnie wpatrywała się w ciemność. Pan Travis boleśnie i z nadzieją rozglądał się dookoła.

- To jakaś sztuczka? - spytała Caroline, ale głos jej się załamał.

Nagle z ciemnego sufitu spłynęły białe lilie. Ich płatki przypominały śnieg. Nie mogłam powstrzymać uśmiechu, słysząc zbiorowy okrzyk. Ha - pomyślałam triumfalnie. Gdybym miała dziesięć lat, pokazałabym Caroline język. Mając szesnaście, musiałam być ponad takie zachowanie.

Ale nie byłam.

- Roweno - szepnęłam. Nie było łatwo skoncentrować się na punkcie na moim czole tak bardzo, jak tego potrzebowałam. Zaczynałam odczuwać nieznaczny ból głowy. Pokój zakółsał się i nagle poleciałam w przeszłość; wiatr płatał mi włosy, gwiazdy tworzyły świetlną smugę.

Wylądowałam w ciele Roweny. Ponownie trzymałam list, ten sam, który wygrzebałam z popiołów, żeby go odzyskać. Nie był teraz spalony, jedynie przetarty na krawędziach od wielokrotnego czytania. Zostałam przeniesiona do nieuporządkowanych wspomnień, które będę musiała w jakiś sposób ze sobą połączyć jak koraliki na wisiorku. Na razie mogłam jednak tylko patrzeć i odczuwać emocje, które nie były moimi własnymi, uwięziona we wspomnieniach Roweny.

Przeczytała list już chyba po raz setny. Wiedziałam, nawet się nad tym nie zastanawiając, że charakter pisma należał do jej ojca i że list został wysłany z Indii. Był tam jeszcze jeden list, napisany na papierze adwokackim z londyńskiego biura.

- Ja, lord Wentworth, hrabia Whitestone i Dainsborough, udzielam zgody mojej starszej córce, Rowenie Wentworth, na wyjście za mąż za tego, kogo wybierze. Jej zaręczyny z Peterem Burlington z Berkley zostały unieważnione, a jego rodzina otrzymała stosowną rekompensatę zgodnie z instrukcjami mojego adwokata, załączonymi do tego listu.

Dołączona była również osobista notatka dla Roweny: Zaprzestań, córko. Otrzymałem dziesiątki Twoich listów,

podobnie jak wszyscy moi znajomi. Dopiętaś swego. Bądź szczęśliwa, moja mała.

Rowena miała zaledwie piętnaście lat. Potrzebowała zgody rodzica lub opiekuna, żeby móc wyjść za mąż. Ponieważ jej ojciec zapewnił jej przyszłego męża, była zdeterminowana, żeby uciec z kimś zupełnie innym. To był jedyny powód, dla którego ani Tabitha, ani jej wuj nie wiedzieli o liście. Ukrywała go w poszewce na poduszkę, wraz ze stosem innych listów napisanych innym charakterem pisma. Dotknęła ich ze czią, kiedy doszedł do niej hałas z przedpokoju. Zastoniła je, szybko naciągając kapę na miejsce. Była to Caroline, która przyszła zawiadomić ją, że na dole czeka Peter z pochmurnym wyrazem twarzy. Obiecała mu, że przyniesie herbatę i cytrynowe ciasteczka, żeby go udobruchać, podczas gdy czekał, aż Rowena skończy się ubierać.

Pokój stał się płynny, kolory blakły i rozmazywały się jak farby wodne. Mój żołądek opadł gwałtownie, zupełnie jakbym spadała. I nagle znalazłam się z powrotem w tej samej sypialni, nadal w ciele Roweny, z tą różnicą, że teraz była noc. Na krzesle przy łóżku paliła się świeca. Pod łóżkiem leżała spakowana walizka i z jakiegoś powodu wiedziałam, że niedługo będę wyjeżdżać. Ubrana w ulubioną koszulę nocną Roweny, sięgnęłam po listy, żeby przeczytać je jeszcze raz przed pójściem spać.

Listy zniknęły!

I znalazłam się ponownie w moim ciele, tak gwałtownie, że dostałam drgawek, jakby uderzył we mnie piorun. Uderzyłam głową w drewniane ściany szafki i stłumiłam przekleństwo. Osoby siedzące przy stole zaciekawione odwróciły głowy w moją stronę. Caroline wyglądała na zadowoloną z siebie, jakbym została przyłapaną, próbując wykonać jakąś sztuczkę lub uwolnić się z więzów.

Rozzłoszczona, rzuciłam półgłosem do Roweny:

- Roweno, czy jest tu twój morderca?

Lilie zadrżały, kiedy stół zaczął kołysać się w obie strony. Płomienie w lampach wydłużyły się, tańcząc jak szalone.

- Pokaż mi.

Nie byłam pewna, jak interpretować kolejny podarunek od niej.

Martwy pstrąg wylądował z płasnięciem na stole. W pokoju zaśmierdziało rybą. Sir Wentworth zmarszczył nos, kiedy pstrąg opadł tuż przed nim, zanim przeleciał przez drewnianą powierzchnię i wylądował na kolanach Caroline, zostawiając za sobą smugę ciemnej wody z sadzawki.

- Zdejmijcie to ze mnie! - wrzasnęła, odskakując do tyłu, wycierając mokrą spódnicę.

Najwyraźniej ten prezent od ducha był cielesny. Elizabeth odwróciła się lekko i nawet będąc w zaciemnionej szafce, mogłam stwierdzić, że patrzy na mnie z szeroko otwartymi ustami. Światło świec wciąż zlewało się w jedno, aż nagle szybko jak spadająca gwiazda mignęła w nim twarz młodej dziewczyny o blond włosach.

- Rowena! - zawołała poruszona Tabitha. Maki zaczęły spadać na jej głowę.

Nic nie dotknęło Petera, ani ryba, ani kwiaty. Siedział przy stole i wyglądał na znudzonego. Pan Travis również pozostał nietknięty.

Moje trzecie oko było jak furka do ogrodu, zamykająca się z trzaskiem pod wpływem silnego wiatru. Huk odbił się echem po całym moim ciele. Kiedy stopniał szron i stół się uspokoił, zapanowała cisza. Powietrze było gęste od zapachu ryby, lilii i maku.

Nagle cisza pękła jak filiżanka rzucona na chodnik. Dobięły mnie podekscytowane szepty, krzyki oraz szmer krzesel odsuwanych od stołu.

- Herbata podawana jest w bawialni - oznajmił lord lasper. - Jeśli zechcą mi państwo towarzyszyć? Pozwolimy

pannie Willoughby odpocząć. Panie Burlington, jako że jest pan najbliższy, czy mógłby pan rozwiązać ją i dołączyć do nas?

Goście rozmawiali głośno między sobą, przechodząc do elegantszej bawialni na ciasteczka. Zapanowała długa cisza.

Ostatnią osobą, z którą chciałam być teraz sam na sam, był Peter.

Naciągnęłam jedwabną nić na moich nadgarstkach, ale była ona zaskakująco mocna i udało mi się jedynie podrażnić skórę. Wstałam powoli i ostrożnie. Byłoby typowe, gdybym się teraz przewróciła, nie mając wolnych rąk, by złagodzić upadek. Byłam zmuszona użyć zębów, by odsłonić zasłony. Pochylałam się właśnie, szczerząc zęby, kiedy gruba zasłona odsunęła się gwałtownie.

- Co ty wyprawiasz? - wycodził przez zęby Peter. - Wyglądasz jak dzikuska.

Czerwieniąc się, zamknęłam usta z głośnym kłapnięciem. Opuściłam związane ręce. Jego uśmiech był leniwy, ale miał w sobie coś niebezpiecznego. Przywoływał na myśl ostre szpady.

- Jesteś zdana trochę na moją łaskę, prawda? - spytał, wyraźnie z siebie zadowolony. Sposób, w jaki na mnie patrzył, powodował, że pociły mi się dłonie. Cofnęłabym się, gdybym miała dokąd.

- Rozwiąż mnie. - Zbyt późno przyszło mi do głowy, że gdybym była mniej zdenerwowana, może mogłabym szybciej osiągnąć rezultat, ale rozpaczliwie pragnęłam znaleźć się z dala od niego.

Wyjął nóż z kieszeni. Fakt, że miał go przez cały czas, kiedy byłam uwięziona między nim i ścianą szafki, spowodował, że poczułam się jeszcze bardziej zdenerwowana. Ostrze bez trudu przecięło nić, ale Peter brutalnie złapał mnie za rękę i szarpnął tak, że straciłam równowagę. Byłam rozwiązana, lecz nadal uwięziona.

- Nie wiem, co ci się wydaje, że wiesz - warknął. - Ani w jaką grasz grę, panno Wilłoughby, ale lepiej będzie, jeśli dasz sobie spokój. Jesteś bękartem hrabiego i córką dziwki. Nikt ci nie uwierzy.

Popychając mnie tak, że potknęłam się o stół, wyszedł gwałtownie z pokoju.

Zanim dotarłam do bawialni, Caroline i Wentworthowie zdążyli już pójść do domu, tłumacząc się zmęczeniem. Peter zniknął w pustej sali balowej z butelką brandy. Lord Jasper z dumą skinął do mnie głową.

Elizabeth pośpieszyła do drzwi, żeby podejść wraz ze mną do stołu.

- Och, Violet, możesz w to uwierzyć?

- Nie mogę uwierzyć - mruknęłam z niezadowoleniem, pocierając nadgarstki - że zostawiłaś mnie tam samą z Peterem!

Wywróciła oczami.

- On zawsze wytropi ładne dziewczyny.

- Z jakiegoś powodu nie wydaje mi się, żeby miał zamiar mnie uwieść.

Kiedy powiedziałam jej, co się stało, włosy zjeżyły się jej na głowie.

- Więc musi być w to jakoś zamieszany. To staje się coraz bardziej *skomplikowane*! Nie wiem już, co myśleć. Tabitha wyglądała okropnie, jakby miała zaraz zemdleć, więc wrócili do domu. - Uniosła brwi porozumiewawczo. - A Caroline śmierdziała jak tygodniowy pstrąg.

Wymieniłyśmy szerokie uśmiechy.

- Czy naprawdę podejrzewamy, że to ona zabiła Rowenę?
- spytałam, poważniejąc. - Czy Peter nie wydaje się teraz bardziej podejrzany? - Nie żebyśmy miały jakiegokolwiek dowody.

Elizabeth wzruszyła ramionami.

- Jest wystarczająco zła.

- Ale czemu? - zastanowiłam się. - I co z panem Travisem? Czy Tabitha jest w niebezpieczeństwie? Czy Caroline mogłaby ją skrzywdzić?

- Nie w obecności jej wuja - stwierdziła Elizabeth z przekonaniem. - On bardzo troszczy się o jej potrzeby.

Starałam się nie ukazywać mojej frustracji, na wypadek, gdyby pozostali goście patrzyli na nas i zastanawiali się, o czym tak szepczemy.

- Potrzebujemy więcej danych - urwałam. - Mam pomysł. Choć trochę ryzykowny.

- To moje ulubione.

- Powiedziałaś, że Peter jest w sali balowej?

- I wygląda na to, że zostanie tam przez jakiś czas.

Poczekaliśmy, aż wszyscy udadzą się na spoczynek, i jeszcze dłużej, dopóki nie byliśmy pewne, że wszyscy zasnęli. Potem zakradliśmy się na dół, żeby sprawdzić, co robi Peter. Leżał bezwładnie na podłodze i chrapał. Butelka w jego ręce była prawie pusta. Skradając się, wróciliśmy na górę.

- Jesteś pewna, że to jego pokój? - szepnęłam.

Elizabeth skinęła głową.

- Wchodź.

- Tylko dobrze pilnuj wejścia - mruknęłam, otwierając delikatnie drzwi, żeby nie zaskrzypiały. - Nie chcę być zaku-ta w kajdanki za szpiegowanie.

Machnęła na to ręką.

- Wuj Jasper nigdy by tego nie zrobił.

- Peter mógłby.

- Och. Masz rację.

Gościnny pokój Petera był niezwykle okazały, z bordową tapetą, mahoniową umywalką i szafą. Panowała ciemność, z wyjątkiem kręgu światła padającego z mojej świecy. Podeszłam prosto do biurka i przeszukałam leżące tam

papiery: rachunek od jego krawca, niedopity kieliszek sherry i niepodpisany list od kochanki. Nic, co mogłoby go łączyć z zabójstwem. Przetrzaśnięłam nawet jego koszulę i sprawdziłam pod krawatami. Byłam do połowy zanurzona w szafie, kiedy Elizabeth wetknęła głowę do środka.

- Violet - szepnęła. - On nadchodzi.

Wysunęłam się z szafy tak szybko, że się zatrzęsła.

- Jest na schodach - dodała przerażona. Kroki Petera były chwiejne i głośne. Nie miałyśmy czasu, żeby wrócić do naszych pokojów. Zdmuchnęłam świecę.

Kroki zbliżały się coraz bardziej.

Złapałam Elizabeth za rękę i pociągnęłam do przeciwnego pokoju. Przytuliłyśmy się do siebie, wyęzając słuch. Obie wstrzymałyśmy oddech, nasłuchując dźwięku zamykających się drzwi.

Zamiast tego usłyszałyśmy chrapanie.

Zastygłyśmy.

- Och nie - powiedziała bezgłośnie Elizabeth. Widziałam ją wyraźnie dzięki światłu księżyca wpadającemu przez okno. Chrapanie rozległo się znowu. Rozejrzałyśmy się z obawą, nie wiedząc, co zobaczymy.

Był to tylko Fryderyk leżący na wznak z odsłoniętą piersią. Elizabeth wytrzeszczyła oczy tak zabawnie, że omal nie wybuchnęłam głośnym śmiechem. Zasłoniła ręką moją twarz, by mnie powstrzymać. Musiałam zrobić to samo, by stłumić jej chichot. Spojrzałyśmy na siebie, niemal dławiąc się nerwowym śmiechem.

Skinęłam srogo głową w stronę drzwi. Musiałyśmy stąd zniknąć.

Pokręciła głową i podeszła bliżej do Fryderyka. Znałam ten jej wyraz twarzy.

Wyślizgnęła mi się z rąk, zanim zdążyłam ją powstrzymać, i podeszła ostrożnie do jego łóżka. Zamachałam na nią

gorączkowo. Jeśli pochyli się, żeby go pocałować, zabije ją
Pochyliła się lekko, ale nie na tyle, by go dotknąć.

Nagle Fryderyk poruszył się i nieznacznie otworzył oczy
po czym zamknął je ponownie z głośnym chrapnięciem.

Elizabeth rzuciła się do drzwi i uciekłyśmy, tłumiąc
chichot.

ROZDZIAŁ 22

Pokochałam Rosefield już wcześniej, ale teraz kochałam je jeszcze bardziej. Był to bezpieczny raj, otoczony różami i pełen książek. Instynktownie czułam, że lord Jasper jest godny zaufania i że myliłam się co do niego. Wreszcie mogłam zacząć wyobrażać sobie siebie jako pełnoprawną osobę, a nie tylko jako pionek w niekończącej się pogoni mojej matki za bogactwem i prestiżem. Wszystko wydawało mi się większe, pokój, w którym spałam, mały kufer z kilkoma sukienkami, a nawet powietrze. Wreszcie część przestrzeni nie była zajęta przez jej skoki nastrojów.

Być może sama nie wybrałabym życia medium, ale nie mogłam zaprzeczyć, że było to ekscytujące. Wszystko wydawało się być na swoim miejscu, oprócz jednego - tęskniłam za Colinem.

Okropnie byłoby zostawić to miejsce i wrócić do żółtej węglowej mgły Londynu i nieustannie zmieniających się humorów matki, ale przynajmniej byłby tam Colin. Nawet jeśli matka ciągnęłaby mnie w różne miejsca, by zarobić pieniądze na moim nowo odkrytym talencie, przynajmniej on by tam był. Wówczas byłoby to do zniesienia. Przestałam o nim myśleć jako o irytującym chłopcu o dużych stopach i aroganckim uśmiechu, który wałęsał się po naszym domu. Teraz stał się osobą, z którą mogłabym uciec od matki; był przystojny, siłny i rozumiał mnie. Odurzająca mieszanka. Przyłożyłam rękę do rozgrzanych policzków.

Mogłabym siedzieć tak dłużej, pogrążona w myślach o Colinie, ale w pokoju pojawił się tłum duchów. Nastąpiła delikatna zmiana temperatury i ciśnienia, którą już zaczynałam rozpoznawać. Poczułam zapach mocnej tureckiej kawy i usłyszałam dźwięk kroków na dywanie. W bibliotece nie było nikogo innego poza mną, zwiniętą na skórzanym fotelu. Zmrużyłam oczy i dostrzegłam przebłysk mgły w kształcie sukienki na stelażu ze srebrnej siatki. Jak zwykle, jedno mgnienie sprawiło, że pozostałe były już łatwiejsze do zauważenia.

Nagle w pustej bibliotece zrobiło się dość tłoczno.

Kobieta w obszernej sukni miała na policzku opatrunek w kształcie serca, który przykrywał jej bliznę po ospie. Zaśmiała się sprośnie, unosząc się do szczytu półki i wyciągając z niej książkę, której na pewno nie wolno mi było oglądać. Piła kawę z kryształowej filiżanki.

Unoszący się za nią młody chłopiec o umorusanej twarzy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Kot zaatakował drobinki kurzu wirujące w promieniach słońca. Nie miałam pojęcia, czy był prawdziwym kotem, czy duchem.

- Tak myślałem, że cię tu znajdę - odezwał się z progu lord Jasper, skąd obserwował, jak odganiałam niewidzialnych ludzi. Świetnie.

- Tak tu spokojnie - powiedziała, w pośpiechu opuszczając rękę. Nawet z tymi duchami.

- Przeczytałaś o trzecim oku w książce, którą ci dałem? - Oparł się o swoją łaskę. Kiwnęłam głową. - Wyobraź sobie zatem, że się zamyka, jakby było pogrążone we śnie. W ten sposób będziesz widziała duchy tylko wtedy, kiedy zdecydujesz się otworzyć oko.

- Ale co z tymi, które chcę widzieć? - Pomyślałam o Panu Rochesterze. Tęskniłabym za jego futrzaną, mądrą, małą mordką.

- Możesz tylko je przymknąć, jakbyś była senna.

Spróbowałam. Cienie natychmiast ustąpiły. Wciąż czułam swędzenie, jakby zbliżał się ból głowy, ale było to lepsze niż nic. Uśmiechnęłam się do niego radośnie.

- Dziękuję!

- Rzecz jasna minie trochę czasu, zanim w pełni to opanujesz.

- Lordzie Jasper? - powiedziałam pytająco, kiedy odwrócił się, żeby wyjść.

- Tak, moja droga?

- Pan też ma ten dar, prawda?

- Miałem. - Przerwał i uśmiechnął się do mnie smutno przez ramię. - Wiele lat temu.

W głównej bawialni podano gościom herbatę. Siostra lorda Jaspiera, Lucinda, pociągnęła nosem, kiedy ośmieliłam się przejść koło jej krzesła. Odwróciła głowę, rzucając mi ostre spojrzenie. Wyraźnie nie akceptowała mojego powrotu. Jej przyjaciele poszli za jej przykładem, zadzierając nosy. Poszłam schować się w fotelu przy drzwiach, za gabinetem osobliwości.

Pozostali goście rozmawiali o wieczornym balu pożegnalnym, który miał być jeszcze wspanialszy od tego w zeszłym tygodniu. Zamiast żałować, że nie zatańczę walca z Colinem przy świetle lamp olejnych w abażurach z rubinowego szkła, zastanawiałam się, jak rozwiążę zagadkę morderstwa Roweny, jeśli będę musiała wrócić na stałe do Londynu. Rowena nie chciała zostawiać Tabithy, a Elizabeth mówiła, że Tabitha nie opuszcza swojego pokoju.

- Wyglądasz na niezadowoloną. Zjedz bułeczkę. - Elizabeth usiadła koło mnie, podsuwając mi swój talerzyk.

- Kucharz nadział je kandyzowanymi płatkami róży. Są smaczniejsze, niż się wydają.

- Mamy coraz mniej czasu - powiedziałam, częstując się. Matka Elizabeth spojrzała na nas ostro z drugiego końca pokoju i wstała z krzesła.

- O nie - westchnęła Elizabeth. Wepchnęła resztę babeczki do ust, *otwierając szeroko usta* tak, jak nie przystoi damie.

- Matka nie lubi, kiedy jem słodycze.

Byłam pewna, że nie była to jedyna rzecz, która nie podobała się matce Elizabeth.

- Elizabeth - powiedziała lady Ashford, wyraźnie mnie ignorując. - Chodź tutaj.

Elizabeth zamrugała.

- Nie skończyłam jeszcze herbaty.

- Wszystko jedno. To niestosowne.

- Właśnie skończyłam - mruknęła, strzepując okruszki ze swojej jedwabnej sukienki.

- Dobrze wiesz, co mam na myśli. Nie rób scen. - Chwyciła ramię Elizabeth i pociągnęła ją do góry, mimo uwag o nierobieniu scen. Pobliskie rozmowy ucichły. Przełknęłam z trudem ślinę, mając nadzieję, że nie czerwienię się ze złości i upokorzenia. Elizabeth wyglądała jak rzodkiewka, która dostała apopleksji.

- Mamo!

- Dosyć, Elizabeth Anne.

Rzuciła mi przepaszające spojrzenie, zanim dała się wywlec z pokoju. Wypiłam resztę herbaty, by się czymś zająć, pragnąc jednocześnie, by wszyscy przestali rzucać ukradkowe spojrzenia w moją stronę. Czułam się jak zwierzę w jednej z klatek w ogrodach zoologicznych, obserwowana przez wszystkich. Chcieli, bym mówiła o zmarłych, bym płakała z powodu ich lekceważenia, chcieli skandalu, takiego jakiego przypadkiem dostarczyła im moja matka.

Jedyne, czego pragnęłam, to schować się w swoim pokoju z książką. Ale nie mogłam tego zrobić, dopóki nie rozwiążę cholernego problemu Roweny.

Pan Travis stał przy stole z jedzeniem, trzymając w reku ciasto malinowe. Jego oczy znów były podkrążone, a chude ramiona przygarbione.

Mogłam nie być prawą córką hrabiego, nie mieć prywatnych nauczycieli i guwernantek oraz lekcji jazdy konnej, ale posiadałam zdolności, które nie miały nic wspólnego z widzeniem duchów.

I nadszedł czas, żebyje właściwie wykorzystać.

Podeszłam wolno do stołu z jedzeniem. Wzięłam talerz i napełniłam go cienkimi plasterkami szynki, sałatką z ogórków oraz posypanymi cukrem jeżynami, których wcale nie miałam zamiaru jeść. Zatrzymałam się przy panu Travisie, który odwrócił się do mnie. Pochyliłam się, by sięgnąć po pokryte miodową polewą ciastko, chociaż było poza moim zasięgiem.

Trochę więcej upokorzenia mnie nie zabije.

Już byłam postrzegana jako niezdarna dziewczyna bez żadnych manier, nikt nie zwróci na to uwagi.

Musiałam sobie o tym przypomnieć, zanim wysypałam talerz pełen jedzenia na pana Trávisa. Jeżyny odbiły się od jego ramienia. Plasterek szynki wylądował na jego bucie. Rozległy się okrzyki i chichoty. Oczy Elizabeth były tak okrągłe, że musiałam odwrócić wzrok, by się nie roześmiać.

- Och, przepraszam! - wykrzyknęłam. Czerwień na moich policzkach była doskonale autentyczna. Chwyciłam serwetkę i wytarłam jego płaszcz. Krem wypełniający ciastko rozsmarował się po jego klapie. Kręciłam się wokół niego, zaaferowana.

Nawet nie zauważył, kiedy pogarszając jeszcze plamy serwetką, wsunęłam ręce do kieszeni jego płaszcza. Pierwsza kieszeń była pusta, w drugiej schowany był złożony list.

Ukradłam go.

Na wszelki wypadek. To mogło nie być nic ważnego, rachunek lub lista zakupów dla matki. Był tylko jeden sposób, by się o tym przekonać.

Wsunęłam list pod falbany sukienki i wyszłam szybko z bawialni, przepraszając i czerwieniąc się, kiedy pokojówka wzięła płaszcz pana Trvisa do wyczyszczenia. Przez chwilę nie zorientuje się, że kieszeń jest pusta. A jeśli list okaże się mało ważny, będę mogła zostawić go w bawialni - pomyślałby tylko, że wypadł mu w tym zamieszaniu. Przeskakiwałabym stopnie co dwa, gdyby pozwoliła mi na to moja suknia. Dotarwszy do pokoju, zamknęłam szczelnie drzwi i wdrapałam się na łóżko, by rozłożyć list. Charakter pisma był delikatny, kobiecy, a pergamin pachniał lekko konwaliami.

Chciałam go przeczytać, ale rozproszył mnie but wystający spod mojego łóżka. Był czarny i znoszony - i nie byłam pewna, czy był to but zjawy, czy człowieka.

Wiedziałam jedynie, że nie jestem sama.

I że ktokolwiek ukrywa się pod moim łóżkiem, nie ma dobrych intencji.

Nie mogłam sobie przypomnieć, czy widziałam Petera, jak pił herbatę wraz z innymi.

Wychylając się powoli z łóżka, dosięgłam żelaznego pogrzebacza przy kominku. Trzymałam go na ramieniu jak trzepaczkę do dywanów, jakbym miała zaraz strzepywać kurz z dywanu w bawialni. Zakradłam się bliżej. Stopa nie poruszyła się.

- Dość tego - mruknęłam, zamachując się pogrzebaczem w pobliżu stopy. - Wynocha z mojego pokoju! - zawołałam, dorzucając mocnego kuksańca.

- Cholera! - ryknął głos spod pierzastego materaca.

Znajomy głos.

Colin wygramolił się spod łóżka, umorusany kurzem, patrząc groźnie.

- Co do cholery... Och, Violet. To ty.

- Oczywiście, że ja! Kto inny mógłby to być? Co tu robisz?

- Myślałem, że jesteś jedną ze służących.

CÓRKA MEDIUM

- Mam na myśli tutaj, w Wiltshire - powiedziałam, upuszczając pogrzebacz. Moje serce wróciło do normalnego rytmu. - Śmiertelnie mnie przestraszyłeś.

Uśmiechnął się przepraszająco.

- Wybacz. - Dotknął mojego policzka. - Nie tęskniłaś za mną, kochana?

- Może. - Zmrużyłam oczy, patrząc na niego. - A ty za mną?

- Przecież dlatego tu jestem.

Przyznaję. Wzruszyłam się. Ten nowy Colin był zdecydowanie zbyt czarujący i wyraźnie mu to służyło. Jego kciuk przesunął się za moje ucho i dalej, na kark. Nawet moje kolana drżały.

- Martwiłem się o ciebie.

- Czemu?

- Bo ścigasz mordercę - odparł oschle. - Wiem, że nie potrzebujesz być rozpieszczana, ale nie mogę przestać się o ciebie martwić. Pakujesz się w kłopoty równie łatwo, jak debiutantki w balowe suknie.

- Nieprawda. A skoro mowa o kłopotach - gdzie będziesz spał?

- Znajdę miejsce w stajni. Nikt się nie dowie.

- Ale... - Zmarszczyłam brwi. To nie było w porządku. Powinien mieć lepsze łóżko od stryszku na siano. Zwłaszcza odkąd ja jadłam czekoladki i spałam pod błyszczącym baldachimem.

- Nie martw się o mnie. - Machnął lekceważąco ręką. - Zresztą, lubię konie bardziej niż pierzyny. Jak ty się czujesz?

- Dobrze - zapewniłam go, uśmiechając się. Tak dobrze było go zobaczyć. Minęły jedynie dwa dni. Nie powinnam jeszcze za nim tęsknić. - Panie traktują mnie lekceważąco. Lord Jasper jest trochę naiwny, nie sądzisz? - zapytałam. - Myśli, że sprawi, iż wszyscy mnie zaakceptują. Nie ma pojęcia, co te

kobiety by ze mną zrobiły. Z pozytywnych informacji, upuściłam dzisiaj ciasto na pana Trvisa.

- Ty naprawdę jesteś niezdarna.

Uśmiechnęłam się zuchwale.

- Ale za to bez trudu pokonam cię w kieszonkowaniu.

- Nie bądź taka pewna - prychnął. - A poza tym taki czasownik nie istnieje.

- Chcesz się sprzeczać czy wolisz przeczytać to, co znalazłam w kieszeni Trvisa?

- Pokaż mi to.

Trzymałam list poza jego zasięgiem.

- Ja go jeszcze nie przeczytałam. Możesz patrzeć mi przez ramię.

Uśmiechnął się krzywo.

- Despotka.

Rozwinęłam papier. Był miękki od zbyt częstego dotykania, zupełnie jakby czytano go codziennie jak ulubiony wiersz. Ale nawet ja nie przeczytałam *The Lady of Shalott* tyle razy, by zmienić papier, na którym była wydrukowana, a znałam ten poemat na pamięć.

Colina zmarszczył nos, czując perfumy.

- Czemu dziewczyny to robią?

- To list miłosny - wyjaśniłam.

- Musiała wylać na niego całą butelkę.

- Ciii - powiedziałam miękko. - Słuchaj - dodałam i zaczęłam czytać.

Najukochańszy Reece,

wiem, że wyda Ci się to niestosowne lub co najmniej nieostrożne, żebyśmy pisali do siebie, ale nie obchodzi mnie to. Muszę przestrzegać wystarczająco wielu reguł, mogłabym się od nich udusić. W gorsecie, przy lekcjach, ukłonach i etykietcie nie jestem sobą i to jest to, czego oni chcą. Woleliby, byśmy

wszyscy ubierali się, mówili, myśleli (lub nie myśleli) tak samo, jak papierowe lalki.

Nie chcę być papierowe lalką.

Na pewno widzisz, że jestem od nich silniejsza. Nie obchodzi mnie cudze gadanie i plotkarze. Ucieknijmy do Paryża, gdzie nikt nas nie zna i nie będzie strofować, i gdzie skandal jest rzeczą tak codzienną jak ekierka na śniadanie.

Znowu powiesz, że to niemożliwe, ale nie chcę w to wierzyć. Wiem z każdym dotknięciem twojej ręki, z każdym skradzionym pocałunkiem, że nic nie jest niemożliwe.

Być może miłość nie może być łatwa. Może jest to jedynie test, taki, przez który przeszła Psyche, by udowodnić swą miłość Kupidynowi. Chcesz, bym policzyła ziarnka soczewicy, ukochany?

I skoro twierdzisz, że mam więcej do stracenia, modłę się, byś pozwolił mi zdecydować o tym, czego chcę i potrzebuję.

A tym czymś jesteś Ty.

Nie jedwabie, zupa z homarów w kryształowych misach albo diamenty na mojej szyi.

Tylko Ty.

Bez końca powtarzasz, że mnie kochasz.

Udowodnij to.

Upuściłam list.

- Jest zakochany.

- To by wyjaśniało to szalone łkanie.

Odwrociłam się i spojrzałam na niego.

- To nie może być przypadek. Podczas ostatniego seansu Rowena pokazała mi list. Rzuciła Petera i chciała wyjść za kogoś innego.

Colin spojrzał na mnie.

- Za Trávisa? Rowena Wentworth była zakochana w tym ponurym kościotrupie?

- Może nie był ponury, zanim umarła.

Pokręcił głową.

- To głupie. Była dziedziczką. Pewnie był zazdrosny o to, że miała poślubić Petera? Też mi kochanek.

Powoli pokręciłam głową.

- Nie sędzę, żeby to było to. Ojciec Roweny dał jej swoją zgodę - dodałam, uderzając listem o udo. - Więc on nie może być mordercą. Przynajmniej nie z tego powodu.

- Może miała go dość.

- Może. Albo Peter dowiedział się i dostał szału. Elizabeth mówiła, że on ma paskudny charakter.

Colin zmarszczył brwi.

- Na pewno jest ambitny. Ma być hrabią i tak dalej. Przez tę dumę mógł wpaść w szal, kiedy się dowiedział.

- Ale w jaki sposób może być w to zamieszana Caroline? - zastanawiałam się. - Celowo zapaliła lampy. A Rowena rzucała w nią martwym pstrągiem ostatniej nocy.

- Nic dziwnego, że wybrała ciebie. Tu ciasta, tam ryby, nikt nie jest bezpieczny.

Szmer u drzwi przerwał nam rozmowę. Colin rzucił się na podłogę i schował pod łóżko. Jedna ze służących wsunęła głowę do pokoju.

- Panienko?

Starałam się nie sprawiać wrażenia, że chowam przystojnego młodzieńca pod materacem.

- Słucham?

- Lord Jasper przysłał mnie, żeby sprawdziła, czy potrzebuje panienka pomocy w przygotowywaniu do balu.

- Uśmiechnęła się dumnie. - Mam rękę do żelazka do włosów.

- Och. Dziękuję. - Potrzebowałam pozbyć się Colina, zanim znajdę się naga na środku mojej sypialni. - Ja, hmmm, czy mogłabym dostać trochę gorącej wody, żeby umyć twarz?

- Oczywiście, panienko. Poproszę lokaja, żeby przyniósł wannę, jeśli panienka chce, zanim wszystkie damy zaczną wołać o kąpiel.

- Byłoby wspaniale, dziękuję. - Właściwie nigdy wcześniej nie brałam kąpieli w wannie na leżąco. W domu, w kuchni, miałyśmy małą, zniszczoną wannę do siedzenia.

Służąca dygnęła i zamknęła za sobą drzwi. Odetchnęłam. Colin wypełzł z powrotem.

- Powinni tam pozamiatać - stwierdził, kichając. - Będę miał oko na Petera przez jakiś czas - dodał, zanim wyslizgnął się z mojego pokoju.

Zanim zostałam wykąpana, uczesana w długie loki, ubrana w balową suknię i ostatecznie znalazłam się sama w pokoju, minęła reszta popołudnia. Bal miał się zacząć za chwilę i nie miałam czasu, żeby znaleźć Colina. Lord Jasper czekał na mnie i nie mogłam zachować się nieuprzejmie, nie po tym wszystkim, co dla mnie zrobił. Musiałam się pojawić i mieć nadzieję, że uda mi się zgubić w tłumie tak szybko, jak to tylko możliwe.

Sala balowa była jeszcze bardziej bogato udekorowana niż w zeszłym tygodniu, ze szklanymi wazami pełnymi orchidei oraz szklanymi lampionami zwisającymi na zdobionych łańcuchach z malowanego sufitu. Orkiestra grała coś płynnego i pięknego, a pary zataczały w tańcu doskonałe koła. Ukłoniłam się lordowi Jasperowi, a następnie przylgnęłam plecami do ściany, skradając się za krzesłami ustawionymi dla przywoitek i tych nieśmiałych, mających nadzieję, że ktoś poprosi je do tańca. Nigdzie nie mogłam dostrzec Elizabeth, Petera ani nawet Tabithy - a ona uwielbiała przyjęcia.

Wymknęłam się na korytarz, zastanawiając się, co dalej.

I wpadłam wprost na pana Trávisa.

- Panno Willoughby.

Wyglądał na tak zmęczonego i smutnego, że natychmiast go pożałowałam. Z powodu jednego listu zmienił się z postaci złowieszczej w tragiczną. Czułam się okropnie, bo ukradłam mu coś tak cennego. Otworzyłam torebkę i wyjęłam z niej list.

- To chyba należy do pana - powiedziałam cicho.

Wyrwał mi go gwałtownie.

- Gdzie go pani znalazła?

- Czy to od Roweny?

Zastygł w trakcie wkładania listu do wewnętrznej kieszeni wyjściowego płaszcza.

- Słucham?

- W porządku. Nikomu nie powiem - zapewniłam go, obserwując jego reakcję. Nie wyglądał na winnego, tylko na lekko dezorientowanego.

- Skąd pani wie? - Złapał mnie za rękę, jakbym wykonała ruch, żeby odejść, chociaż w rzeczywistości w ogóle się nie poruszyłam. Muzyka z balu wlewała się do holu. - Czy naprawdę ją pani widzi? Wiedziałem, że tak. Jest tu teraz? - Jego oczy miały trochę dziki wyraz.

- Przykro mi - odparłam. - Nie ma jej tu. Nie mogę jej przywołać, kiedy zechcę. Jest bardzo kapryśna.

Uśmiechnął się swoim dziwnym uśmiechem.

- Była nadzwyczaj uparta. Jak inaczej ona, córka hrabiego, podjęłaby działania, by poślubić syna krawca, w którego żyłach nie ma ani kropli szlachetnej krwi?

- Kochała pana.

- Ona nie utonęła - stwierdził ponuro.

- Wiem - odpowiedziałam, równie ponuro.

- Ale nie mam żadnego dowodu. Chociaż minął rok.

Zanim zdążyłam zadać mu jakiegokolwiek pytanie, stanął przede mną lokaj ze srebrną tacą w ręku.

- Panna Willoughby?

-Tak.

Ukłonił się.

- Wiadomość dla pani. - Podniósł tacę i podał mi złożony list z moim imieniem nagryzmołonym z przodu. Sięgnęłam po kartkę, drżąc ze strachu i ciekawości. Przebiegłam ją oczyma i zmarszczyłam brwi.

r - To dziwne.

[- Co takiego?

- To od Caroline - powiedziałam. - Czeka na mnie przy żywopłocie przed domem.

Popędziłam korytarzem, popchnęłam drzwi wyjściowe i minęłam pochodnie płonące na trawniku z obu stron wysypanego białym żwirem podjazdu. Pobiegłam w stronę żywopłotu, gdzie czekała Caroline. Pan Travis biegł tuż za mną. Kręcone kosmyki włosów Caroline wypadały z nieskazitelnego koka, a jej oczy były pełne niepokoju.

- Co się stało? - spytałam.

Widziałam, że z trudem powstrzymywała płacz.

- Proszę, pójdz ze mną. Chodzi o Tabithę.

ROZDZIAŁ 23

- **.Płakała** cały dzień i nie chciała rozmawiać ani ze mną, ani z nikim innym. W końcu poprosiła, żebyś przyszła i dała się przekonać, żeby poczekać z tym do rana. - Caroline wyglądała na zdeterminowaną i gotową, żeby mnie tam zaciągnąć, chociaż usta jej drżały. - To dzisiaj, wiesz przecież.

- Co się stało dzisiaj?

- Rowena! - wykrzyknęła. - Utonęła w zeszłym roku, tego dnia, nie wiedziałaś?

Przeszedł mnie dreszcz.

- Nie wiedziałam. - Spojrzałam na pana Trvisa. Skinął głową.

- Musisz ze mną pójść! - nalegała Caroline.

Zamilkłam, koncentrując się na moim trzecim oku i podnosząc powoli powiekę. Rowena unosiła się niespokojnie w powietrzu za Caroline, z posiniaczonym gardłem i błagalnym wyrazem twarzy. Chciała, bym poszła za nią.

Było mnóstwo rzeczy, które wolałabym robić, zamiast iść za potencjalną morderczynią i za duchem jej ofiary.

Ale Rowena nalegała.

- Nie wiem, co wam się wydaje, że mogę zrobić - stwierdziłam, kiedy biegłyśmy przez trawnik.

- Też nie wiem, ale jeśli Tabitha chce, żebyś przyszła, zamierzam cię do niej przyprowadzić.

- Panno Willoughby, proszę zaczekać! - Dogonił nas pan Travis. - Nie może pani iść do Whitestone. To niebezpieczne.

- Nie mam wyboru.

Biegliśmy przez ciemne wzgórza, aż zaczęło palić mnie w płucach. Sadażawka była spokojna, a białe lilie na jej brzegach wydawały się wyryte w srebrze. Nie odzywaliśmy się, dopóki nie dotarliśmy do posiadłości, a i wówczas Caroline wykrztusiła jedynie „tędy”. Dom był pogrążony w mroku, oświetlony jedynie gdzieniegdzie lampami olejnymi.

- Co powiedział jej wuj? - szepnęłam, idąc za Caroline po schodach.

- Pił przez cały dzień.

Na szczycie ciemnych schodów znajdowały się drzwi do pokoju Tabithy, pomalowane w różowe róże.

Były zamknięte.

Caroline zmarszczyła brwi, naciskając ponownie na klamkę.

- Kochanie, musisz otworzyć drzwi.

Tabitha nie odpowiedziała, ale dosłyszaliśmy przytłumiony szloch.

- Tabitho, proszę - błagała Caroline, wyraźnie zaniepokojona. Zimny powiew musnął nasze kostki, ale nigdzie nie mogłam dostrzec Roweny. Nie byłam pewna, co o tym myśleć. Tabitha była tak zrozpaczona, że z pewnością Rowena chciała chronić ją przed wielkim niebezpieczeństwem, inaczej nie opuściłaby swojej bliźniaczki.

Caroline ponownie spróbowała otworzyć drzwi, bez skutku. Zastanawiałam się, czy nie miało to właśnie jej trzymać z daleka. Odsunęłam się od niej nieznacznie.

- Czemu nie pozwala ci wejść? - zapytałam.

Caroline ramieniem napierała na drzwi.

- Mówiłam ci - odparła, dysząc i pchając mocniej. - Jest zdenerwowana.

- Boi się ciebie?

Caroline przerwała.

- Słucham? Niby dlaczego?

- Ty mi powiedz.

Popatrzyła na mnie, jakbym była szalona.

- Panno Willoughby, co konkretnie pani sugeruje?

Zignorowałam ją, zwracając się do Tabithy przez drewniane drzwi.

- Tabitho, to ja, Violet. - Zapukałam delikatnie. Bez odpowiedzi. - Jesteś ranna?

Nie mogłam stać tak w ciemnym domu całą noc, zwłaszcza nie obok kobiety, którą miałam powód podejrzewać o to, że coś ukrywa. Przypomniałam sobie, co Elizabeth mówiła o spinkach do włosów i zamkach. Wyciągnęłam z włosów jedną ze spinek i uklękłam. Wsunęłam spinę do zamka i przycisnęłam ucho do okucia klamki. Poruszyłam spiną, nasłuchując kliknięcia. Trwało to dłużej, niż się spodziewałam, ale w końcu usłyszałam zadowolające 'klik'.

Caroline minęła mnie, zanim zdążyłam ją powstrzymać. Tabitha siedziała przycupnięta w rogu, z włosami w nieładzie, lepiącymi się do jej wilgotnych policzków. Nie cofnęła się przed swoją guwernantką. Nie byłam pewna, czy to dobry znak.

- Tabitho - powiedziałam łagodnie. Nie miałam pojęcia, co robić. Przecież Tabitha mnie nie lubiła. Ścisnęła perłowy pierścionek, który znalazłam w stawie w dniu, kiedy zagroziła, że poszczuje nas psami.

- Nie chciałam ci wierzyć - wychrypiała. Musiała długo płakać, bo jej głos był zachrypnięty, a oczy spuchnięte. Jej puls trzepotał jak opętany pod cienką, porcelanową skórą.

- To moja wina - Caroline płakała z głową schowaną w dłoniach.

- Wiedziałam. - Wybuchnęłam.

Tabitha zamrugała żałośnie.

- Caro, o czym ty mówisz?

Wiedzieliśmy, że to niewłaściwe, ale nie mogliśmy przestać.

- Peter? - Zapytałam. - Tabitho, podejdź tutaj.

Caroline skinęła głową nieszczęśliwie.

- Kocham go - powiedziała. - Nigdy nie chciałam, żeby to się stało. Tego się nie wybiera.

Spojrzałam na nią z szeroko otwartymi ustami.

- Oczywiście, że wybierasz, czy utopić jakąś biedną dziewczynę w stawie, ty głupia krowo.

- Słucham? - Wyglądała na zdezorientowaną.

- Ty i Peter zabiliście Rowenę! Pstrąg wylądował na tobie! Miała czelność wyglądać na urażoną.

- Z całą pewnością nie!

Teraz to ja byłam zmieszana.

- Nie?

- Nie!

- Więc, co dokładnie jest twoją winą?

- Peter. Mieliśmy romans.

Tabitha wyprostowała się.

- Ty? I Peter? A co z rybą?

To by wyjaśniało, dlaczego Peter obszedł się ze mną tak szorstko po wieczornym seansie. Chronił swoją kochankę, niewątpliwie zaniepokojony, że wiem więcej, niż powinnam.

- Wiedzieliśmy, że źle robimy. - Caroline pociągnęła nosem. - Był zaręczony z Roweną, a ja jestem tylko guwernantką. Ale Rowena zerwała zaręczyny... A potem utonęła i przysięgam sobie, że będę się opiekować Tabitha najlepiej, jak potrafię.

- Nie rozumiem - powiedziałam w końcu. - Jeśli ty jej nie zabiłaś, to kto to zrobił?

- Ktoś ją zabił? Przecież to był wypadek.

- Nie, nie był.

- Tu nie jest bezpiecznie - powiedział nagle pan Travis.

- Musimy uciekać, wszyscy. Teraz.

Tabitha zamruwała.

- Co on tutaj robi?

- Musimy stąd iść - powtórzył pan Travis. Odwrócił się do mnie. - Pstrąg nie wylądował na Caroline, tylko tam doleciał, jak podejrzewam, w przypływie złości. Rowena nigdy nie lubiła się dzielić. Jeśli sobie przypominasz, rzuciła nim najpierw w swojego wuja.

Cholera.

Miał rację.

Tabitha znowu zaczęła płakać.

- Była zakochana. - Kołysała się wprzód i w tył, jakby nadal była w kołysce, z kolanami podciągniętymi do piersi i mocno zaciśniętymi razem rękoma. Mogłam dostrzec, w którym miejscu pierścionek odcina krążenie krwi od jej palców, wbijając się w knykieć. - Wyglądałaś na tak przekonaną - zapłakała, patrząc na mnie - że przeszukałam jej rzeczy. Nie byłam w stanie tego zrobić, do dzisiaj. Po prostu nie mogłam tego znieść. Była moją najlepszą przyjaciółką. - Rozpłakała się jeszcze mocniej, język zaczynał jej się plątać.

- Tabitho - pochyliłam się nad nią i potrząsnęłam ją za ramię. - Tabitho, musisz się skupić. - Próbowałam znaleźć równowagę pomiędzy surowością i współczuciem.

- Przeszukałam jej skrzynię - powiedziała, czkając. Nadal siedziała przyciśnięta do drewnianej skrzyni z namalowanym z przodu imieniem Roweny, otoczonym stokrotkami. - Znalazłam listy miłosne. - Popchnęła plik papierów w moją stronę.

Zerknęłam na pana Trvisa. Poruszył palcami, jakby chciał go jej wyrwać.

- Starałam się udawać, że wszystko jest w porządku, ale nie jest. Wuj pije coraz więcej i nie chce nawet słyszeć o moim wyjeździe do Londynu. Od miesiący jestem uwięziona na wsi. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek pozwolił mi wyjść za mąż, nawet Fryderykowi i Peterowi nie pozwala mnie odwiedzać.

Zwariował. A dzisiaj jest taki... inny. - Otworzyła dłoń. Perła i złoty pierścień. - To był ulubiony pierścień Roweny.

- Ja jej go dałem - wyszeptał pan Travis.

- Pytałam o niego wuja po pogrzebie. Powiedział, że miał go na sobie, kiedy ją pochowali.

- Więc cię okłamał.

- Tak. A kiedy spytałam go o to dziś rano, dostał szału. Nigdy go takim nie widziałam. Nie wiedziałam, co robić, więc zamknęłam się tutaj i posłałam Caroline po ciebie. Bałam się, że on... - przerwała, krztusząc się łzami. - Jestem taka zmęczona. - Spojrzała na mnie, uśmiechając się głupio. Caroline i ja popatrzyłyśmy na siebie, marszcząc brwi.

- Czy ona jest chora? - zapytałam.

Caroline potrząsnęła głową. Tabitha zachichotała, po czym znów wybuchnęła płaczem. Przykucnęłam przed nią.

- Tabitho, spójrz na mnie. - Podniosła posłusznie głowę. Źrenice miała zwężone, skórę lepką. - Wzięła laudanum - zawyrokowałam ponuro. Wystarczająco często widziałam panią Gordon i pannę Hartington w podobnym stanie.

Caroline nie wyglądała na zaskoczoną.

- Bierze je na uspokojenie. Wuj podaje jej to od paru tygodni, z powodu Roweny. Jest w złym stanie. Nic dziwnego, 0 tej porze roku.

- Lub też chce, by była mu posłuszna. - Wstałam, nagle nie mogąc znieść bezruchu. Nie podejrzewałam go, podobnie jak żadne z nas. Był wujem Roweny i panem posiadłości. To musi być jakaś pomyłka. Pan Travis musi podejrzewać go niesłusznie, tak jak ja myliłam się, podejrzewając pana Trávisa. Zaczęłam krążyć w tę i z powrotem, po czym zatrzymałam się, by wyjrzeć przez okno. W ogrodzie było ciemno i cicho. - To nie ma sensu. Czemu miałyby to zrobić?

- Nie wiem - odparła Caroline skonsternowana. - Zawsze był beztroski, lubił wino i karty, i miewał napady szału, ale

nic niezwykłego, jak na dżentelmena. Dla Tabithy jest nadopiekuńczy, ale to rozumiałe. Ostatecznie stracił już jedną bratanicę, a przecież jest ich opiekunem.

- Chce pieniędzy - powiedział cicho pan Travis. - Rowena zastanawiała się, czy to on znalazł jej list do ojca. Mieliśmy razem uciec. Zostawiłem ją, by wynająć dla nas w mieście doróżkę, taką, której nikt by nie rozpoznał. Nie powinienem był zostawiać jej samej. Chciała uprzedzić Tabithę, żeby się nie martwiła. Powinienem być z nią zostać.

- Jest młodszym synem - dodałam powoli. - Nie ma ziemi, którą mógłby odziedziczyć, a pieniądze czerpie tylko z Whitestone, które, jak Tabitha lubi się przechwalać, jest bardzo bogate. - Nie mogłam uwierzyć, że wuj zabiłby własną bratanicę, ale nie wyglądało na to, że dojdę do jakiegoś innego wniosku, przynajmniej nie teraz. - Musimy stąd uciec. - Potrząsnęłam lekko Tabitha, ale była słaba i otumaniona. - Musimy oczyścić jej organizm z opium. Przyniescie wody.

Caroline pośpiesznie podała mi dzbanek wody. Uniosłam go do warg Tabithy. Przełknęła parę razy, po czym odepchnęła go, poirytowana.

- Tabitho, musisz wypić więcej.

- Nie chcę.

- Musisz. Musimy wypłukać narkotyki z twojego organizmu. - Zmusiłam ją, by wypiała więcej, mimo że połowa ściekła jej po brodzie.

- Nie rozumiem - powiedziała Caroline, załamując ręce.

- O czym wy mówicie?

Spojrzałam na nią.

- Wentworth zamordował Rowenę, bo planowała ucieczkę. Wiedział, że nie chciała poślubić Petera i że odwlekałaby ślub tak długo, jak to możliwe, więc nie martwił się o zaręczyny. Ucieczka to co innego.

Tabitha znowu się rozpłakała, tak nagle i gwałtownie, że obawiałam się, iż poczuje się jeszcze gorzej. Była już bladozielona.

- Musi pić - poleciłam, podając jej dzbanek i podchodząc do okna. Otworzyłam je i wyjrzałam na zewnątrz. Grunt wydawał się być bardzo daleko. - Nie możemy czekać, aż Tabitha poczuje się lepiej - oznajmiłam poważnie. - Musimy iść natychmiast, zanim Wentworth zorientuje się, że wiemy.

Pan Travis i ja staraliśmy się podnieść Tabithę na nogi, ale osunęła się na ziemię, zwijając się w kłębek.

- Tabitho!

Żadne krzyki najwyraźniej nie pomagały. Nie wiedziałam, co robić. Nie uda nam się uciec, kiedy jest rozhisteryzowana i odurzona narkotykami.

Uderzyłam ją w twarz. Caroline odepchnęła mnie. Pogłaskała Tabithę po ramieniu i wydawała uspokajające dźwięki, patrząc na mnie ze złością. Przynajmniej Tabitha przestała płakać.

- Zostaw ją. To nie jej wina.

- Wiem, że to nie jej wina - odpowiedziałam cierpliwie.

- Ale musimy się stąd wydostać. Teraz.

Tabitha odgarnęła włosy z twarzy.

- Ma rację - czknęła, odtrącając Caroline.

Wiedziałam, że jej przytomność może trwać tylko przez chwilę, więc przywołałam ich wszystkich do miejsca, w którym stałam.

Caroline wytrzeszczyła oczy.

- Okno? Nie mówisz poważnie.

- Nie możemy ryzykować wyjścia przez dom, mógłby nas usłyszeć.

Musiałam przyznać, że mnie też nie bardzo podobał się ten pomysł, ale tylko taki miałam.

Pan Travis zacisnął dłonie w pięści.

- Odciągnę jego uwagę.

Caroline spojrzała na niego z przerażeniem.

- Jest dwa razy większy od ciebie. Zabije cię.

- W porządku, jeśli będzie to robił powoli i da wam czas, żeby stąd uciec - powiedział. - Rowena chciałaby, żeby jej siostra była bezpieczna.

- Nie jestem pewna... - Nie było sensu kończyć zdania. Pan Travis zdążył już wyjść.

Wiatr poruszył zasłonami. Wiedziałam, że będę musiała pójść pierwsza, jeśli chciałam, by Caroline i Tabitha poszły za mną. Nie mogłam jednak wspinać się po murze w mojej sukni balowej - za bardzo ograniczała mi ruchy. Wysunęłam się z niej, aż znalazłam się w gorsecie, koszuli i pantalonach. Caroline patrzyła na mnie, jakbym była szalona.

Wyjrzałam przez okno. Kamienny gzyms był wąski i długi; ciągnął się wzdłuż całej długości budynku. Mogłabym przejść po nim do balkonu, przeskoczyć przez niego, a następnie zsunąć się po trejażu dla kwiatów z drugiej strony.

Albo po prostu upaść na kamienne płyty poniżej.

Wzięłam głęboki oddech, żeby się uspokoić, i przełożyłam przez parapet najpierw jedną nogę, potem drugą. Wysunęłam się na zewnątrz, trzymając się parapetu tak mocno, że zbielały mi kłykcie. Kolejny lekki powiew wiatru zwichrzył korony drzew, które były zbyt blisko moich oczu, bym czuła się całkiem bezpiecznie. Obok bezszelestnie przefrunęła sowa. Zazdrościłam jej. Nie była bliska upadku i śmierci na miejscu.

- Zrobię to - powiedziałam sobie.

- Nie radzę.

Sir Wentworth wystawił z okna swoją wesołą, pulchną twarz i patrzył na mnie. W zgięciu ramienia trzymał Caroline, a w drugiej ręce nóż. Caroline była bliska omdlenia. Rowena łkała, próbując wepchnąć się pomiędzy nich. Powietrze w pokoju było lodowato zimne. Serce biło mi tak *mocno*, że dudniło mi w uszach.

- Sugeruję, żebyś weszła do środka, Violet, chyba że chcesz, żeby pannę Donovan spotkał dość smutny koniec.

Ostatecznie i tak ją zabije. Za dużo wiedziała. Ale ja tego nie sprowokuję.

Przesunęłam się po gzymsie w stronę okna. Po ścianach pokoju zaczęła ściekać woda. Nikt tego nie zauważył. Kiedy znalazłam się w zasięgu jego rąk, odepchnął Caroline i wciągnął mnie do środka.

- Gdzie jest pan Travis? - zapytałam.

- Krwawi na moim najlepszym dywanie.

Tabitha wyglądała na zmieszaną.

- Moje serce bije jak szalone.

Wuj nie zwrócił na nią uwagi.

- Utalentowana panna Willoughby - powiedział. Już nie był tym pogodnym, tęgim mężczyzną, który ukradkiem podsuwał Elizabeth drugi świąteczny pudding. W jego uśmiechu było coś niepokojącego.

- Przysporzyłyabyś mi znacznie mniej problemów, gdybyś była taka, jak twoja matka. Starałem się ciebie ostrzec.

- Doprawdy? - Zamrugałam. - Urna. - Zrozumiałam nagle. - Żyrandol. To był pan.

- Ten przekłety Travis mi przeszkodził. Powinienem być zabić go także, ale Jasper zajmował go odczytami i seansami. Mam nadzieję, że okazałaś mu wdzięczność.

Raczej uznałam za prawdopodobne, iż to on był mordercą.

- Ale to pan uratował mnie przed żyrandolem.

- Zbyt dużo świadków. I powstrzymało cię to od brania mnie pod uwagę, nieprawdaż?

- Podawał pan Tabicie narkotyki - powiedziałam, przerażona. - Czemu?

- Była zbyt niespokojna. Chciała jechać do Londynu, wyjść za mąż i zrobić ze mnie nędzarza. Ani odrobiny

wdzięczności. Czy się nią nie opiekowałem? A potem pytała o ten cholerny pierścionek.

Rowena zamajaczyła nagle nad swoim wujkiem, aż zadygotał z zimna.

- Pan naprawdę zabił Rowenę.

Podniósł na mnie wzrok.

- Sprytna dziewczyna. Stanowczo zbyt sprytna.

Uniosłam uparcie podbródek.

- Ona tu teraz jest.

Podskoczył, oglądając się przez ramię. Zmrużył oczy.

- Zawsze będzie z panem - dodałam, próbując wyprowadzić go z równowagi. - Nigdy nie da panu spokoju.

- Zamknij się! - Kopnął mnie. Wyglądał groźnie i dziko. Woda zaczęła tworzyć kałuże na dywanie. - Nieważne. - Jego uśmiech znów stał się uprzejmy. Tym gorzej.

- Nie może nas pan tu trzymać. - Uderzyłam biodrem o krawędź biurka, siniacząc się boleśnie.

- Oczywiście, że mogę. Do lorda Jaspera zostanie wysłany list, w którym wyrazisz szczery żal, ale po prostu musiałas wrócić do matki do Londynu. Nikt nie będzie wiedział, że zniknęłaś, nikt nie pomyśli, by ciebie szukać, zanim będzie za późno.

Mylił się.

Colin się domyśli.

Mimo to rzuciłam się w stronę drzwi, ale jego ręka zacisnęła się wokół mojego ramienia. Lampa spadła na podłogę. Caroline pisnęła.

- Spokojnie, panno Willoughby. Ja jedynie daję pani szansę na odpoczynek. Odrobina laudanum - powiedział miłym głosem. - Nie będzie bolało. Może nawet się pani spodoba. - Szarpnęłam się mocniej. - Proszę to wypić, panno Willoughby. Będzie łatwiej, jeśli pani zaśnie. Nie mogę pozwolić, by rozpowszechniała pani swoje wiadomości, i muszę się zastanowić, co robić dalej.

- Nie. - Zacisnęłam mocno wargi, ale był silniejszy ode mnie. Wmusił we mnie laudanum, zatkał ręką moje usta i nos, dopóki nie mogłam już dłużej wstrzymać oddechu. Strużka spłynęła mi w dół gardła. Opiumowa nalewka była mocna, słodka i smakowała lekarstwem. Znałam ten smak. Był ten sam, który miała w ustach Rowena w noc swojego utonięcia. Moje kolana dygotały jak galaretowaty pudding. Wykorzystałam to i upadłam na dywan. Spuściłam głowę, wypływając większość laudanum tak, że wchłonęło się w dywan. Do mojego organizmu dostało się go wystarczająco dużo, że-bym czuła się dziwnie, jakbym była nienaturalnie lekka, ale nie groziła mi już śmierć, jak tego chciał sir Wentworth.

Wszystko było zbyt jasne i rozmazane. Było mi dość wesoło, chociaż moje myśli stały się mgliste i trudne do uchwycenia. Z wysiłkiem spróbowałam odwrócić głowę.

- Nie walcz z tym - powiedział Wentworth. - Tylko zrobisz sobie krzywdę.

- Rowena - wymamrotałam. - Jest za panem.

- W co ty grasz? - ryknął Wentworth. Ale widziałam, że włosy na rękach stanęły mu dęba. Napotkałam jego niepewny wzrok.

- Jest wszędzie - szepnęłam.

Powierzchnia lustra zafalowała jak woda, ukazując zimną twarz Roweny. Woda zaczęła skapywać po zasłonach i strumykami płynąć po dywanie. Sir Wentworth odskoczył w bok, jakby to był kwas. Poczułam zimno na policzkach. Połknęłam tyle wody, ile mogłam, wiedząc, że muszę wypłukać laudanum z organizmu.

- Co to jest? - Był wściekły, ale też wystraszony.

W każdym oknie, na każdej błyszczącej powierzchni - w dzbanku na wodę, srebrnej łyżce, srebrnych cekinach na poduszce ukazywała się twarz Roweny. Wiatr wtargnął do pokoju. Tam, gdzie nie docierał, była woda, zimny deszcz spływał

po ścianach, tworząc kałuże u naszych stóp, i uderzał o okna. Wszędzie unosił się słodki, mdły zapach białych lilii. Nie zdziwiłabym się, gdyby moja suknia zamieniła się w sople lodu.

Tabitha wstała.

- Rowena? - spytała niepewnie, z nadzieją.

Jej wuj potknął się do tyłu.

- To jakaś sztuczka.

Skrzynia Roweny otworzyła się i wyleciały z niej złożone listy, uderzając go w twarz. Krawędzie pocięły mu skórę, aż poleciała krew. Opędzał się od nich szaleńczo. W kąciu ust pieśniła mu się ślina. Zimny wiatr uderzał w niego, póki nie potknął się o własne stopy, próbując w pośpiechu wydostać się z pokoju. Rowena przeleciała przez drzwi, ścigając go z upiornym śmiechem, przypominającym brzęk tłuczonego szkła.

Mimo to udało mu się przekręcić klucz w drzwiach. Trzask zamka zabrzmiał jak strzał z pistoletu.

ROZDZIAŁ 24

c\$ K>

R O K W C Z E Ś N I E J

Rowena była pewna, że to jej wuj wykradł list spod poduszki. Nie była bezpieczna. Pan Travis również. Musiała uciec, ostrzec Tabithę, być może przekonać ją, by uciekła wraz z nią. Czekwała, aż będzie po północy, by wymknąć się z sypialni. Będzie musiała umieścić rzeczy w powozie i powiedzieć Reecowi, by poczekał, zanim obudzi Tabithę.

- Roweno, tu jesteś.

Wuj czekał na nią u dołu schodów. Wyszedł z cienia, zanim zdążyła go zauważyć. Złapał ją za nadgarstek, wystarczająco mocno, by go posiniaczyć.

- Musimy porozmawiać.

Zaciągnął ją do swojego gabinetu.

- Coś przede mną ukrywasz.

Zaschło jej w gardle.

- Nie wiem, co masz na myśli.

- Znalazłem list twojego ojca. Masz zamiar uciec z biednym synem krawca. Nie wiem, co wyobraża sobie mój brat, pozwalając ci na to szaleństwo.

-Ja...

Uśmiechnął się.

- Nie ma potrzeby się niepokoić. Żałuję tylko, że nie przyszedł do mnie w tej sprawie, zamiast mnie podchodzić.

- Naprawdę?
- Oczywiście. Jesteś moją bratanicą. Chcę tylko tego, co dla ciebie najlepsze.

- Kocham go, wuju Reginaldzie.
- Jestem pewien, że tak. Jesteś za młoda, by wyjść za mąż, moje dziecko.

Uniosła buntowniczo brodę.

- To jest to, czego chcemy.
- Rozumiem. - Podał jej kryształowy kieliszek słodkiego wina. - Więc wzniesiemy toast.

Nie chciała pić, chciała znaleźć Reecea i księdza, którzy udzieliby im ślubu. Ale wuj tak długo opiekował się nią i Tabitha, że byłoby niegrzecznie odrzucić ten gest pojednania, nawet jeśli nagle poczuła, że jej nerwy są splątane i postrzępione jak nici do haftowania.

Wypiła okropne, mdłe wino. Kleiło się jej do języka jak syrop. Skrzywiła się.

Wuj uśmiechnął się. Ze swoim zwalistym ciałem zawsze sprawiał wrażenie jowialnego. Teraz wydawał się groźny.

- Przejdziemy się po parku? Wyglądasz blade.

Zamrugęła, zdumiona.

- Słucham?

- Chodź, pójdziemy. - Wziął ją mocno za ramię i przeprowadził przez drzwi na zewnątrz. Księżyc tworzył blade łuk świetlny, niemal niebieski za zasłoną z chmur. Patrzyła na niego przez chwilę. Był taki ładny.

Zamrugęła ponownie, unosząc rękę do głowy.

- Co się ze mną dzieje?

Świerszcze w żywopłotach brzmiały jak małe skrzypce. Zachichotała.

- Przejdźmy się, dobrze? - Wuj był uprzejmy, ale szorstki, kiedy ciągnął ją za żywopłoty z cisu i szpaler brzoź. Trawnik przechodził w zielone pola. Padał lekki deszcz. Krople były srebrzyste

I spadały w dziwny sposób, jakby poruszały się nie przez powietrze, a przez skały. Nagle stały się ostre jak igły. Cofnęła się.

- Co mi zrobisz? To trucizna?

- Oczywiście, że nie, to by było zbyt kłopotliwe. To tylko laudanum, moja droga. Byłaś zdenerwowana.

Zamarta, próbując opanować uczucie, jakby ziemia falowała jej pod stopami.

- Nie wzięłam żadnego laudanum. - Kołysała się w przód i w tył, najwyraźniej nie mogąc tego powstrzymać. Na mokrych wzgórzach zalsniła sadzawka. - Wzięłam? - Wiedziała, że powinna być przerażona, ale czuła się jedynie lekko i sennie. - Ach, to wino.

Nadal nie puścił jej ramienia. Już czuła, jak na jej skórze wykwitają siniaki. Mogła stawiać opór, ale wydało jej się to zbyt dużym wysiłkiem.

Ujął ją pod brodę i spojrzał jej bacznie oczy.

- Źrenice się zmieniają - powiedział. - Dobrze. To nie potrwa długo.

- Co chcesz zrobić?

- Obawiam się, że wkrótce ulegniesz tragicznemu wypadkowi. - Pokręcił smutno głową. - Żałuję, że nie miałaś lepszych manier, Roweno. Nie chcę tego robić.

Potknęła się. Jej język stał się ociężały.

- Przecież jestem twoją bratanicą.

- Tym bardziej mi przykro. - Postawił ją na nogi, bo omal nie upadła. - Myślałaś, że uczynisz mnie nędzarzem, tak? Myślałaś, że uciekniesz bez mojej wiedzy?

Euforia zniknęła. Czuła się tylko wyczerpana i nieswoja, jakby nie miała kontroli nad własnymi kończynami. Szarpnęła się słabo.

- Wuju Reginaldzie - błagała cienkim głosem. - Proszę.

- To twoja wina - odparł surowo. - Jeśli myślisz, że pozwolę ci wyjść za jakiegoś kupca i zabrać mi to wszystko, to jesteś głupia.

Reece. Na wspomnienie jego poważnej twarzy zaczęła się szamotać jak kot z pyszczkiem pełnym pieprzu. Walczyła tak zawzięcie, że zaklął, nie będąc w stanie jej powstrzymać, jego ręce opłótły jej szyję. Dławiąc się, wpiła się w niego pazurami. Wzmocnił uścisk, dusząc ją powoli, dopóki nie straciła przytomności.

Kiedy zemdląta, podniósł ją, leżącą bezwładnie, i zaniósł nad brzeg sadzawki. Tafla była spokojna i ciemna, kiedy zsunął jej obojętne ciało pod powierzchnię.

Otworzyła oczy tylko raz, zanim zagarnęła ją woda.

ROZDZIAŁ 2 5

OS

Uniosłam chwiejnie głowę. Czułam nudności, a w ustach smak wody w stawie. Jęknęłam, a głowa zabołała mnie okropnie, kiedy spróbowałam usiąść.

- Violet! - krzyknęła Caroline. - Dzięki Bogu, myślałam, że cię zabił.

- Miał taki zamiar. - Pokój wirował lekko. Trzymałam głowę między dłońmi, zanim wszystko nie znalazło się na swoim miejscu. - Nienawidzę tego człowieka.

Rowena pojawiła się nade mną przez krótką chwilę. Zabrała rękę z mojego czoła. Jej oczy płonęły. Wykorzystała skutki laudanum, by pokazać mi, co zrobił jej wuj i co, jak się obawiała, mógłby zrobić Tabicie.

Wyciągnęłam rękę w poszukiwaniu szklanki wody na stole nocnym i zmusiłam się do jej opróżnienia.

- Wrócił tu?

Caroline pokręciła głową.

- Jest szalony.

Przytaknęłam, ale zaraz tego pożałowałam, bo moja głowa i żołądek zaprotestowały.

- Potrzebujemy pomocy. - Udało mi się wstać, mimo że czułam się tak stabilna jak nowo narodzony źrebak. Zachwiałam się. - Ale najpierw potrzebuję nocnika. - Caroline wskazała mi malowany, jedwabny parawan w rogu. Skierowałam się do niego, powłócząc nogami.

- Nie mogę zostawić Tabithy - powtórzyła, kiedy ukazałam się ponownie z pustym pęcherzem, czując się już trochę lepiej. - A ona czuje się jeszcze gorzej niż ty.

- W takim razie ja pójdę - powiedziałam. - Pomóż mi zablokować drzwi. Tym razem mam zamiar się stąd wydostać.

Popchnęłyśmy przed drzwi ciężką szafę, a następnie, dla pewności, biurko oraz kanapę. Kiedy skończyłyśmy, miałam wrażenie, jakbym przeniosła cały Stonehenge. Czułam się okropnie. Ale Wentworth nie będzie mógł ponownie dostać się do pokoju, by wykorzystać Tabithę lub Caroline przeciwko mnie. Miałam szczerą nadzieję, że pan Travis żyje. Moja suknia była mokra od potu. Zmuszałam się do poruszania i było to najtrudniejsze ze wszystkiego, co do tej pory robiłam. W myślach przeprosiłam panią Gordon i jej siostrę, zastanawiając się, czy one też czuły się tak źle po każdej z naszych wizyt. Następnie dla wzmocnienia opróżniłam filiżankę zimnej herbaty stojącą na małym stoliku.

Caroline przygryzła wargę, patrząc, jak ponownie wychodzę na gzyms. Chwyciłam się ściany tak **mocno**, że złapał mnie skurcz w dłoniach.

- Violet, nie wyglądasz dobrze. Może powinnaś poczekać.

- Nie mogę. - Jęknęłam, próbując wstać i nie spaść na plecy, wgniatając przy tym policzek w ścianę. Kamienna ściana była zimna. Moja lewa stopa pośliznęła się. Stłumiłam okrzyk, przywierając do ściany.

Caroline krzyknęła.

- Uważaj na siebie!

Nie odpowiedziałam, całkowicie skupiona na pokonywaniu ostatnich kilku metrów dzielących mnie od balustrady balkonu. Posiadłość Whitestone pode mną była pogrążona w mroku, ale za wzgórzami mogłam dostrzec migocące światła Rosefield i słyszeć muzykę płynącą przez otwarte okna.

Rosefield wydawało się niemożliwie daleko, z sadzawką błyszczącą w połowie drogi.

Nie powinnam o tym myśleć. Istniało tylko teraz, poręcz balkonu pod moją dłońią, moje kolano uginające się, kiedy się podciągałam, mój urywany, pełen napięcia oddech, kiedy przysiadłam na chwilę, czekając, aż przestanie mi się kręcić w głowie.

Doszłam tak daleko, dojdę jeszcze dalej.

Po drugiej stronie balkonu był treliaż. Oparłam się na nim przez chwilę, by sprawdzić jego wytrzymałość przed opuszczeniem bezpiecznego balkonu. Róże łaskotały mnie w nos, a ich kolce wbijały się w moją skórę. Opuściłam się powoli w dół, tak powoli, że mięśnie moich ramion drżały od wysiłku, jaki podejmowałam, by utrzymać moje ciało w górze. Nigdy nie byłam tak bardzo szczęśliwa, czując grunt pod moimi stopami. Spojrzałam w górę, kiwając na Caroline głową. Kiwnęła w odpowiedzi, wychylając się przez parapet, blada jak księżyc.

Przykucnęłam za żywopłotem z cisów, łapiąc oddech. W oknie bawialni paliła się lampa olejna. Cień Wentwortha mignął na wytapetowanej ścianie. Kierował się z powrotem na górę.

Nie mogłam na to pozwolić. Potrzebował Tabithy żywej, trzymane w odosobnieniu, żeby nie wyszła za męża, ale teraz Caroline wiedziała za dużo. Zabije ją. Zwłaszcza kiedy zda sobie sprawę, że uciekłam.

- Roweno - szepnęłam. - To przez ciebie jestem po uszy w kłopotach. Pomóż mi, do cholery.

Pierwsza kropla deszczu uderzyła mnie w oko. Nie byłam do końca pewna, co o tym myśleć.

Jeśli to miał być znak, to był on bardzo niejasny.

Deszcz rozpadał się na dobre, wsiąkał w moje włosy i ciągnął rąbek mojej spódnicy do ziemi. Ale zimna wilgoć na

mojej szyi miała również efekt orzeźwiający, przeganiając resztki otumanienia laudanum.

Wiedziałam, co powinnam zrobić.

Nawet jeśli zupełnie, ale to zupełnie nie miałam na to ochoty.

Wyprostowałam się pod włóczyniami piorunów padających z nieba. Podeszłam do okna i przystanąłam, z rękoma przyciśniętymi do szyby. Zaczekałam, aż Wentworth mnie zobaczy, aż dojdzie do drzwi, zanim zaczęłam biec ile sił w nogach, odciągając go od Tabithy i Caroline w panujący na polach mrok.

Uciekałam przez błotnistą trawę, podczas gdy deszcz zalewał nas ze wszystkich stron. Sir Wentworth biegł za mną w zaplamionej winem koszuli, z włosami sterczącymi we wszystkie strony.

- Wracaj tu! - wrzeszczał. - Rzuciłeś na mnie klątwę, ty mała czarownico. Ona nie chce zostawić mnie w spokoju!

Pędziłam przez wzgórze, *czując* ogień w płucach. Potknęłam się, ale zmusiłam do dalszego biegu. Prawie rozpłakałam się z ulgi, kiedy zobaczyłam Rowenę unoszącą się nad kamienistym brzegiem sadzawki. Koło nas rozległ się grzmot. Wiatr targał liliami. Wentworth złapał koronkę trzepoczącą u rąbka moich pantalonów i runęłam na twardą ziemię. Brakowało mi tchu, ale jeszcze zdołałam go kopnąć.

- Zostaw mnie! - Kopnęłam mocniej, ale chybiłam. Deszcz zaczął padać wolniej i zastygał, gromadząc się i zamarzając nad sadzawką. Lód skuł powierzchnię wody.

Wentworth wypluł z ust płatki lilii.

Co u diabła?

Poczułam ciśnienie w klatce piersiowej i przenikliwe zimno na moich dłoniach. Wszędzie był deszcz i lilie.

Rozpoznałam moment, kiedy ją zobaczył, płynącą w jego kierunku. Zbladł, widziałam to nawet w mroku gwałtownej burzy.

- Nie, nie.

Podeszła bliżej, blada jak brzuchy żab i płatki lilii. Wyciągnęła rękę, by go dotknąć, a on wzdrygnął się. Jej ręka przeszła przez niego na wylot. Ogarnęła ją irytacja. Poszybowała przez wysokie trawy, zatrzymała się nade mną i pochyliła, jakby miała zamiar położyć się i zasnąć.

Używając mnie jako łożka.

Poczułam mrowienie w rękach, zupełnie jakbym trzymała je zbyt długo w lodzie. Miałam wrażenie, że jestem gdzieś daleko, a moja ręka samorzutnie podniosła się i złożyła w pięść. Próbowałam zmarszczyć brwi, ale moja twarz nie chciała współpracować. Starłam się rozewrzeć palce, ale wydawały się należeć do kogoś innego. Moje włosy unosiły się w powietrzu wokół mnie, jakbym znajdowała się pod wodą.

- Wuju Reginaldzie - z moich ust nie dobiegał mój głos. Czułam ból krtani.

- Nie - sir Wentworth zbladł jeszcze bardziej.

Uśmiechnęłam się. A raczej Rowena użyła mojej twarzy, by się uśmiechnąć. Starłam się uwolnić, czułam się złapana w pułapkę, przerażona. Była w mojej głowie, moich kościach, mojej krwi.

- To tutaj mnie zabiłeś - powiedziała niemal słodko.
- Pamiętasz?

- To niemożliwe. - Przetarł oczy.

Odwróciła moją głowę i włosy, które nadal unosiły się w powietrzu. Z jednej strony poplamione były krwią.

- Uduśiłeś mnie i patrzyłeś, jak tonę. - Siniaki na moich nadgarstkach i szyi zrobiły się purpurowe. Szkoda, że wcześniej nie była taka gadatliwa. - I wszystko dlatego, że pragnąłeś Whitestone.

- Zasługuję na nie. - Zaszczekał zębami. Szron zakwitł jak pełzający bluszcz na trawie, kwiatkach i nawet na świerszczach, teraz nagle milczących.

Znalazłam się bez oparcia w moim własnym ciele. To trwało zbyt długo. Nie miałam czego się trzymać, niczego, co przykuwałoby mnie do ziemi. *Nie puszczaj* - powiedziała ostro Rowena swoim własnym głosem, w ciemności panującej w mojej głowie. Wstałam. Wyznanie winy tutaj, na środku pola, nie przyniosłoby nikomu nic dobrego. Potknęłam się, Rowena oddaliłaby się z wdziękiem, ale moje ruchy były niezdarne i gwałtowne, jakbyśmy walczyły ze sobą o sznurki od marionetki.

Rowena wypływała z mojego ciała i wracała, kusząc Wentwortha, by szedł za nami. Starałam się nie zwymiotować na własne stopy. Zmusiłam się do ruchu, używając drzew, by podążać w kierunku ogrodów Rosefield. Wiał zimny, przenikliwy wiatr.

- Nie jesteś prawdziwa, nie jesteś - mamrotał Wentworth, wciąż idąc za mną.

Przyspieszyłam kroku.

Chwasty ustąpiły zadbanym trawnikom, a ja omal nie rozplakałam się z poczucia ulgi. Już niedaleko. Czułam zapach róż, widziałam światła lamp wylewające się na taras. Grała radosna, delikatna muzyka.

Wentworth przedzierał się przez szpalery drzew, miotając przekleństwa. Przebiegłam obok szepczącej pary, aż odskoczyli od siebie, zdumieni. Drzwi były otwarte, by wpuścić świeże powietrze dla ochłody tancerzy.

Wpadłam do sali balowej. Goście zastygli, odwracając się, by na mnie spojrzeć. Wiedziałam, że wyglądam jak straszdydło, mokra jak podtopiony szczur, pokryta błotem i w samej bieliźnie. Trzęsłam się, zmoczona przez burzę, wyczerpana przez laudanum i opętana przez Rowenę. Dźwięki pięknego walca przycichły, a następnie umilkły. Zamknęłam na chwilę oczy, a kiedy je otworzyłam, podtrzymywał mnie Colin.

- Co u diabła? - spytał, wyglądając na przerażonego. Na widok błyszczących guzików jego płaszcza zrobiłam wielkie

oczy. Ukradł mundur lokaja, by móc swobodnie poruszać się na przyjęciu i obserwować Petera, który, jak się okazało, nie potrzebował być obserwowany.

- Wentworth? - Lord Jasper wyszedł na przód, kiedy przez drzwi, ledwie parę sekund po mnie wpadła kolejna osoba. Światło padło na srebrnego łabędzia u laski lorda Jaspera.

Wentworth wyglądał tak dziko, jak ja się czułam. Włosy miał zmierzwiłone i wywracał oczami, aż widać było same białka. Wybuchł dziwnym, tłumionym śmiechem.

- Morderca - wychrypiałam głośno tym dziwnym, nie swoim głosem. Wszyscy spojrzeli na Wentwortha, który wyprostował się. Gniew nagle dodał mu odwagi. Wyglądał, jakby nie zauważył, gdzie się znajduje, lub jakby już się tym nie przejmował.

- Nie miałem wyboru. Chciałaś nas szantażować. To twoja wina - stwierdził szyderczo. - Ze wszystkich ludzi wybrałaś syna mojego krawca! Chciałaś z nim uciec. Absurd! Myślisz, że Reece Travis kochałby cię nawet po tym, jak otrzymałby twoje wiano?

- Kochałam go. - Trzęsłam się mocno, ledwo będąc w stanie ustać na nogach. Colin podtrzymał mnie. - A ty mnie za to zabiłeś.

- Nie mogłem pozwolić ci roztrwonić ostatnich rodzinnych pieniędzy, jak zrobił to mój nic niewart brat! - wykrzyknął z furją. - Nikogo innego nie obchodzi ta rodzina, ani jego, ani ciebie. Opiekowałem się tobą i jak chciałaś mi się odpłacić? Zabierając resztkę ziemi Wentworthów i oddając ją biednemu krawcowi. Co by się ze mną stało? - Gdy Tabitha chciała zadebiutować na salonach, odczuł ten sam strach. Gdyby wyszła za męża, pozbawiłoby go to środków do życia. Ale wiedział, że przypadkowa śmierć dwóch bliźniaczek mogłaby wzbudzić wątpliwości, więc odmówił zabrania jej do Londynu i w tajemnicy podawał laudanum, żeby była uległa.

- Nie kazałabym ci opuścić Whitestone.

Potrząsną głową, przypatrując mi się intensywniej.

- To nie może być prawda - wybełkotał, jakby usta mu zdrętwiały. - To jest sen, tylko sen. - Odwrócił się i wrzasnął na orkiestrę. - Grajcie do diabła, to bal, myślę się?

Głucha cisza przerywana była oddechami i gorączkowym szeptem. Nikt się nie poruszył. Rowena już zbyt długo pozostawała w moim ciele. Zaczęłam się zastanawiać, gdzie kończy się ona i gdzie zaczynam ja. Jej i moje wspomnienia zbyt mocno się przeplatały.

- Jest zimna. - Colin rozcierał moje ręce swoimi. - Spójrzcie na jej oczy.

Jasper zaklął. Wywnioskowałam z tego, że moje oczy wyglądały dziwnie.

- Duchu - powiedział, nachylając się nade mną. - Zostaw tę dziewczynę.

Pokręciłam głową, a może zrobiła to Rowena - nie byłam pewna.

- Zostaw ją! Rozkazuję ci!

Rowena zignorowała go. Ktoś wrzasnął.

- To nie jej twarz! - Usłyszałam, jak ta osoba osuwa się na ziemię.

Colin wyjął sól z kieszeni i wepchnął mi ją pod język.

- Zostaw ją w spokoju!

Rowena wzdrygnęła się, czując smak soli.

- Jeszcze - szepnęłam.

Colin opróżnił kieszenie. Przełknęłam szybko, wykrzywając usta. Rowena krzyknęła. Sól zaczynała działać, ale Rowena walczyła rozpaczliwie, zawodząc w mojej głowie. Zadygotałam, próbując uwolnić się od tego dźwięku.

- Nie, póki się nie przyzna. - Słowa były wypowiedziane w połowie moim głosem, a w połowie głosem Roweny. Czulałam wodę w sadzawce zamykającą się nad moją

głową i walczyłam usilnie, łapiąc powietrze. Nie, nad głową Roweny. Ja byłam w sali balowej. W sali balowej. Nie utonąłam. Uczepiłam się zapachu woskowych świec, lamp olejnych i drzewek pomarańczowych w doniczkach.

Colin delikatnie położył mnie na ziemię, a potem skoczył, pięścią uderzając Wentwortha w twarz. Z nosa pociekła mu krew.

W tej chwili Rowena trochę zakochała się w Colinie.

Rozpoznałam to uczucie, nawet w tym zamęć.

- Przyznaj się, do diabła! - krzyknął Colin. Podpełzłam tam, gdzie upadł Wentworth.

Dotknęłam jego ręki i biały szron sięgnął aż do jego ramienia.

- Powiedz to!

Jęknął i splunął krwią. Szron piekł go w podbródek i rozprzestrzenił się po policzku. Zadrżał tak silnie, że krew bryzgnęła na podłogę.

- Zamordowałem moją bratanicę. - Odłamki lodu wydobyły się z jego ust, niebieskich jak siniaki. Lód sklejał mu rzęsy. - Przestań! Przestań!

Rozległy się zszokowane szepty. Ktoś upuścił kieliszek szampana. Deszcz zaczął wpadać do środka, rozlewając się po podłodze. Jasper oparł się na swojej lasce, z twarzą surową, ale niezbyt zaskoczoną.

Ból pulsował w mojej głowie. I wtedy Rowena zniknęła, tak szybko, że zemdlałam u stóp lorda Jaspera, podczas gdy tańczące damy patrzyły na nas, wciąż nieruchome, w swoich najlepszych sukniach balowych. Zdażyłam jeszcze usłyszeć okrzyk siostry lorda Jaspera.

-I w dodatku w bieliźnie, no coś podobnego! - Zabójstwo było mniej skandaliczne od mojego gorsetu i pantalonów. Pociągnęła nosem. - Jaka matka, taka córka!

EPILOG

- Umarła?

- Nie sadzę. Szturchnij ją.

- Ty ją szturchnij!

Nie rozpoznawałam głosów. Jęknęłam, próbując otworzyć oczy. Światło świecy wydawało się niemożliwie jasne. Twarze wokół mnie nie były bardziej znajome od głosów.

- Nie umarłam - wychrypiałam do duchów. Czułam, jakby moje gardło było pełne piasku. Pan Rochester zaskomlał i polizał moją rękę. Młoda dziewczyna obdarzyła mnie bezzębnym uśmiechem. - Przynajmniej tak mi się wydaje.

Mężczyzna, który przemówił pierwszy, wyglądał prawie jak pirat. Uśmiechnął się do mnie szelmowsko. Przez jego przezroczyste zęby widziałam znajdujący się nad nim sufit.

- Wróciłaś do siebie, mała.

- Tylko nie kolejny duch. - Moja głowa wydawała się płonąć. Ze śmiechem odrzucił głowę do tyłu.

- Nie bój się, wiem dokładnie, kto mnie zabił, i zasłużyłam na to.

- Obudziła się! - Tym razem był to przepełniony ulgą głos pędzącego ku mnie Colina. - Jesteś ranna? Możesz usiąść? Violet?

Pirat puścił do mnie oko.

- Miłość, mała. Gratuluję. - Rozpłynął się jak dym. Stateczna kobieta po drugiej stronie pokręciła z dezaprobatą nosem na Colina. - Nie powinien cię tak trzymać

- stwierdziła oskarżycielsko, zanim również zniknęła. - To nie przystoi.

Nigdzie nie widziałam Roweny. Przeszukałam swoje wspomnienia, ostrożnie, jakby były bolącym zębem. Niektóre zdania były niewyraźne, ale wiedziałam przynajmniej, które z nich przydarzyły się mnie, a które Rowenie. Wreszcie byłam w mojej głowie sama.

- Dzięki Bogu - powiedziałam. Chwyciłam się za głowę, kiedy Colin mnie podnosił. - Auuu.

- Przepraszam, przepraszam.

Nigdy nie widziałam go tak zaniepokojonego i rozgorączkowanego. Wyglądał na dużo młodszego i dużo starszego jednocześnie. Włosy miał rozczochrane, jakby często je przeczesywał. Jego koszula była sucha, a ja miałam na sobie porządną, nocną koszulę, co oznaczało, że przez dłuższy czas byłam nieprzytomna.

- Gdzie ja jestem? - Nie byłam pewna, co kryło się za kręgiem oświetlonym przez świece.

- W swoim salonie - odezwał się łagodnie lord Jasper z fotela przy kominku. - Zaradna z ciebie dziewczyna, nie ma co.

- Co z Roweną?

Uśmiechnął się do mnie łagodnie.

- Odeszła. Pewnie wreszcie spoczywa w pokoju, dzięki tobie.

Odetchnęłam z ulgą.

- To dobrze.

- Jestem ci winien przeprosiny, Violet.

Zamrugałam oczami.

- Za co?

- Zaprosiłem ciebie i twoją matkę dla swoich własnych celów. Miałem nadzieję, że w obecności tych samych ludzi, w rocznicę śmierci Roweny, medium sprawi, że pewne fakty wyjdą na jaw. Nie spodziewałem się tego.

- A więc wiedział pan, że utonięcie Roweny to nie był wypadek.

- Podejrzywałem, że nie.

- Co z Tabitha? - Zapytałam. - Nic jej nie jest?

- Jestem tutaj - wychrypiała z pokoju, w którym mieszkała moja mama podczas naszej pierwszej wizyty. Colin musiał mi pomóc doczłapać do drzwi. Oparłam się o nie całym ciężarem. Tabitha leżała pod stertą koców. Wyglądała marnie.

- Sprowadziłem ją tutaj tak szybko, jak mogłem - wyjaśnił cicho lord Jasper. - Był tu lekarz, ale już wyszedł. Obie musicie odpoczywać.

- Wyglądasz okropnie - szepnęła do mnie. Wydawało mi się, że stara się uśmiechnąć. Spróbowałam odwzajemnić uśmiech. Czułam się wiotka jak ugotowany makaron.

- Ty też.

- Violet?

- Tak?

- Dziękuję.

Skinęłam głową i znów się za nią złapałam. Colin zaniósł mnie na pustą kanapę.

- Czy mogłabym dostać trochę wody? - Wypiłam zachłannie, kiedy przyniósł mi szklankę, a następnie położyłam się z powrotem na poduszce, wyczerpana. - Co z panem Travisem?

- Wraca do zdrowia u siebie. Miał paskudną ranę ciętą na głowie i złamaną nogę. Bardzo prawdopodobne, że będzie kulał, ale przeżyje.

- A sir Wentworth? - Splunęłabym, wymawiając to imię, ale nie miałam siły.

- W więzieniu Newgate - powiedział lord Jasper. - Komisarz go zabrał. Jako arystokrata nie będzie sądzony, ale podejrzewam, że zostanie deportowany. Mam wręcz zamiar tego dopilnować.

- Dobrze. - Ziewnęłam. - Naprawdę go nie lubię - wymamrotałam z trudem. Zerknęłam na Colina. - Dziękuję, że mu przyłożyłeś.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł ponuro.

Nie wiedziałam, jak Rowena i jej wuj wpłynęli na mój dar. Wysiłałam się, by otworzyć moje trzecie oko, które wydawało się pogrążone we śnie. Pan Rochester podniósł się z mojego kolana, gdzie najwidoczniej leżał zwinięty w kłębek. Spojrzał prosto na mnie i zaszczekał wesoło. Musiałam się uśmiechnąć.

Tabitha spojrzała na mnie z nadzieją.

- Rowena?

Pokręciłam głową.

- Odeszła - wyszeptałam.

Skinęła głową, przygryzając wargę.

- W końcu odnalazła spokój. - Lord Jasper dotknął jej ramienia. - Wysłałem wiadomość do twojego ojca. Oczywiście pozostaniesz z nami, dopóki go nie znajdziemy.

- Dziękuję. - Bawiła się bezmyślnie pierścieniem.

- A teraz odpoczywajcie - zakończył, zabierając Caroline i Colina ze sobą.

Po kolejnym dniu odpoczynku obudziłam się z wilczym apetytem. Zjadłam górę jedzenia i poczułam się wystarczająco dobrze, by się ubrać. Tabitha nadal leżała w łóżku, ale wyglądała, jakby zaczynała wracać do zdrowia. Elizabeth zakradła się do naszej bawialni, jeszcze zanim sprzątnięto tacę ze śniadaniem. Nie była porządnie ubrana, jedynie opatulona w obszerny szlafrok.

- Och, Violet, już ci lepiej! - wykrzyknęła, podbiegając, by mnie uściskać. Również ją uściskałam.

- Dużo lepiej - zapewniłam ją. - Myślałam, że już wyjechałaś.

- Jesteśmy ostatnimi gośćmi i wyjeżdżamy dzisiaj. Właśnie dlatego się tutaj zakradłam. Matka zabroniła mi z tobą rozmawiać. - Wydęła wargi. - Co wydaje się niezwykle uprzejme, zważywszy, że odkryłaś mordercę i postawiłaś go przed obliczem sprawiedliwości. I to mimo zagrożenia własnego życia.

- Ale zrobiłam to w bieliźnie.

Westchnęła, uśmiechając się nieznacznie.

- Tak, to ci nie pomogło.

Wzruszyłam ramionami.

- Cieszę się, że już po wszystkim.

- Żadnego znaku od Roweny?

- Nie, od czasu balu.

- To dobrze, prawda?

- Tak myślę.

Uściskała mnie raz jeszcze.

- Lepiej już pójdę, zanim przyjdzie mnie szukać. Napiszę do ciebie.

Przyszło mi do głowy, że nie byłam zupełnie pewna, jak powinna adresować swoje listy. Umowa najmu naszego domu w Londynie wkrótce wygasała, a nie mieliśmy wystarczająco dużo pieniędzy, by ją przedłużyć. Nie byłam pewna, czy mogłabym poprowadzić wystarczająco dużo seansów, by uporać się z tym problemem. Na samą myśl o tym rozbolała mnie głowa.

Skoro nie leżałam już w łóżku, postanowiłam pójść na spacer. Znalazłam Colina na tyłach stajni, opartego o drzewo, z podwiniętymi rękawami koszuli. Ruszyłam ku niemu przez mleczce. Odepchnął się od dębu, uśmiechając się szeroko.

- Violet.

- Bałam się, że wróciłeś do Londynu. - Nie mogłam opowiadać szerokiego, głupkowatego uśmiechu na twarzy.

- Jakbym mógł odjechać bez ciebie - powiedział, jakbym powiedziała głupotę. Wziął mnie za rękę. Jego dłonie były

CÓRKA MEDIUM

ciepłe, zgrubiałe i dodawały otuchy, nawet kiedy czułam przyjemne mrowienie w brzuchu. - A dokąd ty się wybierasz?

- Mam zamiar odwiedzić pana Trvisa.

- Pójdę z tobą.

Szliśmy otoczoną żywopłotem drogą w kierunku wioski. Colin zerwał jeżyny i zapakował je w chusteczkę na później. Słońce ogrzewało mi ramiona. Zatrzymaliśmy się raz, żebym mogła ukraść kilka jabłek z drzewa na skraju sadu. Dałam jedno Colinowi, pamiętając, co mówił o szarlotce swojej mamy. Położył je bardzo ostrożnie na niskim kamieniu, zanim objął rękami moje ramiona i przyciągnął mnie do siebie. Poczułam małe zawiniątko w górnej kieszeni jego płaszcza. Jego pocałunek był długi, powolny i wspaniały. Przerwaliśmy, kiedy jakiś wóz zaczął zbliżać się z łoskotem w naszą stronę.

Wioska była mała, z ładnymi domkami i główną ulicą pełną sklepów. Znaleźliśmy namalowany szyld z napisem „Travis i synowie, usługi krawieckie” i weszliśmy do środka. Jeden z braci Reecea skierował nas na górę. Szwagierka Reecea, w bardzo zaawansowanej ciąży, otworzyła nam drzwi i zaprowadziła do sypialni.

Reece leżał na wąskim łóżku przy oknie. Obok stał stół zalany lekami. Miał siniaki na twarzy, głowę owiniętą bandażem oraz zabandażowaną nogę.

- Panna Willoughby. - Uśmiechnął się. - Cieszę się, widząc, że dobrze się pani miewa.

- Przyniosłam panu prezent - powiedziałam łagodnie, podając mu owinięty wstążką stos listów. Zapach konwalii uniósł się w powietrze. - Przekonałam Tabithę, żeby je panu oddała. - Jego oczy były podejrzenie błyszczące. Odwróciłam wzrok, by pozwolić mu się opanować. Colin stał zaraz za mną, jego ramię ocierało się o moje.

- Dziękuję. - Ręce Reecea drżały lekko, kiedy sięgał po pakunek. - Zachowałem tylko jeden - wyjaśnił. - Wysłałem

je do niej z powrotem, kiedy próbowałem pozwolić jej odejść. Trzymała je i zamiast tego planowała ucieczkę. Nigdy nie mogłem jej niczego odmówić. - Trzymał je mocno, jakby miał zamiar nigdy ich nie wypuścić.

Zostawiliśmy go, żeby mógł je przeczytać na osobności, i udaliśmy się z powrotem do Rosefield.

- Naprawdę będzie mi brakować tego miejsca - powiedziałam Colinowi. Oplótł tylko swoje palce wokół moich i poszliśmy wzdłuż porośniętej drzewami alei, przez las róż, aż do drzwi wejściowych. Lord Jasper stał w holu, kończąc naradę z panią Harris na temat kolacji. Lokaj ukłonił mi się, wręczając list. Omal nie jęknęłam, kiedy po niego sięgałam. Ostatnio miałam już dość listów.

Ten nie był wcale lepszy.

- Matka opuściła nasz dom - oznajmiłam cicho Colinowi. - Przyjęła protekcję lorda Marshalla. - Moja matka została metresą. Skrzywiłam się i czytałam dalej. - Marshall przeniósł ją do nowego mieszkania. A jako że córki są dla kochanków obciążeniem, nie jestem mile widziana. - Colin zacisnął ręce w pięść. - Pisz, że mając szesnaście lat, była już samodzielna, więc ja też mogę, biorąc pod uwagę, że ukradłam jej reputację spirytualistki, na której utrzymanie tak ciężko pracowała.

- Bzdury - wymamrotał Colin. - Nieważne, nareszcie się od niej uwolniłaś.

Wzięłam głęboką oddech.

- Co teraz zrobimy? Mam szukać posady? Hodować owce? - Próbowałam się uśmiechnąć.

- Zostaniesz tutaj. - Lord Jasper uderzył stanowczo swoją laską o posadzkę. - Potrzebujesz więcej ćwiczeń - nalegał. - Nie możesz tak po prostu pozwalać duchom osiedlać się w twojej głowie, moje dziewczę.

Uśmiechnęłam się, zdenerwowana, pełna nadziei i wdzięczna jednocześnie.

- A co z Colinem? - Nie chciałam być zachłanna, ale nie miałam zamiaru go opuścić. - Nie mogę tak po prostu zostawić go samego. - Ścisnęłam go za rękę.

- Nie przejmuj się mną - powiedział.

- Jego dziadek był ogrodnikiem - zasugerowałam.

Lord Jasper wzruszył ramionami.

- Jeden więcej nie zaszkodzi. Mamy rozległe ogrody. Sądzę, że Godfrey mógłby skorzystać z jego pomocy.

- Dziękuję, sir - odpowiedział Colin. Nie było to idealne rozwiązanie, ale da nam czas, żeby ułożyć własny plan. Zresztą on nienawidził Londynu.

- Ja też mogę pracować - zapewniłam lorda Jaspera.

Pokręcił głową.

- Będziesz pracować wystarczająco ciężko, ucząc się, jak właściwie wykorzystywać twoje zdolności. - Bycie medium pod kuratelą lorda Jaspera wydawało się dalece mniej niepokojące niż pod kontrolą matki. - Powinnaś teraz odpocząć - dodał. - Wciąż jeszcze dochodzisz do siebie.

Colin wszedł ze mną po schodach. Jego proste ubrania nie pasowały do wspaniałych obrazów i pozłacanych poręczy. Był piękniejszy niż jakakolwiek antyczna rzeźba lub arystokratyczni przodkowie Jaspera.

- Masz coś przeciwko temu? - zapytałam. - To znaczy przeciwko posadzie ogrodnika?

- To o wiele lepsze od bycia chłopcem na posyłki twojej matki - stwierdził, odgarniając włosy z mojej twarzy. - Nie mam nic przeciwko ciężkiej pracy, nigdy nie miałem.

Pocałowałam go lekko i wykorzystałam tę chwilę, by wysunąć pakunek z jego kieszeni. Była to biała chustka, złożona w kwadrat.

- Co to jest?

Udawał rozniewanego.

- Czy właśnie ukradłaś coś z mojej kieszeni?

- Tak.

- W takim razie dobrze, że to dla ciebie.

- Naprawdę? - Drażniłam się z nim tylko, przetrząsając jego kieszenie. Odpakowałam zawiniątko i dotknęłam zawartości. Była to mała broszka w kształcie róży, zrobiona z cyny. - Och, Colin, jest śliczna. Dziękuję!

- Pomyślałem, że róża będzie przypominać ci o tym miejscu. Choć przypuszczam, że teraz już jej nie potrzebujesz.

- Przypiął ją do mojego kołnierzyka, zaraz pod obojczykiem.

- Kocham cię, Violet. Mogłabyś pokochać ogrodnika, którego nie stać na prawdziwe srebro, teraz, kiedy jesteś córką hrabiego i mieszkasz w eleganckim domu?

Pochyliłam się ku niemu tak, że moje wargi znalazły się blisko jego ust i muskały je lekko, kiedy przemówiłam.

- Kocham cię, Colinie Lennox.

Uśmiechnął się szelmowsko.

- Więc damy sobie radę.